



DIANE CHAMBERLAIN

Latarnia z Kiss River



Prószyński i S-ka

DIANE
CHAMBERLAIN

Latarnia z Kiss River

PRZEŁOŻYL
MICHAŁ JUSZKIEWICZ

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
KISS RIVER

Copyright © 2003 by Diane Chamberlain
All rights reserved

Projekt serii
Olga Reszelska

Opracowanie graficzne okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcia na okładce
© Judy Davidson/Arcangel Images; Paul Daniels/Shutterstock.com

Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska

Redakcja
Joanna Habiera

Korekta
Katarzyna Kusojć
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8123-587-7

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Dla Haseeny i wszystkich dzieci, które czekają

Więź, która zespala twoją prawdziwą rodzinę,
nie jest więzią krwi, ale szacunkiem
i radością z istnienia drugiego człowieka.
Rzadko kiedy członkowie tej samej rodziny
wyrastają pod jednym dachem¹.

RICHARD BACH

¹ Cytat z książki *Iluzje, czyli człowiek, który nie chciał być mesjaszem* w tłumaczeniu Jerzego Jarniewicza (wyd. Zysk i S-ka, Poznań 1996).

Rozdział pierwszy

Klimatyzacja w starym samochodzie dogorywała, wydając z siebie ciepłe, zalepiające krtań podmuchy, które były prosto w twarz kobiety za kierownicą. Gdyby Gina była w stanie choć na chwilę skupić się na czymś innym niż zadanie, które miała do wykonania, to ścierpłaby jej skóra na samą myśl o kosztach naprawy. A tak otworzyła tylko okna, by wpuścić do środka nagrzane powietrze, gęste i słone. Odetchnęła głęboko. Tutaj morski zapach był zupełnie inny niż na wybrzeżu Pacyfiku. Jej długie włosy nasiąknięte wilgocią zaczęły się kłębić i plątać, a czoło oblepiły cienkie, ciemne kosmyki. Inna kobieta pewnie by je odgarnęła, przyglądziła dłońmi. Gina nie dbała o to. Jechała przez sześć dni, a sześć nocy przespała w ciasnym aucie, kąpała się ukradkiem w klubach fitness, do których nie należała, i osiemnaście razy zjadła tani fastfoodowy posiłek – a teraz wreszcie zbliżała się do celu, do Kiss River, w powietrzu było już czuć zapach tej miejscowości.

Wjechała na bardzo długi, prosty i kompletnie zakorkowany most. Właściwie należało się tego spodziewać w końcu czerwca, w piątkowy wieczór w drodze do Outer Banks² – regionu na atlantyckim wybrzeżu Karoliny Północnej, który z roku na rok przyciągał coraz więcej turystów. Obawiała się problemów ze znalezieniem noclegu. Wcześniej o tym nie pomyślała, przyzwyczajona do warunków panujących na Wybrzeżu Północno-Zachodnim, gdzie fale Pacyfiku rozbijają się na skałach, a woda jest tak zimna, że nie da się w niej pływać; tam znalezienie pokoju na noc nie stanowi zazwyczaj najmniejszego problemu.

Sznur samochodów przemieszczał się na tyle powoli, że Gina mogła swobodnie śledzić rozłożoną na kierownicy mapę. Za zjazdem z mostu pełnący w żółtym tempie korek ciągnął się jeszcze półtora kilometra. Po drodze minęła szkoła i kilka pawilonów handlowych, aż wreszcie większość aut skręciła w prawo, na szosę numer dwanaście. Gina pojechała w przeciwną stronę. Z mapy wynikało, że tutaj zaczyna się już okolica o nazwie Southern Shores.

Okna były otwarte, wyraźnie słyszała ocean. Gdzieś po prawej, za niejednorodną zabudową, złożoną z budynków z płaskim dachem, nowszych, większych willi oraz starych nadmorskich domków letniskowych, fale uderzały miarowo w piasek. Chociaż drogą toczyła się leniwie rzeka samochodów, ta część regionu Outer Banks wydawała się otwarta, rozległa i opustoszała. Z pamiętnika, który przeczytała, pamiętała coś innego, ale pamiętnik nie opisywał Southern Shores, więc jechała dalej, a w końcu pobocza krętej drogi otuliła ją dzika roślinność i zimozielone dęby.

Przed nią rozciągało się miasteczko o osobliwej nazwie Duck, która mogła wskazywać, że nie każdego stać, aby tam zamieszkać. Dalej miała minąć Sanderling, potem rezerwat przyrody, a zaraz za nim napotkać drogowskaz do latarni morskiej w Kiss River. Wiedziała, że przed nią jeszcze kawał drogi, lecz mimo to co chwilę spoglądała w niebo, szukając między drzewami majaczącej w oddali wieży. Była to najwyższa latarnia morska w całym kraju, ale z takiej odległości nie było szans, żeby ją dostrzec. Zdawała sobie z tego sprawę, ale i tak jej

wypatrywała.

Miała dość czasu, aby obejrzeć witryny małych sklepów w miasteczku Duck, bo auta wlokły się niemalże zderzak w zderzak. Jeśli korek zaraz się nie rozładuje, to dotrę do Kiss River po zmroku, westchnęła w duchu. Planowała dotrzeć tam przed piątą, tymczasem dochodziła już siódma i słońce wisiało coraz niżej nad horyzontem. Czy latarnię zamyka się na wieczór? I czy w ogóle jest otwarta dla zwiedzających? O której włączają światło? A może już się tego nie robi? To byłby dla niej duży zawód. Chciała zobaczyć sygnały z Kiss River, lampę zapaloną co cztery i pół sekundy. Ale jeśli nawet do latarni można było wejść, do samej laterny raczej nie wpuszczano nikogo. Gina jednak musiała się tam dostać za wszelką cenę. Odkryła niedawno, że potrafi całkiem dobrze kłamać. Przez całe życie hołdowała takim wartościom jak uczciwość i prawość, a teraz nagle zmieniła się w manipulatorkę, mistrzynię oszustwa. W razie potrzeby umiała omijać zasady i przepisy. Gdy pierwszy raz na trasie swojej podróży na wschód wchodziła nielegalnie do klubu fitness na prysznic, trzęsa się ze strachu. Bała się, że zostanie złapana, a poza tym czuła niesmak, iż dopuszcza się nieuczciwości. Tymczasem już kilka dni później w Norfolk w Wirginii wmaszerowała do klubu spokojnie, bez nerwów, i na chwilę zapomniała nawet, że nie ma tutejszej karty. Cel uświęca środki, powtarzała sobie.

Była zatem pewna, że jeśli laterna jest zamknięta dla zwiedzających, ona znajdzie sposób, aby się dostać do środka. To był cel tej podróży. Poszuka miejscowego przewodnika albo pilota wycieczek, porozmawia z nim i przekona, że musi zobaczyć to pomieszczenie. Powie, że pisze o latarniach morskich i aktualnie gromadzi dokumentację. Albo że jest fotografką. Dotknęła dłonią pożyczonego aparatu zawieszzonego na szyi. Był ciężki i robił wrażenie. Trzeba tylko wymyślić przekonującą historyjkę. Tak czy inaczej, Gina musiała dostać się do laterny i zobaczyć zainstalowaną w niej soczewkę Fresnela, potężną szklaną kulę z koncentrycznych pryzmatów.

Droga przez rezerwat ciągnęła się w nieskończoność, ale przynajmniej jechało się już swobodniej, bo większość samochodów skręcała w kierunku plaży. Reszta mknęła żwawo biegnącą przeważnie prosto szosą. Gina łatwo mogła czytać mapę podczas jazdy. Znak prowadzący do latarni powinien być już niedaleko, pomyślała. Do Kiss River jechało się na prawo, drogą biegnącą w cieniu czerwonych dębów i sosen taeda. Od czasów opisanych w pamiętniku okolica mogła, rzecz jasna, się zmienić. Gina zauważyła w pobliżu sporo nowych dużych domów, więc całkiem możliwe, że nie było tam już drzew, tylko kolejne wille dla turystów.

Wreszcie wypatrzyła wąską drogę skręcającą pomiędzy drzewa, na wschód. Zjechała na pobocze i zatrzymała samochód tak blisko lasu, na ile starczyło jej odwagi, po czym uważnie studiowała mapę. To musiało być tu, chociaż jak okiem sięgnąć nie było żadnego znaku, najmniejszej wskazówki, że droga prowadzi do jakiegoś szczególnego miejsca. Na mapie skrawek łądu na końcu wbijał się w wodę. W Kiss River, wbrew poetyckiej nazwie³, nie było żadnej rzeki, tylko niewielki cypel, na którym wznosiła się strzelista wieża latarni morskiej. Taka latarnia musiała być atrakcją turystyczną, czemu więc nikt nie zadbał o drogowskaz?

Być może powinna jechać dalej główną drogą i wypatrywać innej, bardziej obiecującej odnogi. Po namyśle Gina pokręciła głową, bo doszła do wniosku, że znak kiedyś stał tutaj, ale przewrócił go wiatr albo skosił samochód. Postanowiła zaufać mapie i skręciła w prawo.

Za zjazdem droga natychmiast odbiła w lewo, niknęła w lesie. Tłuczniowa nawierzchnia była zryta i w kiepskim stanie, a kolejne zakręty spowijała niemalże całkowita ciemność. Powietrze

wydawało się mętne, jakby przydymione, a drzewa rosły tak gęsto i nie przepuszczały światła. Przez otwarte okna wpadało cykanie świerszczy, rechot żab i nawoływania leśnych stworzeń, im dalej zagłębiała się w las, tym były donośniejsze.

Droga urywała się nagle ślepym zaułkiem w środku lasu. Gina zatrzymała wóz i włączyła światło w kabinie. Na mapie widać było dokładnie to miejsce; druga, cieńsza kreska prowadziła stamtąd prosto do latarni. Wyjrawszy przez okno, dostrzegła wąską drogę wysypaną żwirem i zagrodzoną ciężkim, zardzewiałym łańcuchem, na którym wisiała tabliczka z grubym czerwonym napisem: WSTĘP WZBRONIONY.

To nie może być tutaj, pomyślała. Nawet jeśli latarnia jest zamknięta, to z całą pewnością można zwiedzać okolicę oraz dom latarnika.

Jeszcze raz przyjrzała się mapie. Żadna inna droga w pobliżu nie kończyła się ślepo. Czy tego chciała, czy nie, to musiało być tutaj. Jeszcze raz przyjrzała się wąskiej drodze zagrodzonej łańcuchem, która niknęła w mrocznej gęstwinie drzew, budząc złe przecucia.

Gina uważała się za osobę raczej ostrożną, chociaż ostatnio odkryła w sobie odwagę, o której istnieniu nie miała pojęcia. Wysiadła powoli z samochodu i zamknęła drzwi pilotem. Gdzieś w bagażniku była latarka, ale baterie siadły jeszcze w Kentucky, więc zabrała tylko mapę i aparat, który wciąż wisiał jej na szyi. Przecięła ślepy zaułek i stanęła przed łańcuchem, jednym końcem zaczepionym o drzewo, a drugim przypiętym kłódką do niskiego słupka. Obeszła słupek i ruszyła przed siebie. Pod jej stopami chrzęścił żwir.

Co mi szkodzi spróbować?, powtarzała sobie w duchu. Pewnie, mogła skrócić nogę w jakiejś koleinie albo potknąć się o korzeń, bo tych było w bród: pod żwirem biegła nieregularna niczym rysunek żył na skórze siatka wypukłości. Bardziej prawdopodobne jednak, że w tym ustronnym zakątku ktoś mieszka, a droga prowadzi do domu. W takim wypadku Gina zamierzała grzecznie przeprosić i zapytać o latarnię. Nagle przypomniała sobie o koniach. Podobno żyły tutaj dzikie konie. I dzikie świny. W pamiętniku przeczytała, że bywają groźne. Wyobraziła sobie, jak ucieka przed napaścią na jakieś niskie drzewo. Z bijącym mocno sercem nasłuchiwała, obawiając się głuchych uderzeń końskich kopyt albo trzasku łamanych gałązek, ale uświadomiła sobie, że w tym miejscu, daleko w lesie, nie słychać już nawet samochodów, tylko to osobliwe, zalepiające uszy brzęczenie świerszczy oraz innych owadów. A potem przypomniała sobie, że musi tędy wrócić, a wtedy będzie jeszcze ciemniej.

Ile mogła przejść do tej pory? Uznała, że najwyżej pół kilometra. Przystanęła i usiłowała przebić wzrokiem leśną gęstwinę. Na mapie droga wyglądała na krótką, więc przynajmniej wierzchołek latarni wyłoni się zaraz z mroku. Jeszcze kilka kroków i w jej uszy uderzył świszczący szum zmieszany z głuchym dudnieniem. Dopiero po chwili rozpoznała ten odgłos: to był ocean. Blisko. Bardzo blisko.

Zauważyła, że droga przed nią skręciła lekko w prawo. Drzewa się przeredziły, a spomiędzy gałęzi przebijało się trochę światła. Przyspieszyła kroku i nagle wyszła z lasu. Stała na małym parkingu, zasypanym nadmorskim piaskiem. Czyżby parking dla zwiedzających? Teraz do niej dotarło: latarnia w Kiss River była zamknięta.

Za drzewami i zaroślami otaczającymi parking Gina dostrzegła wypukłą białą ścianę. To musiała być latarnia. Natychmiast zorientowała się, że coś jest nie tak. Ruszyła wąską ścieżką pomiędzy drzewami. Gałęzie ocierały się o jej nagie ramiona. Po kilku krokach stanęła jak wryta.

– Nie – jęknęła. – Och, nie.

Wieża latarni wznosiła się wysoko nad jej głową, ale brakowało górnej części. Zniknęła

laterna, a cała budowla miała najwyżej trzy czwarte pierwotnej wysokości. Kiedy Gina wyciągnęła szyję, zdołała dostrzec kilka stalowych stopni wystających ponad wyszczerbioną krawędź przełamanej na pół muru.

Zamarła. Trudno nawet mówić o rozczarowaniu: to była czysta rozpacz. Nic dziwnego, że nikt tutaj nie zaglądał. Gina nie miała wątpliwości, że to ocean zniszczył latarnię, bo nawet w tej chwili fale kłębiły się u podnóża wieży, a zbity, wilgotny piasek pod stopami wskazywał, że przyływ jeszcze nie nastąpił. Sztorm, pomyślała. To robota cholernego sztormu.

Ogarnęła ją panika. Spędziła w samochodzie tyle dni. Przejechała setki kilometrów. Wszystko na nic. Nadzieja prysła. Poczła nagle zawroty głowy i zamknęła oczy. Jej uszy wypełnił szum fal obmywających białą wieżę, a słońa mgiełka szczypała w policzki.

Ruszyła w stronę latarni. Po kilku krokach, jakieś trzydzieści metrów dalej, zobaczyła z lewej budynek. Dom latarnika. Najprawdopodobniej od dawna niezamieszkały, chociaż okien nie zabito deskami, a na szerokiej werandzie stały dwa drewniane fotele klasycznego wzoru Adirondack. Dziwne, pomyślała.

Spojrzała na wieżę, po czym zdjęła sandały i chwyciwszy je za paski, weszła do płytkiej wody. Była zimniejsza, niż się spodziewała, przebiegł ją dreszcz i aż wstrzymała oddech. Stopy zapadły się w piasek, a woda w pewnym momencie sięgnęła jej prawie do kolan, by po chwili opaść z powrotem na wysokość kostek.

Pokonała trzy schodki prowadzące do przedsionka latarni. Pomimo rozczarowania, które sprawił jej widok nieodwracalnego zniszczenia, możliwość wejścia do środka była dla niej niezwykle emocjonująca. Znała przecież to miejsce. O, i to dobrze! Wiedziała na przykład, że kiedyś przedsionek miał własne drzwi, chociaż teraz nie został po nich ślad. Wiedziała, że w wieży są ptaki, i rzeczywiście, jeszcze w przedsionku, zaledwie krok dalej, usłyszała nad głową trzepot skrzydeł.

Gdy znalazła się w okrągłym wnętrzu, owiało ją chłodne powietrze. Posadzka składała się z ośmiokątnych, czarno-białych kafelków, a naprzeciwko miejsca, gdzie stała, białą ceglana ścianę przecinał ukośnie zygzak stalowych schodów. Podeszła do nich, upuściła sandały na podłogę i wsunęła w nie stopy, aby ruszyć w górę.

Przez stopnie zbudowane z kratownicy wyraźnie widziała sinoszare niebo, a gdy weszła nieco wyżej – tonącą w półmroku posadzkę. Stalowa spirala stopniowo się zwężała, a Ginie szybko zaczęło brakować oddechu. Nie czuła się komfortowo na wysokości. Na kolejnych podestach przystawała, by oprzeć się o zimny, biały mur. Przez wysokie, wąskie okna oświetlające każdy z podestów widziała dom latarnika, rozmyty za grubą, nierówną szybą. Po chwili odpoczynku Gina szła dalej, z dłonią kurczowo zaciśniętą na poręczu. Gdy dotarła wysoko, nie miała już odwagi spoglądać w dół.

Urwane schody wznosiły się kilka metrów ponad krawędź muru, wystrzeliwały prosto w wieczorne niebo. Oparła się o ścianę. Serce biło jej mocno, choć bardziej ze strachu niż z wysiłku. Zastanawiała się, czy da radę pokonać tych kilka ostatnich, nieosłoniętych stopni. Mogłabym usiąść tam, na szczycie, pomyślała, skąd widać ocean. A gdyby okazało się, że soczewka z latarni leży gdzieś w pobliżu, w płytkiej wodzie u stóp wieży?

Sunąc obiema dłońmi po poręczu, zmusiła się do kolejnego kroku w górę. I jeszcze do jednego. Na ostatnim stopniu odwróciła się i powoli usiadła. Cały świat miała pod sobą. Ocean rozpościerał się przed nią niczym gigantyczny dywan w odcieniu głębokiej purpury, obsyty białymi frędzlami. Latarnia wyglądała tak, jakby olbrzymi potwór odgryzł jej wierzchołek: krąg grubego ceglanoego muru miał krzywą, poszarpaną krawędź.

I co ja teraz zrobię? – pomyślała Gina.

Ostrożnie, żeby nie stracić równowagi, przechyliła się lekko na lewo, aby wyjąć z tylnej kieszeni szortów małą fotografię. Położyła ją na kolanie i przyklepała dłonią. Był to portret dziewczynki, wyjątkowo małej, nawet jak na swój wiek, a miała przecież dopiero rok, kiedy zrobiono zdjęcie. Króciutkie czarne włoski. Oczy tak olbrzymie i ciemne, że większych i ciemniejszych chyba już nie można mieć. Był w tych oczach smutek. I nadzieja.

Gina zacisnęła powieki, czując pierwsze ukłucia nadchodzących łez.

– Znajdę jakiś sposób, kochanie – powiedziała na głos. – Przysięgam, że znajdę.

Przez długi czas siedziała tak bez ruchu na schodach, przyglądając się, jak z nieba znikają resztki dziennego światła. Wszystkie jej myśli krążyły wokół dziecka na zdjęciu. Nie zaprzętała sobie głowy tym, w jaki sposób zejdzie po ciemku na dół kręconymi schodami, jak trafi do samochodu, który został w ciemnym lesie, ani też jak w piątkowy wieczór znajdzie nocleg w miejscowości obleżonej przez turystów.

W pewnym momencie musiała chyba obrócić głowę odrobinę w lewo, bo coś przyciągnęło jej uwagę i kazało obejrzeć się za siebie. A to, co zobaczyła, dosłownie zapało jej dech w piersi.

We wszystkich oknach domu latarnika lśniły kolorowe witraże.

[2](#) Outer Banks (Ławice Zewnętrzne) – wąski pas półwyspów oraz wysp barierowych ciągnący się wzdłuż wybrzeży Karoliny Północnej i częściowo Wirginii. Ma długość ponad trzystu kilometrów i oddziela od wód Atlantyku trzy główne cieśniny: Currituck, Albemarle i Pamlico (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[3](#) Kiss River (ang.) – dosł. rzeka pocałunków.

Rozdział drugi

Clay O'Neill zatrzymał swojego jeepa przed samym łańcuchem. Wyjął zza daszka przeciwsłonecznego klucz, wysiadł z samochodu i otworzył kłódkę, po czym rzucił łańcuch obok drogi. Zastanawiał się, czy jego siostra wróciła już do domu. Był piątek, a Lacey w piątkowe wieczory jeździła na spotkania grupy Al-Anon. Postanowił więc nie wieszać kłódki z powrotem, żeby nie musiała już otwierać.

Gdy wsiadł do jeepa, zauważył samochód zaparkowany po przeciwnej stronie ślepo zakończonej drogi. Dziwne, pomyślał. Ktoś musiał zostawić tutaj swoje auto i pójść dalej na piechotę przez las w kierunku plaży. Zapomniał jednak o tym, gdy sam wjechał na żwirową drogę, gdzie musiał uważnie i bardzo powoli omijać dobrze mu znane koleiny; przed kilkoma tygodniami niemalże złamał oś na jakimś korzeniu. Gałęzie też prosiły się o przycięcie i wiedział, że niedługo będzie musiał to zrobić, bo drapały dach jeepa, kiedy przeciskał się pod nimi w tym niskim tunelu.

Po wyjechaniu z lasu Clay zobaczył dom latarnika i witraże płonące w oknach. Dzięki żywym kolorom rozpraszającym szary półmrok w jednej chwili dawało się zrozumieć, dlaczego Lacey nalegała, aby zainstalować zegar automatycznie włączający światła w domu. Mówiła, że nie lubi ciemnych okien, a musi je oglądać, ponieważ to ona zazwyczaj wraca pierwsza z pracy, ale Clay wiedział, o co naprawdę chodziło: uwielbiała patrzeć na swoje witraże, wylewające się jaśniejącymi barwami ze wszystkich okien. Próbował jej to wyperswadować, zwrócił uwagę, że w ten sposób marnuje się mnóstwo prądu, ale nie upierał się przy swoim ani zbyt stanowczo, ani zbyt długo. Zawdzięczał Lacey naprawdę wiele, więc nie zamierzał odbierać jej tego światła. Poza tym coś mu mówiło, że witraże dodają siostrze otuchy – i sam czuł podobnie, chociaż nigdy w życiu by się do tego głośno nie przyznał. Ich matka też robiła witraże. Widok okien grających barwami o zmroku był jak stara kołysanka.

Zatrzymał samochód w rogu parkingu, najbliżej domu, gdzie leżała odrobina piasku. Wysiadł i otworzył bagażnik jeepa, aby wyjąć torby z zakupami. Dziś była jego kolej: kupił na późną kolację grube, różowe filety z tuńczyka do upieczenia na grillu, a oprócz tego zapas mleka i płatków śniadaniowych na cały tydzień, owoce i trochę środków czystości. Dał radę unieść wszystkie cztery torby naraz i tak obciążony ruszył po piaszczystym gruncie w kierunku domu.

Stawiając zakupy na nowym, drewnianym blacie kuchennym, usłyszał, jak po schodach pędzi Sasza. Czarny labrador wpadł po chwili do kuchni i entuzjastycznie przywitał pana. Clay pochylił się i objął psa za szyję.

– Cześć, mały. – Podrapał go po szerokiej piersi. – Spacerok?

Sasza zrobił dwa kroki w stronę drzwi, po czym obejrzał się na niego. Biedny psiak, nikt o niego nie dba, pomyślał Clay, otwierając lodówkę.

– Tylko schowam to wszystko i idziemy – obiecał.

Przytulna kuchnia na planie kwadratu i z drewnianą podłogą była pierwszym pomieszczeniem,

kótre pomógł Lacey odnowić, kiedy przed sześcioma miesiącami, tuż po Nowym Roku, zamieszkali w domu latarnika. Szafki zrobiono z sosnowych desek. Na środku znajdował się oryginalny stół z porcelanowym blatem, a wokół niego stały cztery dębowe krzesła. Kuchnię urządzono funkcjonalnie, choć może niezbyt elegancko, ale też nie o elegancję chodziło. Znacznie ważniejsza była wierność realiom historycznym.

Clay skończył układać zakupy w lodówce i szedł już z Saszą do drzwi, ale po drodze wyjrzał przez kuchenne okno wychodzące na tyły domu. Za szerokim witrażem zawieszonym na framudze majaczyła sylwetka latarni. Słońce zaszło już za horyzont, a niebo powlekło się mlecznoszarą barwą, lecz zarysy białej wieży widział dość wyraźnie. Wytężył wzrok. Coś było inaczej niż zwykle. Zmrużył oczy i wychylił się przez okno. Wiedział dobrze, jak wygląda latarnia. Znał krzywą linię przełamane go muru i kontur kręconych schodów wznoszących się nad nim. A teraz doszedł tam jakiś nowy element, zaburzający całość; dopiero po chwili Clay zrozumiał, że ktoś siedzi na ostatnim stopniu, na jego własnej prywatnej grzędzie, bo tak myślał o tym miejscu.

Czyżby Lacey wróciła? Nie, przecież parking był pusty. A zatem ktoś obcy. Rzadkość w tych stronach. Turyści dawno już zapomnieli o Kiss River, a drogę zamknięto łańcuchem dziesięć lat wcześniej, bo tyle czasu upłynęło od niszczycielskiego sztormu. Była jeszcze jedna droga, brzegiem, ale dość trudna, bo ocean wdarł się daleko w głąb plaży. Może więc ten ktoś przyplłynął łodzią? Clay omiół wzrokiem okolicę. Nie dostrzegł żadnego środka transportu, ale w tym mroku pewności nie miał. I wtedy przypomniał sobie o samochodzie zaparkowanym przed łańcuchem.

– Chodź, piesku. – Otworzył drzwi i wyszedł na werandę, gdzie zrzucił z nóg sandały, wziął latarkę, leżącą na jednym z drewnianych foteli, i tak wyposażony ruszył w stronę wieży. Sasza popędził do lasu, który dotykał podwórka przed domem; tam najczęściej załatwiał swoje potrzeby.

Na spiralnych schodach siedziała kobieta – niczego więcej Clay nie był pewien. Jej długie włosy powiewały na wietrze. Twarz miała zwróconą ku morzu. Chyba chce skrócić kark, pomyślał, wiedząc, że dla nieobytych te schody potrafią być po ciemku bardzo zdradliwe. Fale kłębiące się u stóp wieży jaśniały spienioną bielą. Clay wszedł do zimnej wody, starając się trzymać na tyle daleko od latarni, żeby nie stracić z oczu kobiety na schodach, chociaż musiał już mocno zadzierać głowę.

– Proszę pani! – zawołał, ale w tym samym momencie w plażę z hukiem uderzyła fala.

Ponieważ nawet nie odwróciła głowy, domyślił się, że morze go zagłuszyło. Uniósł do ust złożone dłonie.

– Hej! – krzyknął głośniej. – Proszę pani!

Na jego wołanie pod latarnią przybiegł Sasza, a nieznajoma opuściła głowę i wyjrzała nad krawędzią muru. Była tak wysoko, że nie widział rysów jej twarzy. Jeśli coś odpowiedziała, to nie usłyszał.

– Na gorze jest niebezpiecznie! – zawołał. – Niech pani lepiej stamtąd zejdzie!

Kobieta podniosła się ze stopnia, a on natychmiast zmienił zdanie. W wieży było już zbyt ciemno.

– Proszę poczekać! – Uniósł rękę na znak, aby nie ruszała się z miejsca. – Wejdem tam i sprowadzę panią na dół. Mam latarkę.

Kazał Saszy zostać na plaży, a sam, brodząc w wodzie, dotarł do betonowych stopni przedsiönka. W środku włączył latarkę i w jej świetle zobaczył znajomy zarys kręconych

schodów i poręczy na tle łukowato zakrzywionej ściany, trochę niesamowity w zapadającym mroku nocy. Znał je dobrze, wchodził po nich bez wysiłku, nawet bez zadyszki. Wspiął się na górę prawie każdego dnia, czasem więcej niż raz. Wieża była doskonałym miejscem, aby uciec od wszystkiego.

Gdy wynurzył się ponad szeroki krąg przełamanego muru, twarz owiało mu słone morskie powietrze. Kobieta wstała i cofnęła się odrobinę, na ile mogła; pomyślał, że chyba się go boi. Nic zresztą dziwnego. Było ciemno, a ona nie miała dokąd uciec.

– Łatwo się potknąć, schodząc tędy po ciemku – powiedział szybko, pokazując jej swoją latarkę.

– Aha. Dziękuję. – Odgarnęła z twarzy ciemne włosy, porwane podmuchem.

Natychmiast rzuciła mu się w oczy jej wyjątkowa wręcz uroda. Nieznajoma była bardzo szczupła – może nawet za bardzo – miała długie, ciemne włosy i olbrzymie oczy, które w półmroku wydawały się niemalże czarne. Była w niej jakaś delikatność, kruchość, coś, co kazało myśleć, że silny podmuch wiatru bez trudu zdmuchnie ją z tej wieży.

Zakołysała się lekko, jak gdyby usłyszała jego myśli. Wyciągnęła rękę, aby złapać się poręczy. Clay dobrze znał to uczucie. Na tych schodach wiszących w powietrzu nad murem nietrudno o zawroty głowy. On sam miał na początku mdłości, kiedy zaczął tutaj przychodzić, jeszcze z Terri. Ale schody były solidne i mocne. Po prostu błędnie musiał się przyzwyczaić, co zazwyczaj wymagało czasu.

– Niech pani usiądzie – poradził. – Zejdziemy, kiedy poczuje się pani pewniej.

Kobieta usiadła bez słowa i przesunęła się do poręczy, której szybko chwyciła się obiema rękami. Clay też usiadł, stopień niżej.

– Czego pani tutaj szuka? – Lekko zadarł głowę, żeby spojrzeć na nieznajomą. Miał nadzieję, że w jego głosie nie było podejrzliwości. Włosy nieznajomej, wciąż szarpane wiatrem, powiewały na tle nieba, które powlekło się gęstniejącym mrokiem, skrywającym gwiazdy i księżyc.

– Ja tylko... – zająknęła się, błędząc wzrokiem gdzieś ponad jego głowę, wpatrując się w nienicknący w ciemności horyzont. – Co się tutaj stało? – zapytała, opuszczając jedną dłoń zaciśniętą do tej pory na poręczy i obejmując szerokim gestem zniszczoną wieżę i całe Kiss River. – Co spotkało latarnię?

– Huragan – wyjaśnił Clay. – Ponad dziesięć lat temu.

– Dziesięć lat... – Kobieta pokręciła głowę i zwróciła wzrok ku morzu. Wydawało mu się, że w jej oczach zalśniły łzy.

– Clay O'Neill – przedstawił się.

– Gina Higgins. – Odpowiedziała przelotnym uśmiechem i wskazała dłonią dom latarnika. – Tam jest teraz muzeum, coś w tym rodzaju?

– Nie. – Z tego miejsca budynek z kolorowymi oknami wyglądał jak kościół. – Przez wiele lat stał opuszczony – dodał. – Aż w końcu przejęła go grupa konserwatorska, do której należę. Dopóki trwają prace, mieszkam tu razem z siostrą. Pomagamy przy renowacji i ogólnie jesteśmy tutaj jako główni wykonawcy.

Prace posuwały się bardzo powoli, z czego był zresztą zadowolony. Żadnych terminów ani stresu wywołanego pośpiechem.

Gina jeszcze raz obejrzała się przez ramię.

– A te witraże...

– To dzieło mojej siostry – odparł. – Powiesiła je w oknach na czas, kiedy będziemy tutaj

mieszkać. Nie mają związku z renowacją obiektu.

– Pańska siostra robi witraże?

– Tak.

– Ma talent – zachwyciła się. – Są piękne.

Clay skinął głową, przesuwając wzrokiem po oknach.

– Nieźle jej to wychodzi – przyznał.

– A kiedy ukończycie renowacje?

– Nie wiadomo. – Wstał, chwytając się mocno poręczy, po czym wyjrzał za krawędź muru w poszukiwaniu Saszy. Pies miał się dobrze i obwąchiwał na dole wielki kłęb morskich wodorostów, więc Clay usiadł z powrotem. – Zapewne powstanie tutaj kameralne muzeum – podjął. – Albo pensjonat. A może nawet ktoś tutaj zamieszka. Sytuacja jest trochę nietypowa, bo nie wolno wchodzić na ten teren, więc nie wiadomo, czy przyciągać tutaj ludzi, czy może lepiej nie. Zdziwiłem się, gdy zobaczyłem panią na wieży. Jak się pani tu dostała?

– Przyszłam od strony drogi zamkniętej łańcuchem. Nie posłuchałam zakazu na tabliczce. – Uśmiechnęła się z uroczym zmieszaniem. – Przepraszam.

– Zakaz wstępu obowiązuje dlatego, że tutaj jest niebezpiecznie, co chyba widać – wyjaśnił Clay. – Ale ponieważ udało się pani nie zabić, nie ma problemu. Przyjechała pani na wycieczkę? A może na wyprawę krajoznawczą? Większość ludzi już zapomniała o tej latarni.

– Jestem historykiem amatorem, badam dzieje latarni morskich – odparła Gina, kładąc palce na aparacie, który wciąż miała na szyi. – Zaciekała mnie latarnia z Kiss River i przyjechałam zrobić trochę zdjęć. Gdzie jest teraz górna część muru? I soczewka Fresnela?

Wymówiła nazwisko francuskiego inżyniera po amerykańsku: „Freznel” zamiast „Frenel”, z akcentem na ostatnią sylabę, co dziwnie zabrzmiało w ustach pasjonatki latarni morskich. No cóż, pomyślała, mówiłam przecież, że zajmuję się tym po amatorsku, mogłam widzieć to nazwisko wyłącznie w druku i nigdy nie słyszeć jego poprawnej wymowy.

– Soczewka Fresnela leży gdzieś na dnie oceanu. – Clay dyplomatycznie użył właściwego brzmienia tego nazwiska i chociaż było ciemno, dostrzegł, jak jego rozmówczyni oblewa się rumieńcem.

– Dlaczego jej nie wydobyto? – zapytała. – Jest bardzo cenna, prawda?

– Prawda – przytaknął. – Ale wiele osób sprzeciwiało się temu pomysłowi.

Kampanię przeciwko wydobyciu soczewki z oceanu prowadził jego własny ojciec, niegdyś gorliwy działacz na rzecz ochrony latarni w Kiss River.

– Miejscowe biuro podróży oraz stowarzyszenie przyjaciół latarni morskich były za tym, żeby ją znaleźć – powiedział. – Ale według miejscowych taka jest naturalna kolej rzeczy i nie należy się wtrącać. Poza tym, jak pewnie się pani domyśla, nie zależy im wcale, aby przyjeżdżało tutaj jeszcze więcej turystów. Zresztą, kto wie, sztorm mógł roztrzaskać soczewkę w drobny mak.

– Możliwe jednak, że spoczywa w wodzie w stanie nienaruszonym albo pękła tylko na kilka części i da się z powrotem złożyć w całość – zauważyła Gina, pokazując mu zadziorną stronę swojego charakteru. – Moim zdaniem to niedopuszczalne, aby obiekt o tak olbrzymiej wartości historycznej zostawić na dnie oceanu. Powinien trafić do muzeum.

Clay wzruszył ramionami. Zaginiona soczewka nie budziła w nim żadnych emocji. Właściwie w ogóle nie zaprzętał sobie tym głowy.

– To była soczewka pierwszej klasy, prawda? – zapytała Gina.

– Tak. Ważyła co najmniej trzy tony. Niezależnie od tego, czy pękła na sto kawałków, czy w ogóle, wydobycie jej byłoby trudne. Musiałaby pewnie moczyć się dobrych parę miesięcy

w roztworze elektrolitowym, żeby metalowe części nie rozpadły się na powietrzu.

– Nie musiałyby – zaprzeczyła. – Obudowa była mosiężna, prawda? A mosiądzu nie trzeba konserwować elektrolitami.

Miała rację. Przyłapała go na błędzie. I nawet mu trochę zaimponowała.

– A skoro ważyła trzy tony – dodała Gina – to nie mogła spaść daleko od latarni, prawda?

Clay odwrócił wzrok ku mrocznej połaci oceanu, otwierającej się przed nimi niczym czarna pieczara. Dawno temu przyjeżdżał do Kiss River razem z Terri, siadali sobie na tych schodach i jeśli akurat był odpływ, próbowali wypatrzeć soczewkę na dnie. Myśleli, że będzie wystawała z wody. Nigdy im się to nie udało.

– To był straszliwy sztorm – powiedział. – A od tego czasu zdarzyło się jeszcze kilka takich. Linia brzegowa w okolicy mocno się zmieniła. Przed tamtym sztormem woda nigdy nie sięgała aż tak wysoko, a teraz pochłonęła całą plażę. Soczewka może w tej chwili być dosłownie wszę...

– Hej! – przerwał mu kobiecy głos. Okrzyk dobiegł z plaży, niesiony nadmorskim wiatrem. Clay wychylił się za mur i zobaczył na dole światło latarki.

– Hej, Lace! – odkrzyknął. – Już schodzimy!

Odwrócił się w stronę Giny.

– To moja siostra – wyjaśnił. – Poradzi sobie pani na schodach?

Skinęła głową. Kiedy wstawała, wyciągnął do niej rękę, ale nie skorzystała z jego pomocy. Ruszył przodem, starając się świecić latarką za siebie, żeby dobrze widziała stopnie.

– Proszę uważać – ostrzegł. – Po ciemku jest znacznie trudniej.

Szedł powoli, czując, że Gina kurczowo trzyma się poręczy. Trochę to trwało, zanim stanęli na posadzce i wyszli do przedsionka. Trzy betonowe schodki zaprowadziły ich prosto do wody, a fale obmyły im stopy. Po chwili przybiegł Sasza, który ochlapał im dodatkowo uda i ręce. Tak dotarli na suchy piasek, gdzie stała Lacey.

Gina niemalże nie zwróciła na nią uwagi, bo kucnęła, żeby pogłaskać psa, czym od razu zapunktowała u Claya. Sasza rozłożył się na piasku i odsłonił brzuch, chociaż miał do czynienia z całkiem obcą osobą; Gina nie dała się prosić i z czułością podrapała go w tym miejscu.

– Widzę, że Saszę już poznałeś – powiedział Clay. – A to moja siostra Lacey. Lacey, to Gina...? – zająknął się, bo nazwisko wyleciało mu z pamięci.

– Higgins. – Gina wyprostowała się, wytarła zapiaszczoną dłoń o spodnie i wyciągnęła ją do Lacey.

– Znacie się z Clayem? – zapytała młoda kobieta, gdy ucisnęła jej dłoń. Uwagi Claya nie uszedł pełen nadziei ton siostry. Znał żarliwe pragnienie Lacey, by w jego życiu pojawiła się już nowa kobieta.

Gina uśmiechnęła się do Lacey.

– Nie – odpowiedziała lekko rozbawionym głosem. – Tak naprawdę jestem po prostu intruzem. Weszłam na latarnię, zrobiło się ciemno, a twój brat mnie uratował. To wszystko.

– Naprawdę? – Lacey obejrzała się na Claya, unosząc brwi.

– Pani przyszła tutaj na piechotę, od drogi – wyjaśnił.

– Obeszłam łańcuch – przyznała Gina. – Przepraszam. Chciałam tylko zobaczyć...

– Nic się nie stało – przerwała jej Lacey, machając w powietrzu wyłączoną latarką. Jej długie rude włosy były związane, żeby wiatr ich nie rozwiewał, a jasna cera lśniła w ciemności czystą bielą. – Nie jesteśmy właścicielami.

Wodziła wzrokiem od Giny do Claya, a on niemalże słyszał jej myśli: „Wiek w sam raz, bardzo atrakcyjna, idealna dla niego”.

– Przyjechałaś na wakacje z rodziną? – spytała. – A może z koleżankami?

Clay ostatkiem sił powstrzymał jęk. Dość miał już tych podchodów Lacey. Może powinna zapytać Ginę wprost, czy ma ochotę na związek z jej beznadziejnym bratem?

– Sama – odparła Gina. – Na kilka dni.

– Pani bada historię latarni morskich – wtrącił Clay.

– Amatorsko – wyjaśniła szybko, nie patrząc na niego. Wciąż nie mogła sobie darować, że błędnie wymówiła nazwisko Fresnela.

– Posłuchaj... – Lacey trzepnęła się dłonią po nagim ramieniu, na którym usiadł komar. – Jesteś już po kolacji? A może zjesz z nami?

– O, nie, to za duży kłopot – zaprotestowała Gina.

– My o latarni wiemy absolutnie wszystko – namawiała ją Lacey. – Powiemy ci, co tylko chcesz wiedzieć.

Clay był pewny, że siostra nie da za wygraną. Rozumiał jej sposób myślenia. W sumie nie chodziło aż tak bardzo o swatanie brata z Giną ani o podzielenie się wiedzą na temat latarni w Kiss River. Lacey po prostu nie mogła znieść myśli, że ktoś zostanie sam.

– Kupiłem świeżego tuńczyka. Zapraszamy – odezwał się ku własnemu zaskoczeniu. Widział, że Lacey też jest zdziwiona jego gościnnością. – A potem któreś z nas podrzuci panią do samochodu.

Prawdę mówiąc, on też wolał, żeby została. Chciał się jej przyjrzeć w świetle, w domu, w kuchni. Przekonać się, że ta twarz jednak nie jest bez zarzutu.

Gina spojrzała na Saszę. Pies stał oparty o jej nogę. Podrapała go między uszami.

– No dobrze – zgodziła się. – Dziękuję. To miło z waszej strony. Przyznam, że trochę się bałam wracać po ciemku przez las. W końcu są tutaj dzikie konie, świnie i tym podobne.

Clay i Lacey wytrzeszczyli na nią oczy, a potem wybuchnęli śmiechem.

– Świnie? – powtórzyła Lacey. – Dzikie świnie?

– Słyszałam, że można tutaj spotkać dzikie świnie – przytaknęła Gina. – To znaczy dziki.

– To było kiedyś, dawno temu – wyjaśnił Clay, zastanawiając się, skąd Gina ma takie informacje. Korzystała najwyraźniej z naprawdę starych źródeł. Nie wiedziała, że latarnię w Kiss River zniszczył sztorm, a słyszała o dzikach.

– Konie umieszczono w zamkniętym rezerwacie za Corollą – dodała Lacey. – Za dużo ich ginęło na drogach, pod kołami samochodów. A tutaj kiedyś były otwarte pastwiska, pełne krów i świń. Trochę ich uciekło i zdziczało. Opowiadała mi o tym Mary Poor, dawna latarniczka z Kiss River. W pobliskim rezerwacie są chyba jeszcze jakieś dziki.

– Znasz Mary Poor? – zainteresowała się Gina. Widać było, że to nazwisko nie jest jej obce.

– Znałam – poprawiła ją Lacey. – Zmarła kilka lat temu, ale często odwiedzałam ją w domu opieki.

– Bardzo bym chciała czegoś się o niej dowiedzieć – powiedziała Gina.

– Nie ma sprawy. – Skinęła dłonią w kierunku domu. – Weźmiemy się do szykowania kolacji i wszystko ci o niej opowiem.

Ruszyli razem, wszyscy troje. Piasek lepił się do ich mokrych stóp. Gina ścisnęła w palcach paski od sandałów. Była wysoka i miała długie nogi. Clay tak się na nią zapatrzył, że prawie zapomniał o grillu.

– To ja pójdę rozpalić – powiedział i skręcił do komórki, gdzie trzymał węgiel drzewny. I nie dziwiło go zbyt, że Sasza wolał zostać z Giną, niż iść z nim. Jego pies umiał manipulować człowiekiem równie dobrze jak jego siostra.

* * *

Kiedy przyniósł gotowe, upieczone steki do kuchni, w garnku gotowały się kolby kukurydzy, a Lacey i Gina robiły sałatkę, gawędząc przy tym w najlepsze, jak to kobiety. Takie rozmowy, dla nich całkiem naturalne, były poza zasięgiem mężczyzn pokroju Claya. Tematy krążyły wokół historii latarni morskiej: Lacey zabawiała gości opowieściami o Poorach, ostatnich latarnikach z Kiss River. Wiedziała znacznie więcej od brata, ponieważ interesowała się tym i utrzymywała znajomość z Mary Poor. Gina wpatrywała się w nią jak urzeczona i słuchała z uwagą, rwąc liście sałaty rzymskiej.

W kuchennym oświetleniu Lacey i Gina wyglądały jak dwie kobiety na obrazie: jedna miała włosy barwy miedzianej, druga – kruczoczarnej. Obie piękne. Obie szczupłe, o jasnej cerze. Siostra Claya, przy swoich dwudziestu czterech latach, wyglądała jednak na silniejszą i bardziej wytrzymałą. Na jej ramionach i nogach wyraźnie rysowały się wyrobione mięśnie. Twarz miała pełniejszą. Odziedziczyła po matce nie tylko dziką burzę rudych loków oraz talent, ale także dołeczki w policzkach i bladą, piegowaną cerę, wymagającą starannej ochrony przed słońcem. Gina też miała jasną skórę, ale była raczej z tych kobiet, które się dobrze opalają. Clay miał jednak wrażenie, że jej skóra już od wielu lat nie widziała słońca. Była starsza, niż mu się początkowo wydawało: miała ze dwa lata więcej od niego. Może trzydzieści. Jej włosy zdążyły już nasiąknąć morską wilgocią i teraz były szaleńczo rozwiane, zupełnie jak u Lacey, kiedy nosiła je luźno, zamiast związać.

Clay postawił talerz z mięsem na porcelanowym blacie stołu. Gina przyniosła sałatkę, a Lacey – półmisek z kukurydzą.

– Gdzie pani mieszka? – zapytał, siadając do stołu, i podsunął gościowi tuńczyka.

– W Bellingham – odpowiedziała. – W stanie Waszyngton, na północ od Seattle.

– Mieszkasz tak daleko?! – zawołała Lacey. – I co cię tu sprowadza?

– Mam teraz wolne. – Gina sięgnęła po sałatkę. Clay miał wrażenie, że waży każde słowo. – Uczę w szkole, więc latem zaczynam wakacje razem z uczniami. Znam już latarnie morskie nad Pacyfikiem, na Wybrzeżu Północno-Zachodnim, i chciałam zobaczyć, jak to wygląda na wschodzie. Pomyślałam, że zacznę tutaj.

Clay, który nakładał sobie stek na talerz, zaśmiał się pod nosem.

– To początek miała pani nie najlepszy – powiedział. – Jutro polecam latarnię Currituck w Corolli. Jest w świetnym stanie i otwarta dla zwiedzających.

– Wyspa Bodie też jest w sumie niedaleko – dodała Lacey. – A do Hatteras jedzie się najwyżej dwie godziny. Pewnie wiesz, że kilka lat temu przestawiono latarnię w Hatteras, bo groziło jej to samo, co tej tutaj. – Skinęła głową w kierunku okna wychodzącego na plażę. – To może cię zainteresować. Wyświetlają tam film dokumentalny.

Gina skinęła głową.

– Dzięki. – Nabiła kolbę kukurydzy na uchwyty ze szpikulcami. – Na pewno odwiedzę wszystkie po kolei, ale przyznam, trochę mnie zmartwiło, że latarnia w Kiss River popadła w ruinę. I nie rozumiem, dlaczego nikt nie sprawdził, w jakim stanie jest soczewka.

– Zgadzam się – powiedziała Lacey, ku zaskoczeniu brata. – Moim zdaniem powinno się zachować przynajmniej soczewkę.

– Musiałabyś przekonać tatę, a to będzie trudna przeprawa – zauważył Clay.

– Waszego ojca? Dlaczego? – Gina spojrzała na niego, a potem na nią.

– Bo to maniak. – Lacey błysnęła uśmiechem, który pogłębił dołeczki w jej policzkach. – Zawsze musi mieć jakąś obsesję. Kiedyś był przewodniczącym komitetu przyjaciół latarni w Kiss River. A gdy zniszczył ją huragan, dostał obsesji w drugą stronę i teraz walczy o to, żeby wszystko zostało tak, jak jest. Soczewka ma leżeć na dnie oceanu i już. – Uniosła dłoń, by uprzedzić oczywiste w takiej sytuacji pytanie. – Nie, nie wyjaśnię ci, dlaczego mój ojciec taki jest. Nie umiem.

– Czy on jest... Czy ma jakiś wpływ na decyzje w sprawie latarni i soczewki? – zapytała Gina.

– Oficjalnie nie – odparła Lacey. – Ale kiedy ktoś pyta miejscowych o zdanie, wszyscy mówią to samo, co on.

Przy stole zapadła cisza, przerywana tylko chrupaniem przeżuwanych ziaren kukurydzy i brzękiem widelców o talerze. Gina wypła łyk herbaty z lodem.

– Pierwszy raz jadłam świeżego tuńczyka – powiedziała, odstawiając szklankę. – Był przepyszny.

– Moja ulubiona ryba – wyznała Lacey.

– W pani stronach pewnie jest sporo łososi – odezwał się Clay.

– Mnóstwo. – Gina skinęła głową i odkroiła widelcem kolejny kęs filetu. Nie wzięła go jednak do ust. – A gdybym chciała zorganizować wydobycie soczewki z oceanu – drążyła jednak poprzedni temat – czy powinnam porozmawiać właśnie z waszym ojcem?

Clay nie mógł zrozumieć, czemu aż tak ją interesuje ta zaginiona soczewka, ale ponieważ miał takiego, a nie innego ojca, był przyzwyczajony do ludzi z niewytłumaczalną fiksacją na punkcie latarni w Kiss River. Skinął głową.

– Bez jego poparcia nic pani nie zdoła – potwierdził. – Ale... bez urazy... proszę pamiętać, że jest pani nietutejsza. Ludzi nie obchodzi pani zdanie. Chociaż może zyska pani w ich oczach trochę wiarygodności, kiedy usłyszą, że bada pani historię latarni morskich.

Gina odłożyła widelec, wpatrując się w niego swoimi dużymi ciemnymi oczami.

– Gdzie znajdzie waszego ojca? – zapytała.

– Pracuje w przychodni dla zwierząt Beacon w Nags Head – odpowiedziała jej Lacey. – Jest weterynarzem.

– To daleko stąd?

– Pół godziny drogi – mruknął Clay. Oczywiście wyobraźni zobaczył, jak Gina zjawia się bez uprzedzenia w przychodni i co robi jego ojciec, dowiedziawszy się, z czym nachodzi go ta nieznajoma kobieta. – Ale wcześniej go uprzedzę o pani wizycie. Tylko proszę nie robić sobie nadziei.

– Nie będę. – Uśmiechnęła się do niego, ale ten uśmiech był tak przelotny, że jakoś nie wypadł szczerze. – No dobrze – zmieniła temat. – Powiedzcie, czym się zajmujecie. Domyślam się, że pracujecie w budownictwie?

Lacey potrząsnęła głową.

– Ja mam pół etatu jako asystent weterynarza w przychodni taty – powiedziała. – A do tego robię witraże. To już na cały etat.

Clay pomyślał, że siostra jest zbyt skromna. Robiła znacznie więcej rzeczy niż asystowanie w przychodni weterynaryjnej i tworzenie witraży. Pracowała też jako wolontariuszka w kryzysowym telefonie zaufania, prowadziła zajęcia w miejscowej podstawówce, jeździła do domu opieki, w którym kiedyś mieszkała Mary Poor, żeby czytać pensjonariuszom, i towarzyszyła na spotkaniach grupy Al-Anon swojemu biologicznemu ojcu Tomowi Nestorowi, który był także jej nauczycielem witrażu oraz zdrowiejącym – nareszcie – alkoholikiem.

Regularnie oddawała honorowo krew, a w zeszłym roku została dawcą szpiku kostnego. Jednym słowem, upodobniła się do swojej matki, o której miejscowi mówili „nasza święta Anna”. Clay z niepokojem obserwował, jak Lacey stopniowo staje się kopią Annie O’Neill.

- A ty? – zapytała Gina, spoglądając z kolei na niego.
- Architekt – odparł, dokończywszy przeżuwać porcję sałatki.
- Naprawdę? Co budujesz?
- Domy. Mam pracownię w Duck.

Pierwszy raz tego wieczoru poczuł, jak ogarnia go i przytłacza ten znajomy mrok. Kiedyś zapytany, czym się zajmuje, najpierw mówił, że szkoli psy i ich właścicieli do zadań poszukiwawczo-ratowniczych, a dopiero potem dodawał, że jest też architektem. Szkolenie psów było jego ulubionym zajęciem, jego pasją, a tymczasem od śmierci Terri nie odbył z Saszą ani jednego treningu i przestał już nawet odpowiadać na telefony osób szukających tresera. Lacey z początku suszyła mu o to głowę, ale szybko się przekonała, że takie metody mogą przynieść wyłącznie odwrotny skutek. Złościło go to, bo musiał wtedy zadawać sobie pytanie: czy ja w ogóle kochałem Terri? Lacey mówiła, że jest dla niej bardziej siostrą niż bratową – czemu w takim razie nie mogła zrozumieć, że Clay po prostu nie ma ochoty robić niczego, co mu przypomina o żonie?

- Uczysz w szkole? – zainteresowała się Lacey.
- W gimnazjum – odparła Gina. – Przedmiotów ścisłych.

To by wyjaśniało, skąd wiedziała o właściwościach mosiądzu i elektrolitach, pomyślał Clay.

– Trudny wiek – skomentowała Lacey, a Clay mimo woli uśmiechnął się do siebie. Jego siostra uosabiała wtedy dokładnie najgorsze wady nastolatki.

- Bardzo lubię swoją pracę – powiedziała Gina. – I uwielbiam te dzieciaki.
- A masz własne? – dopytywała Lacey.

Gina nie odpowiedziała od razu. Przez chwilę grzebała widelcem w sałatce, turlając po talerzu małego pomidora winogronowego.

- Nie – przyznała wreszcie. – Ale mam nadzieję, że kiedyś będę miała.

– A męża? – drążyła z uporem Lacey. Boże, jęknął Clay w myślach, ależ ona jest wścibska. Sam jednak rzucił okiem na dłonie Giny, szukając obrączki. Nosiła dwa pierścionki: na prawej mały rubin w białym złocie albo platynie, a na lewej onyks osadzony w srebrze. Palce miała długie i szczupłe, o zadbanych paznokciach, różowych i zaokrąglonych.

- Nie mam męża. – Gina potrząsnęła głową.

Clay wstał i zabrał swój talerz, żeby zanieść go do zlewu. Nigdy nie umiał długo usiedzieć w miejscu, a zwłaszcza nie przepadał za pogaduszkami przy stole. Był w tym podobny do swojego ojca: rozsadzała go energia. Doprowadzał tym Terri do szału, a jego siostra już dawno przestała go prosić, żeby posiedział z nią chwilę po posiłku.

– No dobrze. – Gina spojrzała na zegarek, jak gdyby jego zachowanie odebrała jako wskazówkę, że się zasiedziała. – Czas się zbierać. Muszę jeszcze znaleźć nocleg.

– Chyba nie mówi pani poważnie? – rzucił Clay znad zlewu. W piątkowy wieczór pod koniec czerwca nie było najmniejszych szans, aby ktoś w okolicy miał wolną kwaterę.

– Owszem – odparła prostolinijnie. – Nie pomyślałam, żeby coś sobie zarezerwować. Kiedy zobaczyłam po południu korek na moście, wiedziałam, że powinnam, ale... – urwała, wzruszając ramionami. – Dam sobie radę. Przez całą podróż spałam w samochodzie. Wytrzymam jeszcze jedną noc.

- Bez sensu – skomentowała Lacey. – Zostaniesz u nas, a jutro znajdziesz pokój. Nie ma

mowy, żebyś spała w samochodzie.

Nie patrzyła przy tym na brata, żeby nie widzieć dezaprobaty w jego oczach.

– O, nie, nie mogę. – Widać było, że Gina jest autentycznie zakłopotana zaproszeniem. – I tak już byliście bardzo mili dla nieproszonego gościa, który zwał się wam na głowę wieczorową porą.

– Zostań – upierała się Lacey. – Wolne pokoje wprawdzie nie są jeszcze wyremontowane, ale można z nich korzystać i jest czysta pościel. Nie masz żadnego powodu odmawiać.

Clay wiedział, że powinien wyrazić własne zdanie. Zgodzić się, zapewnić, że zaprasza Ginę, ale z jakiegoś powodu nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

Gina milczała, obracając palcami zmiętą serwetkę leżącą na stole.

– No cóż, dziękuję bardzo – odezwała się wreszcie, spoglądając na Lacey, a potem na Claya. – Aż trudno uwierzyć, że jesteście tacy uprzejmi dla kompletnie obcej osoby.

– Chodźmy po twój samochód. – Lacey wstała od stołu.

– Mogę najpierw skorzystać z łazienki? – poprosiła Gina. Clay pokazał jej, dokąd iść, a gdy zniknęła za drzwiami, Lacey ośmieliła się spojrzeć na brata.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu – powiedziała.

– Nie – odparł. – W porządku.

Dręczyła go jednak dziwna obawa, gdy pomyślał, że przyjął pod swój dach, choćby tylko na jedną noc, tę nieznaną kobietę, miłośniczkę latarni morskich, która nie wiedziała, jak się wymawia nazwisko Fresnel.

Rozdział trzeci

Gina знаła ten pokój. Nigdy tu nie była, ale i tak znała go dobrze. Zatrzymała się na progu i stanęła w ciemności. Oddychała ciężko, chociaż bagaże, które wniosła po schodach – mała walizka, plecak i aparat – były raczej lekkie. Nie włączając światła, podeszła do okna. Dało się otworzyć, musiała przy nim tylko chwilę pomajstrować. Przez siatkę ochronną przelało się łagodne tchnienie wiatru. Niebo było teraz zupełnie inne, niż kiedy wchodziła pod dach: nigdy w życiu nie widziała tylu gwiazd. Na jego tle wyraźnie rysował się kształt wieży, niczym szary upiór tkwiący bez ruchu jakieś pięćdziesiąt metrów od domu.

Różnie wyobrażała sobie dzisiejszy dzień, ale w najbardziej szalonych fantazjach nie spodziewałaby się, że zobaczy od środka ten pokój, te kąty. Że zje kolację przy tamtym starym kuchennym stole, położy dłonie na tej gładkiej porcelanie... Przecież wiedziała o niej takie rzeczy, o których gospodarze nie mogli mieć pojęcia.

Jeszcze bardziej niespodziewane było to, że dwoje obcych ludzi przyjęło ją pod swój dach, choćby na jedną noc. Jak szybko nawiązali z nią znajomość! Przede wszystkim Lacey, która przypominała Ginie jedną z uczennic, dziewczynę o rudych włosach i serdecznym usposobieniu, potrafiącą z każdym rozmawiać, jakby go znała od urodzenia. Gina nie przyjechała jednak do Kiss River, aby poznawać ludzi. Na ogół nie miała introwertycznej natury, ale musiała uważać na słowa, bo od niej zależało powodzenie wyprawy. Oszukać obcego, kiedy czegoś się potrzebuje, to jedno, ale oszukać znajomego – to już zupełnie coś innego. A ona już zdążyła okłamać Claya i Lacey.

Fresnel. Zacisnęła powieki. Wciąż palił ją wstyd, że palnęła taką głupotę. „Badam historię latarni morskich”. Akurat. Tymczasem Lacey i Clay chyba przełknęli to gładko, skoro nie wyrazili żadnych wątpliwości. Jutro, postanowiła, znajdzie sobie pokój, a potem porozmawiam z ich ojcem o wydobyciu soczewki z oceanu. A jeśli odmówi? Co wtedy zrobić? Nie wiedziała. Nie wszystko naraz.

Soczewka z latarni w Kiss River była tak blisko. Za oknem fale oceanu szumiały, uderzając o brzeg. Pod ciemnym nocnym niebem u stóp okrągłej wieży wirowały kłęby białej piany. Soczewka była na wyciągnięcie ręki, tuż pod powierzchnią wody. Musiał się znaleźć jakiś sposób.

Włączyła lampkę na nocnej szafce. Wyjęła z walizki T-shirt do spania i kosmetyczkę, w której była tylko szczoteczka, pasta i nitka do zębów oraz krem z filtrem przeciwsłonecznym. Do szkoły robiła lekki makijaż, ale w ostatnich dniach nie zaprzętała sobie głowy wyglądem.

W walizce na ubraniach leżał pamiętnik: różowy, z wytartymi rogami i zepsutym zameczkiem. Gina położyła go na łóżku, świeżo posłanym przez Lacey. Wiedziała, co tam jest napisane, znała go na pamięć.

Zdjęła szorty, po czym wyciągnęła z kieszeni zdjęcie maleńkiej dziewczynki i oparła je o lampkę nocną. Przebrawszy się do końca, położyła się i przykryła, sięgając po zdjęcie, aby

obejrzeć je w tym świetle. Miała w życiu różne pragnienia. Chciała, żeby jej matka wyzdrowiała. Był czas, gdy marzyła o mężu i dobrym związku, co jednak się nie spełniło. Ale niczego w życiu nie pragnęła tak bardzo, jak znów wziąć to maleństwo na ręce.

Odstawiła zdjęcie, wyłączyła lampkę. Wyciągnęła się w dużym, starym łóżku z drewnianą ramą. Po ciemku widać było jeszcze gwiazdy na niebie. Przed laty światło latarni, przelane przez soczewkę Fresnela, wdzierało się do tego pokoju co cztery i pół sekundy, wydobywając z mroku ściany, sufit i pościel na łóżku.

Tak, Gina bardzo dobrze wiedziała, do kogo należał ten pokój.

Rozdział czwarty

Sobota, 7 marca 1942

Dzisiaj w nocy znów nie było światła. Siedzę na łóżku i piszę przy lampce naftowej, tak jak kiedyś, gdy byłam młodsza, zanim do Kiss River doprowadzili prąd. Tata włączył w latarni awaryjny agregat – nie pozwoli, żeby tamto światło zgasło, choćby nie wiem co się działo. Ale tutaj, w domu, nie mamy rezerwowej prądnicy. „Rozpuściłaś się, Elizabeth, i zmiękałaś”, mówi mama. Być może ma rację. Ostatnio kłóci się ze mną o wszystko, gdy tylko otworzę usta. A może to ja wyklócam się z nią. Nie wiem. Nie układa nam się najlepiej. Dzisiaj, chociaż światła nie mamy często, ta nagła ciemność napawa mnie lękiem. A muszę dodać, że na ogół nie należę do strachliwych. Nie boję się ani sztormów przetaczających się przez tę wyspę, ani nawet dzikich świń, które mordują kury, czasami psa albo kota, a raz – słyszałam o tym, ale nie wiem, czy to prawda – zabiły starszą panią wieszającą pranie za domem. Nie umiem powiedzieć, skąd teraz bierze się mój strach. Może stąd, że dorośli też się boją. Nie przyznają się, oczywiście, ale czuję to wszędzie. Wszyscy rozmawiają o wojnie. W sklepie pana Tragera klienci mówią tylko o niej i nie słychać już wybuchów śmiechu ani żartów jak dawniej. U nas w domu rodzice siedzą w salonie i słuchają radia. Bez przerwy słuchają. W radio na razie puszczają jeszcze muzykę. Mam już po dziurki w nosie piosenki *Pamiętajmy o Pearl Harbor*, ale jeszcze bardziej nie cierpię innej, która ma tytuł *Perfidia*. Co to w ogóle znaczy? Czy to jest czyjeś imię? W radio słyszy się tylko muzykę Glenna Millera albo głos Gabriela Heattera i jego wiadomości „z ostatniej chwili, z całego świata”. Te wiadomości nigdy nie są dobre. Na czole mojej mamy zauważyłam głębokie bruzdy, których wcześniej nie było, i chociaż jestem na nią zła, że wymyśla mi mnóstwo nakazów i zakazów, to najchętniej głaskałabym ją po głowie, żeby te bruzdy wygładzić. Kiedy czuję coś takiego, wiem, że wciąż ją kocham, i tatę też. Czasem o tym zapominam!

Tutaj, na północnym wybrzeżu, nie ma żadnego poważnego zagrożenia, powiedział mi tato nie dalej jak wczoraj; mimo że blisko naszych plaż Niemcy storpedowali już kilka statków, to najczęściej atakują na wysokości Hatteras. Ale po tym, co wydarzyło się dzisiaj, będzie chyba musiał to odszczekać.

Rano poszłam do latarny, żeby wypolerować soczewkę. Pracy jest znacznie mniej niż przed elektryfikacją, kiedy przez całą noc należało pilnować, by lampa nie zgasła, nakręcać mechanizmy zegarowe i wносить olej po schodach, dwieście siedemdziesiąt stopni pod górę. W innych latarniach pozwalniali wszystkim, ale tacie, nie wiedzieć czemu, pozwolili zostać w charakterze „cywilnego stróża”, pod warunkiem że zadba o konserwację. Więc mu pomagam – poleruję soczewkę, a przynajmniej jej dolną część, bo wyżej nie sięgam, a tato zabrania mi wchodzić na drabinę, bo tam wszystko jest ze szkła. W duchu nawet się cieszę, że mi zabrania, bo nie miałam pojęcia, jaka to ciężka praca. Wiele lat przyglądałam się, jak tato czyści soczewkę

miękką irchą i różem polerskim – i marzyłam, że kiedyś sama będę to robić. Rok temu, kiedy skończyłam trzynaście lat, wreszcie mi pozwolił, a teraz już nie rozumiem, jak mogłam o tym marzyć. Trzeba strasznie uważać, żeby nie zrobić najmniejszej ryski na szkłe. W ogóle nie wolno mi go dotykać. „Osiemnaście tafli pryzmatycznego szkła kronowego, wyprodukowanego i wypolerowanego fabrycznie w Paryżu, stolicy Francji!”, uświadamia mój ojciec każdego, kto chce słuchać, a czasami nawet tych, którzy nie chcą. Ciągłe powtarza, że ślady palców mogą osłabić światło, ale kiedy nie patrzył, to i tak ukradkiem dotykałam pryzmatów, bo były cudownie chłodne i śliskie. Cała soczewka jest ponaddwukrotnie większa od niego, w pionie, ma się rozumieć, a jeśli chodzi o obwód, to nigdy tak naprawdę nie zdawałam sobie sprawy z jej rozmiarów, dopóki nie musiałam sama jej wyczyścić. Zajęłaby chyba połowę tego pokoju (czyli mojego pokoju).

Zabawne, że przypomniałam sobie o tym pamiętniku. Dostałam go od Torii (mojej kuzynki) na czternaste urodziny, ale wtedy w ogóle nie myślałam o pisaniu. Miałam pod dostatkiem innych zajęć: łowiłam ryby, zbierałam kraby, jeździłam na rowerze i bawiłam się z psami. A teraz, ni z tego, ni z owego, ryby zaczęły mnie nudzić. W okolicy wszyscy tylko łowią i zbierają. Ryby, kraby, małże, ostrygi. Czas, który przedtem poświęcałam na siedzenie z wędką, teraz przeznaczam na rozmyślanie, i nic na to nie poradzę, chociaż wiem, że to mało pożyteczne zajęcie. Pamiętnik w każdym razie wrzuciłam po urodzinach do szuflady w komodzie, pod bielizną, i zupełnie o nim zapomniałam. Aż tu nagle tydzień temu sięgnęłam po coś do tej szuflady i poczułam pod palcami coś twardego. To był kluczyk w zamczku pamiętnika. Wyciągnęłam go i nagle słowa same przysły mi do głowy. Zapraǳnęłam zapisywać swoje myśli i chować te zapiski w bezpiecznym miejscu, żeby nikt oprócz mnie nie mógł ich przeczytać. Nigdzie indziej nie mogę mówić tego, co myślę. Pani Cady (moja nauczycielka) nie chce mnie słuchać, mama i tato krytykują, kiedy tylko otworzę usta, jakby się bali, że moje słowa ich poparzą. Tak więc zaczęłam się cieszyć, że kuzynka Toria podarowała mi ten pamiętnik. Dalej trzymam go w szufladzie z bielizną, a po zamknięciu chowam kluczyk w łóżku, pod materacem.

Więc dzisiaj latarnia świeci dalej, a kiedy lampa się obraca, widzę za oknem jej białą wieżę. Żeby zobaczyć samo światło, muszę podejść bliżej i pochylić głowę, ale lubię patrzeć z łóżka, bo wtedy wieża jest dokładnie na środku okna. Światło zalewa cały mój pokój. Kiedy kuzynka Toria u nas nocuje, nie może zmrużyć oka. A ja tak przywykłam do tego światła, że bez niego chyba bym nie zasnęła.

Ale dzisiaj rano zobaczyłam coś takiego, że aż mnie ciarki przeszły. Było tak: czyściłam soczewkę w laternie i nagle zobaczyłam coś daleko na morzu. Wiedziałam od razu, co to takiego – dym, wielki kłęb czarnego dymu, bijący w niebo na wysokości Kiss River, na horyzoncie. Wiedziałam też dobrze, skąd ten dym się tam wziął.

Tato ma na górze lornetkę, więc wyciągnęłam ją i wypatrywałam, ale statku nie dostrzegłam, tylko sam dym. Woda płonęła pomarańczowym ogniem, więc to musiał być tankowiec z ropą. Jeszcze nigdy nie zatopili statku tak blisko. To był pierwszy, który widziałam na własne oczy. Na poczcie wisi napis: jedno słowo za dużo – jeden statek mniej. To znaczy, że nie wolno nic głośno mówić o przybrzeżnym ruchu floty handlowej, bo ten, kto stoi obok, to może być szpieg. Moim zdaniem to głupie, bo przecież znam tutaj prawie wszystkich. Obcy, a zwłaszcza Niemiec, od razu rzucałby się w oczy. Niektórzy mówią na Niemców „szwaby”. Raz nawet tato tak powiedział – myślał, że nie słyszę. To był dla mnie szok, bo on i mama zawsze pilnują, żebym nie uważała się za lepszą od innych. Kiedy pomocnik w sklepie pana Tragera nazwał pana Sato „żółtkiem”, to mama tak mu nagadała do słuchu, że aż miło.

Pan Sato sprowadził się tutaj rok temu. Przedtem nikt z nas nie widział na oczy żadnego Japończyka. Pan Sato miał syna, który ożenił się z dziewczyną z naszych stron. Mieszkali we trójkę w Chicago. Rok temu syn umarł, a jego żona, nie pamiętam nazwiska, postanowiła wrócić tutaj i przywiozła ze sobą pana Sato, bo on jest inwalidą, jeździ na wózku i nie może być sam. Mieszkają nad cieśniną, po drugiej stronie wyspy. Po drodze do szkoły mijam ich dom i kiedyś często widywałam pana Sato, jak łowił ryby. Jego wózek stał na pomoście za domem, a on siedział tam z wędką w ręku. Machałam do niego, a on też zawsze mi odmachiwał. Było mi go żal, bo wszyscy za plecami nazywają go żółtkiem, a dzieciaki wyśmiewają się z niego. Ludzie nie odnoszą się do niego przyjaźnie, a po Pearl Harbor to chyba już w ogóle nikt z nim nie rozmawia. Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej. Ostatnio w ogóle go nie widuję. Może się boi i nie wychodzi z domu, zresztą nic dziwnego. A przecież wygląda całkiem niegroźnie: malutki, siwy i zasuszony dziadek na wózku inwalidzkim. Można by pomyśleć, że się wyprowadził, ale wiem, że ludzie o nim szepczą: nie podoba im się, że mają Japońca za sąsiada.

No, ale ja znów o czym innym. Pani Cady ciągle zwraca mi na to uwagę. Mówi, że nieźle piszę, ale za bardzo skaczę po tematach. Dobrze, że nie może tego przeczytać!

Wracam do tamtego płonącego statku. No więc Niemcy czają się teraz tuż pod naszymi drzwiami i mordują nas na samym progu. Ich podstępne U-Booty wynurzają się z wody i atakują jak rekiny. Patrzyłam na czarną plamę rozlaną na morzu i zastanawiałam się, czy przypadkiem do załogi niemieckiej łodzi podwodnej nie dotarło to jedno słowo za dużo.

Nie widziałam jeszcze żadnego U-Boota, ale cierpliwie wypatruję ich na morzu, kiedy sprzątam laternę albo po powrocie ze szkoły: idę na górę, biorę lornetkę i obserwuję fale, szukając niemieckich łodzi podwodnych. Tak naprawdę to nie wiem dokładnie, czego mam szukać. Czy peryskop da się zobaczyć przez lornetkę, czy jest za mały? Fajnie by było mieć coś takiego. Peryskop, znaczy się. Żeby widzieć, co się dzieje tam, gdzie mnie nie ma. Móc oglądać innych, a samej nie być widzianą. Tak pewnie było dziś rano na morzu. Jakiś amerykański statek pełen ciężko pracujących ludzi pojawił się w peryskopie U-Boota i bach! – oberwał niemiecką torpedą. Pierwszy raz oglądałam to na własne oczy i mam nadzieję, że ostatni. Widok tamtego czarnego dymu odebrał mi wszelką radość. Znam kilku dorosłych, którzy są zgorzkniali i martwi w środku; ni stąd, ni zowąd poczułam się tak samo i wcale mi się to nie podobało.

Ta wojna ma jedną, ale tylko jedną dobrą stronę: do Outer Banks zawitali chłopcy ze Straży Wybrzeża. Stacjonują w brzegowych stacjach ratowniczych. Jeden ładniejszy od drugiego! Pochodzą z całego kraju, a gdy słucham, jak każdy mówi z innym akcentem, to chce mi się wyjechać z Karoliny Północnej i zobaczyć świat. Byłam już w Elizabeth City i w Manteo, a raz nawet w Norfolk, ale poza tym nigdzie. Kiedy ci chłopcy są w pobliżu, czuję, że mama nie spuszcza ze mnie czujnego wzroku, więc udaję, że w ogóle nie zwracam na nich uwagi. Ale tak naprawdę jest inaczej. I wiem, że niektórzy z nich też na mnie popatrują.

Dzisiaj był u nas na obiedzie chorąży Bud Hewitt, komendant tutejszej jednostki Straży Wybrzeża. Zaprzyjaźnił się z moimi rodzicami i czasem do nas zagląda. Powiedział, że jego chłopcy wyciągnęli z wody kilku marynarzy z tamtego storpedowanego statku, ale około pięćdziesięciu zginęło, a morze wyrzuciło już na brzeg kilka ciał.

– Coraz gorzej, co? – westchnął tato, a pan komendant zrobił poważną i smutną minę.

– Tak – przyznał. – Jesteśmy po prostu nieprzygotowani. Przyzwyczailiśmy się, że na amerykańskiej ziemi panuje pokój, i nikt nie spodziewał się ataku. A już o Karolinie Północnej wcale się nie myśli. Wszyscy patrzą na Zachodnie Wybrzeże. Ale lepiej, żeby sobie o nas przypomnieli, zanim będzie za późno.

Komendant Hewitt powiedział, że należy wprowadzić u nas zaciemnienie, ale nie zarządzono tego. Był zły, że tak się sprawy mają, widziałam to wyraźnie. Na tle świateł na wybrzeżu, tłumaczył, załogi U-Bootów widzą sylwetki naszych statków jak na dłoni. Kiedy o tym mówił, miał dosłownie łzy w oczach.

Wyznałam komendantowi, że wypatruję przez lornetkę peryskopów na oceanie. Rodzice zaczęli się śmiać i było mi głupio, ale on wziął mnie w obronę. Ucieszył się, że to robię – tak powiedział – bo dobrze by było, gdyby więcej osób poważnie traktowało swoje obowiązki. Wyjaśnił jednak, że prędzej uda mi się zobaczyć nad wodą kiosk, czyli wieżyczkę okrętu podwodnego. Samego peryskopu nie sposób wypatrzeć, powiedział i dodał, że gdybym kiedyś naprawdę coś zobaczyła, to mam od razu przyjść do niego. Obiecałam, że tak zrobię. Posterunek Straży Wybrzeża znajduje się niespełna kilometr od mojego domu, ale wolałabym zadzwonić do komendanta. Szkoda, że nie mogę. Tam, gdzie mieszka kuzynka Toria, mają telefony na korbkę. W Kiss River nie ma jeszcze ani jednego, chociaż po drugiej stronie wyspy ludzie już je sobie zakładają. Podobno jeden z pierwszych pojawił się u synowej pana Sato. Tato zawsze mi mówi, że wkrótce będą i u nas.

Zapytałam komendanta Hewitta, czy tamten statek rano to był tankowiec, a on się uśmiechnął i potwierdził, a potem zapytał, skąd to wiem. Wyjaśniłam, że widziałam pomarańczowy ogień, więc to musiała być ropa płonąca na falach. Komendant powiedział, że jestem mądra. Lubię go. Zawsze rozmawia ze mną jak z dorosłą, nawet przy tacie i mamie. Wspomniał, że chłopcy ze Straży Wybrzeża mówią, że ładna ze mnie dziewczyna, a ja pomyślałam, że tato zaraz go uderzy. Ale nie, moi rodzice lubią komendanta Hewitta. „On ma Boga po swojej stronie”, mawia tato. O wszystkich aliantach tak mówi. Nawet pani Cady to powtarza, a kiedy raz ją zapytałam, czy Japończycy, Niemcy i Włosi też mówią swoim dzieciom, że mają Boga po swojej stronie, to mnie złażała, że niby nie jestem patriotką. A to nieprawda. Kocham moją ojczyznę i wiem, że to my mamy rację. Tylko założę się, że Niemcy też tak sądzą. Moim zdaniem Bóg nie opowiada się po żadnej ze stron. A kiedy widzę, co za Jego przyzwoleniem dzieje się z naszymi statkami handlowymi, to jestem tego wręcz pewna.

O wojnie dużo dowiedziałam się od Dennisa Kitteringa, nauczyciela z High Point, który przyjeżdża tutaj prawie w każdy weekend, czy to lato, czy zima, i nocuje pod namiotem na plaży niedaleko Kiss River. W styczniu, kiedy U-Booty zaczęły zatapiać statki, musiał wyrobić sobie specjalną przepustkę, żeby móc rozbijać tam namiot, ale dostał ją bez żadnych trudności. Lubię go, chociaż irytuje mnie niemożliwie, bo strasznie się mądrzy. Jak na nauczyciela jest bardzo młody, dopiero rok temu skończył studia, ma ciemne włosy, które zaczesuje z czoła do tyłu, i okulary w drucianych oprawkach, identyczne, jak nosi pani Cady. Utyka, bo urodził się z jedną nogą krótszą. Zupełnie jak komendant Hewitt, rozmawia ze mną tak, jakby moje zdanie naprawdę było ważne. To od niego wiem, co dzieje się na świecie. Dennis wytłumaczył mi, dlaczego toczy się ta wojna, i powiedział też, że powstały obozy internowania dla Japończyków przebywających na terenie Stanów. Mówił, że to są niewinni ludzie, którzy w trudzie i cierpieniu ledwie wiążą koniec z końcem. Objął mi to w taki sposób, że miałam łzy w oczach. Kiedy zapytałam, dlaczego pana Sato nie zabrali do obozu, wyjaśnił, że tak robią tylko na Zachodnim Wybrzeżu, więc pomyślałam, że pan Sato ma sporo szczęścia, że mieszka właśnie tutaj, mimo że się go tak czepiają.

Dennis polecił mi powieść *Serce to samotny myśliwy*. Jestem najlepszą czytelniczką w naszej bibliotece. Nie znam nikogo, kto czyta tyle, co ja. Jestem pierwsza z całej szkoły, choć chyba nie ma się czym chwalić, bo u nas jest tylko dwudziestu trzech uczniów, i to przeważnie młodszych

ode mnie. Ale w czytaniu prześcignęłam nawet starszych. Kiedy skończyłam całą serię o Nancy Drew, pani Cady powiedziała moim rodzicom, że mogę czytać, co mi się podoba. A oni się zgodzili, więc teraz czytam *Serce to samotny myśliwy* i opowiadania Eudory Welty, a w weekendy omawiam te lektury z Dennisem. Wczoraj czytałam przy stole w kuchni i robiłam notatki ołówkiem na blacie, bo nie miałam pod ręką papieru, a blat jest z porcelany i można to łatwo zmyć, ale mama i tak na mnie nakrzyczała.

Mama upomina mnie, że nie powinnam mówić Dennisowi po imieniu, tylko zwracać się do niego „panie Kittering”, jak do wszystkich dorosłych. Ale on śmieje się ze mnie, kiedy tak go nazywam, więc w cztery oczy mówię mu po imieniu, a mamie opowiadam o panu Kitteringu.

W lampie kończy się już nafta, więc zaraz ją zgaszę i pójdę spać. Boję się, że przez ten płonący statek przyśnią mi się koszmary, ale kiedy się obudzę, cała w strachu, to przynajmniej zobaczę, jak mój pokój wypełnia się światłem, i będę wiedziała, że jestem bezpieczna.

Rozdział piąty

Palce Giny muskały jego skórę. Clay leżał w swoim łóżku i czuł ciepło jej ciała tuż obok. Wstrzymał oddech, kiedy kobieca dłoń wsunęła się pod kołdrę i spoczęła na jego piersi, aby zaraz powędrować niżej. I jeszcze niżej. Drażniła się z nim. To sen, powtarzał sobie. To nie moja wina, bo przecież to tylko sen. Gina uśmiechnęła się do niego, błyskając pięknymi białymi zębami, a potem odrzuciła kołdrę na bok i pochyliła głowę ku miejscu, gdzie pragnął poczuć jej wargi, jej język. Czekał na to, lecz nagle coś wyrwało go ze snu; coś zimnego i wilgotnego dotknęło jego ramienia. Otworzył oczy. Przy łóżku stał Sasza i trącał go nosem. Clay jęknął i obrócił się na plecy.

Nie znosił weekendów, bo nie miał żadnego powodu, żeby wyjść z domu, pojechać do Duck i zatracić się w pracy. W tygodniu zjawiał się w pracowni z samego rana i zostawał do późna. Nie chodziło mu wtedy po głowie zbyt wiele ciężkich myśli. Weekendów się obawiał. Przy domu latarnika oczywiście też zawsze było mnóstwo roboty, ale w samotnej pracy miał stanowczo za dużo czasu na myślenie. Niekiedy umawiał się w weekend ze swoim starym kumplem Kennym Gallo i szli razem ponurkować. Dzisiaj Kenny musiał jednak pracować, więc Clay postanowił, że zabierze się do wymiany przegniłej kłapy zbiornika na deszczówkę obok domu od południa. Zajmie mu to pewnie cały dzień: weźmie walkmana i włączy na słuchawkach jakiś jazz. Terri nie znosiła jazzu, więc muzyka nie będzie mu się z nią kojarzyć. Tak, to dobry plan. Każdego dnia, zanim wstał z łóżka, Clay planował cały dzień, aby dokładnie wypełnić sobie każdą minutę, a dzięki temu ustrzec się przed myślami o Terri i wyrzutami sumienia, które im towarzyszyły. Może później, kiedy kłapa zbiornika będzie już gotowa, a Kenny wróci ze swojej pracy, spotkają się w Shorty's Grill, posiedzą i pogadają trochę. Ostatnio Clay chętnie widywał się z Kennym, który nie miał wobec niego żadnych oczekiwań i wystarczyła mu rozmowa o wynikach ostatniego meczu.

Sasza znów trącił go w ramię. Clay poklepał dłonią posłanie, pozwalając mu wskoczyć na łóżko. To był jego kolejny wyrzut sumienia. Biedny Sasza. Na pewno tęsknił za dawnymi czasami, gdy on i Kawka, suka Terri, byli ciągle w ruchu, wykonywali mnóstwo trudnych, ale satysfakcjonujących zadań, za które dostawali nagrody, a świat kręcił się wokół nich. Clay i Terri mieszkali wtedy w Manteo, gdzie przy domu mieli olbrzymi kawał lasu, a na podwórku mnóstwo przeróżnych gratów. Clay zwoził do lasu za domem to, co ludzie wyrzucali: stare sprzęty, wielkie kawały betonu, kozły do piłowania drewna, na których kładł wąskie deski. Raz trafił się nawet porzucony, totalnie skasowany ford mustang. Na tak przygotowanym terenie Clay tresował psy do pracy poszukiwawczo-ratowniczej. Saszę i Kawkę oraz inne psy, które do niego przywożono. A przywożono je, bo był najlepszy. Przynajmniej kiedyś. Czasami tęsknił za Kawką niemalże tak samo jak za Terri. Była to mieszanka labradora z owczarkiem i niekwestionowana mistrzyni tropienia – Clay nigdy nie pracował z psem o tak czułych zmysłach. Przy Terri trochę się marnowała, bo jej pani była z zawodu dekoratorem wnętrz i tak

naprawdę psy jej nie bawiły. Clay nie lubił o tym myśleć. Nie zwracał uwagi na jej brak zainteresowania pracą poszukiwawczo-ratowniczą, bo nie chciał tego widzieć.

Dom w Manteo wciąż należał do niego, chociaż młody wdowiec nie mieszkał tam właściwie od końca listopada, czyli prawie od samej śmierci żony. Próbował, ale samotność była nie do zniesienia, i szybko wyprowadził się do siostry, która wynajmowała mały domek w Kill Devil Hills i miała wolny pokój. Potem Lacey zorganizowała im dom latarnika. W takich sprawach można było się na nią zdać całkowicie. Umiała pomóc każdemu, kto borykał się z jakimś problemem – każdemu, tylko nie sobie. Ten jeden raz Clay cieszył się, że jego siostra wzięła na siebie rolę dobrej samarytanki.

Tak więc stary dom w Manteo stał pusty. Clay mógłby go wynająć, gdyby znalazł lokatora, któremu nie przeszkadza złom na podwórku, ale nie mógł się zebrać, żeby ogarnąć i odnowić wnętrze. Zawsze tryskał energią, miał silną potrzebę bycia w ciągłym ruchu, ale teraz nic mu się nie chciało. Wiedział, że to niedobrze. Problem siedział w jego głowie i w sercu. Tylko że to była jedna z wielu rzeczy, o których wolał nie myśleć.

Dziwnie było mieszkać z Lacey. Podobnie się czuł w dzieciństwie, gdy mieszkał z mamą. A teraz znów to samo: głodnych nakarmić, biednych przydziać. Czy takie rzeczy się dziedziczy? Aż strach człowieka bierze. Poza tym Lacey zawsze – zawsze – miała dla niego coś do jedzenia. On zaglądał do spiżarki i widział puste półki, a ona potrafiła znaleźć tam coś smacznego. Troszczyła się o niego, a on pozwalał otoczyć się opieką. Jego siostra. Jego młodsza siostrzyczka.

Z korytarza dobiegła stłumiona rozmowa. Jeden głos należał do Lacey, drugi, niższy i głębszy, do kobiety, która już, już miała zrobić mu dobrze, tylko Sasza wszystko zepsuł. I teraz Clay wiedział, że przy śniadaniu nie będzie umiał spojrzeć jej w oczy. To był sen, Terri, pomyślał. Nie miałem na to żadnego wpływu.

Postanowił poczekać jeszcze trochę ze wstawaniem. Może Gina zdąży już wyjść, a on nie będzie musiał siedzieć nad miską wystygłych płatków i patrzeć na jej długie włosy, ciemne oczy i leciutko spiczasty podbródek.

Tymczasem okazało się, że Sasza nie zamierza współpracować ze swoim panem. Zeskoczył z łóżka i pisał pod drzwiami, na których odbijały się zielone i niebieskie refleksy z okiennego witraża. Piękne brązowe oczy spoglądały na Claya błagalnie. Nie było wyjścia. Musiał wstać i wypuścić psa.

– Moment – powiedział, narzucając ubranie. Sasza usiadł pod progiem i cierpliwie czekał, a jego ogon z głośnym łomotem obijał się o wysłużone deski podłogowe.

Clay skorzystał z toalety i umył zęby, a potem zeszli razem na dół.

W kuchni pachniało dobrą kawą i domowymi goframi. Czuć też było drożdżowy aromat wyrobionego, rosnącego ciasta na chleb. Clay wypatrzył na blacie miskę przykrytą ściereczką do naczyń. Lacey co drugi tydzień piekła razowy chleb, tak samo jak kiedyś ich mama. Teraz siedziała przy stole, a obok jej talerza stała dymiąca gofrownica. Gina zajęła krzesło naprzeciwko.

– Gofry z jagodami. – Lacey spojrzała na brata. Wiedział, że wstała z samego rana, żeby zebrać jagody rosnące na skraju lasu i zagnieść ciasto na chleb.

Gina też zerknęła na Claya.

– Pyszne – dodała, wyciągając dłoń po butelkę z syropem, tę samą szczupłą dłoń, którą w nocy czuł na sobie. Obok jej nakrycia leżała otwarta książka telefoniczna, trzymała właśnie palec drugiej dłoni na żółtej stronie. Miała pod ręką słuchawkę bezprzewodowego telefonu, a na szyi –

swój duży, ciężki aparat fotograficzny.

Skinąwszy im w przelocie głową, Clay wyszedł z Saszą na zewnątrz. Stał na werandzie, oddychając głęboko. Powietrze, pomimo wczesnej pory, było już mocno nagrzane. Pies pobiegł do lasu i szybko wrócił: przeciął piaszczyste podwórko, jednym dzikim susem przesadził wszystkie stopnie werandy i wyhamował tuż pod zewnętrznymi drzwiami z siatki. Tam usiadł i spojrzał na Claya; wiedział, że pan wchodzi do kuchni jako pierwszy. Zasady domowej hierarchii opanował do perfekcji.

Lacey zadbała już o to, żeby miał pełną miskę, więc z apetytem zabrał się do jedzenia.

– Pierwszy raz widzę psa z takim apetytem – zaśmiała się Gina.

– Ma pani psa? – zapytał Clay, nalewając sobie kawy. Usiadł naprzeciwko niej przy stole i wyciągnął rękę, aby otworzyć gofrownicę, ale najpierw obejrzał się na siostrę. – Upięły się już?

– Poczekaj, aż przestanie lecieć para. – Lacey postawiła przed nim talerz i też opadła na krzesło.

– Miałam psa w dzieciństwie – odparła Gina. – Teraz nie mam. Pracuję do późna, więc tylko by się męczył.

Clay otworzył gofrownicę i wyjął widelcem gofra, gruzłowatego od jagód.

– Czego pani szuka w książce telefonicznej? – zapytał.

– Pokoju do wynajęcia. Dzwoniłam już w dwa miejsca i nic. Teraz spróbuję tutaj... – Zajrzała do książki. – Suiters Inn.

– Tam lepiej nie – ostrzegł ją Clay.

– To ten hotelik niedaleko Shorty's Grill? – zainteresowała się Lacey, a gdy przytaknął, przestrzegła: – Tam jest trochę obskurnie, Gina. Wybierz coś innego.

– Mam ograniczone środki – odparła, nie zdejmując palca z żółtej kartki. – Muszę zadowolić się nieco niższym standardem niż Ritz.

– A gdzie konkretnie chciałaby pani mieszkać? – zapytał Clay.

Wzruszyła ramionami.

– W pobliżu Kiss River. Ale w zasadzie wystarczy północna część Outer Banks.

– Może uda się znaleźć jakiś mały dom – powiedział. – Może ktoś w ostatniej chwili odwołał rezerwację. To się zdarza. Wtedy miałyby pani kwatery na tydzień albo dwa. Jak długo pani tutaj zostanie?

– Tydzień lub dwa wystarczą.

– Dzwonimy do Noli. – Lacey pochyliła się nad stołem i sięgnęła po telefon.

– Kto to? – zapytała Gina.

– Przyjaciółka rodziny – wyjaśniła, wystukując numer. – I agentka sprzedaży nieruchomości. Ona będzie wiedziała, czy da się znaleźć coś wolnego.

Wybrała numer, a Gina i Clay zajęli się jedzeniem, starając się robić jak najmniej hałasu. Lacey przysunęła sobie książkę telefoniczną i zapisała coś na marginesie, ale z rozmowy wynikało, że raczej nic z tego nie będzie. W końcu odłożyła słuchawkę i spojrzała na Ginę, marszcząc swój piegowaty nos.

– Nola znalazła tylko jeden wolny dom. – Zerknęła na swoją notatkę. – W Duck, na brzegu cieśniny. Tysiąc sześćset dolarów za tydzień.

Gina potrząsnęła głową.

– Nie stać mnie – powiedziała. – Ale może znajdę jakiś wolny pokój po drugiej stronie tego długiego mostu. To w sumie niedaleko i...

– Niech pani zostanie u nas. – Clay wszedł jej w słowo i sam się dziwił swojej propozycji. Nie musiał patrzeć na Lacey, aby wiedzieć, że ją także zaskoczył, ale był pewien, że siostra się cieszy. Pewnie myślała o tym samym, ale milczała w obawie przed reakcją brata. – Za sto dolarów tygodniowo może pani mieszkać w tym pokoju, w którym dziś pani spała.

– To... To... – zająknęła się Gina. – To bardzo miło z waszej strony. – Odwróciła wzrok na Lacey. – Jesteście pewni? Może chcecie to przedyskutować w cztery oczy albo...

– Jesteśmy pewni – przerwała jej Lacey.

– Ale nie możecie wziąć ode mnie tak mało – oznajmiła Gina. – Stać mnie...

– To symboliczna kwota – wyjaśnił Clay. – Wpłacimy ją na fundusz renowacji domu latarnika.

Miał świadomość, że jego zachowanie nie jest racjonalne, ale z drugiej strony już od bardzo dawna nie czuł się człowiekiem racjonalnym.

– Bardzo wam dziękuję – powiedziała Gina, unosząc do ust szklanekę z sokiem pomarańczowym. Dłoń lekko jej drżała. Wypiła mały łyk i odstawiła szklanekę na stół. – To dla mnie ogromne ułatwienie. Jestem wam naprawdę bardzo wdzięczna.

– Nie ma sprawy – mruknął Clay, wyjmując kolejnego gofra. Zaproponował go Ginie, ale podziękowała, więc położył go na swoim talerzu, a do gofrownicy włożył następną porcję ciasta.

– Czy może być czek z mojego banku w Bellingham? – zapytała Gina. – Mogę też wypłacić pieniądze z bankomatu i...

– Wystarczy czek – powiedział Clay.

Gina odsunęła się nieco od stołu. Skończyła już śniadanie, ale nie chciała kończyć rozmowy.

– Chciałabym zadzwonić dzisiaj do waszego ojca i sprawdzić, czy dałoby się z nim porozmawiać o wydobyciu soczewki z oceanu. – Spojrzała najpierw na Claya, a potem na Lacey. – Minęło już dziesięć lat, prawda? Może on i inni ludzie, którzy tak się temu sprzeciwiali, trochę już od tamtej pory odpuścili.

– Nie znasz naszego ojca. – Clay zaśmiał się, ale zabrzmiało to niezbyt szczerze. – On nie odpuszcza.

– Przyganiał kocioł garnkowi – wtrąciła Lacey. – Jesteś dokładnie taki sam.

Musiał przyznać jej rację. Ona była w każdym calu podobna do ich matki, on natomiast był skórą zdartą z Aleca O’Neilla. Do tego stopnia przypominali swoich rodziców, że gdy przed kilkoma tygodniami jeden z miejscowych zobaczył ich razem w sklepie spożywczym, myślał, że to Alec i Annie. Nie od razu dał się przekonać, jak jest naprawdę. Clay niechętnie to przyznawał, ale w rzeczywistości był równie uparty jak ojciec. Odziedziczył po nim żylaste ciało, a wraz z nim także pokłady zakumulowanej, nerwowej energii.

– Tata ma dzisiaj po południu wolne – powiedziała Lacey. – Najlepiej pojedź do niego do domu i pogadaj z nim.

– Tylko najpierw zadzwoń – dodał Clay.

– Może lepiej nie – sprzeciwiła się jego siostra, sama nie do końca przekonana. – Wtedy łatwiej będzie mu ją zbyć.

– Tak samo łatwo jak w drzwiach własnego domu – upierał się Clay, wiedząc, że ojciec zachowa się kulturalnie, ale raczej wykręci się od rozmowy o latarni w Kiss River.

Gina przysłuchiwała się tej wymianie zdań, przenosząc wzrok z jednego na drugie, jak widz na meczu ping-ponga.

– W takim razie my do niego zadzwonimy – oznajmiła Lacey.

– Nie, nie. – Gina uniosła rękę. – Już i tak dużo dla mnie zrobiliście. Pozwólcie, że sama się tym zajmę, w porządku? – Spojrzała im w oczy, a oni skinęli głowami. – Podacie mi jego adres

i numer? – poprosiła.

Lacey wstała i wyjęła z szuflady notes. Usiadłszy z powrotem na swoim krześle, zanotowała adres na kartce.

– Pojechałabym z tobą – powiedziała – ale dzisiaj mam lekcje z dwoma dziećmi, trzy godziny dyżuru w telefonie zaufania, a o wpół do trzeciej oddaję krew. No i już nie wspomnę, że trzeba upiec chleb.

Gina zrobiła wielkie oczy.

– Myślałam, że dzisiaj masz dzień wolny?

Lacey machnęła ręką od niechcenia.

– Dla mnie to sama przyjemność.

– A gdzie pracujesz nad witrażami? – zapytała Gina.

– Mam w Kill Devil Hills pracownię, na spółkę z jeszcze kimś, ale trochę robię też tutaj, na przeszklonej werandzie z tyłu domu. – Podsunęła jej notes. – Tata mieszka w Sanderling, nad cieśniną. – I dodała, wskazując aparat na szyi Giny: – Kiedyś na okrągło tylko fotografował tę latarnię. Ma setki zdjęć, jeśli go poprosisz, chętnie ci je pokaże.

– A co jest na tych zdjęciach? – Gina ożywiła się, zaintrygowana.

– Wszystko. Wtedy naprawdę nie robił nic innego. Doprowadzał mnie do szau. – Lacey aż się wzdrygnęła na samo wspomnienie.

– Wciąż jest pasjonatem fotografii – zauważył Clay.

– Tak, ale teraz robi zdjęcia swoim dzieciom – odparła Lacey. – I to jest normalne.

– Dzieciom? – powtórzyła Gina. – To znaczy wam?

– Nie. Tata ma drugą żonę. – Lacey znów zerwała się od stołu i sięgnęła po swoją torebkę leżącą na kuchennym blacie, tuż przy drzwiach. Clay domyślił się, że chce wyjąć z niej portfel, w którym miała zdjęcia Jacka i Maggie.

– Zaczął od nowa – powiedziała, pokazując Ginie dwa małe portrety. – To jest Jack. On ma dziesięć lat, a Maggie osiem.

– Jakie śliczne dzieci! – Giny obejrzała je z zaciekawieniem, w którym nie było nic udawanego. Typowo kobieca umiejętność, Clay wiedział o tym dobrze. Gina uniosła wzrok, spojrzała na niego. – Oboje podobni do ciebie, Clay.

Clay i Lacey parsknęli śmiechem.

– Raczej do Olivii, naszej macochy – odparła Lacey. – Jack nawet nie jest synem taty.

A ty nie jesteś jego córką, dodał Clay w myślach. Lacey niechętnie zwierzała się ludziom z tego drobnego szczegółu. Domyślał się dlaczego: to rzucało cień na pamięć ich matki.

– Jack to syn Olivii z pierwszego małżeństwa – tłumaczyła jego siostra. – Tata go zaadoptował.

– Aha. – Gina dotknęła zdjęć opuszkami palców. – Często się z nimi widujecie?

– Cały czas robimy coś razem – odparła Lacey. – To urocze dzieciaki.

Clay poruszył się niespokojnie. Nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę o małżeństwach ani o związkach. Wstał od stołu, a Sasza błyskawicznie podskoczył do drzwi.

– Przejdę się z nim – powiedział. – A potem popracuję przy zbiorniku na deszczówkę. Gino, gdybyś czegoś potrzebowała, wołaj.

Rozdział szósty

Alec O'Neill zasłonił okno w sypialni. Zalana blaskiem południowego słońca cieśnina zniknęła za roletą. Zapalił pięć jaśminowych świeczek, które Olivia ustawiła na komodzie. Z głośników w rogach pokoju sączył się aksamitny głos Andrei Bocellego, śpiewającego tęskną pieśń po włosku. Alec był zadowolony, że sprzęt wreszcie działa. Dziewięć lat temu, kiedy Olivia wyszła za niego, oboje sprzedali swoje domy i zamieszkali nad cieśniną, a te głośniki były popsute od zawsze. Clay naprawił je dopiero w zeszłym miesiącu, usłyszawszy od ojca, że właściwie nie wiadomo, po co w ogóle tam stoją. I teraz Alec zrozumiał, co tracili, on i Olivia. Gdyby przez te wszystkie lata Bocelli śpiewał im w sypialni, to kto wie, ile razy skończyłoby się czymś więcej niż sen?

Zapalił świeczkę w ostatnim witrażowym lampionie; komplet dostali od Lacey dobrych kilka lat temu. Chociaż był odwrócony plecami, czuł obecność swojej żony. Olivia leżała już na łóżku, całkiem naga; w drodze do sypialni zdarła z siebie ubranie. Rozbawiła go tym, nie pierwszy i nie ostatni raz. Była niecierpliwą kochanką. Chyba nigdy nie wytrzymała tak długo, żeby to Alec ją rozebrał. Dzisiaj była chętna i gotowa, a on właśnie wcale się nie spieszył i udawał, że nie może zapalić świeczki, bo lubił się z nią drażnić.

– Alec, zostaw już tę świeczkę – dobiegł go jej głos z łóżka.

– Udało się – powiedział i zgasił zapałkę.

Ile to już minęło? Dwa tygodnie? Może jeszcze więcej? Kiedy ma się dzieci, trudno побыć ze sobą tylko we dwoje. Dlatego Alec pędził do domu po porannym dyżurze w przychodni dla zwierząt, a Olivia zamieniła się na wolny dzień z koleżanką z pogotowia. Jack i Maggie byli na letnich półkoloniach, co oznaczało, że rodzice mają kilka godzin na życie intymne.

Zbliżył się, zdejmując koszulkę. Olivia leżała na wznak z rękami za głową i patrzyła mu prosto w oczy, a na jej ustach igrał lekki uśmiech. Należała do tych kobiet, które pięknieją z wiekiem. W kącikach jej oczu pojawiły się delikatne zmarszczki od śmiechu, które bardzo mu się podobały. Jej włosy miały ten sam łagodny brązowy kolor co wtedy, gdy ją poznał, chociaż teraz ten kolor brał się już z butelki. Nie przeszkadzałoby mu absolutnie, gdyby nie kryła siwizny, ale rozumiał, że Olivia, dobiegająca pięćdziesiątki matka dwójki małych dzieci, boi się wyglądać jak ich babcia. U niego siwe włosy przeważały już nad czarnymi i czasem przebiegał go dreszcz, kiedy spoglądał w lustro, bo spodziewał się po staremu zobaczyć swoją ciemną czuprynę. W głębi serca wciąż czuł się jak tamten młodszy mężczyzna. Na ogół.

Zaczął rozpinać pasek, ale Olivia wyciągnęła do niego rękę.

– Chodź tutaj – powiedziała. – Ja to zrobię.

Położył się obok niej, a ona pocałowała go, wysuwając jednocześnie koniec paska ze sprzączki – i w tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Olivia zamarła z ręką w powietrzu, a potem jęknęła i wtuliła czoło w obojczyk Aleca, śmiejąc się cicho.

– Olejmy to. – Przykrył jej dłoń swoją, na palcach dotykających guzika jego dżinsów.

Olivia przytaknęła na znak, że się zgadza, i rozpięła guzik, wsuwając palce dalej. Dzwonek odezwał się po raz kolejny.

– A jeśli chodzi o dzieci? – powiedziała, odsuwając się od męża. W jej szeroko otwartych pięknych, zielonych oczach nie było już ani śladu tego podniecenia, które płonęło tam jeszcze przed chwilą. Nagle zamieniła się w matkę. Nie była już żoną. Nie była kochanką. I nie była w stanie zignorować dzwonka do drzwi.

Alec skinął głową i usiadł na posłaniu, aby wciągnąć z powrotem koszulkę. Wiedział, że Olivia ma rację. Ich dom stał samotnie na uboczu, przy małej uliczce kończącej się tuż nad wodą. Nie było możliwości, aby ktoś przypadkowo zawędrował aż tutaj.

Pochylił się i pocałował żonę w skroń, po czym wyszedł z sypialni, zapinając po drodze pasek. Zanim zszedł do salonu, dzwonek zadzwieczył po raz kolejny. Otworzył drzwi. Na drewnianej werandzie stała nieznajoma młoda kobieta.

– Tak? – zapytał, zastanawiając się, czy ją zna. Czasami po wizycie w przychodni przywożono mu chore zwierzęta do domu i czasem nie potrafił rozpoznać właściciela poza gabinetem, ale teraz miał pewność, że tę kobietę widzi pierwszy raz w życiu. Zapamiętałby ją. Miała około trzydziestki, może trochę więcej, może trochę mniej, długie, bardzo ciemne włosy, mlecznobiałą skórę i oczy jak antracyt. Jednym słowem: takiej kobiety nie sposób zapomnieć.

– Doktor O’Neill? – zapytała. Miała na sobie granatowe szorty i rozpiętą błękitną koszulę, pod którą połyskiwała biała bluzka na ramiączka.

– Owszem.

– Nazywam się Gina Higgins. Jestem znajomą pańskich dzieci.

Ponieważ Alec już wcześniej krążył myślami wokół Jacka i Maggie, jego serce szarpnęło się nerwowo w piersi. Po chwili jednak uświadomił sobie, że chodziło o starsze latorośle.

– Claya i Lacey? – upewnił się.

Kiwnęła głową z uśmiechem.

– Od razu powinnam to powiedzieć. Zapomniałam, że ma pan też młodsze dzieci.

Alec zdawał sobie sprawę, że to nieelegancko, a wręcz niegrzecznie trzymać gościa w progu, ale nic nie wskazywało, że to coś pilnego, a jemu spieszyło się z powrotem do Olivii.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał.

– Mam pewną sprawę... Mogę wejść na moment? – Zajrzała ponad jego ramieniem do salonu. – Zjawiłam się nie w porę?

– Prawdę mówiąc, tak... – zaczął Alec, ale do pokoju weszła Olivia, ubrana w beżowe szorty i białą koszulę, więc stało się jasne, że przynajmniej na razie nie ma do czego wracać. Otworzył drzwi szerzej. – Proszę, niech pani wejdzie. – Cofnął się, aby wpuścić gościa do środka. Zauważył zielony plecak na jej ramieniu. – Olivio – powiedział. – To jest Gina Higgins. Dobrze zapamiętałem? – Zerknął na Ginę, chcąc sprawdzić swoją pamięć.

– Doskonale. – Gina wyciągnęła rękę do Olivii, która uścisnęła jej dłoń, uśmiechając się uprzejmie, jak to miała w zwyczaju.

– Gina to znajoma Lacey i Claya – wyjaśnił Alec.

– Ależ tutaj przyjemnie – westchnęła Gina, biorąc głęboki oddech i odgarniając z mokrego czoła kosmyki ciemnych włosów. – Mam popsutą klimatyzację w samochodzie.

– Proszę usiąść. – Olivia zaprosiła ją na kanapę. – Napije się pani czegoś?

Gina usiadła i zsunęła plecak z ramienia, po czym położyła go sobie na kolanach.

– Nie, dziękuję. Nie zabiorę wam dużo czasu. – Uniosła wzrok na Aleca, który wciąż stał na środku pokoju. – Lacey i Clay doradzili mi, żebym porozmawiała z panem – powiedziała. –

Mieszkam na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku i zajmuję się historią latarni morskich. Przyjechałam do Outer Banks, aby zobaczyć latarnię w Kiss River. Nie wiedziałam, że została zniszczona.

Gdy Alec usłyszał, że chodzi o latarnię, uśmiech zamarł mu na wargach. Zauważył kątem oka, że Olivia usiadła na drugim końcu kanapy. Wiedział, że nie spuszcza z niego oka, ciekawa jego reakcji. Rzadko myślał o latarni. Przed laty walczył w jej obronie, co okazało się błędem, który kosztował go zbyt wiele czasu i sił. To szaleństwo opanowało go po śmierci Annie, stając się częścią jego żałoby. „Żałoba zawsze ma w sobie coś z szaleństwa”, pocieszała go Olivia, sam jednak zdawał sobie sprawę, że zabrnął w tym za daleko.

Usiadł na miękkiej poręczy fotela w pobliżu drzwi i przyjrzał się nieznajomej. Zdziwiło go trochę, że badaczka historii świetlnych znaków nawigacyjnych nie wie o zniszczeniu latarni w Kiss River.

– Ciekawe, że nie słyszała pani o huraganie, który ją zburzył – odezwał się.

– Cóż... – uśmiechnęła się Gina. – Zajmowałam się przede wszystkim obiektami na Wybrzeżu Zachodnim. A poza tym robię to amatersko. Z zawodu jestem nauczycielką i tylko latem mam czas na swoją pasję. Przyznaję, że marnie się przygotowałam.

Widać było, że czymś się denerwuje. Siedziała przygarbiona, dłonie trzymające plecak miała mocno zaciśnięte, a uśmiech drżał jej na ustach. Alecowi zrobiło się szkoda tej kobiety.

– Mój przewodnik po latarniach morskich ma już swoje lata, ale to mój ulubiony – ciągnęła. – Więc zjawiłam się tutaj z przekonaniem, że zastanę wszystko zgodne z opisem.

– A rzeczywistość okazała się okrutna – zauważyła Olivia.

– W tej okolicy jest jeszcze kilka innych latarni, które może pani zwiedzić – podsunął Alec.

Gina szybko pokręciła głową.

– Uważam, że zabytki należy chronić – powiedziała. – I bardzo mnie zmartwiło, że po zniszczeniu latarni, jakby nie dość złego ją spotkało, nikt nie próbował wydobyć z oceanu cennej soczewki Fresnela.

– Ta dyskusja jest już od dawna zamknięta – odparł Alec, marząc o tym, żeby do niej nie powracać.

– Wiem. – Gina przejechała dłońmi po plecaku. – I właśnie chciałam się przekonać, czy mogę coś zdziałać w tej sprawie.

– W jakiej sprawie? – wtrąciła Olivia. – Wydobycia soczewki?

Gina przytaknęła.

– Chciałabym ją zobaczyć w jakimś muzeum albo na wystawie.

Alec nie mógł zrozumieć, z jakiej racji mieszkankę Wybrzeża Północno-Zachodniego obchodzą losy latarni z Kiss River, i drażniło go, że ta kobieta wtrąca się w sprawy, które jej nie dotyczą. Z drugiej jednak strony jako badacz historii latarni morskich, nieważne: amatorka czy profesjonalistka, musiała wiedzieć, że ta soczewka to wielka rzadkość. W całej Karolinie Północnej były już tylko dwie takie, a wartość każdej szacowano na ponad milion dolarów. Nagle nabrał podejrzeń: może pobudki pani Higgins były zgoła inne?

Skrzyżował ramiona na piersi.

– Po pierwsze, musi pani sobie zdać sprawę, że jest mało prawdopodobne, aby ta soczewka zachowała się w całości.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparła.

– A po drugie, niezależnie od tego, kto ją wydobędzie, pozostanie ona własnością państwową. Pani nie dostanie za to żadnych pieniędzy.

Spojrzała na niego ze smutkiem; zrozumiał, że ją obraził.

– Nie chodzi mi o pieniądze – odpowiedziała. – Chcę, aby tę soczewkę wystawiono na widok publiczny, aby można było ją podziwiać. Miałam nadzieję, że mi pan w tym pomoże.

– Trafiała pani do niewłaściwej osoby. – Alec potrząsnął głową. Znów czuł na sobie baczny wzrok żony, milczącego, lecz bynajmniej nie obojętnego ani też bezstronnego obserwatora.

– Wiem od Lacey i Claya, że był pan kiedyś przewodniczącym komitetu przyjaciół latarni w Kiss River – ciągnęła Gina.

– To prawda, ale upłynęło sporo czasu i dziś mam inne priorytety. Chcę już tylko, żeby wszystko zostało tak, jak jest.

Do salonu ukradkiem wsunęła się Sylvie, najstarsza kotka z trójki, którą mieli w domu. Wskoczyła Olivii na kolana. Gina wyciągnęła rękę i podrapała zwierzątko po łebku.

– Czy w tamtym Komitecie byli razem z panem jacyś ludzie, którym wciąż może zależeć na wydobyciu soczewki z oceanu? – zapytała, wpatrując się w kotkę.

Alec westchnął. Marzył o tym, żeby już sobie poszła. Chciał wrócić z żoną do łóżka. Znał jednak kilku takich zapaleńców, więc zgodnie z zasadami fair play powinien podać Ginie Higgins ich nazwiska. Miała zresztą tyle determinacji w oczach, że na pewno sama by do nich dotarła, nawet bez jego pomocy.

– Nola Dillard – powiedział.

– Aha. Agentka nieruchomości, tak? – Gina wyjęła z plecaka notes i długopis, żeby zapisać nazwisko.

– Tak.

– Gdzie ją znajdę?

– Prowadzi własną firmę – odezwała się Olivia. – W Kitty Hawk, przy autostradzie Croatan Highway, w pobliżu słupka milowego numer cztery.

– Może pani powtórzyć? – poprosiła Gina.

Olivia przeliterowała słowo „Croatan”, potoczną nazwę autostrady numer dwanaście, głównej arterii komunikacyjnej regionu Outer Banks. Rzuciło się w oczy, że Gina Higgins nie pochodzi stąd.

– Ktoś jeszcze? – Uniosła głowę, spoglądając na Aleca po drugiej stronie salonu.

– Walter Liscott i Brian Cass – odparł. – Starsi panowie, którzy przesiadują głównie w barze Shorty’s Grill i grają w szachy.

– Ten bar znajdzie pani też w Kitty Hawk, przy drodze nad oceanem – wtrąciła Olivia.

– Ale oni są już raczej za starzy na walkę – dodał Alec, choć doskonale wiedział, że obaj chętnie przyłożą rękę do wydobywania soczewki, aby w ten sposób po raz ostatni uhonorować latarnię w Kiss River.

– Porozmawiam z nimi. – Gina zapisała nazwiska w notesie.

– W naszym Komitecie była jeszcze Sondra Clarke – powiedział O’Neill. – Ale ona wyszła za mąż i wyprowadziła się stąd już kilka lat temu.

Gwoli ścisłości w Komitecie przyjaciół latarni działał jeszcze ktoś, mianowicie Paul Macelli, pierwszy mąż Olivii, ale zataił przed nimi swoje pobudki. Poza tym mieszkał teraz w Marylandzie.

Gina skinęła głową.

– Dziękuję panu za pomoc.

– Proszę posłuchać... – Alec obrócił się lekko na poręcz fotela. – Uważam, że to strata czasu, przykro mi. Lepiej zaangażować się w coś innego.

– To jest dla mnie ważne – odparła. W jej głosie było coś takiego, że nagle zobaczył siebie sprzed lat: gorliwego obrońcę latarni. Ciekawe, pomyślał, czy pani Higgins też ma na uwadze coś więcej niż tylko cegły i szkło.

– Skąd pani zna Claya i Lacey? – zapytała Olivia, która usiadła wygodniej, zakładając nogi pod siebie.

– Spotkałam Claya, kiedy oglądałam latarnię. Zaczęliśmy rozmawiać, a potem oboje, razem z Lacey, zaproponowali, że mogę wynająć na trochę pokój w domu latarnika. To bardzo uprzejme z ich strony.

Alec był niemal stuprocentowo pewien, że to Lacey ją zaprosiła. Jego córka zawsze była skłonna przygarnąć zabłąkanego wędrowca, na którego Clay najprawdopodobniej w ogóle by nie zwrócił uwagi. W styczniu, gdy jego dzieci zamieszkały w domu latarnika, nie był zachwycony. Od blisko dziesięciu lat nie oglądał tamtego miejsca na oczy i kiedy pierwszy raz miał ich tam odwiedzić, jechał do Kiss River ze ściśniętym żołądkiem. Jego zdaniem tamten sztorm powinien pochłonąć cały cypel, na którym stała latarnia.

– Jak długo pani tutaj zostanie? – zainteresowała się Olivia.

– Jeszcze nie wiem. Co najmniej tydzień. Może dłużej.

– Wie pani, że w poniedziałek Lacey ma urodziny?

Alec domyślił się od razu, że to nie była tylko informacja dla Giny, ale też przypomnienie dla niego. Niepotrzebne zresztą. Zapomniał o urodzinach Lacey tylko raz, dawno temu. I nie zamierzał powtarzać tego błędu.

– Nie wiedziałam – powiedziała Gina. – Dziękuję za informację. – Wstała z kanapy. O’Neillowie też wstali. – I za pomoc. – Skinęła głową Alecowi. – To bardzo miło z pana strony, zwłaszcza że wolałby pan, abym nie zajmowała się tą sprawą.

Wzruszył tylko ramionami i otworzył drzwi.

– Wie pani pewnie, że są takie miejsca, gdzie można zobaczyć soczewki pierwszej klasy z innych latarni morskich? – zapytał.

– Tak, ale tu chodzi o soczewkę z Kiss River – odparła z uśmiechem. Tuż za progiem nagle przystanęła, bo jej wzrok przyciągnęło owalne witrażowe okienko po lewej stronie drzwi.

– Och, to na pewno dzieło Lacey. – Musnęła palcami sylwetkę damy spacerującej z chartem.

– Akurat nie – powiedział Alec. – To praca mojej pierwszej żony.

Dziesięć takich okienek wisiało w ich dawnym domu. Kiedy go sprzedał, aby zamieszkać z Olivią, to właśnie ona namówiła go, żeby zostawił dla siebie coś stworzonego ręką Annie. „Jeśli tego nie zrobisz, to kiedyś będziesz żałował”, przekonywała. Alec zgodził się na jedno z owalnych okienek i pozwolił jej wybrać, które zabiorą ze sobą do nowego domu. Wtedy było mu właściwie wszystko jedno, ale po latach cieszył się szczerze, że Olivia umiała przewidzieć, że będzie potrzebował tej drobnej pamiątki po dobrych chwilach przeżytych wspólnie z Annie.

– Aha – mruknęła Gina. – To już wiem, skąd u Lacey taki talent. Dziękuję jeszcze raz. – Skinęła mu głową, a potem spojrzała na stojącą za nim Olivię. – Było mi bardzo miło państwa poznać.

– Nam panią też – odparła Olivia.

Po zamknięciu drzwi Alec podszedł do żony, która usiadła z powrotem na kanapie. Nachylił się i pocałował ją, ale nastrój prysł, i to już dawno. Bocelli przestał śpiewać, a Olivia, wychodząc z sypialni, najprawdopodobniej zgasiła świece. Odwzajemniła pocałunek, ale potem odchyliła się w tył i spojrzała na niego uważnie.

– Są fundusze na wydobycie tej soczewki – powiedziała. – Wiesz, że są.

– Olivio... – Alec potrząsnął głową.

– Mógłbyś jej pomóc – ciągnęła. – Nikt nie zna historii tej latarni lepiej od ciebie.

– Nie – uciął. Wyprostował się i odsunął od niej. – I proszę, nie wracajmy do tego.

Pochylił się jeszcze raz i musnął ustami jej czoło, po czym odwrócił się i poszedł do kuchni. O ile w chwili, gdy otworzył drzwi tej nieznajomej kobiecie, nie miał do niej wielkich pretensji, to teraz wyraźnie czuł, że za nią nie przepada. Zepsuła mu popołudnie.

Rozdział siódmy

Sobota, 14 marca 1942

Przez całe przedpołudnie piekłyśmy z mamą ciasta. Często tak robimy w weekendy. Było bardzo zimno jak na połowę marca i cieszyłam się, że piekarnik ogrzewa cały dom. Mam już serdecznie dosyć chodzenia do wygódki w taki ziąb! Ta zima ciągnie się jak żadna wcześniej. Niech tylko nadejdzie pierwszy ciepły dzień, a wtedy zrzucę buty i nie włożę ich z powrotem aż do jesieni.

Z mamą nie zamieniłyśmy praktycznie ani słowa. Strasznie trudno mi wytrzymać w jej towarzystwie. Między nami jest jakiś mur. Kiedy chciałabym ją uściskać i powiedzieć, że bardzo ją kocham, mówię jakieś paskudne rzeczy. Albo w ogóle nic nie mówię. Kiedyś przy pieczeniu ciasta albo przy sprzątanii śpiewałyśmy razem piosenki. Teraz nawet sobie tego nie wyobrażam. I nie chodzi o to, że jest wojna, nic z tych rzeczy. To przeze mnie. Czuję się tak, jakbym przy niej musiała pilnować się na każdym kroku. Nie mogę okazać słabości. Nie wiem dlaczego. Chyba dlatego, że mam już prawie piętnaście lat, bo innego powodu nie widzę. Kiedyś w sklepie pana Tragera słyszałam, jak mama skarżyła się na mnie jednej znajomej. Myślała, że nie słyszę. I ta znajoma powiedziała jej: „Taki wiek, Mary. To nastolatka, wyrośnie z tego”. Okropnie się czułam, wrzucona do jednego worka ze wszystkimi nastolatkami świata, ale chyba miała rację. Chociaż nie wyobrażam sobie, że z tego wyrosnę. Czasami chciałabym, żeby mama mnie przytuliła, ale kiedy próbuje to zrobić, ja sztywnieję na całym ciele, więc czy można ją winić za to, że przestała próbować? I ja też nic na to nie poradzę. Słyszę od niej tylko: „Tego nie rób, tamtego nie rób”. Poza tym nie mamy o czym ze sobą rozmawiać.

Cóż, w każdym razie upiekłyśmy cztery placki i dziesięć tuzinów ciastek. W taki ziąb nie chciało mi się wychodzić z nagrzonej kuchni, ale pomyślałam, że albo ugrzęznę w domu z mamą, albo zawiozę placki chłopcom ze Straży Wybrzeża. Szybko się zdecydowałam! Załadowałam wypieki na drewniany wózek ze składzika obok wygódki, wózek podpięłam do swojego roweru i w drogę, na Pole Road. U nas nigdzie nie ma utwardzonych szos. Nawet ta Pole Road, po której robotnicy z elektrowni transportują sprzęt i części, to tylko piach, koleiny i pełno wariackich zakrętów, ale ze wszystkich dróg ta jest najrówniejsza, najlepsza do jazdy rowerem i przewożenia kruchych rzeczy na wózku. Gdybym szła na piechotę, to wybrałabym drogę plażą, chociaż w tym tygodniu ostrzegali nas, żebyśmy tamtędy nie chodzili, bo morze zaczęło wyrzucać ciała tych, którzy zginęli na tamtym zatopionym tankowcu. Samochody też najczęściej jeżdżą plażą, powoli i po śladach, ale co jakiś czas i tak ktoś się zakopie i trzeba mu pomóc. Odkąd atakują nas U-Booty, plażę patrolują wodołazy (tak nazywamy chłopców ze Straży Wybrzeża). Wypatrują statków w niebezpieczeństwie i mają oko na szpiegów oraz niemieckie okręty podwodne, które wysadzają tutaj swoich ludzi. Kierowca każdego samochodu musi podać hasło, żeby przejechać, a wodołaz na służbie przekazuje mu następnie, o które

zapytają go przy kolejnej kontroli pięć kilometrów dalej, i tak ludzie tędy jeżdżą. Ja też chciałam poznać to hasło, żeby je podawać, kiedy chodzę plażą, ale wszyscy mnie znają i mówią tylko: „Idź śmiało, Bess”.

Jechałam bardzo ostrożnie po drodze pełnej rowów i wystających korzeni, bo chciałam dowieźć ciasta w całości. Było tak zimno, że dla osłony przed wiatrem owinęłam twarz szalikiem. Wiedziałam jednak, że kiedy tylko dotrę na miejsce, nie będę żałować, że pojechałam.

W posterunku Straży Wybrzeża była mniej więcej połowa chłopców, reszta poszła na patrol nad ocean, trenowali z psami albo mieli inne zajęcia. Kiedy weszłam i zdjęłam palto, wszystkie głowy odwróciły się w moją stronę, a na twarzach rozbłysły uśmiechy, i to nie tylko dlatego, że przywiozłam ze sobą mnóstwo słodkości. To dla mnie nowość, że chłopcy się za mną oglądają. Przy nich zupełnie inaczej odczuwam swoje ciało. Wcale nie mam dużych piersi, ale oni i tak im się przyglądają, chociaż wcale ich nie podkreślam. (Nawet nie zdjęłam jeszcze swetra, litości!). Wyraźnie czułam, jak pod luźnymi ogrodniczkami poruszają się moje biodra i jak długie są moje nogi. Mam już prawie metr i siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Jestem najwyższą dziewczyną w całej szkole, chociaż to niewiele znaczy, bo jest nas tylko trzynaście i najmłodsza ma siedem lat, a najstarsza siedemnaście. Przegoniłam też wzrostem większość chłopców. To dlatego ci starsi (w sumie to już mężczyźni) ze Straży Wybrzeża tak mi się podobają. Są na ogół wyżsi ode mnie, niektórzy nawet sporo. Włosy mam brązowe i jeszcze w zeszłym roku zawsze zaplatałam sobie warkocze, ale ostatnio noszę rozpuszczone. Są długie i falujące; widzę, że chłopcom podoba się taka fryzura.

Kiedy dotarłam na posterunek, kilku podeszło do mnie i zaczęliśmy rozmawiać. Zdarzają się tacy, którzy tak dziwnie wymawiają słowa, że dopiero po chwili ich rozumiem. Tak samo było w szkole w zeszłym roku, kiedy pani Cady kazała nam czytać Szekspira na głos. Najbardziej lubię akcent bostoński. Teddy Pearson, który pochodzi spod Bostonu, powiedział raz, że „Hitlehowi czebo dobha cie do skóry”. Dopiero po powrocie do domu zrozumiałam to zdanie i tak mnie to rozbawiło, że aż się uśmiełam. Teraz wszyscy mówili jeden przez drugiego: pytali, jak się mam, jakie przywiozłam ciasto, a do tego każdy chciał wiedzieć, czy umówimy się dzisiaj wieczorem. Myślałby kto, że sto lat nie widzieli dziewczyny! Gdyby mama wiedziała, jak zachowują się chłopcy ze Straży Wybrzeża, kiedy przychodzę bez rodziców, już nigdy nie puściłaby mnie tam samej.

Z Bostonu pochodzi też Jimmy Brown, który podoba mi się najbardziej z całej załogi; to on zawsze patroluje plażę na odcinku Kiss River. Dzisiaj nie zwracał na mnie uwagi, jak zwykle zresztą. Pewnie dlatego mi się tak podoba – niełatwa sztuka! Nie ślinił się do mnie ani do tych ciastek, które przywiozłam. Siedział w kącie i strugał kawałek drewna wyrzuconego przez ocean. Co jakiś czas unosił te swoje rozmarzone błękitne oczy i uśmiechał się lekko. Co prawda raczej nie do mnie, po prostu bawiły go wygłupy chłopaków. Tak więc pogawędziłam sobie ze wszystkimi, a także z komendantem Hewitem, który wyszedł ze swojego gabinetu, żeby zobaczyć, skąd taki harmider. Cały czas miałam jednak oko na Jimmy’ego Browna (on wygląda zupełnie jak Sinatra!).

Chciałabym robić to, co oni. Szkoda, że do Straży Wybrzeża nie przyjmują kobiet. Znam plażę na wylot. Byłoby wspaniale czuwać tam w nocy i wypatrywać różnych zagrożeń. Komendant Hewitt powiedział mi, że gdybym była chłopakiem, to od razu by mnie zwerbował do patrolowania plaży. Przecież niektórzy chłopcy z jego jednostki pierwszy raz w życiu zobaczyli ocean, a co dopiero mówić o tym, żeby znali plażę i okoliczne lasy! Kiedy o tym wspomniałam w domu, mama mnie wyśmiała, a przecież obito mi się o uszy, że kiedyś pływała z załogami

brzegowej stacji ratowniczej. Ona twierdzi, że ludzie plotą, co im ślina na język przyniesie, ale tato zdradził mi, że to prawda, a mama się wypiera, bo nie chce, żeby coś strzeliło mi do głowy.

W drodze powrotnej spotkałam Dennisa Kitteringa. Dziwne, że właśnie tam, bo on zazwyczaj spaceruje po plaży, a nie po Pole Road. Podobno po prostu chciał się trochę rozejrzeć. Gdy powiedziałam mu, gdzie byłam, zapytał: „Czemu dla mnie nie masz żadnego ciasta? ”. Ja na to: „Daję ciasto tylko tym, którzy walczą za ojczyznę, a co ty robisz dla ojczyzny? ”. I zaraz pomyślałam, że chyba zapadnę się ze wstydu pod ziemię. Bo wyleciało mi z głowy, że przecież on jest kulawy. Ma jedną nogę krótszą, więc nie może służyć w wojsku. Przeprosiłam szybko, a on uśmiechnął się do mnie i zapewnił, że nie ma sprawy. I że jego praca dla ojczyzny polega na tym, że jest nauczycielem. Że kształci nowe pokolenie. Uczy młodzież, dlaczego wybuchają wojny, i pomaga młodym zrozumieć, że w przyszłości nie można dopuścić, aby znowu doszło do takiej tragedii. Poczułam się wtedy jeszcze dwa razy gorzej. Rozmawialiśmy jeszcze przez kilka minut, a pomiędzy nami stał mój rower z wózkiem z tyłu. Rozmowa zesłała na książki, a konkretnie na tę ostatnią, czyli *Serce to samotny myśliwy*. Prawdę mówiąc, u nas mało kto potrafiłby zrozumieć książki, które czytam. Dennis mówi, że jestem bystra i gdy dorosnę, powinnam zostać nauczycielką. I taki właśnie mam zamiar, tylko że jego zdaniem do takiej pracy potrzebne mi lepsze wykształcenie niż to, które mogę zdobyć tutaj, na miejscu. Sama nie wiem, co mi u niego tak zawadza. Jest miły, mądry i na ogół bardzo grzeczny, ale czasem strasznie mnie irytuje, bo się wymądrza, jakby zjadł wszystkie rozumy, i rozmowa kończy się sprzeczką. Bez przerwy zwraca mi uwagę, że robię błędy językowe, a gdy słyszę, że moja szkoła, gdzie we wszystkich klasach jest dwadzieścioro troje uczniów i wszyscy tłoczą się w jednej klasie bez względu na wiek, nie da mi dobrego wykształcenia, to dostaję białej gorączki. Nie podoba mi się, że on tak często tutaj przyjeżdża i powtarza, że uwielbia to miejsce, a potem tak nas wszystkich obgaduje.

Popełniłam głupi błąd. Zwierzyłam mu się, że bardzo chciałabym dołączyć do Straży Wybrzeża, a on roześmiał się i powiedział tak: „Do wodołazów idą ci, których nie stać na nic więcej. To zgraja chuliganów, którzy dostali do ręki broń i najchętniej by tylko strzelali do wszystkiego, co się rusza”. No, dopiero się zeżliłam, chociaż nie pierwszy raz słyszałam o nich takie rzeczy. Ludzie, którzy tak mówią, nie znają tych chłopców i nie mają pojęcia, jak poważnie oni traktują swoją służbę. Tak czy inaczej, teraz to chyba jasne, dlaczego czasem sprzecam się z Dennisem.

Zapytał, czy pójdę z nim jutro do kościoła. On chodzi w niedzielę aż do Corolli, bo tam odprawiają katolickie msze. Podziękowałam, bo zawsze chodzę z rodzicami do metodystów w Duck. Nie mam pojęcia, jak to wygląda u katolików. W zeszłe lato Dennis nosił lekko rozpiętą koszulę z krótkim rękawem i zauważyłam, że ma na szyi brązową tasiemkę. Zapytałam, co to takiego, a on ją wyciągnął i pokazał mi, że do tej tasiemki są przyszyte dwa małe kwadratowe kawałki wełnianej tkaniny. Są na nich wizerunki Jezusa i Marii: jeden wisi na piersi, a drugi na plecach. Nie pamiętam już, jak się nazywa ten wisiołek, ale Dennis powiedział, że nosi go cały czas, bo dzięki temu czuje się bliżej Boga. W każdym razie gdy wygadałam się, że idę do metodystów, zdjął mnie strach, że wyśmieje moją religię tak samo jak moją edukację, szybko zabrałam rower i powiedziałam, że muszę wracać do domu, bo jestem już spóźniona (co zresztą było prawdą). W następny weekend zaniósę mu placek na przeprosiny za to, że byłam dla niego niemila.

Uświadomiłam sobie właśnie, że czuję się przy Dennisie jakoś nieswojo. Nie chodzi tylko o to, że tak niepochlebnie się wyraża o mieszkańcach Outer Banks; zauważyłam, że w tym roku

patrzy na mnie zupełnie innym wzrokiem. Ciągłe powtarza, że wypiękniałam, a raz nawet powiedział, że gdybym była trochę starsza, toby mi się oświadczył. „Dobrze się zapowiadasz”, tak się wyraził. „Chętnie bym się z tobą ożenił i zabrał cię do High Point, a tam mogłabyś zdobyć prawdziwe wykształcenie”. Przyznaję, że pochlebia mi to wszystko, ale mam gęsią skórę, kiedy słyszę od niego takie rzeczy. Chyba właśnie dlatego teraz na Pole Road stałam tak, żeby oddzielał nas mój rower. W pobliżu nie było widać nikogo i zaczęłam się trochę denerwować. Dennis nie jest wcale brzydki. Ładnie mu w tych okularach, które nosi, i podobają mi się jego ciemne włosy, ale jest strasznie stary, całe osiem lat starszy ode mnie. Nie jestem nim zainteresowana. Poza tym „Bess Kittering” brzmi nieładnie, nie podoba mi się. (Za to „Bess Brown” podoba mi się bardzo!).

W domu dostałam burę od mamy. Powiedziała, że za długo siedziałam w Straży Wybrzeża. Miałam zawieźć ciasta i od razu wracać, a nie przesiadywać tam nie wiadomo ile i kazać im się zabawiać. Tłumaczyłam, że wróciłam tak późno, bo po drodze spotkałam pana Kitteringa i zagadaliśmy się, ale to jeszcze bardziej ją rozgniewało. Jej zdaniem to dziwne, że Dennis tak tutaj przyjeżdża co tydzień. Nigdy się nawet nie spotkali, widywała go tylko z daleka, więc jej powiedziałam, że to miły człowiek i że lubię rozmawiać z nim o książkach, ale ona dalej na mnie krzyczała. Moja mama chyba już urodziła się stara.

Rozdział ósmy

Słońce stało jeszcze wysoko na niebie. Clay skręcił w krótki żwirowy podjazd prowadzący do niewielkiego domku, który, jak wiele podobnych domów nad cieśniną, stał na palach zanurzonych w wodzie. Wsiadając z samochodu, zauważył, że rynna pod okapem od frontu przekrzywiła się i brakuje też fragmentu poręczy na tarasie. Zanotował sobie w pamięci, że wkrótce musi wygospodarować cały dzień na naprawy, i to cały, bo oprócz tych dwóch usterek z całą pewnością znajdzie się mnóstwo innych, których nie widać na pierwszy rzut oka. Dom był stary i Clay poświęcał mu mnóstwo czasu – podobnie zresztą jak starszemu panu, który w nim mieszkał. Ostatnio z miłą chęcią inwestował swój czas we wszystko, co było w stanie chociaż trochę go otępić.

Wszedł na werandę i zastukał w ramę zbitych byle jak zewnętrznych drzwi z siatki, po czym pochylił się, aby zajrzeć do środka, do małego salonu. Za drzwiami niemalże natychmiast pojawił się Henry, aż wręcz rwał się do wyjścia. Clay otworzył drzwi z siatki, a elegancki starszy pan stanął przed nim, jak zwykle w białej koszuli i ciemnym krawacie. To chyba jedyny mieszkaniec Outer Banks, który codziennie nosi krawat, pomyślał Clay. Nie potrafił sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek – z wyjątkiem tych trzech dni, które Henry musiał spędzić w szpitalu z powodu operacji wyrostka – widział go bez krawata. Albo bez kapelusza.

– Cześć, Henry – powiedział, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Jak się masz?

– Siedziałem tu jak na szpilkach. – Henry nałożył na głowę słomkową fedorę i wyszedł na werandę, zacierając dłonie o gruzłowatych, artretycznych palcach. – Partyjka szachów w Shorty's to jest to, czego mi potrzeba – oznajmił.

Clay domyślił się, że starszerek czekał na niego od rana, i zaczął żałować, że nie przerwał pracy przy zbiorniku i nie przyjechał po niego wcześniej.

– Co się stało z poręczą? – Wskazał dziurę po brakującej desce.

– Wstaję któregoś dnia z rana, a tu nie ma deski. – Henry wzruszył ramionami. – Dzień wcześniej złapałem dwadzieścia dwa kraby, więc to chyba ich kumple przyszli się na mnie odegrać – zachichotał.

Henry mógł łapać kraby praktycznie bez wychodzenia z domu: wystarczyło mu przespacerować się po tarasie i zebrać siatką skorupiaki uczezione pali. Miał już siedemdziesiąt dziewięć lat, a wciąż potrafił smażyć takie kotlety krabowe, że Clay nigdy nie jadł lepszych.

– Uważaj na to – ostrzegł, wskazując ponownie uszkodzoną poręcz. – Wpadnę niedługo i naprawię.

Henry lubił się chwalić, że jego dom ma tyle lat, co on. I teoretycznie miał rację, bo zbudowano go w latach dwudziestych ubiegłego wieku, z tym że w latach czterdziestych mocno ucierpiał w pożarze, a do tego co jakiś czas podmywała go woda, więc ciągle coś w nim wymieniano, skutkiem czego z pierwotnej konstrukcji pozostało już niewiele.

Starszy pan był wciąż energiczny i bystry. Sprężystym krokiem pomaszerował do samochodu,

zostawiając za sobą Claya, jedynego człowieka zobowiązanego do opieki nad nim.

Henry Hazelwood był dziadkiem Terri. Jej ojciec, syn Henry'ego, zmarł przed czterema laty, a matka mieszkała w Kalifornii, więc Terri zaopiekowała się starszym panem, bo oprócz wnuczki Henry nie miał w okolicy żadnej rodziny. To zresztą nieistotne, bo Terri przepadała za dziadkiem i nigdy nie narzekała, że spadł na nią taki obowiązek. Clay też go lubił, ale kiedyś wyobrażał sobie, że w wieku dwudziestu dziewięciu lat będzie raczej uganiał się za raczkującymi maluchami, a tymczasem doglądał starszego mężczyzny. Henry nie mógł liczyć na nikogo innego, a Clay nigdy nie odwróciłby się od człowieka w potrzebie. Z powodu coraz bardziej pogarszającego się wzroku Henry kilka lat wcześniej przestał prowadzić samochód. Na szczęście starczyło mu rozumu, aby podjąć taką decyzję, to jednak oznaczało, że Clay często musiał zwalniać się z pracy i wozić go do lekarza, na zakupy, a przede wszystkim – co dla staruszka było najważniejsze – do baru Shorty's Grill, gdzie grywał w szachy ze swoimi starymi kumplami, Walterem Liscottem i Brianem Cassem.

Dla Claya największą zaletą, a zarazem najgorszą wadą Henry'ego było jego podobieństwo do Terri. Ukośna linia brwi i stalowoszare oczy – te dwie cechy odziedziczyła po nim zarówno ona, jak i jej ojciec. Spoglądając w twarz Henry'ego, Clay za każdym razem widział swoją żonę.

– Co robiłeś rano? – zagadnął, kiedy jechali już w stronę szosy przecinającej wyspę i prowadzącej na plażę.

– A jak myślisz? – odpowiedział pytaniem starszy pan.

– Łapałeś kraby?

– A jakże. – Dziadek zachichotał. – Wabiłem mięsko na obiad. A ty co porabiałeś?

– Aaa... – westchnął Clay, zaskoczony jak zwykle, gdy Henry pytał o niego. – Naprawiałem zbiornik na wodę.

– To chyba pożyteczniejsze zajęcie niż łapanie krabów.

Clay uśmiechnął się pod nosem.

– Ale zbiornikiem na wodę się nie najesz.

Starszy pan prychnął z cicha i obaj umilkli. Henry był mało mówny, a jego rozmowy z Clayem zazwyczaj krótkie i konkretne, co zresztą odpowiadało im obu. Nigdy, nawet jeden raz, nie rozmawiali o Terri. I to też było w porządku. Clay nie rozmawiał o niej absolutnie z nikim.

Po śmierci żony ojciec radził mu, żeby spotkał się z terapeutą – nie posłuchał. Co mógł tutaj zdziałać terapeuta? Przecież nie przywróci Terri do życia. Do maskowania mrocznych myśli i najgłębszych uczuć Clay wykorzystywał pracę: rzucał się w wir zajęć nie po to, aby wypełnić sobie czas, ale raczej by go zabijać. Wszyscy wokół myśleli, że nieźle sobie radzi. Starał się udzielać towarzysko, a znajomym demonstrował pogodę ducha. Chyba jedyną osobą, która wiedziała, że Clay wcale nie jest tym wesołkiem, którego udaje, była Lacey. Wiele czasu spędzali razem i widział jak na dłoni, że siostra na wszelkie sposoby usiłuje mu pomóc, tak samo jak zatroszczyłaby się o bezdomnego kotka. Albo o badaczkę historii latarni morskich, która nie ma gdzie się podziać.

Rano, przy śniadaniu, widział, jak Lacey wodzi wzrokiem od niego do Giny i z powrotem, a w porozumiewawczym spojrzeniu jej niebieskich oczu lśniła nadzieja: a nuż Clayowi spodoba się ta nieznajoma? Cóż, rzeczywiście, docenił jej urodę, ale to stanowiło tylko dodatkowy problem. Oby Lacey odpuściła, myślał. Ponieważ nie udało jej się nakłonić go, aby wznowił szkolenia poszukiwawczo-ratownicze, Clay przewidywał, że teraz skoncentruje się na innej rzeczy, której mogło mu brakować jej zdaniem. Z tamtym nie wyszło, bo mdliło go na sam dźwięk słów „poszukiwawczy” i „ratowniczy”. Dosłownie miał odruch wymiotny. Któregoś

wieczoru musiał wyłączyć wiadomości, gdy prezenterka mówiła o ekipie poszukiwawczej pracującej w rejonie dotkniętym trzęsieniem ziemi gdzieś na drugim końcu świata, a jego chwyciły takie mdłości, że położył się prosto do łóżka. Lacey, która też oglądała ten program, nie odezwała się ani słowem, kiedy Clay wstał, wyłączył telewizor i poszedł na górę. Jeszcze kilka miesięcy temu poszłaby za nim i próbowałaby go nakłonić, żeby z nią porozmawiał. Przez ten czas zdążyła się jednak sporo nauczyć i już nie wierciła mu dziury w brzuchu, żeby zwierzał jej się ze swoich uczuć. A on wiedział, że nadejdzie dzień, kiedy Lacey odpuści sobie te akcje ratunkowe. W tej jednej kwestii była skazana na porażkę.

– Ha, spójrz no! – Henry wskazał przez okno nowy duży sklep rybny na Croatan Highway. – Musimy tam zajrzeć.

– Wygląda niezłe – zgodził się Clay.

Henry mieszkał w Outer Banks od zawsze, czyli od wojny, bo tutaj odbywał służbę wojskową. Zakochał się w miejscowej dziewczynie i ożenił się z nią. Doczekali się jednego dziecka: ojca Terri. Region rozwijał się i rozrastał na jego oczach, ale on, w odróżnieniu od wielu starszych mieszkańców, nigdy nie narzekał, nie opowiadał, jak to „dawniej bywało”, nie utyskiwał i nie biadolił, że latem zjeżdżają tu chmary turystów, którzy się szarogęszą, jakby byli u siebie. Wielu tutejszym przeszkadzało zatrzęsienie nowych budynków, sklepów i restauracji, które wyrastały jak grzyby po deszczu – a on w gruncie rzeczy był z tego zadowolony. Godzinami krążył po supermarkecie i zachwycał się bogactwem towarów, a szczególnie polubił studiowanie etykiet na mrożonkach. Clay po jakimś czasie nauczył się, żeby na zakupy z Henrym zabierać ze sobą książkę, bo inaczej umierał z nudów. Starszy pan był wielkim smakoszem szybkich, gotowych posiłków, które wystarczy podgrzać, ale zawsze musiał mieć w domu świeże owoce morza, więc Clay dwa razy w tygodniu woził go do centrum rybnego. I teraz już wiedział, że skoro Henry wypatrzył nowy sklep, to on znów będzie podpierał ściany, czytał jakąś książkę i cierpliwie czekał, aż dziadek skończy obwąchiwać ryby.

Clay dobrze pamiętał tamten wtorek pod koniec listopada, kiedy dowiedział się o śmierci Terri; szok i przerażenie potęgowała jeszcze świadomość, że musi przekazać tę wiadomość jej dziadkowi. A przecież Henry pożegnał już żonę i jedyne syna. Strata ukochanej wnuczki była okrutną niesprawiedliwością. I Clay czuł, że nie da rady. To Lacey pojechała do starego domu nad brzegiem cieśniny i powiedziała Henry’emu, co się stało. Clay nigdy nie zapytał siostry, jak starszy pan to przyjął; nie chciał wiedzieć. Wystarczyło mu to, co widział, a widział tyle, że przez kilka następnych tygodni, kiedy przyjeżdżał po niego, oczy dziadka były tak samo czerwone jak jego własne.

Parking przed barem Shorty’s Grill był pełen. Spelunka to jedyne określenie pasujące do tej rudery, a turyści intuicyjnie wiedzieli, że lepiej tam nie zaglądać. Ci nieliczni, którzy się na to zdobywali, poszukiwali zapewne lokalnego kolorytu i niepowtarzalnej atmosfery, ale większość wychodziła już po kilku minutach, doszedłszy do słusznego wniosku, że to miejsce nie jest dla nich i nigdy nie będzie. Szczególnie mała sala na zapleczu.

Tak zwane zaplecze znajdowało się w rzeczywistości z boku budynku i było ulubionym miejscem spotkań rybaków, ogorzałych emerytów i młodych ludzi dysponujących nadmiarem wolnego czasu. Pod jedną ścianą stał poobijany stół bilardowy, a na stolikach walały się szachownice, plansze do warcabów oraz talie kart. Na innej ścianie wisiały dwie tarcze do gry w lotki. Szyby w oknach pokrywał wieloletni nalot z papierosowego dymu. Kobiety do małej sali zaglądały rzadko. Zazwyczaj kręciły się one przy młodszych mężczyznach grających w bilard: pochylone nisko nad stołem, demonstrowały większy albo mniejszy dekolt, a do tego

ewentualnie różę wytatuowaną na ramieniu. To właśnie one, kobiety o skórze pożółkłej i pomarszczonej jak pergamin, paliły najwięcej.

Clay umówił się tutaj na piwo ze swoim kumplem Kennym Gallo, ale najpierw poszedł z Henrym do małej sali, aby przekazać starszego pana jego kolegom. Po drodze zauważył przy stole bilardowym dwie kobiety grające z młodym facetem, który niedawno zaczął regularnie zaglądać do Shorty's. Był to dwudziestoletni brunet w T-shircie z Grateful Dead, który całe ręce miał pokryte misternymi tatuażami. Kiedy Clay stanął w drzwiach, kobiety uniosły głowy znad stołu. Czuł na sobie ich wzrok, gdy szedł za Henrym do stolika, przy którym siedzieli już nad szachownicą dwaj starsi panowie: Walter Liscott i Brian Cass. Zainteresowanie płci przeciwnej nie było dla niego niczym nowym, a poza tym nie robiło na nim najmniejszego wrażenia.

– Spóźniłeś się. – Brian spozrzał na Henry'ego, a w jego kaprawych niebieskich oczach błysnęła irytacja. Bywał drażliwy jak primadonna. Jego gęste siwe włosy sterczały na skroni, jakby całą noc spał na jednym boku, a długi, kościsty palec postukiwał w szachownicę.

– Oj, przestań kłapać dziobem – mruknął Walter Liscott. – Już jest, tak? Więc o co chodzi?

– To moja wina – wyjaśnił Clay, chociaż panowie nie byli umówieni na konkretną godzinę. Zabrał krzesło od sąsiedniego stolika i postawił obok szachownicy, żeby Henry mógł się przysiąść. – Za późno po niego przyjechałem.

– Ty też chodź do nas, Clay – zaprosił go Walter, tak jak zawsze. Siedział na wózku inwalidzkim, dosuniętym do stolika. Używał go już od czterech lat. Niedowład nóg miał u niego jakiś związek z cukrzycą. Walter był wielkim miłośnikiem szachów, a kiedy się okazało, że nie jest w stanie poruszać się bez wózka, Clay i Kenny zbudowali dla niego rampę przy tylnym wejściu do baru. Wystrój baru był w dużej mierze jego dziełem – na wszystkich ścianach wisiały jego finezyjnie rzeźbione i malowane wabiki na kaczki, więc uznali za oczywiste, że zasłużył sobie na specjalne traktowanie, kiedy zaczął mieć trudności z dostaniem się do środka. Nowy wabik, nad którym aktualnie pracował, leżał obok szachownicy.

Clay obejrzał się w stronę głównej sali, ale Kenny jeszcze nie przyszedł.

– Na chwilę – zgodził się, przystawiając sobie drugie krzesło.

– Widzieliście tamtego cudaka? – zapytał głośno Brian i wskazał głową chłopaka z tatuażami.

Clay nie odwrócił głowy.

– A o co chodzi? – spytał, zniżając głos do szeptu.

– Brian zafascynował się jego nowym obrazkiem na skórze – zaśmiał się Walter.

– Na plecach – uściślił Brian. – Jak przyszły tamte dziewczyny, ściągnął koszulkę, żeby im pokazać.

– Nie tak głośno – upomniał go Henry.

Brian pochylił się w jego stronę.

– Mówię głośno, żebyś mnie dobrze słyszał, dziadku.

– Słysząc cię aż na tamtej sali – odciął się Henry.

– Syrenę sobie zrobił – wtrącił Walter.

– To znaczy? – Henry studiował ustawienie na szachownicy. Miał grać ze zwycięzcą.

– Ten nowy tatuaż – wyjaśnił Brian. – Syrena z takimi balonami, jakich w życiu nie widziałeś.

Clay parsknął śmiechem; nie mógł się powstrzymać.

– A tobie tylko balony w głowie. – Skrzywił się kpiąco Walter.

Rozmowa toczyła się dalej w takim właśnie tonie: tych trzech starych wdowców dogryzało i dogadywało sobie w podobny sposób już od wielu, wielu lat. Widać było jak na dłoni, że są sobie bardzo bliscy, lecz kiedy się spotykali, to najpoważniejszym tematem, jaki przewijał się

w ich rozmowach, była pogoda. Trzech starszych panów, którzy razem walczyli za ojczyznę, razem łowili ryby i razem żegnali swoich najbliższych. Żona Briana zmarła zaledwie przed kilkoma laty. Spędzili razem pół wieku, a ich jedenaścioro dzieci i dwadzieścioro siedmioro wnucząt rozjechało się po całym kraju. Walter był wdowcem już od dekady. Miał dwójkę dzieci, które wierciły mu dziurę w brzuchu, żeby zamieszkał razem z nimi w Colorado, ale on nie wyobrażał sobie wyprowadzki z Outer Banks. Clay uważał, że to kobiety powinny żyć dłużej; trzej starzy bywalcy małej sali na zapleczu Shorty's Grill najwidoczniej nie zostali o tym powiadomieni. To chyba tutejsze słone powietrze miało w sobie coś, co podtrzymywało mężczyzn przy życiu. Dopiero gdy Clay wstał od stolika z szachownicą, żeby zajrzeć do głównej sali, uderzyła go nowa myśl: dzisiaj siedziało przy nim czterech wdowców.

Kenny czekał na niego przy jednym z małych stolików. Clay usiadł naprzeciwko starego kumpla, a kelnerka od razu przyniosła im piwo, nie musiała pytać, czego sobie życzą – byli dobrze znani w tej knajpie.

– Jak robota? – zapytał Clay po pierwszym łyku.

– Nieźle, stary, ale na jedno ucho z każdym dniem słyszę coraz gorzej – odpowiedział Kenny, masując palcami lewą małżowinę.

– No cóż, sam wiesz, jak temu zaradzić – mruknął Clay. Kenny prowadził firmę zajmującą się pracami podwodnymi i większość robót na głębokości wykonywał osobiście. Utrata słuchu była ściśle związana z jego zawodem. Za dziesięć lat groziła mu całkowita głuchota, lecz Clay wiedział, że to go nie powstrzyma. Kenny lepiej czuł się pod wodą niż na lądzie.

– Prędzej mi uszy odpadną razem z kutasem, niż zrezygnuję z nurkowania – odparł.

Clay roześmiał się głośno.

– Ty to potrafisz rzecz ubrać w słowa, Ken.

Ostatnimi czasy spotykał się z Kennym częściej niż z innymi kumplami. Żonaci zwykle mu współczuli. Wiedział, jak spoglądają po sobie, kiedy któryś strzelił coś niezbyt taktownego, na przykład poskarżył się, że żona zrobiła mu awanturę, gdy późno wrócił do domu. Obchodzili się z Clayem jak z jajkiem. A najgorsze było to, że mieli absolutną rację. Jemu naprawdę było przykro, kiedy mówili o swoich żonach, ale głęboko to ukrywał. Zazdrościł im, miał do nich pretensje, był zły i czuł się skrzywdzony, właśnie tak, jak podejrzewali, tylko nie dawał nic po sobie poznać. W towarzystwie Kenny'ego było mu znacznie łatwiej. Kenny nie myślał o pożegnaniu ze stanem kawalerskim. Rozmawiał z Clayem o nurkowaniu i windsurfingu, tak samo jak zawsze, i nigdzie w tych rozmowach nie przewijała się postać żony, która za chwilę odbierze im całą przyjemność. To jednak nie znaczyło, że Kenny nie lubił kobiet. Przeciwnie, lubił je, zresztą z wzajemnością. Był notorycznym flirciarzem: brodaty, mocno zbudowany blondyn. Rozmowa z nim bywała irytująca, bo rzadko patrzył w oczy. Wolał wodzić wzrokiem za kobietami, wystarczyło, że jakaś pojawiła się na horyzoncie.

A ponieważ Clay skończył już naprawiać zbiornik na wodę, przywiózł Henry'ego na szachy z kolegami i teraz po prostu sobie siedział i się relaksował, w jego myślach ponownie zagościła pewna konkretna kobieta. Przez chwilę już chciał opowiedzieć Kenny'emu o Ginie. O tym, jaka jest piękna i jak jednocześnie go pociąga i odpycha. Wiedział jednak, że nie może, bo złamałby jedną z niepisanych zasad, na których obecnie opierała się jego znajomość z Kennym: gadamy o sporcie, nurkowaniu, rybach – o wszystkim, byle nie o kobietach.

Kumplowali się w szkole średniej, ale potem ich drogi się rozeszły. Kenny został w Outer Banks i po ukończeniu szkoły przejął od ojca firmę wykonującą naprawy sprzętu morskiego, natomiast Clay wyjechał do Durham i studiował architekturę na Uniwersytecie Duke'a. Pozostali

kumplami, chociaż taka różnica w wykształceniu powinna w zasadzie rozdzielić ich na dobre. Jeśli chodzi o wiedzę, zarówno książkową, jak i życiową, Kenny miał spore braki – na przykład wciąż mówił o kobietach „dziewczyny” i pewnie kręciłyby go „balony” syreny wytatuowanej na plecach gościa przy stole bilardowym – ale Clay szanował jego zdrowy rozsądek oraz umiejętności w nurkowaniu, technikę i inteligencję pod wodą.

Młody mężczyzna z tatuażami wyszedł z małej sali i ruszył pomiędzy stolikami, najprawdopodobniej w kierunku toalety, ale gdy ich mijał, przystanął i zwrócił się do Claya.

– Ty jesteś Clay O’Neill, co nie? – zapytał. W lewym uchu miał ćwiek z brylantem, a jego ciemne włosy były bardzo krótkie.

– Tak. – Clay skinął głową.

– Brock Jensen. – Facet wyciągnął rękę.

Clay uścisnął mu dłoń i po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się z bliska jego tatuażom. Nie były to obrazki, ale raczej wzory, różne esy-floresy, strzałki, fale – miał pod skórą tyle farby, że od samego patrzenia bolały oczy.

– Znam twoją siostrę – ciągnął Brock.

– Lacey? – zapytał Clay, jak gdyby mogło mu chodzić o Maggie. Lacey nieczęsto zaglądała do Shorty’s.

– Aha. Poznałem ją na spotkaniu grupy Al-Anon. Mówiła, że możesz mi pomóc znaleźć robotę.

– A czego szukasz? – wtrącił się Kenny.

– Czegoś na budowie.

O taką pracę było w tej okolicy nietrudno, szczególnie dla kogoś takiego jak ten Brock Jensen, potężnie zbudowanego i umięśnionego. Ciemne wężowate smugi na jego bicepsach wiły się przy najlżejszym ruchu ręką.

– Powinieneś bez problemu znaleźć – odparł Clay. Mógłby mu dać jakieś namiary, ale szczerze mówiąc, nie miał ochoty pomagać temu człowiekowi.

– Spróbuj tutaj. – Kenny wyciągnął długopis z kieszeni koszulki i zapisał kilka słów na serwetce. Podał ją Jensenowi, a ten rzucił okiem i skinął głową.

– Dzięki, stary, zajrzę tam – powiedział, po czym znów spojrzał na Claya. – Przekaż siostrze pozdrowienia.

– Jasne – mruknął Clay, a potem nie odezwali się z Kennym już ani słowem, dopóki tamten nie wyszedł z głównej sali i znalazł się poza zasięgiem słuchu.

– Brock? – prychnął Kenny. – No, bez jaj...

Clay też się zaśmiał, ale dręczył go jakiś niepokój. W Outer Banks wciąż powstawały nowe domy, nowe sklepy, a stare remontowano i przekształcano. Ten facet w pięć minut dostałby pracę na pierwszej lepszej budowie. Niepotrzebna mu była niczyja pomoc. Coś mówiło Clayowi, że Brock Jensen wcale nie tego szukał u jego dobrodusznej siostry.

Rozdział dziewiąty

Poczekalnia w biurze nieruchomości Dillard Realty, wysokie pomieszczenie wykończone boazerią z drewna stylizowanego na stare okrętowe deski, była ozdobiona dodatkami o tematyce plażowej. Gina nie mogła usiedzieć spokojnie, bo bardzo się denerwowała, wręcz na granicy paniki. Umówiła się z panią King, kobietą, którą w głębi serca gardziła, chociaż ani razu nie widziała jej na oczy, że odezwie się najpóźniej dzisiaj. Zakładała, że trzy dni po zaplanowanym przyjeździe do Kiss River zdąży już rozeznac się w sytuacji, a tymczasem nie zbliżyła się ani na krok do rozwiązania swojego problemu; tkwiła w tym samym miejscu, co przed podróżą. Niedziela okazała się dniem straconym, bo zmógł ją ból brzucha i mdłości, które zawdzięczała najprawdopodobniej hamburgerowi zjedzonemu w pierwszym lepszym fast foodzie po wizycie u Aleca O’Neilla dzień wcześniej. Idealne podsumowanie tamtego całkowicie bezcelowego spotkania. I co za ironia, że O’Neill podejrzewał Ginę o takie wyrachowanie, że niby chce się obłowić na wydobyciu soczewki z oceanu. Owszem, chodziło jej o pieniądze, ale przecież doskonale wiedziała, że nie tędy droga, bo fresnelowska soczewka z Kiss River nie należy do niej.

Ciekawe, czy Alec zapyta dzisiaj Lacey o nią, gdy zobaczą się na dyżurze w przychodni dla zwierząt. Czy Lacey mogłaby w jakiś sposób wpłynąć na ojca? Raczej wątpliwe. Dał się poznać jako człowiek uparty, a w tej sprawie już od dawna miał wyrobione zdanie. Gina nie wiedziała, czy o coś ją podejrzewa, czy też ma swoje, nieznanne jej powody, dla których odmówił jej pomocy; teraz całą nadzieję pokładała w Noli Dillard, agentce nieruchomości.

Weszła do biura prosto z ulicy i poprosiła o spotkanie. Powinna najpierw zadzwonić, ale za bardzo się bała usłyszeć „Nie pomogę pani”, a wiedziała, że przez telefon nie ma większych szans przekonać Nolę Dillard. Perswazja nie należała do jej mocnych stron. Owszem, w szkole Gina była w stanie zapanować nad grupą siódmoklasistów i sprawić, żeby siedzieli i słuchali, co wcale nie jest łatwą sztuką, lecz na tym kończyły się jej umiejętności wywierania wpływu na ludzi.

Pół godziny później w poczekalni pojawiła się kobieta, która podeszła prosto do niej, wyciągając dłoń takim gestem, jakby to był harpun.

– Pani Gina Higgins? – zapytała. Była wysoka, miała na oko pięćdziesiąt kilka lat, włosy koloru platynowy blond, spięte spinką, twarz opaloną, a cerę tak gładką, że z całą pewnością jakiś zręczny chirurg plastyczny maczał w tym palce.

Gina wstała i podała jej rękę.

– To ja – odparła. – Znajdzie pani dla mnie chwilę?

Nola Dillard zerknęła na zegarek.

– Piętnaście minut. O czwartej pokazuję klientowi dom w South Nags Head.

Poprowadziła Ginę korytarzem wiodącym do dużego gabinetu, gdzie stało olbrzymie mahoniowe biurko i fotele z eleganckim, kosztownym obiciem i w którym była ta sama boazeria,

co w poczekalni, o identycznym srebrzystym odcieniu. Ozdobę stanowiła garść tabliczek pamiątkowych i nagród, wiszących na ścianach i stojących na półkach biblioteczki za biurkiem. Nola Dillard najwidoczniej odnosiła spore sukcesy w swojej branży. Gina zauważyła też zdjęcie młodej blondynki o lśniących włosach, trzymającej na kolanach dziewczynkę, mniej więcej trzyletnią. Obie były szeroko uśmiechnięte, a kobieta – matka, jak domyśliła się Gina – lekko opierała brodę na główce dziecka. To zdjęcie obudziło w niej rozpaczliwą, bolesną tęsknotę, aby wziąć na ręce własną córeczkę.

– Interesuje panią kupno domu? – zapytała Nola Dillard, siadając za swoim masywnym biurkiem.

– Prawdę mówiąc, nie. – Gina oderwała wzrok od zdjęcia i spojrzała na agentkę. Przysiadła na samym brzeżku fotela, kładąc wilgotne dłonie na gołych kolanach. – Interesuje mnie latarnia w Kiss River.

– Latarnia? W Kiss River? – powtórzyła zaskoczona Nola, otwierając szerzej swoje szare oczy. – W jakim sensie panią interesuje?

– Chciałabym wydobyć soczewkę, która obecnie leży na dnie oceanu, i przekazać ją w dobre ręce, aby została wystawiona na widok publiczny.

– Aha. – Nola opadła na oparcie fotela, skinęła głową. – To pani jest tą znajomą, dla której Lacey szukała domu do wynajęcia?

Gina przytaknęła.

– Zgadza się. Na razie zajęłam pokój w domu latarnika.

– Rozumiem. A więc od niej zapewne wie pani, że działałam kiedyś w Komitecie Przyjaciół Latarni. To było dawno, jeszcze przed wielkim sztormem.

– Właściwie powiedział mi o tym jej ojciec... To znaczy doktor O'Neill.

– Naprawdę? – Wydawało się, że agentka znów przeżyła zaskoczenie. – Myślałam, że ta latarnia już go nie interesuje.

– I raczej się pani nie myli – odparła Gina. – To dlatego skierował mnie do pani.

Nie była to cała prawda, ale też nie do końca kłamstwo.

Nola obróciła się lekko wraz z fotelem w jedną stronę, potem w drugą. Nie spuszczała oczu ze swojej rozmówczyni.

– Tak się składa, że jestem jedną z nielicznych osób stąd, które bardzo by się ucieszyły wydobyciem soczewki z Kiss River – oznajmiła, a potem się uśmiechnęła. – Rzecz jasna, mam w tym interes, bo to by przyciągnęło tutaj więcej turystów, których mogłabym dopieszczać.

– Więc pomoże mi pani? – Gina zacisnęła palce na kolanach. – Muszę znaleźć fundusze na to przedsięwzięcie, ale nie jestem stąd i bardzo potrzebuję wsparcia kogoś tutejszego.

– A skąd pani pochodzi, moja droga?

– Ze stanu Waszyngton. Amatorsko badam historię latarni morskich tamtego regionu i chciałam zwiedzić kilka latarni na Wschodnim Wybrzeżu. Jestem w szoku, że nikt nie zadał sobie trudu, aby wydobyć soczewkę z Kiss River.

– Zgadzam się z panią w stu procentach.

Gina odetchnęła z ulgą. Nola Dillard wyglądała na osobę, która potrafi załatwić każdą sprawę.

– Mogłabym zadzwonić do biura podróży – ciągnęła agentka. – Skontaktować panią z kimś stamtąd. Gdyby podjęła się pani załatwienia formalności, to prawdopodobnie oni pomogliby w pozyskaniu funduszy.

– Wspañiale! – Gina uśmiechnęła się radośnie. Nareszcie sprawy ruszyły z miejsca. – Pan O'Neill tak stanowczo odmówił wszelkiego udziału w tym przedsięwzięciu, że już chciałam

zre...

– Myślałam, że Alec poradził pani skontaktować się ze mną? – przerwała jej Nola.
Jej ton uświadomił Ginie, że niespodziewanie znalazła się na bardzo cienkim lodzie.

– Podał mi pani nazwisko – odparła.

– Ale nie chce, żeby soczewka została wydobyta?

Gina zawahała się.

– Nie – przyznała w nagłym przypływie szczerości. – Ale moim zdaniem on tylko...

– W takim razie nie mogę pomóc, moja droga. – Nola Dillard znów weszła jej w słowo, krzyżując ramiona na piersi.

– Dlaczego? – jęknęła Gina.

– No cóż, Alec najprawdopodobniej ma rację. Ta soczewka powinna zostać tam, gdzie jest. Większość ludzi tego właśnie sobie życzy. A ja tylko zaciekałam się pani pomysłem i tyle.

– Pani Dillard, proszę... – Gina aż się zawstydziała, tyle emocji zabrzmiało w jej głosie, ale agentka chyba nie zwróciła na to uwagi, bo wstała już z fotela, znów zerkając na zegarek.

– Alec to mój przyjaciel – powiedziała, spoglądając na Ginę ze szczerym współczuciem. – Nigdy nie byłam w stanie do końca zrozumieć, dlaczego zmienił zdanie w kwestii tej latarni, ale nie wystąpię przeciwko niemu. Przykro mi.

Gina podniosła się powoli. Nola Dillard delikatnie objęła ją ramieniem i wyszły razem z gabinetu.

– Co słyhać u Lacey? – zapytała. – Dawno jej nie widziałam.

– Znam ją dopiero od kilku dni – odpowiedziała Gina, a jej głos zabrzmiał bezbarwnie z powodu rozczarowania. – Ale to jedna z najmiłszych osób, jakie w życiu spotkałam.

Lacey opiekowała się nią poprzedniego dnia, kiedy bolał ją brzuch: kupiła dla niej napój imbirowy i krakersy, a na obiad ugotowała domowy rosół z kury.

– Dzisiaj są jej urodziny – dodała Gina.

– Pierwszy lipca – zamyśliła się Nola. – Zgadza się. Dwa tygodnie po urodzinach mojej córki. Lacey i Jessica dorastały razem, przyjaźniły się.

Gina przypomniała sobie zdjęcie na półce biblioteczeki, portret młodej blondynki z dziewczynką na kolanach. Wiedziała dokładnie, jakie to uczucie, kiedy twarz muskają włosy takiego dziecka.

Zatrzymały się w poczekalni. Nola Dillard stanęła przed Giną.

– Przykro mi, że nie mogę pani pomóc w sprawie soczewki – powiedziała.

– Co mam teraz robić? – zapytała Gina.

– Rozmawiała pani z Walterem Liscottem albo Brianem Cassem?

– Jeszcze nie. Alec mówił, że są już w sędziwym wieku i...

– Owszem, ale do grobu na razie się nie wybierają – zaśmiała się Nola. – A wiek ma też swoje plusy. Na przykład kontakty gromadzone przez całe życie.

Gina skinęła głową.

– Porozmawiam z nimi – mruknęła zniechęcona. – Ale w razie czego pani wie, gdzie mnie znaleźć.

* * *

W drodze powrotnej do Kiss River zwróciła uwagę, że w podwoziu zaczęło stukać. Wcześniej tego nie słyszała. Pewnie coś się obluźowało na wybojach pomiędzy łańcuchem a domem

latarnika. I jeszcze zepsuta klimatyzacja... Ciekawe, pomyślała Gina, czy ten samochód da radę wrócić do Waszyngtonu.

Zaparkowała w piaszczystym rogu parkingu, blisko domu latarnika. Otworzyła drzwi, ale nie wysiadła, zastanawiając się, co dalej. Wieczorem miała cały dom dla siebie. Rodzeństwo pojechało do ojca na przyjęcie urodzinowe dla Lacey i zabrali ze sobą nawet Saszę. Giny nie zaproszono, zresztą trudno się dziwić, a szczerze mówiąc, Alec O'Neill był ostatnią osobą, którą miała ochotę spotkać. W sumie cieszyła się na ten samotny wieczór, ale teraz poczuła, że brakuje jej opiekuńczej obecności Lacey – i to ją zmartwiło. Wiedziała, że im bliższe będą ich relacje, tym trudniej będzie jej ukrywać przed nimi prawdę. Musiała koniecznie pamiętać o rezerwie wobec obojga gościnnych gospodarzy. Gina w tym momencie nie udźwignęłaby odpowiedzialności, którą pociąga za sobą przyjaźń. Nikomu nie mogła już zwierzyć się ze swojego rozpaczliwego położenia, przed nikim nie wolno jej było się otworzyć. Uznaliby ją za wariatkę. I może było w tym ziarno prawdy? Rozpacz potrafi przywieść do obłądu.

Przy śniadaniu dała Lacey kartkę urodzinową, na której zaoferowała jej masaż. Był to jedyny prezent, na jaki mogła sobie pozwolić.

– Jestem dobrą masażystką – dodała. Mówiła prawdę. Zrobiła kilka kursów, bo tylko masaż przynosił ulgę jej matce, która w ostatnich miesiącach życia bardzo cierpiała.

– Strasznie mi przykro, że wieczorem nie możesz z nami pojechać – powiedziała Lacey. Stały razem w kuchni: Lacey trzymała kartkę od Giny, a Clay otwierał już drzwi, bo właśnie wychodził do pracy. Widać było, że Lacey ma wyrzuty sumienia i nie chce, żeby Gina została sama.

Gina położyła jej dłonie na ramionach i spojrzała prosto w oczy.

– Znamy się ledwie trzy dni, Lacey – powiedziała. – Ja tylko u ciebie mieszkam, nie jesteśmy rodziną. Jedźcie i bawcie się dobrze. Wszystko w porządku. Jeśli będziesz się o wszystkich zamartwiać, dostaniesz wrzodów.

Lacey uściskała ją mocno. Clay, który stał już w drzwiach, odwrócił się, bo jak zwykle musiał wtrącić swoje trzy grosze.

– Wrzodów nie powodują zmartwienia, tylko bakterie – rzucił i wyszedł. Sasza wybiegł już wcześniej, Lacey ruszyła za nimi, a Gina została: wyściskana, pouczona i opuszczona dosłownie w jednej chwili.

Wiedziała od Lacey, że Clay jest wdowcem. Jego żona, dekoratorka wnętrz, zmarła tragicznie w listopadzie, a on wciąż jeszcze tego nie przebolewał. Lacey twierdziła, że byli idealnym małżeństwem. Gina co prawda nie wierzyła w małżeństwa idealne, ale odpuściła sobie dyskusję, bo zorientowała się, że Lacey bardzo tęskni za bratową. A Clay, chociaż na co dzień milczący i, co zrozumiałe, przygnębiony, odnosił się do Giny z wielką życzliwością. Zaoferował jej nawet swój komputer, żeby mogła odbierać mejle. Ucieszyła się, bo od wyjazdu z Bellingham nie miała takiej możliwości.

I teraz, gdy tak siedziała w samochodzie przed domem, przyszło jej do głowy, że mogłaby sprawdzić mejle, chociaż zaglądała do skrzynki już dzisiaj przed południem. Przyglądając się zniszczonej latarni, uświadomiła sobie, że ocean jest wyjątkowo spokojny i cichy, pierwszy raz od jej przyjazdu. Do zachodu słońca zostało jeszcze kilka godzin, pomyślała. A gdyby tak wybrać się na spacer? Może uda się jej znaleźć posterunek Straży Wybrzeża, o którym Bess pisała w swoim pamiętniku.

Zostawiła sandały w aucie i ruszyła w stronę latarni krótką ścieżką biegnącą wśród zarośli. Obeszła wieżę, brodząc w płytkiej wodzie, a dalej skręciła w prawo i wyszła na plażę. Zdawała

sobie sprawę, że wybrzeże zmieniło się od czasów Bess. Nie było to łatwe miejsce do spacerów. Pas plaży zrobił się bardzo wąski, miejscami zniknął całkowicie, a fale nie wgrzyzały się już w piasek, lecz w zieloną, trawiastą ziemię. Tam Gina znów musiała brodzić w wodzie, która tego dnia ledwo się marszczyła, ocierając łagodnie o brzeg.

Z pamiętnika wynikało, że posterunek Straży Wybrzeża znajdował się niecały kilometr od latarni, tymczasem Gina przeszła już co najmniej półtora i nie napotkała ani posterunku, ani w ogóle żadnych zabudowań. Tylko skrawek plaży dociśnięty do linii drzew i krzewów, które wyglądały na niezniszczalne. Jak okiem sięgnąć żadnych ludzi, jedynie niesamowite poczucie osamotnienia, gdy ucho wychwytywało tylko plusk niemalże płaskich fal o brzeg, a od czasu do czasu trzask łamanej gałązki w lesie z przeciwnej strony, po prawej. Gina cieszyła się, że w okolicy nie ma już koni ani dzików; dobrze było to wiedzieć.

Na tę plażę ocean wyrzucał zwłoki, pomyślała. I to tutaj zamordowano kiedyś człowieka.

Nagle jej wzrok przykuł jakiś szczegół w oddali. Ktoś kąpał się w oceanie. Zbliżywszy się nieco, Gina rozpoznała sylwetkę starszej pani, która właśnie wychodziła na plażę, wykręcając włosy; słone strumyczki ciekły jej po palcach.

– Dzień dobry! – zawołała Gina. – Jak woda?

– Cudowna – odpowiedziała nieznajoma. – I fale takie spokojne. Przepłynęłam dziś chyba ze trzy kilometry.

Miała ciało pływaczki: szerokie ramiona i muskularne uda. Spojrzała na Ginę, przekrzywiając głowę.

– Przychodzę tutaj prawie codziennie i jeszcze żywej duszy nie spotkałam.

– Szukam posterunku Straży Wybrzeża – wyjaśniła Gina.

– Straży Wybrzeża? Chodzi pani o brzegową stację ratowniczą?

– Tak – potwierdziła Gina, przypomniawszy sobie, że pierwotnie obiekt służył cywilnym ratownikom.

– Najbliższe stacje są w Ocean Sands i w Sanderling – powiedziała kobieta, wycierając ramiona ręcznikiem.

Gina spieszyła się.

– Myślałam, że jedna jest gdzieś tutaj.

Kobieta pokręciła głową, ale po chwili jej oczy rozbłysły.

– Aha – powiedziała. – Wiem, o który posterunek chodzi. Czytałam o nim. Ma pani rację, rzeczywiście stał w tej okolicy, ale zniszczył go sztorm, chyba jeszcze w latach sześćdziesiątych. Nie wiem dokładnie kiedy, bo sprowadziłam się tu później. A od tamtych czasów erozja wybrzeża postępuje. – Szerokim gestem objęła plażę. – Od czasu, gdy tu zamieszkałam, sporo się zmieniło.

– No tak, rozumiem – mruknęła Gina rozczarowana. Sztormy, sztormy i jeszcze raz sztormy. Niszczycielska siła tutejszej natury. – Cóż, dziękuję pani. – Uśmiechnęła się cierpko. – Chyba nie ma sensu dalej szukać.

– Przykro mi. – Nieznajoma schyliła się po swoją torbę plażową. – Miłego wieczoru – powiedziała, ruszając w kierunku ścieżki niknącej w przybrzeżnych zaroślach i machając jej na pożegnanie.

– Nawzajem. – Gina odprowadziła ją wzrokiem, a gdy kobieta zniknęła za drzewami, odwróciła się, aby po własnych śladach wrócić do Kiss River.

Szła skrajem plaży, a płytkie fale obmywały jej bosc stopy. Czuła się samotna. Dotarwszy z powrotem do latarni, zatrzymała się w sięgającej kolan wodzie, błędząc wzrokiem po rozległej

tafli oceanu. Stanęła jej przed oczami tamta nieznamna kobieta wychodząca z wody. Gina umiała pływać, ale nigdy nie kąpała się w oceanie. Na wysokości stanu Waszyngton wody Pacyfiku były o wiele za zimne na takie ekscesy. Uważnym spojrzeniem obrzuciła gładką jak stół wodę. A jeśli soczewka leży tuż pod samą powierzchnią? Może dałoby się z niej skorzystać bez wydobywania, pomyślała.

Nie zabrała ze sobą kostiumu kąpielowego, bo jej plan nie przewidywał kąpieli w oceanie, ale miała na sobie szorty i koszulkę z krótkim rękawem, a w zasięgu wzroku nikogo, kto mógłby zobaczyć tę błazenadę. Powoli ruszyła przed siebie, zostawiając plażę za plecami. Przypływ osiągnął już niemalże swój moment szczytowy, więc może nie był to najlepszy czas na tego typu poszukiwania, ale morze w tym rejonie rzadko kiedy było spokojne. Gina postanowiła zabrać się do rzeczy metodycznie: obejść latarnię, zataczając łuk w wodzie, a potem wrócić, i tak kilka razy, za każdym razem zwiększając promień łuku. Urzekła ją zadziwiająca prostota tego pomysłu: soczewka z Kiss River ważyła trzy tony, więc nawet gdyby pękła, kiedy wpadła do morza, roztrzaskane fragmenty powinny być na tyle duże, aby dało się je znaleźć.

Z początku posuwała się szybko, rozgarniając dłońmi wodę; miała nadzieję, że w ten sposób natrafi na jakiś twardy i gładki przedmiot. Potem, gdy woda zrobiła się głębsza, musiała zwolnić. Od czasu do czasu potykała się o leżącą na dnie cegłę albo kawał zaprawy murarskiej, ale ręce nie znalazły niczego przypominającego w dotyku szkło. Wreszcie poziom wody podniósł się tak wysoko, że Gina na wpół brodziła, a na wpół pływała, starając się przy tym nie myśleć o rekinach i prądach odpływowych. Nie miała za sobą podobnych przygód, ale słyszała o takich zagrożeniach. Kilka razy, wstrzymując oddech, zanurzyła głowę, aby rozejrzeć się dookoła, ale widoczność wynosiła najwyżej pół metra, a słona woda szczypała w oczy.

Spędziła w wodzie sporo czasu, zanim pomyślała, żeby się obejrzeć – i wręcz osłupiała, bo latarnia zrobiła się mała jak palec. Ciarki przebiegły jej po plecach. Znacznie oddaliła się od brzegu, ale nie było tu jeszcze tak głęboko; gdyby się zanurzyła, woda sięgnęłaby może pół metra ponad jej głowę. Uspokoiwszy się tą myślą, popłynęła z powrotem, czując w piersi bolesny ciężar. Przeszukała naprawdę spory obszar. Dotknęła stopami każdej plamki na dnie i nic nie znalazła. Soczewka z Kiss River, klucz do przeszłości, a zarazem przyszłości Giny Higgins, zniknęła. Jak kamień w wodę.

Rozdział dziesiąty

Czwartek, 19 marca 1942

Spotkało mnie dzisiaj coś straszego, potwornego. To był po prostu szok. Nie wiem nawet, czy jestem w stanie o tym pisać, bo słowa nie oddadzą tych okropności, ale jak napiszę, chyba będzie mi lepiej, więc się postaram. Zresztą i tak nie mogę spać, chociaż już północ. Boję się zasnąć, żeby nie mieć koszmarów.

Lubię chodzić po drzewach. Zawsze lubiłam. Mama gani mnie za to. Mówi, że uważam się za dorosłą, a wciąż łązę po drzewach jak małe dziecko. Cóż, nie wiem, czy kiedyś z tego wyrosnę i czy w ogóle bym chciała. Kiedyś będę chodzić po drzewach z własnymi dziećmi, taki mam plan. No, w każdym razie lubię siedzieć sobie na drzewach na skraju plaży zaraz za Kiss River, trochę na południe. Jedno z nich jest idealne, niezbyt wysokie, z rozłożystymi gałęziami, które około trzech metrów nad ziemią tworzą coś, co wygląda prawie jak platforma. Przychodzę tam najczęściej po szkole, wspinam się na to drzewo i zjadam sobie jabłko albo coś innego, a oprócz tego czytam. Przychodzę także nocą: wymykam się z domu i wspinam na moje drzewo, bo ten odcinek plaży patroluje Jimmy Brown, a ja lubię go obserwować. Gdyby się dowiedział, że tam jestem, to chyba bym trupem padła, ale drzewa są gęste i w nocy na pewno mnie nie zobaczy, nawet gdyby poświecił latarką dokładnie tam, gdzie siedzę.

Tak więc dzisiaj po szkole było bardzo ciepło i nie wiało tak mocno jak zawsze, a ja nie mogłam się już doczekać, kiedy wejść na moje drzewo. Zabrałam książkę, którą teraz czytam (*Grona gniewu*), i pognałam co sił w nogach. Na plaży było tyle połamanego drewna, że cały piasek pod nim prawie zniknął. Wiedziałam, że to pewnie z jakiegoś zatopionego statku. Czasami morze wyrzuca też ciała, chociaż nigdy żadnego nie widziałam. I właśnie pomyślałam, że całe szczęście, kiedy nagle patrzę, a obok kupy szczątków leży strzęp białoniebieskiego materiału. Patrzę, patrzę i w końcu okazało się, że to nie strzęp, tylko koszula – a do tego na jakimś człowieku!

W pierwszej chwili chciałam pobiec po tatę, ale doszłam do wniosku, że lepiej najpierw sprawdzę, co z tym człowiekiem, na wypadek gdyby jeszcze żył i potrzebował pomocy. Bałam się tak bardzo, że aż trzęsły mi się nogi, ale zesłam z drzewa i ruszyłam plażą w tamtą stronę, z trudem stawiając stopy pomiędzy szczątkami zniszczonego statku. To był mężczyzna. Leżał trochę dalej, już na czystym piasku, twarzą w dół. Koszula, którą widziałam, była w białoniebieskie pasy, a spodnie – brązowe. Na nogach miał też buty i skarpetki. Do śmierci zapamiętam każdy szczegół, który wtedy zobaczyłam. Wiedziałam, że ten człowiek nie żyje. Wiedziałam, lecz mimo to coś mi kazało sprawdzić, żeby się upewnić. Ostrożnie wsunęłam mu stopę pod zębra i obróciłam go na plecy. I wtedy! O mój Boże! Ktoś poderznął mu gardło! Cały przód koszuli był jedną wielką plamą brunatnej krwi i ta krew czerniała też w ohydnej, szeroko otwartej ranie pod jego brodą. Jeszcze trochę i chyba ucięliby mu głowę. Wrzasnęłam i rzuciłam

się do ucieczki. Nie do domu, nie do taty, tylko w stronę posterunku Straży Wybrzeża. Raz musiałam przystanąć, bo myślałam, że zwymiotuję, ale się powstrzymałam. Przed oczami wciąż miałam twarz tamtego człowieka.

Na miejscu natychmiast znalazłam komendanta Hewitta i powiedziałam mu o swoim odkryciu. Wsiadliśmy do służbowego jeepa (ja, pan komendant i Ralph Salmon, chłopak z Bostonu, ładny, ale nie tak bardzo jak Jimmy Brown) i wróciliśmy na plażę. Przez te szczątki, którymi była dosłownie zasypana, wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle, więc w pierwszej chwili straciłam orientację i nie wiedziałam, gdzie mamy się zatrzymać. Jeep telepał się po piasku, a ja wciąż pytałam komendanta Hewitta o jedno i to samo, co nie dawało mi spokoju: skoro tamten statek storpedowali Niemcy, a przecież mogli to zrobić z daleka, czy to oni podcięli gardło tamtemu człowiekowi? Nie odpowiadał. Prowadził i patrzył prosto przed siebie, na plażę, brwi miał zmarszczone, a usta mocno zaciśnięte. Domyśliłam się, że zastanawia się dokładnie nad tym samym, co ja.

Żadną miarą nie miałam ochoty znów oglądać tamtego człowieka, a komendant Hewitt radził mi zaczekać w samochodzie, ale nie chciałam, żeby wziął mnie za cykora, więc powiedziałam, że pójdę z nim. Musieliśmy przełazić przez różne deski i takie tam, a Ralph nadepnął na gwóźdź, na szczęście niegroźnie, bo utknął w podeszwie, ale jej nie przebił.

Kiedy znaleźliśmy zwłoki, zmusiłam się, żeby spojrzeć, i tym razem zapanowałam nad żołądkiem, natomiast Ralph nie dał rady: pobiegł do lasu (blisko mojego drzewa, za blisko!) i zwymiotował. Komendant Hewitt przykucnął obok nieboszczyka.

– On nie jest z tamtego statku – oznajmił.

– Skąd pan wie? – zapytałam. Pochyliłam się i oparłam dłonie na kolanach, jakbym bacznie mu się przyglądała. Udawałam, że się nie boję.

– Przyplływ wyrzucił te wszystkie szczątki na plażę nie dalej niż dwie godziny temu – odparł. – Zobacz, są jeszcze mokre.

Spojrzałam. Drewno wciąż ociekało wodą. Nie wiedziałam tylko, o co chodzi komendantowi.

– A ten biedak jest suchy – mówił dalej, wskazując palcem zakrwawioną koszulę. – Nawet buty ma suche. W ogóle nie był w wodzie. Poza tym zwłoki wydobyte z wody są wzdęte.

Ralph wrócił w końcu z lasu, ale niespieszno mu było do nas i nieboszczyka. Zielony na twarzy, usiadł na piasku i trzymał się z dala.

– Ten człowiek nie ma nic wspólnego ze storpedowanym statkiem – zawyrokował komendant, zabierając się do przeszukiwania jego kieszeni, w których oprócz paczki gumy do żucia Chiclets nie znalazł nic, żadnego portfela ani dokumentów. – Przyjrzyj mu się dobrze, Bess – poprosił. – Znasz tutaj wszystkich. Widziałaś go kiedyś?

Wpatrywałam się w bladą twarz nieboszczyka, uważając, żeby nie opuścić wzroku niżej, na makabryczną ranę ziejącą pod brodą. Jestem pewna, że nigdy go nie widziałam. Był młody, a ja znam wszystkich chłopaków w okolicy. Zresztą większość jest na wojnie i walczy gdzieś w Europie. Pokręciłam głową i powiedziałam, że moim zdaniem to ktoś obcy, a komendant wstał i zmierzył mnie wzrokiem.

– Wiesz co, Bess? – Uśmiechnął się do mnie. – Dzielna z ciebie dziewczyna. Żadne tam strachajło. A biedny Ralph, patrz: blady jak kreda.

Ralph wstał i podszedł kilka kroków, ale nie na tyle, żeby widzieć zwłoki. Kiedy usłyszał komendanta, oblał się gorącym rumieńcem. Przynajmniej przestał być taki zielony na twarzy! I mimo wszystko zaśmiał się jednak, więc zgadłam, że komendant tylko się z nim droczy, nawet jeśli w jego słowach było trochę prawdy.

Zapytałam komendanta, co zamierza zrobić. Odpowiedział, że zawiadomi szeryfa, który sprawdzi w rejestrze zaginionych osób; może uda się ustalić, kim jest człowiek z plaży.

– Zamordowali go tutaj – dodał z przekonaniem. – Na plaży. Inaczej na piasku nie byłoby tyle krwi.

Zamordowali go tutaj! Pod moim drzewem! Nie mam pojęcia, dlaczego sama tego nie zauważyłam, ale piasek był tak samo brunatny od krwi jak koszula tego nieszczęśnika. Wtedy dopiero złapały mnie mdłości. Już nie wiem, czy dalej będę dobrze się czuła na moim drzewie, czy będę umiała się tam odprężyć.

– Wygląda na Niemca – odezwał się nagle Ralph, pierwszy raz od wyjazdu z posterunku.

Komendant Hewitt zaśmiał się tylko.

– A jak twoim zdaniem wygląda Niemiec? – zapytał.

Ralph pokazał palcem jasne włosy i brwi zamordowanego. Wiedziałam, o czym myśli: że to niemiecki szpieg. Tutaj wszystkim się wydaje, że każdy obcy, który pojawi się w okolicy, szpieguje dla Niemców. Bo inaczej skąd U-Booty by wiedziały o każdej porze dnia i nocy, gdzie dokładnie znajdują nasze statki handlowe? Ale komendant Hewitt zbył Ralpha śmiechem.

– Ty wyglądasz tak samo – powiedział. – Blondyn, jasne brwi...

– Nie jestem szwabem! – zawołał Ralph i chyba się zdenerwował. Komendant nie zwrócił na to uwagi.

– Odprowadzimy cię do domu, Bess – zwrócił się do mnie.

– Dam sobie radę. Nie boję się – odparłam, chociaż na myśl o drodze przez las ciarki przeszły mi po plecach. Po krótkiej dyskusji stanęło na tym, że odprowadzą mnie kawałek. Komendant Hewitt kazał mi powiedzieć tacie o tym człowieku, bo to się stało bardzo blisko latarni.

– A ty uważaj na siebie – dodał. – Nie wiem, czemu tego biedaka spotkał taki los, ale jedno jest pewne: w okolicy grasuje morderca.

Poszłam do domu. Dziwne, ale nie przyszło mi to do głowy. Że w okolicy jest morderca. Tak się zafiksowałam na tym, że człowiek z podciętym gardłem płynął na statku, który storpedowali Niemcy, więc musiał zginąć z ich ręki. Ale komendant Hewitt miał rację. Wśród nas jest morderca.

Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, tato zamknął dom na klucz, kiedy kładliśmy się spać. Mama cały czas mocno mnie przytulała i wiedziałam, że w nocy będą mieli na mnie oko, więc nie dam rady się wymknąć i popatrzeć, jak Jimmy Brown patroluje wybrzeże. To nic. Nie wiem, czy w ogóle jeszcze kiedyś zdobędę się na odwagę, aby pójść na plażę po ciemku.

Rozdział jedenasty

Nocą ten dom miał w sobie coś niepokojącego. Czasami Clay budził się i słyszał, jak ocean grzmi i huczy tuż pod oknem, jak gdyby w ciemnościach podchodził bliżej. Ale jeśli Clay wstawał z łóżka i szedł do łazienki albo schodził na dół, by się czegoś napić, okazywało się, że we wszystkich wnętrzach zalega niesamowita cisza. Miał wtedy wrażenie, że w ciemnych kątach ktoś się czai. Ktoś albo coś.

W kwietniu Lacey wyjechała na urlop i Clay musiał spędzić cały tydzień w pojedynkę; nie przyznałby się do tego nikomu, ale cieszył się, że ma ze sobą psa. Gdyby tam był sam jak palec, w tej głuchej ciemności mógłby już do końca stracić rozum.

We wtorek obudził się o pierwszej w nocy, z pełnym pęcherzem. Zacisnął powieki i próbował zasnąć z powrotem, wiedział jednak, że to próżny trud.

Kiedy wstawał z łóżka, Sasza leżący w kącie poruszył się, ale wydał z siebie tylko jeden psi pomruk i spał dalej. Clay niepewnym krokiem wyszedł z pokoju, nastawiając się na to, że zaraz oblepi go nocna cisza tego domu. Nie tym razem: z pokoju siostry dobiegały jakieś szmery. Przystanął, zaniepokojony, że Lacey źle się poczuła, ale rozpoznał stłumione namiętne jęki i rytmiczne poskrzypywanie łóżka. Szybko minął jej drzwi i poszedł do łazienki.

Kto u niej był? Łazienka przylegała do pokoju Lacey i wszystko było tam słychać. Clay poczuł się tak, jakby podsłuchiwał siostrę – zresztą nie po raz pierwszy, odkąd zamieszkali tutaj razem – więc odkręcił wodę w umywalce, żeby zagłuszyć te odgłosy. Może jesteś zazdrosny, że Lacey ma kogoś, a ty nie? W sumie cieszyłby się, gdyby rzeczywiście tak było, lecz niestety, chodziło o coś innego. Otóż niepokoiło go, że Lacey jest obojętne, z kim idzie do łóżka. Clay zastanawiał się, kogo teraz przyprowadziła, ale najprawdopodobniej nie był to ten sam mężczyzna co w zeszłym tygodniu.

Rano znalazł siostrę na tyłach domu, na przeszklonej werandzie zalanej barwami witraży. Była z nią Gina. Lacey siedziała przy stole roboczym, w palcach miała nóż do szkła, a przed nią leżała przejrzysta płytką ciemnobłękitnej barwy kobaltu. Często wstawała wcześniej, tak jak dziś, żeby trochę popracować przed wyjściem do przychodni dla zwierząt. Gina, oparta o wąski pas ściany pomiędzy dwoma oknami, jadła brzoskwinie i przyglądała się, jak Lacey pewnymi ruchami prowadzi ostrze po szkłe. Z rana ciemne włosy Giny były lśniące i proste, ale po wyjściu z domu wilgotne powietrze szybko robiło swoje. Padało na nią z jednego z wiszących w oknach witraży i cała jej postać była skąpana w złocie i czerwieni. Clay z trudem oderwał od niej wzrok, aby spojrzeć na siostrę. Chciał zapytać, kogo tym razem przyprowadziła na noc, ale nie uśmiechało mu się robić tego przy Ginie, bo taka rozmowa mogła skończyć się kłótnią.

– Wczoraj wieczorem, kiedy byliśmy u taty, Gina szukała w morzu soczewki – odezwała się Lacey.

– Chyba ktoś ją wydobyl – powiedziała Gina. – Bo nie mogłam jej znaleźć.

– A jak szukałaś? – zapytał Clay.

– Weszłam do wody – wyjaśniła z dumą.

Zaśmiał się i oparł o framugę drzwi, krzyżując ramiona na piersi.

– To jest spory obszar – zauważył. – Nie sądzę, żeby ta soczewka tak łatwo dała się namierzyć.

– Na dnie leży wiele fragmentów muru latarni – odparła Gina. – Czuję je pod stopami i sprawdziłam każdy, ale żaden w dotyku nie przypominał szkła. – Najwidoczniej dostrzegła w jego oczach powątpiewanie, bo ciągnęła, jakby chciała się usprawiedliwić: – Szukałam metodycznie. Szłam albo płynęłam po łuku dookoła latarni i za każdym nawrotem zwiększałam promień tego łuku.

Lacey potrząsnęła głową, a gdy uniosła wzrok znad witraża, na jej twarzy widniał szeroki uśmiech, ukazujący dołeczki w policzkach.

– Czy ona ci przypadkiem kogoś nie przypomina? – zapytała brata.

Clay przytaknął, wiedząc, że oboje myślą o swoim ojcu i jego dawnej fascynacji latarnią w Kiss River.

– Masz obsesję – wytknął Ginie, a ona tylko wzruszyła ramionami. Zdaje się, że nie była w stanie zaprzeczyć.

– Mówiłem ci – przypomniał – że to był piekielnie silny sztorm. I jestem całkowicie pewien, że nikt nie wydobyl tej soczewki. Wiedzielibyśmy o tym.

Gina przełknęła ostatni kęs brzoskwini i zawinęła pestkę w wyciągniętą z kieszeni serwetkę.

– No cóż – powiedziała. – Jadę dzisiaj porozmawiać z dwoma starszymi panami, którzy kiedyś działali w komitecie przyjaciół latarni. To moja ostatnia nadzieja.

– A z kim mianowicie? – zainteresowała się Lacey.

– Chodzi ci o Waltera i Briana, tak? – zapytał Clay. – Jedziesz do Shorty's?

Gina skinęła głową.

– Wasz ojciec powiedział, że tam ich znajdę. Tylko że nie wiem dokładnie, gdzie to jest.

Lacey odwróciła się od stołu i dała jej kilka prostych wskazówek, a potem spojrzała na Claya.

– Czy Henry wybiera się tam dzisiaj?

Clay potwierdził, po czym zerknął na Ginę.

– Spotkasz tam dziś pewnie dziadka mojej żony – uprzedził ją. – Zabieram go po drodze do pracy i zostawię tam na cały dzień. Siedzą sobie we trójkę, razem z Walterem i Brianem.

– O, to miło. – Gina wyglądała na lekko zdezorientowaną i Clay zaczął się zastanawiać, czy nie powinien powiedzieć jej czegoś więcej. Ile zdążyła już usłyszeć od Lacey podczas babskich pogaduszek? Wiedziała, że Terri nie żyje? Zamiast jednak coś dodać, zwrócił wzrok na siostrę.

– Kto był u ciebie w nocy? – zapytał, siląc się na swobodę.

Drgnęła zaskoczona, ale wykonała jeszcze jedno staranne nacięcie, zanim odwróciła się do niego.

– Josh. I Pirat – powiedziała.

Clay odetchnął nieco spokojniej. Lacey przedstawiła mu Josha przed kilkoma tygodniami; wyglądał na porządnego faceta.

– Jaki pirat? – zainteresowała się Gina.

– To jego labrador. Żółty. Cudny pies. – Lacey obejrzała się na brata. – Josh prosi, żebym cię zapytała, czy zrobiłbyś Piratowi test pod kątem pracy ratowniczej.

Wkurzyło go to.

– Już się tym nie zajmuję – oznajmił ostrzegawczym tonem, który sam dobrze słyszał. Lacey wiedziała, że nie należy go o to pytać, a on nie chciał się z nią kłócić na oczach Giny.

– Tylko test – powtórzyła, jak gdyby właśnie liczyła na to, że przy gościu Clay nie będzie się

opierał. – On ci zapłaci. Pirat dobrze rokuje. Na razie to jeszcze taka mała gapa, ale ma dużo energii i szybko się uczy. Moim zdaniem taki temperament...

– Hej, O’Neill, dotarło do ciebie? – wszedł jej w słowo. – Ja już się tym nie zajmuję.

– Oj, daj spokój, Clay. – Zrobiła błagalną minę. – Dasz się zmarnować zwierzęciu, które ma potencjał na świetnego psa ratowniczego? Ma z niego być zwykły...

– A czy nie ma innych szkoleniowców? – odezwała się Gina. Clay był zaskoczony, że stanęła po jego stronie.

– Są, ale nie tutaj, na miejscu – odpowiedziała Lacey. – A poza tym żaden nie umywa się do Claya.

– Teraz to ja sam się nie umygam. – Zaśmiał się drwiąco. – Przestań mi suszyć głowę, dobrze?

Zapadła niezręczna cisza. Clay przelotnie spojrzął Ginie w oczy, ale jej mina nie zdradziła mu niczego.

– Z tym Joshem to coś poważnego? – zagadnął Lacey z nadzieją, że ten temat będzie bezpieczniejszy.

– Nie – mruknęła z nosem w swoim szkłe.

– A wydawał się całkiem do rzeczy. Czemu nie możesz znaleźć sobie jednego porządnego faceta na stałe?

Lacey odłożyła nóż na brzeg stołu i uniosła głowę. Długie rude włosy rozsypały się jej na ramionach.

– Bo nie chcę mieć jednego faceta, czy będzie porządny, czy nie – odpowiedziała. – Jak cały czas masz jednego, to on zaraz chce się żenić, i co wtedy?

– A nie o to chodzi kobietom? – zdziwił się Clay. – O ślub, dzieci?

Lacey i Gina jednocześnie wybuchnęły śmiechem, jakby miały jakąś wspólną tajemnicę.

– Dzieci jeszcze mogą być – powiedziała Gina. – Ale ślub? Dziękuję, postoję.

– Dlaczego wszyscy faceci myślą, że ślub to największe marzenie kobiety? – Lacey obejrzała się na nią. – Wiesz, czym się różni facet od porodu?

Gina usiadła pod oknem, na krześle z wysokim, prostym oparciem.

– Czym?

– Przy facecie strasznie się męczysz, a przy porodzie tylko rodzisz dziecko.

Gina parsknęła. Kiedyś Clay też by się zaśmiał, ale ostatnimi czasy dowcipy o mężczyznach – i w ogóle żadne dowcipy – zupełnie go nie bawiły.

– A dlaczego tak trudno znaleźć czułego, wrażliwego, przystojnego faceta? – zapytała z kolei Gina.

– No? – Lacey uniosła brwi.

– Bo każdy ma już swojego.

Lacey jęknęła, ale w dwie sekundy była gotowa z ripostą.

– Po co facet wymyśla imię dla swojego członka?

Gina potrząsnęła głową, ale uśmiech już igrał na jej ustach.

– Żeby... – Lacey zawiesiła głos, celowo grając na zwłokę – ...żeby być po imieniu z tym, który o wszystkim decyduje.

Gina zachichotała.

– Może już dość tego jechania po facetach z rana, co? – odezwał się Clay z rozdrażnieniem.

– Odbijamy sobie stulecia jechania po kobietach – odcięła się Lacey, ale Ginie było naprawdę przykro.

– Wybacz, Clay. – Pochyliła się w jego stronę. – Pamiętaj, że kiedy kobiety wyśmiewają się

z mężczyzn, zawsze stoi za tym strach.

– Jak to? – zdziwił się.

– Mechanizm obronny – wyjaśniła. – Humor maskuje poczucie krzywdy, rozumiesz. Pomaga radzić sobie ze strachem.

– Mów za siebie – wtrąciła Lacey, ale Clay patrzył Ginie prosto w oczy. Nie wiedzieć czemu po jej słowach coś chwyciło go za gardło. Może tak na niego podziałała ich prostota, a może fakt, że Gina bez oporów przyznała się, że zrobiła coś, co go wkurzyło.

– Ja raczej nigdy nie będę miała męża i dzieci – powiedziała Lacey, wracając do tematu, który dał początek dowcipom.

– Czemu? – zapytała Gina.

– Bo bym je źle wychowała. – Lacey uniosła na nią wzrok. – Albo bym umarła i zostałyby same.

No nie, pomyślał Clay. Nagle rozmowa zrobiła się, jak na jego gust, zbyt poważna.

– Jadę do pracy – rzucił szorstko. – Miłego dnia.

Wyszedł z werandy. Spieszyło mu się do Henry'ego. Zateęsknił za normalną, bezpieczną rozmową o pogodzie, krabach i domowych naprawach w drodze na drugi koniec wyspy, do Shorty's.

Ale Gina dogoniła go w kuchni.

– Clay! – zawołała za nim, zbliżając się szybkim krokiem.

Odwrócił się.

– To nie było w porządku z mojej strony wyśmiewać się z małżeństwa. – Wyciągnęła rękę i dotknęła palcami jego ramienia. – Bardzo cię przepraszam. Nie pomyślałam. Po prostu miałam kiedyś męża i trwało to kilka lat, ale nie układało się nam. Domyślałam się, że twoje małżeństwo było świetne. Jak mało które. Bardzo ci współczuję.

– Dzięki. – Położył dłoń na jej dłoni i zanim ją cofnął, pod ciepłą skórą wyraźnie czuł jej drobne kości. Nie miałyby nic przeciwko, aby trwało to trochę dłużej, chętnie wzięłby ją za rękę, objął jej dłoń palcami. Ale uśmiechnął się tylko i odsunął o krok, a potem pchnął siatkowe drzwi i wyszedł na werandę.

Miło, że tak powiedziała, myślał, idąc przez piaszczyste podwórko do stojącego na parkingu samochodu. Tak, to było miłe, ale jego małżeństwo wyglądało zupełnie inaczej.

Rozdział dwunasty

Gina zatrzymała samochód przed barem. Budynek już z daleka prosił się o remont, a mimo to na parkingu trudno było znaleźć wolne miejsce. Wiszący na pokrytej szarym sidingiem ścianie szyld wyblakł od słońca. *Shorty's*, głosił napis. Cały ten widok w jakiś dziwny sposób sprawił, że Gina uśmiechnęła się i poczuła jak w domu. Dorastała w jednej z północnych dzielnic Bellingham, miejscu o zasłużeniu złej sławie, gdzie fabryki ścieru drzewnego nad zatoką było doskonale widać i czuć. Stał tam niejeden zdewastowany budynek, taki jak ten bar.

Wysiadła z dusznego auta, w którym wciąż coś stukało, i cały czas układała sobie w myślach, co powie ludziom, których miała nadzieję tutaj zastać. Schody prowadzące do drzwi od frontu wyglądały na stare i wysłużone, ale kiedy weszła na stopnie, okazało się, że są solidne. U ich szczytu stał jakiś mężczyzna, który otworzył przed Giną drzwi.

– Dzięki – powiedziała. Mijając go, poczuła, że jego ubranie zalatuje rybą.

Po wejściu stanęła obok kasy. W tym gwarnym wnętrzu, gdzie było jasne, że wszyscy się znają, na moment straciła pewność siebie, ale to nieprzyjemne uczucie szybko minęło. Było głośno: rozmowy mieszały się z brzękiem naczyń, a w tle brzmiała jakaś muzyka. Przed sobą Gina miała długi bar, przy którym siedzieli głównie mężczyźni, a po bokach – rzędy stolików. Dalej ciągnęły się boksy. Po lewej kilku klientów płaciło przy kasie za posiłek. Światło było słabe, a panele na ścianach – ciemne od tłustego brudu. W powietrzu unosił się intensywny zapach smażonych krążków cebulowych. Gina poczuła, że ślina nabiega jej do ust.

Gdy weszła, nikt nawet nie podniósł głowy znad talerza, nie przerwał rozmowy – nikt też nie zainteresował się, czy szuka stolika. Dokładnie po lewej, na kontuarze obok kasy, stał olbrzymi stół pełen banknotów pięcio- i dziesięciodolarowych. Przylepiono na nim taśmą kartkę z napisem „Loteria »Pół na pół«, losowanie w niedzielę 7 lipca”, a pod spodem: „Dochód z loterii zasili fundusze kryzysowego telefonu zaufania. Informacje u Lacey O’Neill”. Na sztywnej karteczce opartej o stoik widniały dwie kwoty: 676 \$ przekreślono i z boku wpisano 780 \$.

Gina nie miała w sobie żyłki do hazardu i nigdy w życiu niczego nie wygrała, ale w sytuacji, gdy z pieniędzmi było u niej krucho, szansa na łatwy, a w dodatku niezły zarobek – trzysta dziewięćdziesiąt dolarów – była kusząca. Nazwisko Lacey też zrobiło swoje, bo podeszła bliżej.

– Ile to kosztuje? – zagadnęła kasjerkę, wskazując potężny stół.

– Pięć dolarów za sześć losów – odpowiedziała kobieta. Miała około czterdziestu lat, ostre rysy i opaloną skórę. Jej krótkie blond włosy wyglądały na ułożone palcami po wyjściu spod prysznic.

Gina wsunęła pięciodolarowy banknot przez szczelinę w białym metalowym wieczku i dostała od kasjerki sześć losów, które położyła na barze i podpisała swoim nazwiskiem. Starła się przy tym nie przeszkadzać płacącym. Ponieważ nie знаła telefonu, pod spodem napisała po prostu: „Kiss River, dom latarnika”. Oddając losy kasjerce, zauważyła jeszcze jedną kartkę, tym razem

na ścianie za kasą: „Przyjmiemy kelnerkę”.

I znów się uśmiechnęła. Już od dawna nie była w takim miejscu, ale kiedyś – jeszcze dawniej – pracowała jako kelnerka w barach bliźniaczo podobnych do tego. Tak zarabiała na życie podczas studiów, a żaden z tych lokali nie był w niczym lepszy od Shorty’s. Ma się rozumieć, nie przyjechała do Karoliny Północnej z myślą o pracy. Planowała krótki pobyt i szybki wyjazd z pieniędzmi w rękę, a przynajmniej z informacją potrzebną do ich zdobycia. Ale skoro już tutaj była, to nic nie stało na przeszkodzie, aby trochę zarobić. Co prawda jeśli miała wrócić do kelnerowania, to lepiej zaczepić się w jakimś eleganckim lokalu, gdzie jest duży ruch i można więcej wyciągnąć, ale ta mała, za to gwarna knajpa miała w sobie coś podnoszącego na duchu. Gina poczuła, że chce tutaj być.

Pochyliła się nad barem, aby zagadnąć kasjerkę.

– Z kim mogę porozmawiać o pracy tutaj?

– Ze mną. – Zdziwiona kobieta uniosła brwi. – Jestem Frankie. – Podała resztę klientowi.

– Gina Higgins. Mam doświadczenie w takiej...

– Możesz zacząć dzisiaj? – Frankie wzięła rachunek od następnego klienta.

– Ha! – zaśmiała się Gina, zaskoczona. – Dzisiaj nie, jutro. W jakich godzinach?

– Do wyboru – odpowiedziała Frankie, stukając w klawisze kasy. – Potrzebuję kogoś od ósmej do trzeciej albo od obiadu do jedenastej. Obiady zaczynamy podawać...

– Wolę rano – wpadła jej w słowo Gina. – Mogą być cztery dni w tygodniu?

– Pięć, i w weekendy też pracujesz. Wolne bierzesz, kiedy ci pasuje.

– W porządku – zgodziła się Gina. Zawahała się, czy powiedzieć Frankie, że wkrótce stąd wyjedzie, ale uznała, że to jej raczej nie obchodzi. Miała wrażenie, że przyjmuje do pomocy wszystkich chętnych, na tak długo, jak tylko się da.

Obok przeszła młoda dziewczyna, jedna z kelnerek pracujących na sali. Niosła tacę z pełnymi talerzami, trzymając ją nad głową, żeby o nikogo nie zawadzić. Była ubrana w szorty i koszulkę z krótkim rękawem.

– Mam się jakoś konkretnie ubierać? – Gina obejrzała się na Frankie.

– Zakryte buty. – Kasjerka nie uniosła nawet głowy. – Tyle. Reszta według uznania.

– Dzięki. Będę jutro, o ósmej rano.

No, to był dopiero pełny spontan, pomyślała, odchodząc od kasy. Stanąwszy z powrotem na środku gwarnego i rojnego baru, starała się przypomnieć sobie, gdzie Lacey kazała jej szukać Liscotta i Cassa: „w małej sali na zapleczu, ale nie z tyłu, tylko z boku głównej sali”. W głębi po lewej dostrzegła otwarte drzwi, więc skierowała się w tamtą stronę, lawirując pomiędzy stolikami i boksami. I gdy stanęła w progu, wiedziała od razu, że dotarła na miejsce.

Było tam mniej hałasu, a więcej przestrzeni niż w głównej części lokalu. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się szereg okien, które zalewały wnętrze słonecznym blaskiem. W tym świetle widać było smużki dymu unoszące się w powietrzu. Grała tam też jakaś muzyka, niezbyt głośna, ale z mocnym pulsem, aż twarde deski podłogi wibrowały pod stopami. Stoliki ustawiono gdzie popadnie, a pod jedną ze ścian większość miejsca zajmował stół bilardowy. Uwagę Giny zwrócił jeden z grających akurat mężczyzn, młody, przystojny i muskularny brunet z tatuażami pokrywającymi całe ręce. Kiedy weszła do małej sali, on i paru innych obejrzało się. Przez chwilę czuła na sobie kilka taksujących spojrzeń. Gina miała świadomość swojego wyglądu. Wiedziała, że natura obdarzyła ją wyjątkową urodą, i starała się to zakamuflować luźnym T-shirtem i spodniami związanymi tasiemką, ale ci faceci umieli rozbierać wzrokiem. Nie zwracając na nich uwagi, zaczęła się rozglądać po zasnutym mglistym dymem wnętrzu, aż

wreszcie w rogu sali wypatrzyła trzech starszków zgarbionych nad szachownicą. Jeden z nich miał na nosie okulary i był prawie całkiem łysy; siedział na wózku inwalidzkim i strugając kawałek drewna, przyglądał się grze pozostałej dwójki. Boże, pomyślała Gina, czy takich trzech dziadków da radę mi pomóc? Podeszła bliżej.

Jeden z grających, elegancki starszy pan w białej koszuli i krawacie w niebieskie prążki, obejrzał się na nią.

– Moje uszanowanie – powiedział.

– Dzień dobry. – Gina uśmiechnęła się do niego. – Szukam Waltera Liscotta i Briana Cassa.

Łysy starszek strugający drewno podniósł głowę i uniósł się z wózka.

– Ja jestem Walter, młoda damo – przedstawił się. – A to jest...

– Proszę nie wstawać. – Wyciągnęła rękę, by go zatrzymać, a on powoli opadł z powrotem na siedzenie.

– Brian Cass to ten tutaj. – Machnął ręką w stronę drugiego szachisty, mężczyzny o przystojnych, subtelnych rysach, srebrnych włosach – w niejakim nieładzie – i zażawionych błękitnych oczach. Odczekawszy, aż kolega ukłoni się Ginie, wskazał z kolei eleganta pod krawatem: – A to Henry Hazelwood.

– Aha, to pan jest... – zająknęła się, szukając właściwego określenia tej rodzinnej relacji. – Dziadkiem żony Claya – dokończyła.

– Zna pani Claya? – zapytał Henry.

– Znam. Wynajmuję pokój w domu latarnika, u niego i Lacey.

– Co pani powie? – zdziwił się. – Nic mi nie wspominał, że mieszka u nich ktoś o tak ujmującej aparycji.

Gina uśmiechnęła się szeroko.

– Nie chciałabym panom przeszkadzać w grze – powiedziała – ale czy mogłabym prosić... – spojrzała na Briana, potem na Waltera – ...o chwilę rozmowy?

– Przyniosę krzesło. – Brian Cass wstał od stolika. Gina już chciała go wyręczyć i sama pójść po krzesło, ale najwidoczniej nie sprawiało mu to najmniejszego problemu. – Grasz w szachy, dziecino? – zapytał, kiedy usiadła obok niego.

– Nie mów do pani „dziecino” – ofuknął go Walter, posyłając Ginie rozbawione spojrzenie. Odpowiedziała uśmiechem.

– Grałam ze dwa razy w życiu – bąknęła. – Dawno temu. I nie szło mi za dobrze.

– Twój ruch – rzucił Henry do swojego przeciwnika.

– Choroba, co ci tak spieszo? – odwrócił Brian. – Chyba ktoś się do nas przysiadł, tak?

Gina spojrzała na trzeciego, który wciąż rzeźbił.

– Będzie pan grał ze zwycięzcą, panie Liscott?

– Owszem. – Starszy pan zestrugał gruby wiór z trzymanego w dłoni kawałka drewna, który powoli przybierał kształt kaczki. – I dam mu popalić. A w ogóle proszę mi mówić Walter, bo czuję się jak stary grzyb.

– To będzie taka kaczka jak tamte? – Gina skinęła dłonią na półki pod sufitem małej sali, gdzie stały rzędy drewnianych wabików.

– Mhm – przytaknął. – Zresztą tamte też są moje – dodał, nie bez dumy w głosie.

– Naprawdę? – Wstała z krzesła, aby przyjrzeć się kunsztownie malowanym ptakom.

– Szkoda, że w szachy tak dobrze mu nie idzie – mruknął Brian Cass.

Wszyscy mówili z podobnym akcentem. Każde zdanie czuć było solą. Solą i syropem.

– Można zapytać – odezwał się Henry Hazelwood, odwracając wzrok od szachownicy – skąd

pani pochodzi?

– Z Waszyngtonu. – Usiadła z powrotem. – Przyjechałam tutaj na krótko.

– Ze stolicy? – dopytał Walter.

– Nie, ze stanu Waszyngton. – Upomniała się w myślach, że tutaj, w Karolinie Północnej, kilkaset kilometrów od Dystryktu Kolumbii, nie może zapominać o tym szczególe.

– Byłem tam kiedyś... – Brian Cass pokiwał głową. – Ileż to już... No, trochę czasu minęło. Pięknie tam jest. W Seattle. Wjechałem na wieżę, co na samej górze ma latający spodek. Jesteś stamtąd?

– Z Bellingham – odparła. – To niedaleko.

– I wody dużo – mówił dalej Brian. – Byliście tam kiedyś? – zapytał swoich kompanów, ale oni pokręcili tylko głowami.

– Jeśli dużo wody, to dla mnie może być – rzucił Henry.

– I czym się pani tam zajmuje? – chciał wiedzieć Walter.

– Jestem nauczycielką. I badam historię latarni morskich.

– Co pani powie? – Henry skinął głową, wskazując kolegów. – Dobrze pani trafiła, bo ci dwaj o latarniach wiedzą wszystko.

– Najbardziej interesuje mnie Kiss River – powiedziała Gina. – A szczególnie wydobycie z oceanu fresnelowskiej soczewki, która przepadła podczas wielkiego sztormu.

Brian Cass i Walter Liscott wymienili spojrzenia.

– I widzę, że lubisz też walić głową w mur – mruknął ten pierwszy.

– Czemu tak mówisz? – przyganił mu Henry. – Daj dziewczynie dokończyć.

– Czemu tak mówię? – powtórzył Brian. – Bo cholerny tatulek twojego wnuka nie chce o tym słyszeć, a jest uparty jak osioł.

Znów to samo, jęknęła Gina w duchu. Dopóki nie wyjadę z Outer Banks, Alec O'Neill będzie zmorą mojego życia.

– Poznałam doktora O'Neilla – wtrąciła taktownie. – Nie był skory do pomocy, to prawda, ale skierował mnie do panów.

Walter poruszył się na wózku, odłożył na wpół ukończoną kaczkę na stół.

– Proszę posłuchać, panienko – powiedział. – Brian i ja nie mamy większych marzeń niż wydobycie tej soczewki z oceanu. I chcielibyśmy ją obejrzeć na jakiejś wystawie albo w muzeum.

– Rozumiem – przytaknęła Gina.

– I gdyby to było możliwe bez wsparcia Aleca – ciągnął starszek – to już dawno byłoby po sprawie.

– Walter ma rację, chyba pierwszy raz w życiu – dodał Brian Cass. – Nie wiem, czy możemy pomóc. Tylko Henry'ego łączą rodzinne koneksje z Alekiem, ale Henry ma w nosie tę latarnię, prawda, Henry?

– Dopóki mogę łapać kraby i oglądać teleturnieje, owszem, to prawda – przyznał Henry.

– No właśnie – westchnął Walter Liscott. – A Brian i ja dobiegamy osiemdziesiątki. Nie sądzę...

– Ty już dobiegłeś i przebiegłeś – wszedł mu w słowo Brian Cass. Walter nie zwrócił na niego uwagi.

– Nie wiem, jak moglibyśmy pomóc. Powiem tylko – obrzucił ją baczny spojrzeniem – że bardzo byśmy chcieli, żeby się udało. Ta latarnia to kawał historii.

– Jeszcze jaki kawał. – Pokiwał głową Brian. – To grzech pozwolić, żeby coś takiego leżało na

dnie oceanu.

– Zgadzam się – przytaknęła Gina. – No dobrze, proszę mi poradzić, co robić. – Pochyliła się ku swoim rozmówcom, niemalże muskając podbródkiem figury na szachownicy. – Stanę na głowie, żeby to zrealizować.

– Po pierwsze – zaczął Brian Cass – powinnaś jeszcze raz pogadać z Alekiem O’Neillem. Nas to on nie chce nawet słuchać, bo my jesteśmy uparte, głupie dziady, ale taka ładna dziewczyna może da radę go przekonać.

– Nie rozumiem, dlaczego Alec tak się zawziął, żeby soczewka została tam, gdzie jest – mruknął Walter Liscott, zabierając się z powrotem do strugania. – Najpierw poświęcał mnóstwo czasu na ratowanie latarni w Kiss River. Tylko latarnia i sen, nie robił nic innego. A potem nagle do widzenia, wszystko ma zostać tak, jak jest.

– Pewnie po prostu dobiło go to wszystko. Tak się napracowaliśmy, żeby ją ratować, a jeden sztorm ją rozwalił – westchnął Brian.

– Słyszałam, że komitet przyjaciół latarni bardzo wiele zdziałał – wtrąciła Gina. – Ale tak naprawdę to mało o tym wiem.

Brian Cass i Walter Liscott na wyścigi zaczęli jej wyliczać, czego przed laty dokonał ich kolektyw.

– Mieli ją przestawić – powiedział Walter, kręcąc głową. – Wtedy byłem temu przeciwny. Bałem się, że ją zniszczą w trakcie tej operacji. Ale teraz, kiedy to samo zrobili z latarnią w Hatteras, doszedłem do wniosku, że mieli rację. Żałuję, że nie pomagałem przeforsować tego pomysłu.

Z drugiego końca sali dobiegły głośne śmiechy. Starszy pan obejrzał się na grających w bilard.

– Kiedy latarnia się rozleciała, płakałem jak małe dziecko – podjął po chwili. – I zaproponowałem, że można by przynajmniej sprawdzić, czy soczewka zachowała się w dobrym stanie. Alec oznajmił wtedy, że nie ma mowy. A co on powie, to święte.

– Może i święte, ale bogiem to on chyba nie jest? – Gina zmieszała się po tych słowach, jak gdyby wymyknięto się jej bluźnierstwo.

Panowie nie spieszyli się z odpowiedzią; chyba żaden nie chciał pierwszy jej przytaknąć.

– Owszem, Alec nie jest bogiem – mruknął w końcu Walter. – Ale tak po prawdzie to ludzie go tutaj bardzo szanują i nikt nie wystąpi przeciwko niemu.

– Dajmy jej namiar do Billa Keysa – odezwał się Brian.

– Niezły pomysł – zgodził się Walter, sięgając do kieszeni po długopis. Napisał coś na serwetce i podał ją Ginie. – Niech pani zadzwoni do Towarzystwa Przyjaciół Latarni Morskich i poprosi do telefonu tego człowieka. On panią poprze, ale przede wszystkim należy wrócić do Aleca i spróbować go przekonać.

– Próżny trud – zauważył Brian Cass, odwracając wzrok do szachownicy. Kiedy Gina wstała, żeby się pożegnać, oderwał się jednak od gry.

– Zajrzyj do nas jeszcze kiedyś, dziecino, dobrze? – poprosił.

– Taki właśnie mam zamiar – uśmiechnęła się. – Od jutra zaczynam tu pracę.

Rozdział trzynasty

Czwartek, 26 marca 1942

Zeszłej nocy w końcu zebrałam się na odwagę i wróciłam na moje drzewo, żeby popatrzeć sobie z ukrycia, jak Jimmy Brown patroluje plażę. Upłynął już cały tydzień, odkąd znalazłam nieboszczyka na piasku, a dopiero teraz przestała mi się śnić jego blada twarz i makabrycznie rozplątane gardło. Nikt nie wie, kto to jest, skąd przyjechał ani co tak naprawdę go spotkało; wszyscy trzęsą się ze strachu przed mordercą, który wciąż jest wśród nas.

Tak czy owak, w nocy spotkała mnie niespodzianka. Wymknęłam się z domu około jedenastej, a idąc przez las, miałam niezłego pietra, słowo daję! Na szczęście pełnia księżyca już blisko, więc było całkiem jasno i nie denerwowałam się aż tak bardzo. Na plaży nie zauważyłam nikogo, ale mimo to wspięłam się na moją ulubioną gałąź jak najciszej. I wtedy pokazał się chłopiec na patrolu. Zorientowałam się od razu, że to nie Jimmy. Był wyższy i poruszał się inaczej. Ależ byłam zawiedziona! Czułam się tak, jakby przez ten tydzień wszystko się pozmieniało, a mnie nikt o tym nie uprzedził, bo niby z jakiej racji mieliby informować czternastoletnią dziewczynę, że coś się dzieje. Najpierw wydawało mi się, że to Teddy Pearson, ale potem dotarło do mnie, że ten chłopak musi być nowy, bo widziałam go po raz pierwszy. Z daleka jego mundur wydawał się ciut przymały. Spodnie ledwo sięgały mu kostek. Przeszedł plażę i zniknął za drzewami, ale zaraz pojawił się z powrotem. Na szyi dyndała mu lornetka, którą co jakiś czas unosił do oczu, aby przyjrzeć się nielicznym białym światłom na horyzoncie.

Obserwowałam go przez kilka minut, strasznie niezadowolona, że to nie Jimmy, kiedy nagle coś zaszeleściło pomiędzy drzewami, gdzieś po prawej. Strach mnie chwycił za gardło, bo od razu przypomniał mi się morderca z plaży, i wyobraziłam sobie, że zabije tego chłopaka na moich oczach. Za chwilę jednak przekonałam się, że hałas spowodował zupełnie ktoś inny. Nowy wodołaz odwrócił się w tamtym kierunku. A pomiędzy drzew wykuśtykał mały żrebaczek na krzywych nóżkach. Od razu było jasne, że to dziki mustang. Tyle że tamten najwyraźniej nie miał o tym pojęcia. Wyciągnął rękę i ruszył w kierunku konika. Wariat, pomyślałam, sztywniejac na całym ciele, bo wiedziałam, co się zaraz stanie. Ten chłopak był ciemny jak tabaka w rogu. Chciałam krzyknąć, ostrzec go, ale się bałam. Nagle, tak jak się spodziewałam, rozległo się wściekłe rżenie, zadudniły kopyta i pomiędzy drzew wypadła klacz. Sadziła prosto na wodołaza, który poderwał głowę i chociaż był dość daleko, zobaczyłam na jego twarzy przerażenie. Nie mogłam się nie zaśmiać, kiedy obrócił się na pięcie i popędził prosto do wody, a potem potknął o własne nogi i fale przykryły go razem z głową.

Wiem, że postąpiłam bezmyślnie, ale zeskoczyłam z drzewa i wybiegłam na plażę, machając rękami, żeby odwrócić uwagę klaczy od tego biedaka. Oczywiście wtedy skoczyła w moją stronę, ale zdążyłam szybko wspiąć się z powrotem na moje drzewo. Pechowy wodołaz wstał, cały mokry. Chwiał się na nogach i pewnie nie rozumiał, co właściwie go spotkało. W końcu

klacz się uspokoiła i jakby w ogóle nic się nie stało, pobiegła ze źrebakiem do lasu. Chłopak chciał wrócić na brzeg, ale słabo mu to szło. Nasiąknięty słońcą wodą mundur musiał ważyć ze sto kilo, zatrzymał się więc i tak stał, starając się nie przewrócić. Patrzył przy tym prosto na moje drzewo.

– Złaż stamtąd! – wrzasnął na mnie. – Kto ty w ogóle jesteś?

Zrobił jeszcze kilka kroków, wytoczył się na brzeg. I padł nosem w piasek, bo mokry mundur pociągnął go w dół jak kotwica.

Uznałam, że nie mam innego wyjścia, muszę zleźć z drzewa i iść na plażę. Kiedy się zbliżyłam, młody wodołaz wciąż leżał na piasku, ale nadal próbował się podnieść. Od razu zrozumiałam, że nie chodzi tylko o przemoczone ubranie; nie mógł ustać, bo cały trząśł się ze strachu. Zapytałam, czy nic mu się nie stało, a gdy wreszcie dał radę unieść się na kolana, zapytał:

– Co ty tutaj robisz, do diabła?

Wyjaśniłam, że jestem córką latarnika i lubię przychodzić wieczorem na tę plażę, żeby posiedzieć na moim ulubionym drzewie. Popatrzył na mnie jak na wariatkę. No tak, w końcu to nie był wieczór, tylko środek nocy. Ale co miałam mu powiedzieć? Że wspinam się w nocy na drzewa, żeby popatrzeć, jak jego kolega Jimmy Brown krąży tam i z powrotem po plaży? A on wtedy zaczął się śmiać. Wyglądał jak nieboskie stworzenie: cały oblepiony piaskiem, i trząśł się z zimna. Domyśliłam się, że to śmiech z ulgi, że uszedł z życiem przed dzikimi końmi, a ja nie okazałam się zaczajonym w lesie mordercą. I też się roześmiałam, i sama się dziwiąc, skąd we mnie tyle śmiałości, strzepnęłam mu z munduru trochę piasku.

– Wszystko w porządku? – zapytałam jeszcze raz. – Dasz radę wstać?

Podniósł się z kolan, ale musiał się oprzeć na moim ramieniu. Zaczął się otrzepywać, ale nic to nie dało. Piasek trzymał się jak przyklejony.

– Zimno ci – zauważyłam.

– Co ty nie powiesz? – prychnął i dodał: – A zmiana przyjdzie dopiero o trzeciej.

Odchylił mokry i zapiaszczony mankiet, żeby sprawdzić godzinę.

– Cholera – zaklął. – Zegarek mi zamókł i chyba się popsuł. No dobrze, powiedz mi, kim jesteś – poprosił chyba po raz setny.

Miał południowy akcent, ale nie dałam rady zgadnąć, skąd dokładnie pochodzi. Przedstawiłam mu się i powtórzyłam, że mój ojciec jest latarnikiem w Kiss River, a on zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i zapytał, ile mam lat. Bez namysłu dodałam sobie dwie wiosny i powiedziałam, że szesnaście, wiedząc dobrze, że na tyle wyglądam, a po ciemku to już w ogóle.

Kiedy ja z kolei go spytałam, skąd jest, odpowiedział, że z Vermontu. Zdziwiłam się, że Kanadyjczyk służy w amerykańskiej Straży Wybrzeża, bo nie miałam pojęcia, że robię z siebie kompletną idiotkę. Może Dennis ma rację, że tutejsza szkoła wcale nie jest dobra?

Śmiał się ze mnie i wyjaśnił, że Vermont to jeden ze stanów USA. Poczułam się jak kretyńka. Potem powiedział, że wychował się w Kentucky, a do Vermontu przeprowadził się z rodziną dopiero rok temu. To tłumaczy jego akcent.

Nazwałam go Sandy⁴. Od razu. Żadne inne imię nie wchodziło w grę. Miał na mundurze ze dwa albo trzy kilogramy piasku, a jeszcze więcej nasypało mu się do środka. Żał mi go było. Wiem, jak człowiek się czuje w mokrym, zapiaszczonym ubraniu. Do tego w nocy panował ziąb, a wtedy jest jeszcze gorzej.

– Jeśli tak przeżywasz spotkanie z koniem i kąpiel w oceanie, co będzie, jak wylądują tutaj

jacyś szpiedzy? – zapytałam.

– No cóż, jestem tylko człowiekiem – odparł. – A to jest mój pierwszy nocny patrol w tych stronach. Pierwsza doba służby w tym zapomnianym przez Boga miejscu. Będziesz stacjonował w nadmorskim kurorcie, mówili. Ha! Nigdy w życiu nie widziałem oceanu, więc skąd miałem wiedzieć, że jest cholernie zimny, ogromny i gwałtowny? Do tego wysłali mnie z patrolem na plażę, gdzie tydzień temu jakimś facetowi ktoś poderżnął gardło, z krzaków wyskakują dzikie konie, a na drzewach siedzą dziewczyny. Dziwisz się, że w takiej chwili nie starczyło mi pewności siebie?

Od razu pożałowałam swoich słów. Czasem palnę coś bez zastanowienia i bywam złośliwa. A więc to jego pierwszy nocny patrol? Czyli spóźniłam się tylko o jeden dzień i jeszcze wczoraj mogłam zobaczyć tutaj Jimmy’ego Browna! Ale powoli docierało do mnie, że wcale tego nie żałuję. Jimmy Brown przy Sandym wygląda jak dzieciak. Sandy ma brązowe włosy mniej więcej w tym samym odcieniu, co ja, wąsy i brodę – krótkie, przystrzyżone przy samej skórze – a w jego niebieskich oczach odbijał się księżyc. Chyba jestem płocha i niestała w uczuciach. Nie chciałam, żeby tak to wyszło, ale zdaje się, że to prawda. Przeprosiłam Sandy’ego i przyznałam, że rzeczywiście, komuś, kto nigdy nie widział Outer Banks, to wszystko może wydawać się bardzo dziwne.

A on wtedy spojrzął na mnie zupełnie innym wzrokiem.

– Podoba mi się, kiedy ktoś umie przyznać się do błędu – powiedział.

Byłam pewna, że patrolowanie plaży do trzeciej oznacza dla niego murowane zapalenie płuc, więc zaproponowałam, żeby poszedł na chwilę do nas, a ja znajdę mu jakieś suche ubranie. Nie uśmiechało mu się zejście z posterunku, ale w zasadzie nie miał wyboru.

Podjęłam wtedy dziwną decyzję. Mogłam obudzić rodziców i wyjaśnić im, co się stało, a oni chętnie przyjęliby Sandy’ego, daliby mu się ogrzać i poczęstowali kawą, ale w takiej sytuacji musiałabym się tłumaczyć, co robiłam o tej porze na plaży, i jak amen w pacierzu byłaby afera, zwłaszcza gdyby się dowiedzieli, że to wszystko wydarzyło się dokładnie tam, gdzie zamordowano człowieka. I odtąd nie spuszczałiby mnie z oka, a na noc zamykali mój pokój na klucz. Oprócz tego nie chciałam się z nimi dzielić Sandym. Zaczynałam wierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia, a on był mój, nie moich rodziców.

Opowiedziałam mu więc o tym, jak wymknęłam się z domu, a on się zaśmiał i powiedział, że rozumie, podobno sam kiedyś raz czy dwa tak zrobił. Wprowadziłam go po cichu tylnym wejściem, prosto na schody, które prowadzą do dawnego mieszkania pomocnika taty. Teraz te pokoje stoją puste. Odkąd skończyłam osiem albo dziewięć lat, nie mamy już pomocnika do obsługi latarni. Rodzice w żaden sposób nie mogli słyszeć, kiedy tamtędy weszliśmy. Zostawiłam Sandy’ego w jednym z pustych pokoi. Obawiam się, że było tam niewiele cieplej niż na dworze, ale przynajmniej najgorsze miał już za sobą. Sama poszłam na palcach do jednej z nieużywanych sypialni, gdzie tato trzyma trochę swoich ubrań. Znalazłam stare spodnie, których na pewno nie będzie szukał, dwie bluzy sportowe i dziurawy sztormiak. Z jego mokrymi butami nie mogłam wiele zrobić, ale zabrałam parę własnych skarpetek z komody w moim pokoju. Były oczywiście o wiele za małe, ale lepsze to niż nic.

Zaniosłam wszystko Sandy’emu. Kiedy stanęłam w drzwiach, szczękał zębami, a na ubrania spojrzął wzrokiem, który mówił: „Moje modlitwy zostały wysłuchane”. Zostawiłam go, żeby się przebrał, a potem zeszedliśmy cicho na dół. Kazałam mu poczekać na werandzie i wróciłam na chwilę do środka po pączka, które rano usmażyła mama. Był już trochę czerstwy, ale wiedziałam, że Sandy nie będzie kręcił nosem. I miałam rację, pochłonął go na miejscu.

Bardzo mu się spieszyło z powrotem na plażę, czym wiele zyskał w moich oczach: nie chciał zaniedbać służby. Przypomniało mi się, jak Dennis mówił o wodołazach, że takich ludzi nie stać na zbyt wiele, i zdenerwowałam się. Jak on śmie wygadywać podobne rzeczy na kogoś takiego jak Sandy czy Jimmy Brown?

Cofnęłam się do domu jeszcze raz i przyniosłam Sandy'emu wełniany koc z szafy w przedpokoju, a ponieważ nie protestował, poszłam z nim na plażę. Niosłam koc, a on dźwigał swoje ohydne, mokre, zapiaszczone ciuchy, zwinięte w tobołek.

– Chyba nie powinieneś już dzisiaj tyle chodzić – powiedziałam, gdy dotarliśmy na plażę. – Buty wciąż masz mokre. Najlepiej okryj się tym kocem i usiądź na piasku. Stąd też sporo widać.

O dziwo, zgodził się ze mną i usiadł. Dygotał, chociaż szczelnie owinął się kocem. Po chwili uniósł wzrok i spojrzał na mnie.

– Zostań tutaj ze mną – poprosił. – Bo inaczej zasnę.

Tylko na to czekałam! W jednej chwili siedziałam na piasku obok niego. Zapytał, czy nie jest mi zimno. Nie było, ale już korciło mnie przytaknąć, bo może wtedy podzieliłby się ze mną kocem i byłibyśmy jeszcze bliżej siebie.

– Co ludzie robią w tych stronach? – chciał wiedzieć Sandy.

– Najczęściej łowią ryby – odpowiedziałam.

– Chodziło mi raczej o rozrywki.

Parsknęłam śmiechem.

– Niektórzy dla rozrywki łowią ryby – zachichotałam, choć nietrudno było się domyślić, o co mu chodzi. – W naszej szkole czasami wyświetlają wieczorem filmy.

Przemknęło mi przez głowę, że powinnam mu powiedzieć o potańcówkach, które też odbywały się w naszej szkole, tylko że wcale mi się to nie uśmiechało, bo wiedziałam, że przychodzą tam też starsze dziewczyny, które tańczą bardzo blisko z chłopcami ze Straży Wybrzeża i niczego im nie odmawiają. Wszystkich chłopców z okolicznych rodzin posłali na wojnę do Europy, a dziewczęta zostały i usychały bez towarzystwa. Potańcówki w naszej szkole były główną rozrywką dla chłopców ze Straży Wybrzeża w czasie wolnym od służby. Nie musiałam wcale mówić o nich Sandy'emu, niedługo i tak sam by się dowiedział.

– To ja znalazłam zwłoki na plaży – przyznałam się.

Sandy spojrzał na mnie, a potem jakby nagle dotarło do niego, z kim rozmawia.

– To ty jesteś ta Bess... – mruknął. – Słyszałem o tobie. W weekendy przywozisz do nas ciastka i placki, tak?

– Tak – potwierdziłam, ciekawa, co też chłopcy o mnie mówią.

– Więc nie masz szesnastu lat, tylko czternaście. Tak słyszałem.

– Prawie piętnaście – odparłam, zła, że mnie zdemaskował.

Roześmiał się, ale jakby bardziej do siebie niż do mnie. Byłam pewna, że ma mnie za smarkulę.

– Co by zrobili twoi rodzice, gdyby się dowiedzieli, że jesteś tutaj? – zapytał.

– Nie chcę nawet o tym myśleć – odparłam. Zresztą zgodnie z prawdą.

– Wiesz co? Nie wyglądasz na czternaście lat – mruknął, przechyliwszy głowę, żeby przyjrzeć mi się w blasku księżyca. – Jesteś bardzo ładna.

– Dzięki – powiedziałam. Staralam się nie zachichotać jak czternastolatka, choć strasznie peszyło mnie spojrzenie Sandy'ego.

– I masz, jak widać, awanturniczą naturę – dodał.

– Ano mam – przytaknęłam. – To po mamie. Była w ratownictwie brzegowym.

Powtórzyłam tę plotkę jak szczerą prawdę, a on chyba w to wątpił, ale to było nieważne. Zaczęliśmy rozmawiać. O wszystkim. Serio, o wszystkim. Sandy chciał się dowiedzieć jak najwięcej o Kiss River i Outer Banks, więc mu opowiedziałam, dorzucając od siebie, że od mustangów należy trzymać się z daleka, chociaż kilku chłopców ze Straży Wybrzeża ujeździło pojedyncze sztuki i korzysta z nich na patrolach. On na to, że dziękuje, ale nie zamierza jeździć tutaj konno. Ostrzegłam go też przed dzikami.

– Dzikie? – powtórzył. – Masz na myśli dzikie świnie?

– Tak jest. Zdarza się, że zwierzęta uciekają z gospodarstw i dziczeją. Takie świnie, gdy dadzą nogę, robią się wredne.

Powiedziałam mu o Outer Banks chyba wszystko, co wiedziałam, aby zatrzeć złe wrażenie po tym, jak się zbłądziłam, gdy umiejscowiłam Vermont w Kanadzie. Chyba zaimponowałam mu, że wiem aż tyle.

Sandy z kolei opowiedział mi o Vermoncie: że mieszka w stolicy stanu, nie przypominę sobie teraz, jak ona się nazywa, i że nawet w Kentucky mieszkał w mieście, czyli – jak to ujął – „w cywilizowanym miejscu”. Zdążyłam się już zorientować, że to nie jest chłopak ze wsi.

– Tutaj jest pusto i życie toczy się powoli – mówił, ale kiedy zaczęłam go wypytywać, przyznał, że o tej porze roku w Vermoncie brodziłby po pas w śniegu, a nie siedział na plaży.

Opowiadał mi też, jak szkoli się ludzi do Straży Wybrzeża: że na nocnym patrolu muszą mieć baczenie na wszystko, co odbiega od normy, i że nad oceanem koniecznie trzeba gasić wszystkie światła, tak jak mówił komendant Hewitt, tylko że nie wydano jeszcze oficjalnego rozporządzenia, a do mieszkańców to nie dociera. Amerykanie bywają czasem strasznie samolubni, twierdził Sandy. Nie gaszą świateł i nie zrezygnowali z samochodów, a niemieckim U-Bootom tylko w to graj: wał do naszych statków, które na tle świateł na brzegu widać jak na dłoni. Musiałam się z tym zgodzić i wytłumaczyłam mu, że i my, i wszyscy nasi sąsiedzi bardzo przejmujemy się tym, co się dzieje, i gdyby ktoś nam powiedział, że trzeba gasić światło, posłuchalibyśmy bez gadania. Zapytałam go też, czy nienawidzi szwabów, makaroniarzy i żółtków. Nigdy nie nazywam Niemców „szwabami”, ale teraz mi się wysnęło, bo chciałam pokazać, jaka to jestem dorosła i światowa. Tylko że jemu to wcale nie zaimponowało.

– Nie mów tak – zwrócił mi uwagę. – To są Niemcy. Nie można mówić, że ktoś jest szwabem, szkopem, makaroniarzem albo skośnym żółtkiem. To nas sprowadza do ich poziomu.

Dobrze, że było ciemno, bo spiekłam raka, aż miło.

– Na co dzień nie używam tego słowa – zapewniłam. – Teraz mi się tylko wyrwało, sama nie wiem czemu.

Opowiedziałam mu o panu Sato i jego domu nad cieśniną. Bardzo go zaciekało, że w okolicy mieszka rodowity Japończyk. Zapytał, czy słyszałam o obozach dla internowanych, gdzie nasze władze zamykają Japończyków mieszkających na terenie Stanów Zjednoczonych. O, jakże się cieszyłam, że Dennis mi o tym powiedział! Odparłam, że moim zdaniem nie powinno się ich zamykać. Wiem, że Dennis tak uważa, i przyjął jego punkt widzenia, ale Sandy twierdził, że to konieczność.

– Może się to wydawać niesprawiedliwe – przyznał. – I większość tych ludzi z pewnością niczym nie zawiniła. Ale nie możemy ryzykować. Pamiętaj o Pearl Harbor.

Pomyślałam o panu Sato, którego kiedyś często widywałam z wędką na tarasie jego domu. Siedział na swoim wózku inwalidzkim i wyglądał na zadowolonego. Machałam do niego, a on do mnie. To Japończyk, ale i tak byłoby strasznie, gdyby ktoś po niego przyjechał, zabrał go od synowej i zamknął w obozie. Aż łzy zakręciły mi się w oczach. Sandy to zauważył.

– Dobra z ciebie dziewczyna – powiedział i musnął palcami moje czoło. Chyba miałam na nim kosmyk włosów albo trochę piasku, ale nie jestem pewna. Chciałam mu wyznać, że on też mi się podoba, ale te słowa jakoś nie chciały mi przejść przez gardło, więc tylko się uśmiechnęłam. Nie próbował mnie pocałować, chociaż bardzo tego chciałam. I nie opierałabym się wcale.

Przed trzecią usłyszeliśmy, że plażą jedzie jeep, więc pożegnałam się i schowałam w lesie. Patrzyłam, jak Sandy wsiada. Ktoś zapytał: „Hej, a tobie co się stało? Skąd masz te ciuchy? ”. Ciekawe, co odpowiedział, bo niestety nie dosłyszałam. Na pewno wymyślił coś takiego, żeby mnie w żaden sposób nie narazić. Patrzyłam za jeepem, dopóki nie zniknął mi z oczu w miejscu, gdzie plaża zakręca łukiem, a potem wróciłam do domu z niemądrym uśmiechem przylepionym do twarzy. I pomyśleć, że gdybym przyszła tu nie dzisiejszej, lecz wczorajszej nocy, to na plaży byłby Jimmy.

– Jimmy? – szepnęłam do siebie. – A kto to jest Jimmy?

⁴ Sandy – popularne imię męskie i żeńskie, a także skrót m.in. od Alexander, Sandra i Alexandra; *sand* (ang.) – piasek, *sandy* – piaszczysty, zapiaszczony.

Rozdział czternasty

Niebo nad oceanem gasło już powoli, kiedy Gina usiadła na ostatnim stalowym stopniu w kręgu murów latarni. To miejsce szybko stało się jej prywatnym azylem. Od trzech dni, odkąd zaczęła pracować w Shorty's, każdego wieczoru wspinała się po tych spiralnych schodach i nie miała już zawrotów głowy, choć na samej górze, tuż nad zębatym pierścieniem z cegieł, wciąż musiała kurczowo trzymać się poręczy. A gdy już usiadła i zapatrzyła się na ocean, znikają wszystkie drobne żale nagromadzone w ciągu dnia, i czuła, jak jej ciało się odpręża. Nie, Gina nie znalazła w latarni spokoju ducha, takie miejsce dla niej nie istniało. Gdy jednak przychodziła tutaj i patrzyła w olśnieniu na ten bezkresny przestwór nieba i wody, miała dotkliwą świadomość zarówno tego, że w skali całego wielkiego świata nie znaczy absolutnie nic, jak i tego, że jest niezwykle ważną osobą w życiu jednego małego dziecka.

Spokój ducha był dla niej nieosiągalny, ale tam, na górze, mogła przynajmniej odpocząć. Praca w barze była jeszcze bardziej wyczerpująca niż w szkole i pod koniec zmiany Gina nie czuła już nóg. Na razie nie wzięła jeszcze wolnego dnia, bo postanowiła pracować aż do poniedziałku, aby się wdrożyć, złapać rytm i trochę zarobić. Jak na taką obskurną knajpę napiwki były niezłe, ale nawet najhojniejsze napiwki nie mogły pomóc Rani, dziewczynce ze zdjęcia, które Gina zawsze nosiła w kieszeni szortów. Teraz też miała je przy sobie.

Każdego wieczoru musiała zdjąć sandały, aby przejść przez płytkie fale kłębiące się u stóp latarni, chłodna woda przynosiła boską ulgę jej obolałym stopom. Tego dnia zapomniała zostawić je na dole, więc teraz, usiadłszy na ostatnim stopniu, zrzuciła jeden, a potem drugi, przyglądając się, jak lecą pomiędzy kręgami spiralnych schodów i znikają w ciemności, aby po chwili stuknąć w posadzkę i obudzić łagodne echo.

Chociaż miała poczucie, że marnuje cenny czas, to jednak polubiła pracę w Shorty's Grill. W środę było jej ciężko, bo zjawilo się tylu klientów, że inne kelnerki nie mogły jej w niczym pomóc, ale teraz zdążyła się już tam zadomowić. Trzej starsi panowie, czyli Henry, Walter i Brian, pili albo piwo, albo kawę z mlekiem, i zdawało się, że z miejsca ją polubili, prawdopodobnie ze względu na miłość do latarni w Kiss River. Bo w ich oczach tak to właśnie wyglądało. Brian przyniósł dla Giny stare zdjęcia tej budowli, a do tego artykuły z czasów działalności komitetu przyjaciół latarni. Czytała te teksty z wielkim zdziwieniem, bo nie ulegało wątpliwości, że siłą napędową komitetu był Alec O'Neill. Wszędzie przewijało się jego nazwisko. A teraz z istic oślim uporem nie chciał poprzeć inicjatywy wydobycia soczewki.

Walter i Brian opowiadali o latarni z tak wielką pasją, że w końcu zarazili Ginę swoim zapałem i miłością do tego zabytku. Nie mogła się temu oprzeć. Z początku udawała, ale ostatecznie ich szczerą żarliwość udzieliła się także i jej. Z całą pewnością czuła się również w pewien sposób związana z latarnią za sprawą pamiętnika Bess. Lubiła sobie wyobrazać tę młodą dziewczynę, jak wspina się po kręconych schodach albo siedzi na plaży z tamtym chłopakiem ze Straży Wybrzeża. Mówiła o nim Sandy, a jego prawdziwe nazwisko, zapisane jeden jedyny raz

w całym pamiętniku, wycięła z kartki jakimś ostrym jak brzytwa narzędziem.

Poprzedniego dnia Gina zadzwoniła do Towarzystwa Przyjaciół Latarni Morskich, aby poprosić o rozmowę z człowiekiem, którego polecili jej Walter i Brian. Sądząc po głosie, dorównywał im obu wiekiem, ale batalię o wydobycie soczewki z Kiss River pamiętał doskonale.

– Pan doktor zmienił zdanie? – zapytał na wstępie.

– Proszę? – Błysnęła jej myśl, że może do takiej operacji potrzebna jest opinia lekarska. Tylko komu i po co?

– Zapomniałem, jak się nazywa – wyjaśnił. – Chodzi o weterynarza, który chciał koniecznie zostawić soczewkę tam, gdzie jest.

– Aha – westchnęła. Mogła się domyślić. – Alec O’Neill.

– Właśnie. Byliśmy gotowi sfinansować wydobycie, ale on stanął nam na drodze. W przenośni, ale też całkiem dosłownie. Przyjechał tutaj osobiście, żeby nas powstrzymać.

– Cóż, rozmawiałam z nim i rzeczywiście nie chce angażować się w takie przedsięwzięcie – przyznała ostrożnie. – Ale kto wie, czy nie byłby...

– Proszę pani – przerwał jej, a w jego głosie dało się słyszeć znużenie. – Pomożemy, ale trzeba przekonać pana doktora, żeby zmienił zdanie. Nie warto marnować naszej pracy i pieniędzy na projekt z góry skazany na niepowodzenie. Bez poparcia miejscowych nic z tego nie wyjdzie.

Gina odłożyła słuchawkę ze świadomością, że nie ma innego wyboru, jak tylko spotkać się z Alekiem O’Neillem. Do kogokolwiek by się zwróciła w tej sprawie, za każdym razem w rozmowie padało jego nazwisko. Tak więc zadzwoniła do niego, aby umówić się na lunch w poniedziałek, a on, ku jej zdziwieniu, nie odmówił. Postanowiła tym razem przygotować się do spotkania i uzbroić w solidną wiedzę na temat soczewki z Kiss River, aby sprawić wrażenie, że naprawdę wie, o czym mówi. Jeśli nie uda się nakłonić O’Neilla do pomocy, to może chociaż zgodzi się wycofać, nie stawać jej na drodze.

Kiedy ciemniejące niebo zaczynało skrzyć się gwiazdami, na schodach rozległy się czyjeś kroki. Gina opuściła głowę, błędząc wzrokiem po zalanych ciemnością murach. W dole rozbrzysnął promień latarki, odbił się od ścian i wędrował coraz wyżej. Gina nie wiedziała, czy ma się bać, czy nie. Gdy wybierała się na górę, było jeszcze widno, więc nie zabrała latarki.

– To tylko ja. – W ciemności zabrzmiał uspokajający męski głos. Clay.

– Cześć – powiedziała, kiedy się pojawił i wyłączył latarkę, po czym usiadł obok niej na najwyższym stopniu.

– Tutaj jest pięknie w nocy. Komary mocno gryzą? – zapytał.

– Na razie nie. Tak wysoko chyba nie latają.

– Latają – zapewnił, a potem chyba chciał jeszcze coś dodać, ale zrezygnował.

Skryty Clay był dla Giny zagadką. Pracował do późna i rzadko go widywała. W jego rozmownej siostrze mogła czytać jak w otwartej książce, tymczasem Clay w rozmowach z Giną trzymał się prozaicznych tematów. Nie przeszkadzało jej to. Potrzebowała dachu nad głową, a nie przyjaciela od serca, i była wdzięczna Clayowi, że udzielił jej gościny. Ale gdy rozmawiała z nim sam na sam, bez Lacey, zawsze czuła się trochę niezręcznie, bo rozmowa jakoś się nie kleiła.

– Miło z twojej strony, że codziennie przywozisz Henry’ego do Shorty’s – zagaiła. – To dla niego wielka radość. W domu pewnie by zwariował.

– Codziennie go tam nie wożę – przyznał się Clay. – Bo czasem nie starcza mi czasu. Mam wtedy straszne wyrzuty sumienia. Wiem, jak na to czeka. Czasem Brian proponuje, że wpadnie

po Henry'ego, ale szczerze mówiąc, uważam, że w tym wieku nie powinien już prowadzić.

– Następnym razem, kiedy będziesz za bardzo zajęty, daj mi znać – zaproponowała Gina. – Wskoczę po niego w przerwie.

Tego się chyba nie spodziewał.

– To bardzo miłe z twojej strony. Dziękuję.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić – odparła całkiem szczerze. Czuła się zobowiązana wobec swoich gospodarzy. Dwa razy ugotowała obiad (Clay raczej nie wracał tak wcześnie, więc jedzenie dla niego zostawało w lodówce do odgrzania) i zrobiła zakupy, ale poza tym w żaden konkretny sposób jeszcze nie odwdzięczyła się im za gościnność.

– Lacey wróciła? – spytała, oglądając się przez ramię. Okna domu latarnika płonęły w ciemności żywymi barwami.

Clay potrząsnął głową.

– Jest na spotkaniu grupy Al-Anon.

– Aha. – Chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej, ale on oczywiście nic już nie powiedział i zapadło milczenie. Gina wiedziała, że Al-Anon to grupa wsparcia dla rodzin alkoholików, i była ciekawa, komu z rodziny Lacey chce pomóc, uczęszczając na spotkania. Gdyby miała zgadywać, powiedziałyby, że tym kimś jej nieznośny, uparty ojciec.

– Umówiłam się w poniedziałek na lunch z waszym ojcem – powiedziała.

– Tak? – Clay uśmiechnął się lekko.

– Postanowiłam dać mu jeszcze jedną szansę, żeby odmówił mi wszelkiej pomocy przy wydobyciu soczewki.

Tym razem roześmiał się już głośno.

– Jesteś masochistką.

– Dlaczego on się tak przy tym upiera? Gdybym tylko miała jego zgodę, znalazłabym pieniądze i wszystko można by załatwić.

Clay odetchnął głęboko i przeciągnął się, prostując ręce.

– Czasem nie rozumiem taty – przyznał, kładąc dłonie z powrotem na kolanach. – Po prostu nie chce mieć nic wspólnego z tą latarnią. Kiedy zniszczył ją sztorm, to podcięło mu skrzydła, że tak powiem.

Zirytowało ją to. Czemu w takim razie nie chciał ustąpić, skoro latarnia nie miała dla niego większego znaczenia?

– Czy to on jest alkoholikiem? – palnęła bez namysłu, zanim zdążyła ugryźć się w język. – To znaczy czy to dla niego Lacey chodzi na spotkania Al-Anon?

Clay osłupiał, a potem parsknął śmiechem. Gina aż się wzdrygnęła.

– To było zbyt osobiste pytanie – powiedziała. – Przepraszam.

– Nic się nie stało. – Clay potrząsnął głową, nie przestając chichotać. – Staram się tylko wyobrazić sobie ojca jako alkoholika. Nie, chodzi o ojca Lacey, o jej biologicznego ojca. Jest zdrowiejącym alkoholikiem, a Lacey chodzi tam, aby go wspierać.

Takiej odpowiedzi Gina się nie spodziewała.

– Myślałam... To wy nie macie jednego ojca?

Clay zaprzeczył.

– Tak myśleliśmy w dzieciństwie, ale już dawno temu poznaliśmy prawdę. Lacey nie lubi o tym rozpowiadać, ale raczej nie będzie miała do mnie pretensji, że zdradziłem ci ten rodzinny sekret. Kiedy się dowiedziała, zbliżyła się do Toma, swojego ojca. To dzięki niej przestał pić. A ona dzięki niemu zaczęła robić witraże. Kiedyś on i nasza mama wynajmowali razem

pracownię.

Gina nie od razu przyswoiła sobie te wszystkie informacje.

– W takim razie jej relacje z twoim ojcem... Jak im się układa?

– O, teraz już doskonale. Dawniej bywało różnie, raz lepiej, raz gorzej, a po tym, jak się dowiedziała, że tata... to znaczy mój tata nie jest jej ojcem, przez cały rok była nie do życia. Ale poukładali sobie wszystko. A na punkcie Toma dostała bzika. – Clay potrząsnął głową i zachichotał. – To dziwny facet, ale ona go uwielbia. Nie wychowywał jej, więc nie mają burzliwej wspólnej przeszłości, jak z tatą.

– Ale chyba ostatecznie dała sobie radę – zauważyła Gina. – Moim zdaniem to wspinała osoba.

– Mhm – mruknął Clay, raczej mało konkretnie.

– A wasza mama? – zapytała. – Mieszka w pobliżu?

Spojrzał na nią, zaskoczony.

– Mama nie żyje – odparł. – Myślałem, że wiesz.

– Och, Clay, przepraszam. – Zawstydziała się i musnęła palcami jego ramię. – Nie wiedziałam. Byłam pewna, że wasi rodzice się rozwiedli.

Była wręcz przekonana, że Alec zostawił matkę Claya, prawdopodobnie dla innej kobiety. Dla Olivii, chociaż niekoniecznie. Jak to mężczyzna. Nie przyszło jej do głowy, że jest wdowcem.

– Chyba źle oceniłaś mojego ojca – zauważył Clay. – On nie jest typem rozwodnika. Ani alkoholika. Może sobie być uparty, może robić ci trudności, ale lepszego człowieka ze świecą szukać.

Gina położyła mu dłoń na ramieniu.

– Przepraszam – powiedziała. – Wierzę ci. Masz rację, trochę go demonizowałam, a przecież on jest dla mnie tylko przeszkodą na drodze do celu.

Clay uśmiechnął się.

– Dawno umarła? – zapytała Gina. – Twoja mama?

– Prawie dwanaście lat temu. W Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku.

Utkwił wzrok w ciemnej linii horyzontu, a oczy chyba błyszczały mu od łez, ale tego Gina nie była pewna.

– Długo chorowała? – zadała kolejne pytanie.

Clay milczał dłuższą chwilę.

– Nie była chora – wyznał. – Pracowała w schronisku dla ofiar przemocy domowej w Manteo. W Boże Narodzenie jeden facet, niejaki Zachary Pointer, przyszedł tam po swoją żonę. Miał broń i zaczął nią wymachiwać. Mama zasłoniła tamtą kobietę własnym ciałem, a on do niej strzelił.

Gina chwyciła się za gardło, a w oczach stanęły jej łzy.

– Boże, Clay... – wyszeptała. – To straszne. Bardzo ci współczuję.

– Była z nią Lacey – dodał. – Wszystko widziała. I moim zdaniem wciąż nie doszła jeszcze do siebie po tym przeżyciu.

– Czemu tak sądzisz?

Clay zamyślił się, potem potrząsnął głową.

– Nie wiem – rzucił wymijająco.

– Powiedz – poprosiła.

W pierwszej chwili wzruszył ramionami, jakby chciał zbyć pytanie, ale ostatecznie zaczął mówić:

– Ona po prostu... Owszem, jest cudowną osobą. Przypomina mamę, bo bardzo troszczy się o innych. Tylko że o siebie już nie dba wcale. Mama też taka była. Dlatego właśnie broniła tamtej kobiety, nawet z narażeniem życia. A ja nie chcę, żeby Lacey tak się poświęcała.

– Mówiłeś jej o tym?

– Wspominałem.

Chciała mu powiedzieć, że jeśli naprawdę szczerze martwi się o siostrę, powinien z nią porozmawiać, ale nie odważyła się naciskać, bo rozmowa z Clayem zrobiła się już znacznie poważniejsza, niż mogła się spodziewać. Postanowiła zmienić temat.

– Twoja macocha robi miłe wrażenie – powiedziała, przypominając sobie uprzejme zachowanie Olivii podczas ich pierwszego i jedyne jak dotąd spotkania. Teraz, kiedy już wiedziała, że ta kobieta nie ma na sumieniu rozbitej rodziny, nabrała o niej znacznie lepszego mniemania. – Lubicie się?

– Olivia jest świetna. – Uśmiechnął się. – Tworzą z tatą wspaniały związek. A Jack i Maggie to superdzieciaki.

Nagle uśmiech zgasł na jego twarzy.

– Olivia miała dyżur na pogotowiu, kiedy przywieźli mamę – wyznał. – Robiła wszystko, żeby ją uratować.

– O rany... – szepnęła Gina. – Bardzo skomplikowana ta twoja rodzinna historia.

Clay uśmiechnął się znowu, tym razem do niej.

– A są normalne rodziny?

Odpowiedziałyby pewnie, że nie, lecz prawdę mówiąc, nie wiedziała, czym jest normalna rodzina. Oprócz matki nie miała nikogo. Niemniej jednak marzyła o rodzinie, pragnęła ją mieć. Ta mieszanina odmiennych charakterów, raz lepiej, raz gorzej – jak mówił Clay – od czasu do czasu animozje, różnice zdań, i miłość, miłość, na której opiera się wszystko. Gina nigdy tego nie doświadczyła i to właśnie było jej największe pragnienie.

Blask księżycy rysował w ciemności profil twarzy Claya. Przyjrzała mu się uważnie. Miał proste, ostre rysy, a jego błękitne oczy, tak jasne, że niemal przejrzyste, które do tej pory wydawały jej się chłodne niczym lód, obmyte srebrną poświatą, lśniły teraz niesamowitym odcieniem przywodzącym na myśl refleks światła w głębokiej błękitnej wodzie. Gina dawno przestała już zwracać uwagę na mężczyzn i aż do tej chwili nie zauważyła piękna malującego się na twarzy Claya. Poruszyło ją do głębi, że tak ciepło wyrażał się o siostrze, ojcu i matce. Nie znała mężczyzny okazującego rodzinie tyle troski. Nie przypuszczała nawet, że tacy w ogóle istnieją. Nie znasz go przecież, upomniała się. Na początku każdy wydaje się dobry.

Zaczęła się zastanawiać, czy mogłaby zapytać go o Terri. I o jego małżeństwo. Lecz kiedy już otwierała usta, nagle tuż nad horyzontem przemknęła spadająca gwiazda. Zauważyli ją oboje i aż westchnęli z wrażenia.

– Piękny stąd widok, prawda? – odezwał się Clay. – Bardzo lubię tutaj przychodzić po pracy.

A ona zrozumiała, że chyba wprosiła się do jego prywatnego zakątka. Zawłaszczyła sobie ten ostatni stopień urwanych schodów i nawet przez myśl jej nie przeszło, że może on albo Lacey tak samo jak ona szukają tutaj spokoju.

– Clay... – zapytała. – Czy ja zajęłam twoje miejsce? Przychodzisz tutaj wieczorem, żeby pobyć sam?

– Nie ma sprawy – zapewnił, co potwierdziło tylko jej obawy, po czym wstał. – Jeśli chcesz, możesz sobie tutaj siedzieć do rana. Jadę do sklepu nurkowego, muszę przygotować sprzęt na jutro.

– Do sklepu nurkowego? – powtórzyła.
– Nurkuję z butlą – wyjaśnił, ruszając w dół, ale na drugim stopniu odwrócił się i podał jej swoją latarkę.
– Uważaj na schodach – powiedziała. – Poświecić ci z góry?
– Dzięki, dam sobie radę. Niech cię nie zjedzą komary. Dobrej nocy.
Ale szybko czmychnął, pomyślała. Nagle zaczęło mu się strasznie spieszyć, jakby wiedział, o co chciała go zapytać. Nasłuchiwała jego kroków na schodach, a serce ją ścisnęło, gdy myślała, że stracił nie tylko matkę, ale i żonę. Zdjęcie Rani, które nosiła w kieszeni, jak zwykle wręcz parzyło jej skórę przez cienki materiał, ale teraz musiała upomnieć się w duchu, że nie jest jedyną osobą na świecie, która w tej chwili cierpi.

Rozdział piętnasty

Pod wodą Clay czuł się tak, jak gdyby leciał. Wiedział, oczywiście, jak to jest lecieć samolotem, szybowcem, a nawet lotnią, ale ten pełen gracji, spowolniony ruch bił tamte doznania na głowę.

Wybrali się z Kennym na eksplorację wraku stuczterdziestometrowego tankowca Byron D. Benson, zatopionego sześćdziesiąt lat wcześniej u tych wybrzeży przez niemieckiego U-Boota. Nie należał do najpopularniejszych nurkowych atrakcji regionu Outer Banks i tego dnia mieli go tylko dla siebie. Wrak leżał na boku, trzydzieści trzy metry pod powierzchnią wody. Ma się rozumieć, już dawno zabrano z niego wszystko, co tylko się dało, ale samo bogactwo fauny oceanicznej wystarczyło, aby uznać go za interesujący. Dno w tym miejscu przypominało zalaną pustynię, nie było tam nic oprócz piasku. Wrak dawał schronienie jeżowcom, ukwiałom, krabom i przeróżnym rybom; miały się tutaj czego ucześcić i gdzie żerować, więc dosłownie tętnił życiem.

Clay zszedł pod wodę już po raz pięćdziesiąty czwarty, ale w porównaniu z kumplem był nowicjuszem. Kenny, wykwalifikowany nurek, z racji swojego zawodu więcej czasu spędzał pod wodą niż na stałym lądzie i po tylu latach prawie na pewno stracił już rachubę. Clay nurkował czysto rekreacyjnie. Lubił krążyć po wraku i obserwować spłoszone ryby, chowające się po szczelinach, ale największą przyjemność sprawiało mu zwyczajne szybowanie nad zatopionym tankowcem, od pogiętego dziobu do przerdzewiałej rufy: ręce proste, wzdłuż boków, tylko nogi pracują. Nie znał lepszego sposobu, aby zapomnieć o otaczającej go rzeczywistości, niż zanurzyć się głęboko w tym nierzeczywistym świecie.

A jednak, po około dwudziestu minutach spędzonych pod wodą, kiedy zdążyli już zobaczyć dwa żarłaczki tygrysy, mantę i olbrzymiego, masywnego żółwia wypływającego z wyrwy w poszyciu tankowca, Clay zauważył, że jego myśli powracają do poprzedniego wieczoru, do rozmowy z Giną na stalowych schodach latarni.

Boże, ależ ta kobieta była piękna. Zauważył ją jeszcze na dole, zarys postaci wymalowany blaskiem księżycy, długie włosy rozrzucone dookoła ramion podmuchem wiatru. Miała rację, zajęła jego ulubione miejsce: uwielbiał wchodzić na latarnię wieczorami, kiedy było tam najbardziej zacisznie. Nie miał do niej jednak żadnej pretensji. Na jej widok poczuł nieoczekiwane pragnienie, aby znaleźć się bliżej, tak blisko, żeby móc jej dotknąć. Ku własnemu zdziwieniu odkrył, że chce z nią rozmawiać. Tak naprawdę i szczerze. Ułatwiła mu to, bo zadawała pytania. Bał się powiedzieć za dużo i musiał się upominać w duchu, że przecież jest introwertykiem i niełatwo przychodzi mu dzielić się z innymi swoimi myślami i przeżyciami.

Widać było, że Gina nie chce opowiadać o sobie. Wypytywała o niego, aby samej uniknąć pytań. Nic o niej nie wiedział. Nagle na podwórku ich domu pojawiła się kobieta pochodząca z miasta odległego o blisko pięć tysięcy kilometrów, a mimo to zafascynowana tym mikroskopijnym skrawkiem atlantyckiego wybrzeża, podająca się za nauczycielkę i badaczkę

historii latarni morskich, która kiedyś miała męża, ale „nie układało im się najlepiej”. Clay chętnie zapytałby ją o to i owo. Nic osobistego. Nic, o co pierwszy lepszy facet nie zapytałby pierwszej lepszej kobiety poznanej w knajpie, tak mimochodem, wręcz od niechcienia. A jednak nie mógł się na to zdobyć. Bał się usłyszeć coś, czego nie miał ochoty wiedzieć, a jeszcze bardziej bał się, że kiedy Gina mu odpowie, poczuje z nią jeszcze większą bliskość.

Po wyjściu z wody schowali sprzęt do czerwonego pikapa Kenny’ego i pojechali na obiad do Shorty’s. Usiedli w boksie w pobliżu wejścia, Clay rozejrzał się po sali, wypatrując Giny. Uprzedził go Kenny, który nie miał o Ginie zielonego pojęcia. Nagle wbił wzrok w jakiś punkt za jego plecami, a Clay, gdy się obejrzał, bez wielkiego zdziwienia zobaczył swoją lokatorkę obsługującą gości przy sąsiednim stoliku.

– Hej, Gina! – zawołał ponad wysokim oparciem.

Zaskoczona odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego.

– Cześć, Clay. Nie spodziewałam się ciebie tutaj. – Rzuciła okiem na Kenny’ego. – Zaraz do was podejść.

Clay odwrócił się z powrotem. Kumpel patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Znasz ją? – Pochylił się nad stolikiem, zniżając głos do szeptu.

– Znam? – powtórzył Clay, też szeptem. – Mieszka u mnie w domu.

Kenny zrobił wielkie oczy.

– Cholera, co ty opowiadasz?

– Prowadzi badania nad historią latarni morskich – wyjaśnił Clay. – Pojawiła się niedawno u nas w Kiss River. Szukała kwatery na jakiś czas, więc zaproponowaliśmy, że wynajmiemy jej pokój.

– Stary, jak ty dajesz radę? – Kenny wyprostował się, mówiąc już nieco głośniej, bo Gina odeszła od sąsiedniego stolika. – Ja bym nie mógł jeść ani spać. Łaziłbym po ścianach i w ogóle...

– Jestem w trochę innej sytuacji niż ty – przypomniał mu Clay.

– No tak – przyznał Kenny. – Ale może sam Bóg chce ci uświadomić, że trzeba iść dalej. Jaśniej już chyba się nie da, co?

– Minęło dopiero osiem miesięcy, stary.

– No tak. – Kenny dał za wygraną.

– Ale może ty byś...? – podsunął Clay. Myśl o tym, żeby zeswatać tę dwójkę, podekscytowała go tak, jakby chodziło o niego samego; gdyby zaczęli ze sobą kręcić, może on przestałby o niej myśleć. – Dziewczyna jest wolna – ciągnął dalej. – Ty, co prawda, masz pysk jak trampek, ale może przymknie oko.

– Wchodzę w to – oznajmił Kenny.

Clay uniósł kciuki w górę, a do ich stolika podeszła Gina.

– Jak się nurkowało? – zapytała, kładąc na blacie notes i ołówek. Jej długie pukle były szczesane do tyłu i spięte. Clay pomyślał, że lepiej by było, gdyby Kenny zobaczył ją z rozpuszczonymi włosami, ale to w zasadzie było bez znaczenia. Nawet łysa wyglądałaby fantastycznie.

– Było świetnie – odparł. – To jest Kenny, mój kumpel od nurkowania.

– Cześć, Kenny. – Gina uśmiechnęła się do niego, a Kenny, chyba po raz pierwszy w życiu, zapomniał języka w gębie. Facet, który flirtował na prawo i lewo, nagle był w stanie tylko skinąć jej na powitanie głową.

– Znamy się od przedszkola – dodał Clay.

– Naprawdę? Ale fajnie. – Zabrzmiało to zupełnie szczerze. – Trzeba mieć farta, by mieszkać w jednym miejscu tak długo, żeby mieć przyjaciół od zawsze. – Podniosła notes i ołówek ze stolika. – Co wam podać? – zapytała.

Zamówili swoje burgery i frytki. Kiedy Gina odeszła, Kenny odetchnął przeciągle.

– Ooo tak... – jęknął. – Mam na nią ochotę.

– To będziesz musiał do niej coś powiedzieć, przynajmniej parę słów – zakpił Clay.

– Po co? – Kenny wyszczerzył zęby. – A czy ja chcę z nią gadać?

Clay parsknął śmiechem, lecz niespodziewanie poczuł, że musi stanąć w obronie Giny.

– Jeśli tak, to nic z tego – oznajmił. – Ona nie jest taka.

Tylko że, prawdę mówiąc, sam nie wiedział, jaka jest ta kobieta, z którą mieszkał pod jednym dachem w Kiss River.

Uświadomił sobie, że Gina raczej nie mogłaby zainteresować się takim facetem jak Kenny. Ona – małomówna intelektualistka, on – gaduła i hedonista. Osobie tak skrytej i zamkniętej w sobie znacznie bliżej było do Claya, który czasami czuł się wręcz jak duch, niewidzialny i niewrażliwy na nic, duch, który przemyka przez świat, nie pozostawiając po sobie śladu, i sam też nie nosi śladów kontaktu z tym światem. Pod dach domu latarnika trafiły dwie pokrewne dusze. Swój zawsze rozpozna swojego.

Rozdział szesnasty

Niedziela, 5 kwietnia 1942

Wczoraj wieczorem siedzieliśmy wszyscy troje w dużym pokoju: mama i tato z uchem przy radiu, a ja na kanapie z książką. W końcu ją zamknęłam, żeby pójść na górę, położyć się do łóżka, poczekać, aż rodzice zasną, po czym znów wymknąć się na plażę. Nagle BUM! Za oknami coś huknęło, ale tak straszliwie, że aż szyby zadrżały, a z półki spadły trzy książki. Spojrzałyśmy z mamą po sobie, a tato wstał, wyszedł z domu i obserwował morze, po czym pomaszerował do latarni, a my za nim, w górę po schodach. I chyba każde z nas wiedziało, co zobaczymy z galerii.

Na czarnych jak smoła wodach oceanu rozlewał się jaskrawoczerwony blask. Płonął kolejny statek, tym razem zbyt blisko, zatrważająco blisko. Noc była bezksiężycowa, ale łuna ognia potęgowała coraz bardziej, aż zrobiło się prawie tak jasno jak w dzień. Przypominało mi to olśniewający zachód słońca, kiedy cały świat obleka się szkarłatem. Zaczęłam płakać i cała się trzęsłam. Naprawdę, nie mogłam zapanować nad własnym ciałem. Straciłam poczucie bezpieczeństwa. Było przy mnie dwoje ludzi, którzy zawsze, przez całe moje życie, robili, co tylko w ich mocy, żeby mnie wychować i chronić od złego – i nie mogli nic poradzić, figę z makiem, przeciwko tym Niemcom, którzy mieli właśnie jak najgorsze zamiary. Nie broniłam się, kiedy mama objęła mnie ramieniem. Byłam za bardzo przygnębiona. Wszyscy troje patrzyliśmy w milczeniu na pożar statku.

– Ludzie płoną tam żywcem – odezwał się tato. A mnie wtedy przyszło do głowy, że Straż Wybrzeża wypłynie na pomoc tym marynarzom. Serce zaczęło mi walić jeszcze szybciej. Wiedziałam, że na jednej z tych łodzi będzie Sandy, a nawet stąd, z góry, widać było, jakie to niebezpieczne. Płonął nie tylko tankowiec, ale też ocean dookoła niego, bo ropa rozlewała się szerokim kręgiem po falach. Przypomniałam sobie, jak Sandy mówił mi, że Straż Wybrzeża zawsze musi wypłynąć, ale nigdzie nie jest powiedziane, że musi wrócić.

W krótkim czasie zrobiła się ze mnie najlepsza kłamczucha w całej Karolinie Północnej. Poznałam Sandy'ego półtora tygodnia temu i spotykaliśmy się co noc, a żywa dusza o tym nie wie. Ani jego koledzy ze Straży, ani z całą pewnością moi rodzice, chociaż to od nich wymykam się co wieczór i do ich domu wracam dopiero o trzeciej nad ranem. Nikt nawet nie powiedział, że wyglądam na zmęczoną. Chyba nie potrzebuję wiele snu. Nie czuję zmęczenia, wcale a wcale. Wręcz przeciwnie, przez cały dzień jestem rozbudzona, ale przyznam, że trudno mi się skupić. Bo w szkole myślę tylko o Sandym.

Jestem zakochana. Wciąż powtarzam sobie w myślach: „A więc to takie uczucie! ”. Moje zadurzenie w Jimmym Brownie wydaje mi się głupie, tęsknoty małej dziewczynki. Teraz jest zupełnie inaczej. A dzisiejszej nocy zrozumiałam, że naprawdę go kocham, bo na samą myśl, że coś mu się stanie, szalałam z niepokojem.

– Ja też wypłynę. Może im jakoś pomogę – postanowił tato.

Mama, wystraszona, położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie, Caleb – powiedziała. – Proszę, zostań.

To było strasznie dziwne. Miała łzy w oczach i te łzy skrzyły się złocistoczerwonym odbłaskiem płomieni, a ja nagle poczułam, że ją rozumiem. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo kocha tatę, a teraz przecież wiem już, co się wtedy czuje. Ukochaną osobę chce się chronić od złego, od wszystkich trudnych, niebezpiecznych albo strasznych rzeczy. Najchętniej bym wtedy uściskała mamę, ale oczywiście tego nie zrobiłam.

Tato chyba się zawahał. Lat mu przecież nie ubywa. Ja byłam zdania, że powinni się tym zająć młodszy mężczyźni, a on niech lepiej da sobie spokój. Przyłączyłam się więc do mamy i razem prosiłyśmy, żeby został.

– W takim razie weźmiemy trochę jedzenia i kawy, a do tego jakieś koce i zawieziemy wszystko na posterunek Straży Wybrzeża – powiedział. – Chłopcom nie starczy tego, co mają. A tym, których przywiozą z morza, pomoc się przyda.

Spojrzelśmy jeszcze wszyscy troje na ten płonący statek. Jestem pewna, że rodzice myśleli to samo, co ja: szanse, że chłopcy kogoś przywiozą, są raczej niewielkie.

Załadowaliśmy do auta wszystko, co wpadło nam w ręce; jeśli mama zastanawiała się, dlaczego koc, który nocami po cichu wynoszę nad morze, jest zapiaszczony i wilgotny, to nie wspomniała o tym ani słowem. Pojechaliśmy plażą na południe, po śladach opon na piasku, aż do samego posterunku. W powietrzu unosił się smród pożaru, a na miejscu panował chaos. Ludzie biegali do kutrów i z powrotem. Wszyscy krzyczeli. Twarze mieli czerwone i pomarańczowe od blasku płomieni, chociaż tankowiec w rzeczywistości znajdował się dalej, niż mi się wydawało. Zabraliśmy nasze rzeczy i weszliśmy na posterunek, a przebiegający ludzie wciąż nas potrącali. Rozglądałam się za Sandym i innymi, za Jimmym, Teddym Pearsonem, Ralphem Salmonem i komendantem Hewitem, ale w tym czerwonym blasku wszystkie twarze rozmazywały mi się w oczach.

Tato powiedział, żebyśmy zostawili to, co przywieźliśmy, i poszli sobie, żeby nikomu nie przeszkadzać. Na posterunku było też sporo naszych sąsiadów, którzy zjawili się w tym samym celu, czyli z zapasami dla ocalałych z katastrofy. Widać było jak na dłoni, że nic tam po nas. Kiedy zbieraliśmy się do wyjścia, zobaczyłam Sandy'ego. Minał nas, biegnąc w stronę jednego z kutrów, wiem, że mnie zauważył, bo patrzył mi prosto w oczy. Szybko jednak odwrócił wzrok. Nie zdradził się z tym, że mnie zna, i dobrze zrobił, ale w obliczu takiej tragedii to było strasznie trudne mieć go na wyciągnięcie ręki i nie uściskać, nie dodać otuchy. Na twarzy Sandy'ego malowała się determinacja i odwaga, ale pamiętałam przecież, jak się wystraszył zwykłego, głupiego konia na plaży, i byłam pewna, że bardzo się boi i denerwuje.

Nie poszłam dzisiaj do kościoła. Powiedziałam rodzicom, że nie czuję się na siłach, a oni nie protestowali. Storpedowany tankowiec jak dotąd nie zatonął. Nazywa się Byron D. Benson i pewnie jeszcze wiele dni będzie tak pływał. Wciąż bije z niego czarny dym, a całe niebo ma obrzydliwy, dławiący kolor popiołu. Przez radio mówili, że w nocy udało się uratować część załogi, ale naprawdę niewielką. Muszę koniecznie porozmawiać z Sandym, nie mogę się już doczekać.

Dzisiaj pomagam rodzicom wieszać w oknach grube zasłony, żeby z U-Bootów nie zobaczyli światła w naszych oknach. Przez te zasłony czuję się tak, jakbym mieszkała w domu pogrzebowym. Pomagałam też tacie zakleić reflektory naszego auta czarną taśmą. Zostawiliśmy tylko po wąskiej szczelinie. Od dzisiaj nikomu oprócz jeepów Straży Wybrzeża nie wolno

jeździć po plaży. W końcu zarządzono u nas to zaciemnienie, którego od dawna domagała się Straż.

Mama już znów na mnie krzyczy, tak jak zawsze.

– Nie waż mi się wyściubić nosa z za tej zasłony! – oznajmiła, kiedy je wieszaliśmy. – Raz ją uchylisz i mogą zginąć setki ludzi.

Rano zajął do nas Teddy Pearson i ostrzegł, żebyśmy nie chodzili dzisiaj na plażę. Obszedł wszystkie okoliczne domy i wszędzie powtarzał to samo, a ja domyślałam się dlaczego. Chcą zebrać z plaży wszystkie zwłoki wyrzucone przez fale. Ciekawe, czy Sandy ma dzisiaj w nocy patrol?

Poniedziałek, 6 kwietnia 1942

W nocy spotkałam się z Sandym na plaży. Zazwyczaj patroluję z nim jego odcinek, bo bardzo dba o to, żeby moja obecność nie odciągała go od obowiązków, ale dzisiaj chciał po prostu posiedzieć.

Po tym, co się stało, jest mocno poraniony. Nie, nikt do niego nie strzelał ani nie ciął go nożem, nic z tych rzeczy. To głębokie rany duszy, chyba jeszcze gorsze, bo nie można ich zabandażować ani leczyć. Z początku w ogóle się do mnie nie odzywał, a gdy zapytałam dlaczego, odparł, że nie chce opowiadać o tym, co działo się w nocy. To nie na moje uszy, tak się wyraził.

Rozmawialiśmy już o wielu różnych rzeczach. O naszych rodzinach, o tym, jak nas wychowywali, i tak dalej. Wiem, że dorastał w takiej biedzie, że w domu czasami przez dwa dni nie było co włożyć do ust. Nigdy nie dostawał prezentów na święta ani na urodziny. Jego ojciec nie żyje, a mama zarabia praniem i czyszczeniem odzieży – oprócz tego nie mają żadnych pieniędzy. Sandy’emu marzy się, że kiedyś się dorobi, chociaż nie jest jeszcze pewien, w jaki sposób. Oczywiście błyszczy, kiedy mówi, że zdobędzie pieniądze. Ja nigdy nie myślałam o nich w ten sposób, ale jestem w stanie zrozumieć, że dla kogoś, kto był bardzo biedny, pieniądze są jak wysłuchana modlitwa. Tak czy inaczej, jak już mówiłam, kiedy spotykam się z Sandym, przeważnie rozmawiamy. Całowaliśmy się parę razy, ale nic więcej, i chociaż chciałabym zrobić krok dalej, to te sprawy nie są najważniejsze, gdy jesteśmy razem. Uwielbiam z nim rozmawiać. Cudownie, że mogę mu powiedzieć niemal wszystko.

Więc wyznałam mu to, a potem poprosiłam, żeby opowiedział mi, co się działo w nocy. Bliska byłam wyznania, że go kocham, ale bałam się jego reakcji. Sandy przyglądał mi się długo i z namysłem, aż wreszcie zaczęła mówić.

Popłynęli kutrem do samego tankowca. Powietrze było gorące, a płomień tak jasny, że musiał mrużyć oczy, aby widzieć statek. Wszędzie wokół rozlegały się nowe wybuchy i w ogóle przypominało to wielki pokaz fajerwerków, tak mówił Sandy. Rozlana na wodzie plama ropy też płonęła, więc nie mogli się bardziej zbliżyć. Były tam jeszcze dwa inne statki, które także próbowały ratować, kogo się da, a wszędzie dookoła słychać było krzyki i wołanie o pomoc marynarzy z tankowca.

Wielu z nich skakało albo po prostu spadało do płonącej wody. Sandy oglądał to na własne oczy i był na tyle blisko, że dokładnie widział przerażenie tych ludzi.

– Ci, którzy byli w wodzie, wzywali pomocy – mówił. – A my nie mogliśmy nic zrobić.

To chyba bolało go najbardziej, ta bezsilność.

Opowiedział mi, że potem krążyli kutrem dookoła statku, starając się trzymać jak najbliżej i wylawiać z wody tych, którzy ocalili, ale płonąca ropa nie pozwalała się zbliżyć. A potem usłyszałam najgorsze, to, czego chciał mi oszczędzić, żeby mnie nie przestraszyć.

– Był tam, w wodzie, jeden człowiek, strasznie poparzony, który uczepił się jakiejś deski – zaczął Sandy. – Wyciągał do nas rękę, błagał o pomoc. Dookoła było mnóstwo rozlanej ropy, ale nie mogliśmy go tak po prostu zostawić. Podpłynęliśmy na tyle blisko, że dałam radę go dosięgnąć, ale gdy chwyciłam go za rękę, skóra została mi w dłoni, a on zniknął pod wodą. Jakbym trzymał w palcach strzęp nadpalonego rękawa.

To przechodzi ludzkie pojęcie, prawda? Zrobiło mi się niedobrze, zresztą jemu także. Objęłam go ramieniem i przywarłam do niego kurczowo. Nie płakał – w każdym razie łez nie widziałam, zdawałam sobie jednak sprawę, że w środku cały jest mocno poturbowany.

Ci, których udało się uratować, trafili do szpitala w Norfolk, gdzie przesłuchuje ich FBI i próbuje ustalić, czy to możliwe, że ktoś z załogi dał znać Niemcom.

– Bzdura – skwitował. – Nikt nie musiał tego robić. Tędy pływa mnóstwo statków, a przez światła na brzegu Niemcy mogą do nich walić jak do żywych tarcz.

– A więc to zaciemnienie będzie skuteczne – powiedziałam, szukając jakiegoś sposobu, żeby go pocieszyć.

– Oby, do diabła, oby – mruknął. – Już dłużej tak nie można. Bo teraz ten ocean należy do Niemców.

Siedzieliśmy tam długo w milczeniu, a ja masowałam Sandy'ego po plecach, tak jak mama czasami masuje tatę. Poszłam dopiero nad ranem, kiedy niebo zaczęło jaśnieć, a w oddali, prawie na samym horyzoncie, ukazał się dryfujący wrak Byrona D. Bensona i dwa słupy dymu strzelającego na postrach ze śródkręcia.

Rozdział siedemnasty

W niedzielne przedpołudnie Gina była w pracy i starała się dotrzymać towarzystwa Henry'emu Hazelwoodowi, który siedział w małej sali. Zaglądała do niego, kiedy tylko obsłużyła swoich klientów i miała wolną chwilę. W małej sali jak zwykle panował tłok, ale Walter i Brian jeszcze się nie zjawili, a Henry tkwił sam przy stole do szachów. Był jak zwykle w białej koszuli i ciemnym krawacie, kapelusz trzymał na kolanach. Gina przyniosła mu gazetę, żeby miał się czym zająć.

– I tak jest co niedziela – powiedział, kiedy nalewała mu kawy. – Ja jestem za wcześnie, oni się spóźniają. A o dwunastej Clay zabiera mnie na zakupy, więc pewnie w ogóle się dzisiaj nie spotkamy.

Zrobił przy tym taką smętną minę, że Gina aż musiała się pochylić i go uściskać. Dała mu ołówek, żeby rozwiązał sobie krzyżówkę, i przyniosła dla niego kawałek cytrynowej bezy na koszt firmy. Było widać, że starszy pan cieszy się z takiej troski.

O dwunastej przyjechał po niego Clay. Gina zauważyła go, gdy wszedł, i chociaż miała obie ręce pełne brudnych talerzy, dogoniła go, zanim wszedł do małej sali.

– Siedzi tam od rana, zupełnie sam – powiedziała. W miejscu, gdzie stali, mocno załatywało rybami, ale trudno było stwierdzić, czy to z kuchni, czy od grupki rybaków siedzących w rogu. – Walter i Brian jeszcze nie przyjechali, a jemu jest przykro, że się z nimi nie spotka. Mógłbyś podrzucić go później?

– Masz miękkie serce. – Uśmiechnął się do niej.

– Jeśli nie dasz rady, może ja przyjadę po niego po pracy i przywiozę tutaj?

Potrząsnął głową.

– Sam to zrobię, ale najpierw wyskoczmy na zakupy, a potem naprawię mu poręcz na tarasie – powiedział. – Dzięki za troskę, Gino.

Mniej więcej godzinę później w Shorty's zjawiła się Lacey, a Gina przypomniała sobie, że tego dnia ma być losowanie loterii „Pół na pół”. Lacey zabrała stojący obok kasy słój, do którego wrzucano pieniądze, i zniknęła w kuchni, a po chwili wyszła z grubą kopertą i pudełkiem z losami.

Prawie każdy bywalec Shorty's wrzucił coś do słoja, więc wszyscy patrzyli z zaciekawieniem, jak Lacey i Frankie stają obok kasy i szykują się do wyciągnięcia z pudełka zwycięskiego losu. Gina stała przy drzwiach do małej sali, oparta o framugę. W końcu Frankie zanurzyła dłoń w pudełku i wyjęła szczęśliwą karteczkę.

– Wygrywa... – teatralnie zawiesiła głos, uśmiechnęła się szeroko i uniosła wzrok, szukając nowej kelnerki, a potem odczytała nazwisko: – Gina Higgins!

Gina wstrzymała oddech, a potem się zaśmiała. Ludzie bili jej brawo, zwłaszcza ci, którzy zaglądali do Shorty's regularnie i zdążyli ją poznać przez te pięć dni, odkąd zaczęła tutaj pracować. Wyszła na środek dużej sali, gdzie Lacey uściskała ją mocno i wręczyła jej wypchaną

kopertę.

– Połowa puli – powiedziała. – Czteryście dziesięć dolarów.

– Serdecznie dziękuję. – Gina schowała kopertę głęboko do kieszeni fartucha. Teraz wreszcie naprawi klimatyzację w swoim aucie i może jeszcze sprawdzi, co stuka w podwoziu. Postanowiła też, że jeśli coś jej zostanie, to zabierze swoich gospodarzy na obiad w jakiejś restauracji.

Tuż przed końcem jej zmiany pojawili się Walter Liscott i Brian Cass. Weszli jak zwykle drzwiami od kuchni, bo tam Clay zbudował rampę dla wózka inwalidzkiego. Walter podziękował Ginie, gdy zaproponowała mu pomoc, i sam przejechał przez zatłoczoną salę główną. Zauważywszy na jego kolanach nowy wabik, przez chwilę podziwiała wspaniałe barwy, całkiem jak prawdziwe.

– Nasza Gina wygrała loterię „Pół na pół” – poinformowała ich Frankie, kiedy starsi panowie mijali kasę. Gina rozpromieniła się, lecz bynajmniej nie z powodu wygranej, ale nazwania jej „naszą Giną”. Przykryła dłonią kieszeń fartucha i wyraźnie poczuła przez materiał miękką prostokąt wypchanej koperty.

– No, pięknie! – zawołał Walter, odwracając się na wózk, aby spojrzeć na Ginę. – To co, stawiasz pierwszą kolejkę? – zażartował.

– Ojej, bardzo bym chciała – odcięła się tak samo wesołym tonem. – Ale skończyłam już zmianę i wychodzę.

– Zwolnij, dziecino – odezwał się Brian. – Mamy dla ciebie następne dobre wieści.

– Ona ma imię! – ofuknął go Walter. – Henry jest? – zapytał.

– Był przed południem, zaraz Clay znów go przywiezie. – Gina spojrzała na Briana. – Jakie wieści?

– Nic jej nie mów, najpierw idziemy do małej sali – uciął Walter, pchając ze złością koła swojego wózka.

Gina poszła za nimi i usiedli we trójkę nad szachownicą.

– Gratulacje! – dobiegł ich czyjś głos.

Odwróciła się i dostrzegła Brocka Jensena przy stole bilardowym. Uniósł ciemną od tatuaży rękę.

– Słyszałem, że rozbiłaś bank – powiedział.

– Tak, dzięki. – Uśmiechnęła się, chociaż przy tym człowieku nigdy nie czuła się swobodnie. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ktoś chce pokryć swoje ciało tuszem wkłuwanym pod skórę.

– Wieści są takie. – Walter Liscott położył piękną drewnianą kaczkę obok szachownicy i pochylił się nad stołem, spoglądając na Ginę. – Jutro widzisz się z Alekiem, prawda?

– Tak. – Bardzo się denerwowała przed spotkaniem ze swoim nieprzejednanym wrogiem.

– No więc myśleliśmy sobie we dwóch, jak by tu go przekonać, i Brian zadzwonił do Hatteras, do muzeum Graveyard of the Atlantic. Okazuje się, że chcą ją dostać. To znaczy soczewkę z Kiss River. Wiem, że wolałabyś, aby została tutaj, na północy, ale lepiej jak najszybciej znaleźć dla niej miejsce, żebyś miała argumenty na rozmowę z Alekiem.

– I oni ją tam wystawią? – zapytała Gina.

– Owszem. Rzecz jasna, na razie nie dali niczego na piśmie, ale powiedzieli, że ta soczewka to dla nich wielka gratka. I miejsce dla niej też mają.

– No, to naprawdę dobra wiadomość – przyznała.

– I tak pewnie się rozejrzysz za czymś tutaj, w okolicy – wtrącił Brian. – Ale przynajmniej możesz powiedzieć Alecowi, że soczewka z Kiss River ma się gdzie podziać.

– I że on, cholera, nie musi nic robić – dodał Walter. – Nawet kiwnąć palcem. My się wszystkim zajmujemy: ty, ja i Brian.

– Jak nie chce, nie musi nawet wiedzieć, kiedy ją wyciągną – powiedział Brian.

– Panowie, jesteście wspaniali – uśmiechnęła się Gina. – Bardzo wam dziękuję za pomoc.

Wstała od stołu, czując, że zanim wyjdzie z pracy, musi wstąpić do łazienki.

– Dam wam znać, jak mi poszło – obiecała.

Łazienka znajdowała się w długim, wąskim korytarzu. Kiedy Gina skończyła i szła z powrotem na salę, zza rogu wybiegł Brock Jensen i wpadł na nią, zanim zdążyła uskoczyć mu z drogi. Runęła jak długa na wznak, a on niemalże przykrył ją ciałem.

– O w mordę! – zawołał, podnosząc się z niej powoli, po czym usiadł pod ścianą. – Nic ci nie jest?

Wcale nie była tego taka pewna. Obróciła się na bok i przez chwilę tak leżała, poruszając kolejno wszystkimi przegubami: nadgarstki i łokcie, potem kostki i kolana. Jedna kostka bolała, ale tylko trochę.

– Chyba nic – wyjąkała.

– Strasznie cię przepraszam. – Brock wziął Ginę pod ramię, pomógł jej wstać. – Sikać mi się zachciało i nie myślałem o niczym innym.

Pomimo nerwów zdołała się uśmiechnąć.

– Wiem, jak to jest. – Uniosła się z podłogi, opierając na jego wytatuowanym przedramieniu. – Wszystko w porządku – powiedziała. – Po prostu przez chwilę nie mogłam złapać tchu.

– Na pewno? – Spojrzał na nią uważnie.

– Tak, już dobrze. – Skinęła głową, wskazując toalety na końcu korytarza. – Ruszaj śmiało.

Wyszła z baru, ostrożnie stawiając kroki, aby sprawdzić, jak się sprawuje obolała kostka. Wciąż nie mogła otrząsnąć się ze zdziwienia, że wyniosła całe kości z takiego szalonego karambolu. Ale nie, nic jej się nie stało. I dopiero po wyjechaniu z parkingu dotknęła dłonią fartucha. Pieniądze! Zjechała na pobocze, zatrzymała wóz. Zdjęła fartuch i obmacała kieszeń, jak gdyby pękata koperta mogła się tam zawieruszyć. W kieszeni znalazła trochę banknotów jednodolarowych i garść monet, ale to wszystko jej napiwki. Koperta zniknęła.

Wróciła szybko do Shorty's i sprawdziła korytarz w miejscu, gdzie się przewróciła. Drewniana podłoga nie była pierwszej czystości, ale nic na niej nie leżało. A już na pewno nie koperta. Gina poszła do łazienki, zajrzała do kabiny, z której przed chwilą korzystała, pod brudną umywalkę i do małego plastikowego kosza na śmieci.

Kiedy ostatni raz czuła, że ma kopertę w kieszeni? Pamięć podsunęła jej Briana i Waltera: przed chwilą się zjawili, a ona szła z nimi przez główną salę. Wróciła tam, aby przejść jeszcze raz tą samą drogą, ale nie znalazła żadnej koperty. Za kasą stała Frankie, zajęta obsługą klientów; Gina nie mogła się zdobyć na to, żeby zapytać ją, czy przypadkiem uczciwy znalazca nie zwrócił jej wygranej. Nie potrafiła się przyznać, że była nieostrożna i od razu ją zgubiła.

Cofnęła się do małej sali, gdzie Walter i Brian siedzieli nad szachownicą, pochłonięci grą. Rzuciła okiem pod stół.

– Zgubiłaś coś? – zapytał Brian.

– Kopertę – odpowiedziała. – Nie wpadła wam może w oko koperta?

Walter też zajrzał pod stół.

– Nic tam nie widzę – oznajmił.

Gina też niczego nie widziała. Cholera, zakłęta w myślach i postanowiła, że powie Frankie. Odwróciła się i chciała już wyjść, lecz nagle złowiła wzrokiem spojrzenie Brocka Jensena.

Obserwował ją znad stołu bilardowego. Przez moment patrzył jej prosto w oczy, a uśmiezek na jego twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Przypomniała sobie, jak najpierw pogratulował jej wygranej, co było kompletnie nie w jego stylu, a potem wpadł na nią w korytarzu, z całej siły, przewrócił się na nią i przygniótł na chwilę, zanim wstał. To był podstęp, od początku do końca.

Podeszła do stołu.

– Mogę cię prosić na słówko? – spytała Brocka.

– Zaraz wracam – rzucił do kumpla i ruszył za nią.

Gina wyszła z baru bocznymi drzwiami. Stanąwszy na wysypanym żwirem podjeździe, odwróciła się do Brocka.

– W korytarzu przy toaletach nie wpadłeś na mnie przypadkiem – oznajmiła.

– Nie przypadkiem? A niby jak? – Przekrzywił głowę, znów krzywiąc usta w tym uśmiezku, który najchętniej starłaby mu z twarzy.

– A tak, żeby zabrać mi z kieszeni fartucha moją wygraną.

Mężczyzna wyciągnął przed siebie wymalowane aż po dłonie ręce.

– Chcesz mnie przeszukać? – zaproponował.

Gina była bliska płaczu. Nie potrafiła udawać twardej.

– Te pieniądze są mi potrzebne – szepnęła. – Proszę cię, Brock. Oddaj mi je, a ja zapomnę o sprawie.

Zgarbił się, zbliżając twarz do jej twarzy.

– Nie mam twojej forsy – warknął. – Skoro ją zgubiłaś, to nie przychodź z płaczem do mnie.

Odwrócił się na pięcie i pomaszerował z powrotem do baru, klapiąc sandałami.

* * *

Po południu Gina siedziała na kanapie w salonie i udawała, że czyta. Tuż obok Lacey otwierała koperty z rachunkami, a ona nie wiedziała, co powiedzieć, chociaż miała świadomość, że nie dokłada się do nich w żaden sposób.

– Muszę ci coś powiedzieć – odezwała się nagle, zebrawszy odwagę. Zamknęła książkę i położyła ją sobie na kolanach. Lacey, która akurat przeglądała jeden z rachunków, uniosła głowę.

– Co? – zapytała.

– Dałam straszną plamę – przyznała się Gina. – Jest mi bardzo przykro.

Lacey natychmiast odłożyła papiery na podłogę i spojrzała na nią z uwagą.

– Wszystko jest w porządku, cokolwiek by się stało – zapewniła. Gina umiała docenić, jakie to szczęście, że ta wyjątkowo życzliwa kobieta przyjęła ją pod swój dach i obdarzyła przyjaźnią.

– Zgubiłam pieniądze z loterii – powiedziała.

Lacey poderwała głowę i jęknęła cicho.

– O nie!

– Wydaje mi się, że zabrał ją Brock Jensen. Wpadł na mnie na korytarzu, kiedy wychodziłam z toalety, i przewróciliśmy się razem na podłogę. Pewności nie mam, ale to mogło być celowe. Rozmawiałam z nim, ale oczywiście zaprzeczył.

– Dzwonimy na policję. – Lacey natychmiast podniosła się z kanapy, ale Gina złapała ją za rękę.

– Nie. Nie chcę robić z tego afery. Może Brock faktycznie jest niewinny. Może naprawdę

zgubiłam tę kopertę. Nie wiem, po prostu nie wiem. – Potrząsnęła głową. – Strasznie mi przykro, Lacey. Loteria to świetny pomysł. Szkoda tylko, że to ja wygrałam.

Lacey westchnęła, opadając z powrotem na oparcie kanapy.

– No cóż – powiedziała. – Może te pieniądze trafiły do kogoś, kto potrzebuje ich bardziej. Przynajmniej można mieć taką nadzieję.

Gina przytaknęła, udając, że się zgadza, choć trudno było jej oprzeć się myśli, że nie ma nikogo, kto bardziej od niej potrzebowałby w tej chwili pieniędzy.

Rozdział osiemnasty

Gina Higgins czekała już przy stoliku. Alec dostrzegł ją momentalnie, gdy tylko zamknął za sobą ciężkie drzwi restauracji Sea Tern Inn. W środku było pełno ludzi, jak to zwykle w sezonie, ale tej kobiety trudno było nie zauważyć. Siedziała pod oknem. Pomachała do niego, a rękę miała smukłą i odsłoniętą aż po samo ramię. Skinął jej na powitanie, ale najpierw zatrzymał się, żeby zamienić kilka słów z jedną z kelnerek, którą znał od lat. Dopiero potem podszedł do stolika pod oknem i usiadł naprzeciwko pani Higgins.

– Co słyhać? – zapytał, odkrywając na nowo uderzającą, delikatną urodę tej młodej kobiety. Jej gładka cera nie nosiła ani śladu makijażu i ogólnie nie było widać, aby w jakikolwiek sposób starała się poprawić swój wygląd – poza czesaniem długich, ciemnych włosów i zabiegiem, który zapewniał zębom olśniewającą biel. Mimo to kilku młodych mężczyzn, kiedy mijali ich stolik, odwracali za nią głowy, na co ona nie zwracała uwagi.

– Wszystko w porządku, dziękuję – odparła. – I dziękuję też, że przyjął pan moje zaproszenie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Alec skinął głową, chociaż w rzeczywistości wolałby iść do dentysty na leczenie kanałowe, niż wysłuchiwać po raz kolejny mrzonek o wyciągnięciu z oceanu soczewki z Kiss River, a był pewien, że o to właśnie chodzi.

Kiedy Gina Higgins brała ze stołu serwetkę, zauważył, że lekko drżą jej ręce. Denerwowała się tak samo jak poprzednio, kiedy zjawiała się u niego w domu.

– Czy pana szpital... – zaczęła. – To znaczy przychodnia... dla zwierząt... jest gdzieś niedaleko?

– Kilka kilometrów stąd.

Zjawiała się kelnerka, aby zapytać, czego się napiją. Gina poprosiła o wodę, Alec wybrał mrożoną herbatę, a potem w milczeniu przeglądali kartę dań. Spieszyło mu się, żeby zamówić, bo wiedział, że im szybciej to zrobią, tym szybciej dostaną jedzenie – i tym szybciej będzie mógł stąd wyjść.

– No, to proszę powiedzieć – zagadnął, gdy kelnerka przyniosła drinki i odebrała zamówienia – zdecydowała pani już, jak długo się tutaj zatrzyma?

– Jeszcze nie wiem na pewno – odparła. – Mam urlop do końca wakacji, więc tak naprawdę żyję z dnia na dzień. Tak jak panu wcześniej wspominałam, chciałam zwiedzić różne latarnie w tym regionie, ale jakoś nie mogę wyjechać z Kiss River.

Alec nie zareagował na tę nazwę.

– Lacey mówiła, że mieszka pani w Bellingham – skierował rozmowę na inny tor.

– Tak. – Gina zaczęła się bawić serwetką, na której stała jej szklanka: zagięła jeden róg, potem drugi. – Był pan tam?

– Tam akurat nie. Kilka lat temu wybraliśmy się z żoną na północne wybrzeże Pacyfiku, ale nie dotarliśmy do Bellingham.

– A gdzie państwo byli?

– W Seattle, a potem pojechaliśmy do Kanady, do Vancouver i Victorii. Pięknie tam jest. I nawet nie padało za bardzo.

– O, więc dopisało wam sporo szczęścia – zauważyła Gina.

– Więc co prawda nie byliśmy w Bellingham, ale dotarliśmy na przylądek Flattery.

– Flattery? – Lekko zmarszczyła brwi.

– Gdzie stoi latarnia morska – wyjaśnił.

– Aha! No tak.

Alec przypomniał sobie wątpliwości, które naszły go przy pierwszym spotkaniu z tą kobietą: jak to możliwe, że osoba zajmująca się historią latarni morskich, nieważne, czy amatorsko, czy zawodowo, nie wie, że latarnię w Kiss River przed dziesięcioma laty zniszczył potężny sztorm? Wtedy wybaczył jej niewiedzę, bo ostatecznie nie musiała znać losów latarni Wschodniego Wybrzeża, ale raczej powinna słyszeć o latarni na przylądku Flattery, który stanowi najdalej położony na zachód punkt amerykańskiego lądu.

– Pani pewnie też tam była? – zapytał.

– Oczywiście. – Skinęła głową.

– A jaka jest pani ulubiona latarnia? – ciągnął dalej.

– Och... – mruknęła przeciągle, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią, i odwróciła wzrok, przyglądając się solniczce i pieprzniczce, które stały na skraju stolika. Alec przypomniał sobie, jak kiedyś słyszał, że gdy ktoś przed odpowiedzią na pytanie opuści oczy, a potem spojrzy w lewo, to najprawdopodobniej kłamie. A może w prawo? Nie miał zamiaru sprawdzać, czy jego rozmówczyni naprawdę interesuje się latarniami, ale teraz zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie warto by tego wy badać.

– Gdybym musiała wybierać, to chyba padłoby na New Dungeness – odpowiedziała Gina, znów spoglądając mu prosto w oczy.

– Aha. – Pokiwał głową. – Do niej też dotarliśmy. Był tam wtedy remont.

Ta wiadomość chyba ją zaskoczyła.

– A jak się państwo tam dostaliście? Na piechotę?

– Kajakiem – odparł. Do latarni w New Dungeness turyści mogli albo dojść pieszo, albo dopłynąć łodzią. Wjazd samochodem był zabroniony. – A pani? Pewnie zna ją pani bardzo dobrze.

– Zwiedziłam ją kilka razy – przytaknęła. – Zawsze chodzę tam pieszo. To ponad osiem kilometrów, ale warto.

– A remont wciąż jeszcze trwa?

– Nie wiem. Może już skończyli.

– Latarnie w tamtych stronach mają bardzo ciekawą historię – wspomniał Alec.

– Tutaj podobnie. – Gina usilnie starała się wrócić na Wschodnie Wybrzeże, ale on nie chwycił przynęty.

– Cóż, tamtejsi latarnicy w pierwszych latach nie musieli radzić sobie z wrogo nastawionymi Indianami. No i ta ospa...

Urwał i potrząsnął głową, zirytowany, bo dotarło do niego, że celowo próbuje ją zagiąć.

– Ospa? – powtórzyła, patrząc nierozumiejącym wzrokiem. Jej oczy były tak ciemne, jakby w ogóle nie miała źrenic.

– Wie pani: żeby nie mieć problemu z Indianami, zarażano ich chorobami zakaźnymi.

– Aha, no tak – powiedziała szybko i uśmiechnęła się. – Wolę nie pamiętać o tym drobnym szczególe.

Kelnerka przyniosła zamówienie: dla niej sałatkę à la Cezar, dla niego kanapkę z kotletem krabowym. Alec rozłożył serwetkę na kolanach i wziął swoją kanapkę do ręki.

– A co słyhać w domu latarnika? – zagadnął, zanim jeszcze ugryzł pierwszy kęs.

– Wszystko dobrze. – Gina lekko przemieszała sałatkę widelcem. – Lacey i Clay są dla mnie bardzo mili. Ma pan świetne dzieci.

– Dziękuję. – Alec przytaknął ze skromną miną.

– Niewiele czasu spędzają w domu – mówiła dalej. – Lacey jest niesamowita: pracuje dorywczo u pana w przychodni, potem biegnie prowadzić zajęcia, jest wolontariuszką, no i jeszcze te witraże...

– Tak – mruknął Alec. – Chociaż wolałbym, żeby trochę zwolniła tempo i bardziej wyszła do ludzi.

– Ależ ona wychodzi – zapewniła go, a on poczuł ukłucie niepokoju, widząc, że obca osoba wie lepiej od niego, jak wygląda życie jego córki. – Kiedy tylko nie uczy dzieci, nie robi witraży, nie oddaje szpiku albo nie czyta pensjonariuszom w domu opieki – zaśmiała się.

Już mało brakowało, a to jedno słowo przeszłoby całkiem bez echa, ale nie.

– Może pani powtórzyć? – Alec odłożył kanapkę na talerz. – To o szpiku?

– Lacey oddała szpik do przeszczepu – powiedziała Gina pomiędzy jednym kęsem a drugim. – Nie wiedział pan o tym?

– Nie – przyznał. – Nie wiedziałem. Kiedy?

– Nie wiem dokładnie. W zeszłym roku. – Miała zmartwioną minę, jakby wygadała jakąś tajemnicę. Co zresztą było prawdą. – Chyba nie można być już bardziej hojnym dla ludzi – dodała.

Alec milczał, oczyma duszy widząc Annie, swoją żonę, w drodze powrotnej z Chicago, po zabiegu pobrania szpiku. Ona też oddała go do przeszczepu, a potem, w samolocie, uśmiechała się dzielnie, chociaż bolały ją plecy. Przed kilkoma laty Lacey poinformowała go, że wpisała się na listę dawców. Sprzeciwił się temu stanowczo, wręcz się uniósł, co musiało ją mocno zdziwić. Nic dziwnego, że nie powiedziała mu o wezwaniu na zabieg. Była taka sama jak Annie i tak samo jak ona miała przed Alekiem tajemnicę.

– Z hojnością też można przesadzić – mruknął, bardziej do siebie niż do Giny. Nie odpowiedziała i przez chwilę jedli w niezręcznej ciszy. Potem Alec westchnął z rezygnacją i uznał, że równie dobrze może sam przejść do tematu, którego i tak nie da się uniknąć.

– Znam powód dzisiejszego zaproszenia – powiedział. – Chce pani spróbować mnie przekonać do pomocy przy wydobyciu soczewki z Kiss River, a ja...

– Panie doktorze – weszła mu w słowo. – Zdaję sobie sprawę, że jestem in... Nieproszonym gościem – dokończyła, uśmiechając się nieśmiało. Ten uśmiech sprawił, że wydała się Alecowi sympatyczna, chociaż wcale nie był do niej życzliwie nastawiony. – Trudno mi to wyjaśnić. Po prostu nie mogę przejść koło tego obojętnie. Bardzo wiele osób ofiarowało pomoc i gdyby pan tylko pozwolił mi działać... Brian Cass, Walter Liscott, Nola Dillard. Towarzystwo Przyjaciół Latarni Morskich. Wszyscy ci ludzie są za tym, aby wydobyć soczewkę z oceanu.

– A ja stoję im na drodze.

Gina skinęła głową.

– Brian Cass rozmawiał z kimś, kto pracuje w Graveyard of the Atlantic. To muzeum chętnie przyjmie do siebie soczewkę z Kiss River po wydobyciu.

Nagle Alec poczuł ogromne znużenie. Skończył jeść kanapkę i był gotów do wyjścia. Odsunął talerz.

– Pani Gino, ja wiem, że dla tej soczewki znalazłoby się miejsce – powiedział. – Nie o to chodzi.

– Dlaczego tak się pan temu sprzeciwia? – zapytała ze zdziwieniem, całkiem zresztą uzasadnionym.

– A dlaczego pani tak na tym zależy? – odbił piłeczkę.

Gina szybko spuściła wzrok, znów spoglądając na solniczkę i pieprzniczkę na skraju stołu.

– Bo leży mi na sercu los latarni morskich i nasze dziedzictwo historyczne.

– Zastanawiam się tylko, w jakim stanie jest ta soczewka. – Alec założył ramiona na piersi. – Pani ma nadzieję, że zachowała się w całości, ale to raczej mało prawdopodobne, tym bardziej że brakuje jej jednego segmentu. Nie sądzi pani?

– Jak to brakuje jednego segmentu?

Jeśli ona nie wie, o czym mówię, pomyślał, to znaczy, że jest zupełnie nieprzygotowana do tej rozmowy.

– W latach sześćdziesiątych sztorm zniszczył jeden segment soczewki – wyjaśnił.

Gina nie zdołała ukryć zaskoczenia.

– Myślała pani, że była nienaruszona? – zapytał Alec. Źródła, z których korzystała, musiały być naprawdę bardzo stare, skoro brakowało w nich tego istotnego szczegółu.

– Wyleciało mi z głowy – zbyła go. – To zresztą nie zmienia mojego nastawienia. I tak chcę ją wydobyć.

Zerknął na zegarek, a potem spojrzął jej w oczy.

– Pani Gino – powiedział. – Dobrze wiem, jak to jest mieć obsesję na punkcie latarni morskich. Naprawdę. I właściwie współczuję pani, bo wiem też, co czuje człowiek usiłujący ratować coś, czego raczej nie da się uratować. Tylko że...

Chciał powiedzieć krótko: „Nie pomogę pani i to jest moje ostatnie słowo”. A jednak coś mu mówiło, że ta kobieta zasługuje na lepsze traktowanie. Nie wierzył już, że zajmuje się historią latarni morskich, ale widać było, że z jakichś powodów szczerze jej zależy na wydobyciu soczewki z Kiss River.

– Ta latarnia była bardzo ważnym miejscem dla mnie i dla mojej pierwszej żony – wyjaśnił.

– Och... – Gina wyprostowała się na krześle. – Clay mi mówił... jak pan ją utracił. Bardzo współczuję. To musiało być straszne, dla was wszystkich.

Alec skinął głową.

– Tam właśnie się poznaliśmy – podjął. – Miałem dopiero dwadzieścia dwa lata i przyjechałem tutaj na wakacje do pracy. Remontowaliśmy dom latarnika. Malowaliśmy latarnię.

– Nie wiedziałam – przyznała Gina. – Nic dziwnego, że uwielbiał pan to miejsce.

– Często przychodziliśmy z żoną w nocy na galerię, żeby oglądać gwiazdy.

I kochać się, dodał w myślach. Nagle przypomniało mu się, jak przychodził na galerię sam, po śmierci Annie. Tam mógł w spokoju przeżywać żalobę.

– Potrafię zrozumieć, że los latarni morskiej może leżeć człowiekowi na sercu – ciągnął. – Ale Annie już nie jest moją żoną, a to, co nas... łączyło z Kiss River, należy do przeszłości. I tam musi pozostać. Nie chcę mieć już więcej nic do czynienia z tą latarnią. – Zdawał sobie sprawę, że jego upór w dalszym ciągu musi ją dziwić, więc dodał: – Powód, dlaczego chcę, aby ta soczewka została tam, gdzie jest, pewnie wydaje się pani równie irracjonalny jak mnie to, że komuś, kto mieszka w stanie Waszyngton, tak zależy na tym, żeby ją wydobyć. Powiem tylko: proszę nie liczyć na moje wsparcie. Przykro mi. I proszę, aby nie zwracała się pani do mnie z tą sprawą. Nie będę o tym rozmawiać.

Gina opuściła głowę ze skrucą.

– Dobrze – powiedziała cicho, niemal szeptem. – Bardzo mi przykro, jeśli przeze mnie musiał pan przeżywać na nowo jakieś bolesne wspomnienia.

Chciał zapłacić, ale się nie zgodziła.

– To ja pana zaprosiłam – ucieła. Jej głos brzmiał głucho i słycać było wyraźnie, jak bardzo jest zawiedziona. Towarzystwo tej kobiety budziło w Alecu dziwne odczucia: z jednej strony pociągały go jej uroda i zapał, lecz natychmiast budziły się w nim podejrzenia, a oprócz tego przez cały czas był przy niej poirytowany. Przypominała mu o sprawach, które wolałby raz na zawsze wyrzucić z pamięci.

W milczeniu wyszli razem na parking. Alec uświadomił sobie, że opadło go niespodziewane, przytłaczające poczucie wyobcowania. Pragnął porozmawiać o całej tej sytuacji ze swoją żoną. Olivia była jego podporą, dzięki niej nie popadł jeszcze w obłąd. Mógł z nią rozmawiać absolutnie o wszystkim, z jednym wyjątkiem: Annie. Marzyło mu się, aby po powrocie do domu powiedzieć Olivii, że Lacey w zeszłym roku oddała szpik do przeszczepu, ale mógł przewidzieć jej reakcję. Za każdym razem, gdy Lacey robiła coś na modłę Annie, Olivia dosłownie drżała z nerwów. Poza tym była zdania, że dzieci Aleca z pierwszego małżeństwa powinny znać niechlubną prawdę o swojej matce, jakkolwiek już dawno przestała się z nim o to spierać. Zrozumiała, że Alec nigdy nie odbierze im dobrej pamięci o Annie.

Zdawał sobie sprawę, że teraz już po prostu idzie w zaparte, ale soczewka z Kiss River przypominała mu o szaleństwie, w które kiedyś popadł. Gdyby istniał jakiś ważny powód, aby ją wydobyć z oceanu, gdyby na przykład zależało od tego czyjeś życie, to zgodziłby się, oczywiście. Ale w dążeniach obcej osoby, nietutejszej, podającej się za badaczkę latarni morskich, wiedzionej irracjonalnym pragnieniem wydobywania soczewki z Kiss River – w tym Alec nie potrafił dostrzec nic ważnego. To wręcz jeszcze bardziej podsycalo jego opór.

– Mój samochód stoi tam. – Wskazał drugi rząd zaparkowanych aut.

– Do widzenia – odparła, ruszając w przeciwnym kierunku. – Dziękuję za spotkanie.

– Gino! – zawołał za nią.

Obejrzała się.

– Widzę, że ma pani mnóstwo energii i wielką pasję – powiedział. – Lepiej by było spożytkować je w innym celu.

Rozdział dziewiętnasty

Piątek, 10 kwietnia 1942

Dzisiaj skończyłam piętnaście lat i czuję się zupełnie inną osobą. Nie chodzi tylko o wiek. Zmieniło się we mnie coś, co do tej pory wydawało się niezmiennie. Straciłam zaufanie do ludzi. Przekonanie, że zawsze i wszędzie jestem bezpieczna. I tę nieświadomość, która podsuwała mi obraz Niemców jako bezimiennych demonów czających się daleko, w głębinach oceanu. Teraz już wiem, że jest inaczej, i już chyba nigdy nie będę taka jak przedtem.

Wczoraj, późnym wieczorem, kiedy kładłam się już spać (a właściwie udawałam, wiedząc, że za godzinę wymknę się z domu na spotkanie z Sandym), nagle zjawił się tato i powiedział, że mamy obie z nim iść. Poszłam, bo nie chciałam, aby zaczęli coś podejrzewać. Zaprowadził nas na latarnię, na samą górę i pokazał nam niebo, na którym gwiazdy spadały istnym deszczem. Latarnia nie pali się teraz. Musieliśmy ją wyłączyć, kiedy zarządzono zaciemnienie, i za nic nie możemy się wyspać. Chodzimy rozdrażnieni i ciągle zrzedzimy. Ale też w ciemności lepiej widać gwiazdy.

Tato miał latarkę, ale nie włączył jej na schodach. Wszyscy troje weszlibyśmy tędy nawet we śnie. Widok z galerii zapierał dech w piersiach. Księżyc był tylko małym, białym okrawkiem, a ponieważ w okolicy nie paliło się żadne światło, widziałam niebo tak wyraźnie, jak jeszcze nigdy w życiu. Nie widziałam, gdzie kończy się ocean, a zaczyna stały ląd. Staliśmy oparci o szklaną ścianę laterny i patrzyliśmy w niebo. Naliczyłam już trzy spadające gwiazdy, kiedy mama nagle wskazała ręką na północ.

Po chwili zorientowałam się, co zwróciło jej uwagę: na falach migotało jakieś światełko. Przyglądaliśmy mu się, a tato zawołał: „To sygnał SOS! ”. I rzeczywiście, wtedy ja też zauważyłam, że błyski układają się we wzór: trzy długie, trzy krótkie i znowu trzy długie. Tato podał mi latarkę.

– Zostańcie tutaj – polecił i ruszył w kierunku schodów. – Wezmę łódź i wypłynę. Tylko musicie mi świecić latarką, żebym trafił z powrotem.

– Popłynę z tobą – powiedziała mama.

– Nie! – zawołał przez ramię. – Zaparz lepiej kawę, żeby było coś ciepłego dla tych ludzi, kiedy ich przywiozę.

– Mogę polecieć na posterunek Straży Wybrzeża – zaoferowałam. Marzyłam o tym jak o niczym innym na świecie.

– Nie, nie możesz – ucięła mama. – Ciemno choć oko wykol, a w okolicy jest morderca.

Zeszła z tatą na dół, a ja usiadłam na galerii, dygocząc na całym ciele. Było zimno i mocno wiało, ale tak naprawdę trzęsłam się z nerwów. Wiedziałam, że Sandy ma dzisiaj patrol. Ciekawe, czy zauważył sygnał SOS, czy dało się go dostrzec z plaży, bo był trochę za daleko na północ.

Wyrzałam przez poręcz galerii. Tato spychał już motorówkę na wodę, ale ledwie mogłam go dostrzec, widziałam za to doskonale, że ocean jest bardzo wzburzony. Księżyc dawał tak nikiłe światło, że piana na falach była szara. Gdy grzywacze były jeden o drugi, tryskała w górę wysokim pióropuszem. Bałam się o tatę, wypływał w taką pogodę.

Ocean ryczał wściekle, ale wyraźnie słyszałam warkot silnika naszej łodzi na falach i ucieszyłam się, kiedy w końcu minęła falochron. Wbrew zakazowi tato włączył światła pozycyjne na dziobie i na rufie – domyśliłam się, że chciał dać znak rozbitkom. Wkrótce zrównał się z tamtym światłem i silnik jego łodzi ucichł. Widziałam tylko blask dwóch lamp chybotających się na wodzie w tę i we w tę, ale nie miałam pojęcia, co tam robią, on i tamci. Potem znów dobiegł mnie warkot zapuszczanego silnika naszej łodzi, a światełka zaczęły sunąć w stronę brzegu. W pierwszej chwili myślałam, że tamta łódź po prostu płynie za tatą, ale okazało się, że wziął ją na hol.

Skierowałam w ich stronę zapaloną latarkę, żeby pokazać kierunek. Dwa światła podskakiwały na falach jak szalone. Minęły falochron i płynęły dalej, czasem całkiem znikwały mi z oczu. Bałam się wtedy niemiłosiernie, ale zaraz ukazywały się z powrotem. Gdy łodzie bezpiecznie przybiły do brzegu, zbiegłam po schodach na dół.

W tej drugiej siedzieli dwóch mężczyzn. Właściwie nie w łodzi, tylko małej łódce, zwykłej jolce bez silnika. Nic dziwnego, że nie dali sobie rady na morzu.

– Zabieramy ich do domu! – zawołał tato.

To tak naprawdę byli jeszcze chłopcy, raptem kilka lat starsi ode mnie. Zmęczeni i tak rozdygotani, że z trudem wysiedli z łódki. Pozwoliłam jednemu z nich oprzeć się na moim ramieniu, bo nie mógł złapać równowagi na stałym lądzie.

– Dziękuję paniencie – powiedział z przepięknym akcentem.

– Anglicy – wyjaśnił mi tato. – Chodźcie do środka, chłopaki. Napijcie się kawy, rozgrzejecie się.

Gdy na nich patrzyłam, przypomniła mi się tamta noc, kiedy poznałam Sandy'ego i przyprowadziłam go po cichu do domu. Obaj trzęśli się od stóp do głów, a twarze mieli zbielełe ze strachu i zimna. Mówili zupełnie inaczej niż Sandy. Cudownie było ich słuchać. Jeden miał włosy tak jasne, że prawie białe, i wyglądał trochę dziwnie. Jego brwi i rzęsy też były białe, a oczy miały bardzo osobliwą, różowawą barwę. Staralam się na niego nie gapić, co nie było łatwe. Przedstawił się jako Miles. Ten drugi, Winston, był bardzo przystojny. Trochę podobny do Teddy'ego Pearsona ze Straży Wybrzeża, tylko mówił z angielskim akcentem. Mama dała im trochę jedzenia, które zostało z obiadu: kurczaka, kapustę i parę kulek z mąki kukurydzianej. Ustawiliśmy dla nich krzesła przy kominku, a oni opowiedzieli nam, co się stało.

Ich statek, angielski trawler o nazwie Miraż, storpedowali Niemcy. Winston miał łzy w oczach, kiedy o tym opowiadał, a Milesowi drżały usta; poza tym w ogóle siedział bardzo cicho, prawie się nie odzywał. Było mi ich strasznie szkoda. Mogłam sobie wyobrazić, jak to jest patrzeć na śmierć kolegów. Winston powiedział też, że początkowo było ich trzech w tej łódce; ten trzeci wyskoczył, żeby kogoś ratować, i już nie wypłynął. Strasznie było o tym słuchać.

Mama powiedziała, że skoro jest już tak późno, to najlepiej, żeby marynarze przespali się w pokoju gościnnym, jeśli nie przeszkadza im, że będą musieli dzielić jedno podwójne łóżko, a ja rano pobiegnę do Straży Wybrzeża, powiem komendantowi Hewittowi, co się stało, i przekażę mu informacje o storpedowanym Mirażu. Zgodzili się.

Ale zanim poszliśmy spać, mama uśmiechnęła się do mnie i powiedziała, że jest już prawie pierwsza w nocy, więc oficjalnie zaczęły się moje urodziny. Wszyscy zaśpiewali *Happy*

Birthday, każdy po swojemu. W Anglii chyba śpiewają to jakoś inaczej, bo Miles i Winston ciągle mylili słowa. Wstyd mi się zrobiło, że tak nagle znalazłam się w centrum uwagi, ale nie trwało to długo i w końcu obaj marynarze poszli na górę spać, i my tak samo. Aż mnie skręcało, żeby opowiedzieć wszystko Sandy'emu, ale nie odważyłam się wymknąć z domu, bo wiedziałam, że rodzice nie zasną mocno, kiedy pod naszym dachem są obcy ludzie. Mogłam mieć tylko nadzieję, że Sandy nie będzie się o mnie martwił. Dziś po raz pierwszy nie spotkaliśmy się na jego patrolu.

Sen przyszedł jednak szybko. Może po tylu nocach spędzonych na zimnej plaży potrzebowałam się porządnie wyspać. Nie było mi to jednak dane.

Trudno o tym pisać, opowiedzieć słowami, co się stało. Śniło mi się, że leżę na plaży, a obok mnie leży Sandy. Muskał nosem moją szyję i całował mnie w policzek, a potem wsunął dłoń w wycięcie koszuli nocnej i położył ją na mojej piersi, czego tak naprawdę jeszcze nigdy nie zrobił. Sprawilo mi to przyjemność, więc objęłam go ramionami. Poczułam, że jest kościsty, i pamiętam, jak pomyślałam sobie: „To jest sen, a ten Sandy też jest ze snu”. A potem nagle się obudziłam i okazało się, że obok mnie rzeczywiście ktoś leży, ale nie Sandy, tylko Miles, blondyn z łódki! W moim pokoju było strasznie ciemno. Jakże mi brakowało światła latarni! Zaczęłam krzyczeć, lecz Miles zakrył mi usta dłonią i przycisnął moją głowę do poduszki. Chciałam go odepchnąć, ale on był silny, choć taki szczupły, i nagle poczułam na gardle coś gładkiego i zimnego. To mógł być tylko nóż. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam. Kiedy już pokazał, że ma nóż, położył go na łóżku obok mnie, a potem tą samą rękę znów wsunął mi pod koszulę nocną, tym razem pomiędzy nogi. To było wstrętne. Zaczęłam płakać, chyba ze strachu, ale nie tylko: otóż chciałam, żeby to Sandy mnie tam dotykał, a nie ten kościsty świński blondyn. Wiłam się na wszystkie strony i myślałam też, aby sięgnąć po nóż, ale bałam się, że mi go wyrwie i mnie zadźga. Leżał na mojej lewej ręce, przygniatając ją do posłania. Po chwili wyjął dłoń spomiędzy moich nóg i usłyszałam, jak rozpina rozporek. Zrobiło mi się niedobrze z przerażenia. Nagle wpadłam na przedziwny pomysł, zupełnie jakby to instynkt mi go podpowiedział. Miles wciąż zatykał mi dłonią usta, więc błyskawicznie otworzyłam je szeroko i ugryzłam go w palec. Chłopak zawył z bólu i wrzasnął w nieznanym mi języku. Słowa były zgrzytliwe, szorstkie i gardłowe, więc to nie mógł być żaden Anglik. To był Niemiec! Wyrwał dłoń z moich ust i walnął mnie w twarz, ale ja już zdążyłam wrzasnąć na całe gardło. Jeszcze nigdy w życiu nie narobiłam takiego hałasu. Wołałam tatę na pomoc. Miles sięgnął po swój nóż, ale udało mi się podciągnąć wysoko jedną nogę i kopnąć go z całej siły. Spadł z łóżka jak zdmuchnięty i upuścił nóż, a ja zaczęłam szukać go na podłodze, macając po ciemku dookoła. I wtedy do pokoju wpadł tato. Rozpłakałam się na jego widok, bo wiedziałam, że teraz już nic mi nie grozi.

– Tato, to Niemiec! – krzyknęłam szybko i sięgnęłam do włącznika nocnej lampki, nie dbając w tym momencie o nakaz zaciemnienia. Gdy zabłysło światło, zobaczyłam, że w drzwiach stoi mój ojciec ze strzelbą przy boku. Miles, czy jak mu tam, wypadł na korytarz. Z wyglądu cherlak, był jednak silny: staranował biednego tatę i rzucił się w lewo. Widziałam, jak tato unosi strzelbę do ramienia, celuje, a potem broń huknęła głucho i Niemiec padł z łoskotem na podłogę.

Nie mogłam oddychać ani wykrztusić słowa. Siedziałam na łóżku, a usta z przerażenia miałam otwarte tak szeroko, że szczeka chyba dotykała posłania. Tato przez chwilę przyglądał się temu, co było na korytarzu, a potem odwrócił się do mnie.

– Nic ci nie jest, Bess? – zapytał.

Jakoś udało mi się wyjąkać, że wszystko w porządku, a on odwrócił się na pięcie i pobiegł

w drugą stronę, do gościnnego pokoju; wiedziałam, że idzie po tego drugiego. Chciał zastrzelić ich obu.

Do pokoju przybiegła mama. Usiadła obok, na łóżku, i objęła mnie, a ja rozplakałam się w jej ramionach tak jak kiedyś, gdy jeszcze byłam mała i otarłam sobie kolano do krwi. Mama przytulała mnie z całej siły i wiedziałam, że żadne ostre słowa, żadne spory i niezgoda nigdy nie zabijają jej miłości do mnie i mojej miłości do niej.

– Caleb, bądź ostrożny! – zawołała mama za tatą, nie wypuszczając mnie z objęć. – Moje kochanie... – powtarzała co chwila, kołyszając mnie w ramionach, co było przecudowne. Czasami uważam się już za kobietę, ale teraz byłam po prostu małą dziewczynką. Po jakimś czasie mama zapytała, czy ten człowiek zrobił mi jakąś krzywdę. Słowo „zgwalił” nie przeszło jej przez gardło, zresztą wołałam go nie słyszeć. Odpowiedziałam, że nic mi się nie stało i tylko się wystraszyłam. Nie potrafiłam się przyznać, gdzie mnie dotykał. Na samą myśl o tym wciąż robiło mi się niedobrze. Najchętniej poszłabym prosto do łazienki i zagrzała sobie wody na kąpiel, ale przecież na korytarzu leżał trup.

Siedziałyśmy tam i nasłuchiwałyśmy kolejnych wystrzałów, ale wokół panowała cisza. Żadnej z nas nie uśmiechało się wyjść z pokoju i patrzeć na tamtego zabitego Niemca, więc po prostu siedziałyśmy, trzymając się nawzajem w objęciach, i czekałyśmy, co będzie dalej.

Długo, długo później na schodach rozległy się kroki. Wrócił tato. Słysząc było, że jest zmęczony, bo ciężko stawiał nogi. Wszedł do mojego pokoju, usiadł na łóżku. Poglaskał mnie lekko po głowie i zapytał jeszcze raz, czy nic mi się nie stało. A potem powiedział, że ten drugi uciekł do lasu i zniknął mu z oczu.

Tato poszedł na posterunek Straży Wybrzeża, żeby zadzwonić do szeryfa, bo tam mają specjalny telefon. Szeryf przyjechał do nas i zamienił ze mną dosłownie kilka słów; chciał wysłać kilku ludzi na poszukiwanie tamtego drugiego, Winstona, chociaż teraz już było wiadomo, że to nie jest jego prawdziwe imię. Dobrze, że rozmawialiśmy tak krótko, bo wołałam nie opisywać mu ze szczegółami, co zrobił mi Miles, i nie miałam najmniejszej ochoty, żeby wiedziała o tym cała okolica. I bez tego najadłam się dość wstydu.

Wszyscy byliśmy już wtedy na dole, ale ja wciąż myślałam o zwłokach leżących na korytarzu na piętrze. Schodząc po schodach, omijałam je wzrokiem. Szeryf wszedł na górę, bo chciał się przyjrzeć. Tato strzelił tamtemu człowiekowi w plecy. Bałam się, że będzie miał przez to kłopoty, bo tak nie wolno robić, ale kiedy szeryf zszedł z powrotem na dół, powiedział tylko, że przyśle do nas kogoś, żeby zabrał ciało i posprzątał.

Szeryf i komendant Hewitt dowiedzieli się, jakie statki płynęły w nocy tą trasą; okazało się, że nie ma żadnego angielskiego trawlera o nazwie Miraż. Szeryf powiedział, że tamci dwaj to prawdopodobnie byli sabotażyści, których przywiózł tutaj jakiś U-Boot. Zmyślili bajeczkę o storpedowanym statku, żeby dostać się na brzeg. Tato miał wyrzuty sumienia, że dał im się nabrać, ale mama powiedziała, że w coś takiego każdy by uwierzył, więc nie musi być dla siebie aż taki surowy.

Dostałam od mamy gorącą czekoladę i w ogóle rodzice byli dla mnie kochani i troskliwi, zupełnie jakbym była chora. Ostatecznie poszłam się wykapać, tak jak chciałam, a potem siedzieliśmy wszyscy razem przy kominku, a tato odchodził tylko na chwilę, żeby podrzucić do ognia. Szeryf wrócił szybko, mniej więcej po godzinie. Przyprowadził ze sobą jednego zastępcę. Powiedzieli, że znalazł się tamten drugi. Nie uciekł daleko, bo napadło go jakieś zwierzę – sądząc z obrażeń, jakie mu zadał, musiał to być dzik. Niemiec stracił dużo krwi i był nieprzytomny. Zabrali go do szpitala w Norfolk.

– Kiedy się ocknie – powiedział szeryf – będzie musiał odpowiedzieć na bardzo wiele pytań.
A potem razem z zastępcą poszli na górę i zabrali ciało zabitego.

Wiedziałam, że on już nie żyje i nie zrobi mi nic złego, a tamten drugi jest ciężko ranny, daleko stąd, ale i tak bałam się wrócić do mojego pokoju. Czułam się jak małe dziecko. Ale mama jakimś sposobem się tego domyśliła. Może ona w moim wieku czułaby się tak samo, gdyby ją to spotkało. Powiedziała, że mogę spać dzisiaj z nią, a tato położy się u mnie. Byłam jej bardzo wdzięczna.

Dziwnie było spać z mamą. Udało mi się zasnąć, ale ona chyba nie zmrużyła oka. Gdy już morzył mnie sen, czułam jeszcze, jak gładzi mnie po włosach, a gdy rano otworzyłam oczy, dalej głaskała mnie po głowie i uśmiechała się do mnie. W oczach miała łzy.

– Moja mała dziewczynka... – mówiła. – Dlaczego nie mogłam cię przed tym obronić?

Ale ja już nie czułam się taka bezradna jak w nocy i nie podobało mi się, że mama jest tak blisko i okazuje mi tyle ciepła. Usiadłam na posłaniu, odwróciłam się od niej.

– Nic mi nie jest, mamó – powiedziałam. – Naprawdę.

Czułam się jednak bardzo zmęczona, tak bardzo jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Mama powiedziała, że nie muszę dzisiaj iść do szkoły, więc położyłam się z powrotem do łóżka, już w moim pokoju. Idąc tam, omijałam wzrokiem tamto miejsce na korytarzu, bo bałam się, że zobaczę krew. Spałam prawie do południa, zjadłam obiad, a teraz piszę w pamiętniku. Wieczorem zobaczę się z Sandym. Zaraz znowu położę się spać, żeby szybciej doczekać tej chwili.

Rozdział dwudziesty

Wieczorem, kiedy Clay przyjechał po Henry'ego, w Shorty's było tylu ludzi, że nie znalazł już miejsca na parkingu i musiał zostawić samochód na ulicy. Pracował do późna nad aneksem do pewnego domu w Duck. Podobał mu się ten projekt. Poprzedniej nocy nie mógł wręcz zasnąć – rozmyślał nad tym, co mógłby stworzyć, bo właścicielom zależało na czymś oryginalnym, niepowtarzalnym. Od dawna, a konkretnie od ośmiu miesięcy, nie podchodził z takim zapalem do pracy i cieszył się tym, chociaż jednocześnie dręczyły go wyrzuty sumienia, gdy przypominał sobie, że Terri już nigdy nie zazna tej radości.

Wszedł do środka.

– Hej! – Kenny, siedzący przy barze, uniósł kufel na powitanie. – Dawaj, Clay, klapnij sobie.

– Lepiej nie. – Clay obejrzał się w stronę wejścia do małej sali. – I tak już się spóźniłem po Henry'ego.

– Tylko na chwilę – namawiał Kenny, i w końcu Clay uległ, głównie za sprawą firmowego hamburgera, który leżał przed kumplem na talerzu, na wpół już zjedzony. Zamówił dla siebie to samo, a potem zajrzał do małej sali, żeby pokazać się Henry'emu i zapytać, czy jest głodny. W końcu wrócił do baru i usiadł na wolnym stołku obok swojego kumpla.

– Byłem tu dzisiaj na śniadaniu i znów widziałem dziewczynę, która z tobą mieszka – pochwalił się Kenny. – Stary, ale z niej laska...

– U mnie – poprawił Clay.

– Co?

– Ona mieszka u mnie, a nie ze mną.

– Wszystko jedno. Jaka ona jest?

Clay wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. – Półtora tygodnia pod jednym dachem, a on wciąż wiedział o Ginie tyle, co kot napłakał. – Przyjechała z Bellingham w stanie Waszyngton. Pracuje w szkole.

– Mówiłeś, że bada historię latarni morskich.

– To tylko hobby. Tak naprawdę uczy przedmiotów ścisłych w gimnazjum.

– Aha... – Kenny skrzywił się, zniechęcony. – Więc gdy się dowie, że nie mam studiów, da nogę. Znam się na takich.

– Nie mam pojęcia – odparł Clay. – Wiem natomiast, że głównym obiektem jej zainteresowania jest latarnia w Kiss River.

– No, o latarni to jeszcze mogę z nią pogadać.

– Nie pogadasz – zaśmiał się Clay. – O niczym z nią nie pogadasz. W sobotę miałeś okazję, a siedziałeś jak kołek, ani be, ani me.

Kenny parsknął śmiechem.

– No tak. Po prostu nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, że widzę taką laskę w takiej norze. Ale teraz jestem już gotowy. To co, zagadasz z nią?

Clay przyjrzał się kumpłowi uważnie. Wiedział, że Kenny ma powodzenie u kobiet. Czasami potrafił wkurzyć człowieka, ale nie można było mu odmówić inteligencji – przynajmniej w tym, w czym był mocny – a poza tym ogólnie był dobrym, uczynnym facetem, który chętnie oddałby obcemu ostatnią koszulę. Jego poglądy na temat kobiet były trochę zacofane i nieokrzesane, ale może Ginie to właśnie by się spodobało? Kto wie? Clay jakoś jej nie pociągał, więc mogło się okazać, że Kenny jest bardziej w jej typie. Chociaż, szczerze mówiąc, Clay jakoś w to wątpił.

– Zapytam – obiecał, sięgając po piwo, które postawiła przed nim kelnerka.

Kenny znów uniósł swój kufel, tym razem jak do toastu.

– Bomba! – ucieszył się.

* * *

Gdy wrócił do domu, okna lśniły już barwami na tle ciemnego nieba. Na parkingu stały dwa samochody, Lacey i Giny, ale Clay nie zastał w kuchni nikogo, tylko Sasza skakał wokół niego z żalnym skamleniem, jakby aż do tej pory się bał, że pan już nigdy nie wróci. Zmywarka do naczyń była jeszcze ciepła, czyli niedawno skończyła pracę, a w powietrzu unosił się zapach sosu pomidorowego. Lacey i Gina zjadły pewnie razem spaghetti na kolację.

Clay wywnioskował, że poszły na górę, do swoich pokojów i położyły się trochę wcześniej, żeby poczytać. W domu panowała cisza i spokój, słychać było tylko, jak Sasza stuka pazurami po podłodze, a za otwartym oknem ocean na przemian huczy i szepcze. Na porcelanowym blacie stołu leżał stosik kopert, najwidoczniej Lacey przeszła się do skrzynki pocztowej. Clay przejrzał je: same rachunki. Już chciał otworzyć ten z elektrowni, ale zauważył komara na ścianie nad kuchenką. Zabił go kopertą, a potem otworzył ją starannie i wyjął rachunek, po czym wyrzucił kopertę do śmieci. Jęknął, gdy zobaczył, jak urosła suma, którą on i Lacey są winni dostarczycielowi prądu. Obłąd, pomyślał.

Z ciężkim westchnieniem wyjrzał na korytarz, gdzie było jasno od włączonego w pokojach światła. W tym domu musiała się palić każda cholerna żarówka. Wiezorami to Clay obchodził wszystkie i po kolei wyłączał. Gdyby to zależało od Lacey, paliłyby się do białego rana. Miał ochotę wziąć ten ostatni rachunek, pójść do niej, rzucić go na jej łóżko i powiedzieć: musimy oszczędzać. Tylko że wtedy dom w Kiss River każdego wieczoru witałby go czarnymi, bezbarwnymi oknami. Zapłacę za ten prąd, pomyślał.

Zabrał Saszę na plażę, ale spacer był krótki, bo musieli uciekać przed komarami. Po powrocie do domu Clay przeszedł się po pokojach na parterze, żeby wyłączyć zapalone światła. W gabinecie czekała go niespodzianka: przy komputerze siedziała Gina, czytając mejle. Kiedy wszedł, rzuciła mu tylko przelotne spojrzenie, nie odwracając nawet głowy.

– Cześć – powiedział, opierając się biodrem o biurko. – Co dobrego? – Skinął w stronę monitora.

– Po staremu – odpowiedziała głuchym głosem.

Może ma faceta, pomyślał. Męczy się z nim i wyjechała, aby uciec od problemu. Piszą do siebie i starają się wszystko poukładać. Ton jej głosu wskazywał jednak, że słabo im to idzie.

– Chcesz sprawdzić pocztę? – Gina uniosła na chwilę wzrok i Clay zauważył, że ma zaczerwienione oczy. – Mogę się wylogować.

– Nie, nie trzeba – odparł, zastanawiając się, czy ma zapytać, co się stało. Nie chciał być wścibski. – Gdzie jest Lacey?

– Na górze – odpowiedziała, znów nie odrywając wzroku od monitora. Czytała jakiś długi

mejla, przewijając akapit za akapitem. – Jest u niej ktoś – dodała.

– Aha. – Nagle poczuł się zawstydzony, nie wiedział tylko, czy wstydzi się siostry, czy za siostrę. – Josh?

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Nie Josh. Zapomniałam imienia. Brunet. Zjawił się zaraz po kolacji i poszli razem na górę.

Clay zauważył, że jest zakłopotana; wydawało jej się chyba, że im przeszkadzała, i to dlatego Lacey zamknęła się z tym facetem u siebie. Już otwierał usta, aby wyjaśnić, że Lacey zawsze zamyka się z facetami w swoim pokoju, ale uświadomił sobie, że nie ma ochoty mówić tego głośno.

– Chciałem cię o coś zapytać – powiedział, szukając pretekstu, żeby zostać z Giną jeszcze chwilę dłużej.

Nie odpowiedziała. Nagle dostrzegł łzę spływającą po jej policzku.

– Coś się stało? – Podszedł bliżej. – Gina?

– Nic. – Potrząsnęła głową, sięgając po chusteczkę z pudełka stojącego na biurku.

– Masz jakieś zmartwienie – zauważył.

– To nic takiego – ucięła, ocierając oczy, i w końcu na niego spojrzała. – O co chciałeś mnie zapytać?

Moment wydawał się niezbyt odpowiedni, ale ponieważ słowo się rzekło, Clay uznał, że równie dobrze może pociągnąć to dalej.

– Pamiętasz mojego kumpla Kenny’ego? – zaczął. – W sobotę jedliśmy razem obiad w Shorty’s. Obsługiwałaś nas.

Przytaknęła.

– Dzisiaj rano też zajrzał.

– No więc... – Clay poruszył się niespokojnie. – Kenny zainteresował się tobą. A ja mam się dowiedzieć, czy może liczyć na wzajemność.

Gina uśmiechnęła się, ale kąciki jej ust wciąż drżały ze smutkiem.

– Nie szukam teraz nikogo – odpowiedziała.

– W porządku – powiedział Clay. – Przekażę mu to tak, żeby nie cierpiał.

Chciał już wyjść, ale zatrzymał się w pół kroku.

– Na pewno wszystko w porządku? – zapytał jeszcze raz.

– Na pewno. Aha... – Gina dotknęła drukarki stojącej po prawej stronie komputera. – Czy mogę coś wydrukować?

– Oczywiście. Poradzisz sobie sama?

– Raczej tak, dziękuję. – I odwróciła wzrok, wracając do mejla, który doprowadził ją do łez.

Na górze Clay usłyszał śmiech dobiegający z pokoju Lacey. Zaciśnął powieki. Poszedł do siebie i położył się na łóżku, a Sasza wskoczył na posłanie i ułożył się obok.

Boże. Lacey po prostu była puszczalska! To słowo brzmiało okropnie w odniesieniu do niej, ale nie dało się zaprzeczyć, że pasuje. Zachowywała się tak jako nastolatka, ale Clay myślał, że z tego wyrosła. Tymczasem chyba jednak nie. Kiedy zamieszkali razem, zagadnął ją kiedyś o ten rozwiązy tryb życia... i nigdy więcej nie wrócił do tematu. Lacey nie oburzyła się, raczej próbowała go uspokoić. Powiedziała, że nikomu nie robi krzywdy, chociaż bynajmniej nie to niepokoiło go najbardziej. Zapewniła, że zabezpiecza się przed ciążą i chorobami, tak więc serdeczne dzięki za troskę, ale nie musi się o nią martwić.

Clay nie potrafił zrozumieć swojej siostry. Była piękną i inteligentną kobietą. Zamiast pomagać ojcu w przychodni dla zwierząt, sama mogłaby być weterynarzem, a tymczasem nawet

nie pomyślała o studiach.

W ostatniej klasie szkoły średniej Lacey dowiedziała się od Aleca, że jej biologicznym ojcem jest Tom Nestor. Clay dobrze pamiętał jej szok i niedowierzenie. „Mama nigdy by tego nie zrobiła!”, krzyczała. On sam był w szoku, ale jego siostra przeżyła to znacznie gorzej: coś w niej wtedy umarło. Kiedy jednak pogodziła się już z prawdą, nawiązała kontakt z Tomem, a on zaczął uczyć ją robienia witraży. Clay tłumaczył sobie, że w ten sposób Lacey szuka więzi z tym starym wariatem. Kto mógł przewidzieć, że tak ją to wciągnie, że tak chciwie będzie chłonąć tajniki nowego rzemiosła, że zajmie miejsce swojej matki w pracowni Toma? Była w tym dobra, a jej prace miały popyt, tak samo jak witraże sygnowane nazwiskiem Annie O’Neill, więc studia nie były już dla niej warte zachodu. Została lokalną specjalistką od witraży, pomocnicą w przychodni dla zwierząt oraz miejscową naprawiaczką świata; do niej zwracali się wszyscy potrzebujący pomocy. I to najwidoczniej jej wystarczyło. To i mężczyźni. Czasami osoby inteligentne, wręcz błyskotliwe, nie posiadają za grosz zdrowego rozsądku, Clay obawiał się, że do takich ludzi należy jego siostra.

Na schodach zaszeleściły czyjeś bose stopy. Sasza uniósł łeb, a Clay zaczął nasłuchiwać; szmer ucichł za drzwiami pokoju wynajmowanego przez ich gościa.

– To tylko Gina – uspokoił psa, przygarniając jego łeb z powrotem do siebie.

Gina, tak jak i on, była samotna. I wydawało się, że chce, aby tak pozostało. Dzisiaj ewidentnie miała jakieś zmartwienie, ale nie chciała mu się z niczego zwierzać. To było jasne na pierwszy rzut oka. A Clay nie potrafił namawiać ludzi do zwierzeń. Terri wytykała mu to nie raz i nie dwa.

– Kiedy mówię o swoich uczuciach, robisz się dziwny – skarżyła się. – Nie umiesz podnieść mnie na duchu.

I zaraz dodawała, że owszem, zdaje sobie sprawę, że Clay nic na to nie poradzi, bo jest mężczyzną, a mężczyźni są pod tym względem upośledzeni.

– To nie twoja wina, wiem – mówiła. – Po prostu jesteś inwalidą.

Terri miała rację. Gdyby mógł dostać teraz szansę, aby podnieść ją na duchu, myślał Clay. Gdyby mógł ją znów zobaczyć, wziąć w ramiona. Wynagrodziłbym jej każde z tamtych rozczarowań, kiedy chciała, żebym jej wysłuchał, a ja odwracałem się od niej. Już nigdy nie pozostawiłbym mojej żony sam na sam z jej uczuciami. Ale cóż, druga szansa zdarza się rzadko, a w tym przypadku była wręcz nierealna.

Drzwi pokoju jego siostry uchyliły się z lekkim skrzypnięciem, a korytarzem poniósł się śmiech Lacey. Clay usłyszał cichy głos jej kochanka, potem znów śmiech. Przycisnął głowę do barku Saszy, aby odciąć się od tych odgłosów.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Dziewczynka na zdjęciu miała na sobie białą bawełnianą koszulę, za dużą na tak drobnutkie dziecko. Jej gładka skóra miała kolor karmelków, a czarne włosy przycięto bardzo krótko. Wszystkie dzieci w sierocińcu były tak strzyżone, żeby nie złapały wszy. Gina leżała na łóżku w dawnym pokoju Bess i wpatrywała się w dziewczynkę na zdjęciu z wielkim skupieniem, chociaż znała już na pamięć każdy rys tej małej buzi. Przez otwarte okna wpadało ciepłe powietrze przesycone zapachem soli, ale nawet gdyby nagle zaczął sypać śnieg, to ona i tak by tego nie zauważyła. Ta fotografia, zrobiona przed dwoma miesiącami, pochłaniała całą jej uwagę. Czy Rani bardzo się zmieniła przez ten czas? Czy choroba bardzo się rozwinęła?

Na pierwszym zdjęciu, które jej pokazano, Rani była jeszcze noworodkiem. Jakiś mężczyzna znalazł ją na ruchliwej ulicy w Hajdarabadzie; zawinięta w koszulę leżała przy wejściu do jednego z budynków. W pierwszej chwili wydawało mu się, że to tylko kłębek szmat, które ktoś wyrzucił. Wadę serca wykryto u dziewczynki podczas badania w szpitalu, skąd trafiła do sierocińca, gdzie nadano jej imię Rani. Gina, która dowiedziała się, że samotna kobieta może przysposobić sierotę z Indii, złożyła podanie o jej adopcję. Myślała, że dostanie dziecko szybko ze względu na konieczność opieki medycznej. Tymczasem sprawa się przeciągała. I końca nie było widać.

Robiła wszystko jak należy. Posłusznie, choć z niecierpliwością przechodziła kolejne uciążliwe etapy procesu adopcyjnego. Najpierw wizytacja w domu, potem staranne wybieranie materiałów do portfolio, a następnie pozostało już tylko czekać, czekać bez końca. Wreszcie nadeszła decyzja. Gina miała zostać mamą małej Rani. Od tej chwili dzieliły ją jednak kolejne miesiące oczekiwania, a zdjęcia malutkiej, które czasem przysyłano z sierocińca, to było dla niej za mało. Nie posiadała się ze zdumienia, jak bardzo przywiązała się do dziecka, którego nigdy nie widziała na własne oczy. Dla jej znajomych było to nie do pojęcia, ale w internecie znalazła grupę wsparcia dla rodziców dzieci adoptowanych z Indii, gdzie nikomu nie musiała wyjaśniać swojej uczuciowej więzi z dziewczynką znaną tylko ze zdjęć. Oni mieli już tę mękę za sobą albo, tak jak ona, właśnie przez to przechodzili.

W kwietniu Gina dowiedziała się, że indyjski sąd w końcu postanowił przekazać jej opiekę nad dzieckiem. Wzięła urlop w szkole i nadwątliwszy swoje skromne fundusze, poleciała do Indii, rozradowana i wyposażona we wszystko, co potrzebne dla małej dziewczynki. Znajomi urządzili dla niej wyprawkowe, więc miała i nosidełko, i zapas pieluch, i butelki, i kubeczek, zabawki, książeczki z obrazkami, ubranka, różowo-żółty koczek i trochę leków, które zalecił pediatra. Jak prawie każda przyszła mama czuła dreszcz oczekiwania i ekscytację nowym odkryciem.

Pierwsze trzy dni po przylocie do Indii zamierzała spędzić w sierocińcu: poznać swoją córeczkę i spotkać się z indyjskim adwokatem, który miał ją przygotować do rozprawy. Czwartego dnia miała stawić się w sądzie i otrzymać postanowienie o przekazaniu prawa do opieki. Wiedziała, że na jednym posiedzeniu może się nie skończyć, ale czekała już tak długo, że

była gotowa to wytrzymać. Potem ją i Rani czekały przygotowania do podróży. Rozmawiała już z kardiologiem dziecięcym z Seattle, który od razu po przyjeździe miał przebadać malutką i ocenić jej stan zdrowia.

Pierwszego dnia, gdy dotarła na miejsce, temperatura wynosiła trzydzieści dwa stopnie Celsjusza i ciągle rosła. Taksówkarz wyrzucił ją pod pudełkowatym, piętrowym budynkiem sierocińca, a po drodze do wejścia Gina musiała obejść kozę, która jadła liście leżące na piaszczystej ścieżce. Zaskoczyły ją warunki, które zastała wewnątrz. Większość rodziców z jej internetowej grupy (choć nie wszyscy) pisała, że w sierocińcach jest czysto, a dzieci mają dobrą opiekę; Gina miała nadzieję, że w takim właśnie miejscu przebywa także Rani. Okazało się, że nie. Na samym progu powitał ją ostry odór moczu i złowroga cisza. Wiedziała, co to oznacza.

– Złe sierocińce – tak jej ktoś powiedział – są bardzo ciche. Dzieci nauczyły się, że nie mają po co płakać, bo to nikogo nie obchodzi. A jak ktoś będzie hałasować, to przyjdzie tylko aja⁵ z kijem.

Sierociniec, do którego trafiła Rani, był przepelniony. Przebywało tam sześćdziesięcioro dzieci; od niemowląt po dwunastolatki. Mieszkały w czterech zatłoczonych salach, a niektóre musiały spać na podłodze, na matach pożółkłych od moczu. Najmłodsze biegały nago, nawet bez pieluchy; Gina dostrzegła niejedną kupę leżącą na zimnej posadzce. Aje, czyli opiekunki, piękne mużłmanki w szafirowych sari, na ogół były serdeczne i troskliwe, ale miały zdecydowanie zbyt wiele pracy przy takiej liczbie dzieci, było ich po prostu za mało. Nosiły przy sobie laski, którymi zaganiały dzieci z jednego pomieszczenia do drugiego, jak pasterze zaganiają stado. Gina nie zauważyła, co prawda, aby znęcały się nad podopiecznymi, wiedziała jednak, że w Indiach wolno stosować kary cielesne, i zastanawiała się, czy te pasterskie kije mogą służyć czasem do bicia.

Wszędzie było pełno much. Gdy czekała w skromnie umeblowanej recepcji, siadały jej na twarzy i co chwilę musiała się od nich oganiać. Panował niemiłosierny upał. Duże okna otwarte na oścież, ale nieruchomym, dusznym powietrzem nie dawało się oddychać. Jediną dekorację stanowił portret Gandhiego wiszący na ścianie. Gina czekała, obserwując gekona przemykającego się z kąta do kąta, i myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej zabrać stąd Rani. Miała nadzieję, że rozprawa, którą wyznaczono na następny dzień, będzie pierwszą i ostatnią, a potem pozostanie tylko przyszykować się do wyjazdu.

Dostrzegła piękno Indii; rano taksówkarz przewiózł ją w pobliżu fortu Golkonda, skąd podziwiała całe miasto, wraz z grobowcami mużłmańskich władców. Widok był olśniewający, zwłaszcza w tak przeludnionym mieście jak Hajdarabad. Gina postanowiła, że Rani koniecznie musi poznać rodzimą kulturę, jej bogatą historię i rytuały. Obiecała sobie, że kiedy dziewczynka podrośnie, przyjadą tutaj. Będą regularnie odwiedzać Indie. W taki sposób uciszyła wyrzuty sumienia, które dręczyły ją na myśl o tym, że odcina dziecko od jego kultury, jego korzeni. Owszem, Indie były pięknym krajem, ale dziecko z wrodzoną wadą – a zwłaszcza dziewczynka – nie miało tutaj szans na adopcję.

Wreszcie w poczekalni zjawiła się jedna aja i zabrała Ginę do niewielkiej salki, gdzie na podłodze trzy małe dziewczynki bawiły się klockami i lalkami. Dwie z nich pełzały po całej podłodze, ale ostatnia, najmniejsza, tkwiła w jednym miejscu. W ręczce miała lalkę, którą podnosiła i opuszczała z powrotem.

– Rani! – zawołała do niej aja.

Mała usłyszała swoje imię i uniosła na nią olbrzymie oczy, a Gina poczuła, że coś chwyta ją za serce. Łzy zakręciły jej się pod powiekami i musiała bardzo się starać, żeby nie popłynęły po policzkach, bo nie chciała przestraszyć dziecka. Swojej córeczki.

Aja powiedziała do Rani kilka słów w języku telugu, a dziewczynka wstała powoli i podreptała w ich kierunku. Sama przypominała lalkę, z tymi ciemnymi oczami i buzią koloru pszenicznego ziarna. Gina przyklękła na podłodze i wyciągnęła ręce, a mała natychmiast zakręciła w jej stronę, jak gdyby wiedziała, że tam właśnie jest jej miejsce. Przyłgnęła do Giny całym ciałkiem, niemalże rozpluwając się w jej ramionach. Pozostałe dziewczynki obejrzały się znad zabawek, patrząc, jak obca pani siada na podłodze i kołysze na kolanach swoją córeczkę. Kiedy Rani włożyła palec do buzi i wbiła w nią spojrzenie swoich wielkich ciemnych oczu, Gina nie mogła już powstrzymać łez.

– Cudowna z ciebie dziewczynka – powiedziała, kołysząc ją w ramionach. – Moje kochane małe dzieciątko.

Rani miała na sobie luźno zapiętą pieluchę i białą bawełnianą koszulkę, pod którą czuć jej było wszystkie żebra. Gina odniosła wrażenie, że dziecko jest niedożywione, ale to nie musiała być wina złej opieki w sierocińcu, lecz objaw jej wady serca, tak samo jak przyspieszony oddech. Gina czuła, jak małe serduszko obija się o żebra, i mocno tuliła dziewczynkę do siebie, jak gdyby to mogło zagwarantować, że jej puls nie ustanie aż do operacji, tej absolutnie koniecznej operacji. Rani nie odzywała się, ale za to z uwagą słuchała każdego słowa Giny, zafascynowana jej głosem albo może brzmieniem języka angielskiego.

Gina spędziła z nią w sierocińcu trzy długie, cudowne dni: tuliła ją na rękach do snu, bawiła się z nią, oglądała przywiezione książeczki z obrazkami i uczyła pić z dziecięcego kubeczka. Rani otwierała buzię jak pisklę czekające na jedzenie. Trochę to potrwało, ale w końcu się nauczyła, i chociaż dalej nie powiedziała ani słowa, to czepiała się Giny jak małpka.

Przed dniem wyznaczonej rozprawy Gina musiała wrócić na noc do hotelu, chociaż nie miała wielkiej ochoty opuszczać sierocińca. Musiała, bo uprzedzono ją, że to będzie długi, męczący dzień, na decyzję w sprawie opieki nad dzieckiem trzeba czekać godzinami, a w gmachu sądu nie ma klimatyzacji. Położyła swoją córeczkę spać i pocałowała ją na dobranoc.

– Wrócę do ciebie jutro – obiecała, pewna, że Rani zrozumiała jej słowa. Potem mogła tylko mieć nadzieję, że tak nie było. A dziecko nie myślało, że skłamała. Bo nie wróciła następnego dnia. Tamtego dnia wszystko się zmieniło.

Gina położyła zdjęcie Rani na nocnym stoliku i wzięła do ręki wydrukowany mejl ze strony swojej internetowej grupy wsparcia. Kobietę, która go napisała, oraz jej męża poznała osobiście w Hajdarabadzie. Spotkała ich na korytarzu w sądzie, gdzie tak jak ona czekali na wydanie zgody, by mogli zabrać ich córeczkę do Stanów. Oni również wrócili do domu z pustymi rękami, a z informacji, które udostępniali w grupie, wiedziała, że ostatnich kilka miesięcy było dla nich taką samą torturą jak dla niej: ciągłe czekanie, wynajmowanie adwokatów i kolejne próby wydostania dziecka z sierocińca. Dzisiaj jednak ich cierpienie było jeszcze większe.

„Jesteśmy zrozpaczeni i nie wiemy, do kogo się zwrócić”, napisała tamta kobieta. „Z państwowego domu dziecka, do którego Minę przeniesiono w maju, nie udało się uzyskać żadnych informacji, więc w zeszłym tygodniu jeszcze raz poleciliśmy do Indii. Na miejscu powiedzieli nam, że w dokumentacji nie mają nic na temat Miny, żadnego śladu jej pobytu w tej placówce. To samo usłyszeliśmy w poprzednim sierocińcu, tam, gdzie pierwszy raz ją zobaczyliśmy. Wiemy, że u nich była, bo przecież tam ją odwiedzaliśmy, a tymczasem ktoś Minę wykreślił, wymazał jej istnienie. Zdaje się, że jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy wiedzą, że

to dziecko w ogóle było na świecie, bo to my trzymaliśmy ją na rękach, rozmawialiśmy z nią, to my ją kochaliśmy. A teraz nie możemy jej znaleźć. Słabo mi się robi, kiedy pomyślę, jaki los mógł ją spotkać”.

Gina od początku nie mogła zrozumieć, czemu Minę przeniesiono do państwowego domu dziecka, było jednak jasne, że nikt w grupie nie życzył sobie, aby jego dziecko tam trafiło. Czy Rani też mogła zostać przeniesiona? Zniknąć tak jak Mina?

Ten mejl sprawił, że przestała myśleć o tych czterystu dziesięciu dolarach, które przepadły, i o bezowocnej rozmowie z Alekiem O’Neillem w restauracji Sea Tern, gdzie zbłądziła się niewiedzą na temat latarni morskich Wybrzeża Północno-Zachodniego. Na chwilę, na jedną krótką chwilę zapomniała nawet o tym, co Alec powiedział o brakującym segmencie soczewki, a także o swoim strachu, że właśnie ten fragment jest jej potrzebny.

Zamknęła oczy i położyła kartkę na piersi. Kiedyś udzielała się aktywnie w tej grupie, ale teraz nie mogła już dłużej pocieszać rozpaczających rodziców. Umilkła, stając się biernym uczestnikiem rozmów: czytała posty, ale nikomu nie odpowiadała i nie publikowała własnych. Porady i współczucie tamtych ludzi – to było już nie dla niej. Gina wybrała inną drogę; wiedziała, że nie pochwalają takiego rozwiązania, i nie mogła im się do tego przyznać.

A teraz wszystko wskazywało na to, że jeśli chce jeszcze kiedyś zobaczyć Rani, jej jedyną nadzieją są tajemnice pamiętnika Bess Poor.

[5](#) Aja (hindi) – hinduska niańka, opiekunka.

Rozdział dwudziesty drugi

Sobota, 11 kwietnia 1942

Kocham Sandy'ego. Wiem to od dawna, ale po tym, co się stało dzisiaj w nocy, moje uczucie od samego rana jest tysiąc razy głębsze.

Po pierwsze, wczoraj przez cały dzień nad oceanem latały samoloty. Zawsze widać je trochę, bo niedaleko jest poligon bombowy, ale teraz było inaczej. Domyśliłam się, że wojsko szukało tej łodzi podwodnej, która przywiozła Milesa i Winstona. W nocy spotkałam się na plaży z Sandym i zapytałam go, czy właśnie o to chodziło. Ale on miał wątpliwości. Powiedział, że w tym rejonie woda jest mętna i jeśli U-Boot się nie wynurzy albo jest głęboko, to nie sposób go dostrzec z powietrza. Chciałabym, żeby te samoloty go znalazły i zniszczyły. Chyba robię się bezlitosna.

A potem Sandy dał mi prezent urodzinowy! W kieszeni koszuli mundurowej miał małą paczuszkę. Otworzyłam ją, a w środku był prześliczny naszyjnik z rubinem! Sandy zapiął mi go i szkoda tylko, że nie miałam lusterka, żeby się przejrzeć. Mogę go nosić, tylko kiedy jesteśmy razem, bo w domu mama na pewno zauważy i zapyta, skąd go mam. To najpiękniejsza rzecz, jaką posiadam.

Później rozmawialiśmy też o poważnych sprawach. Sandy wiedział już, że tato zeszłej nocy zastrzelił Niemca, a drugi Niemiec umarł, nie odzyskawszy przytomności, w dniu moich urodzin, po południu. Komendant Bud Hewitt powiedział nam, że nie zmarł od ran zadanych przez dziką, ale dlatego, że miał pękniętą czaszkę. Pewnie się przewrócił i uderzył głową o kamień, kiedy dzik go zaatakował. Tak czy owak, dziwnie się z tym czuję. To nic dobrego cieszyć się, że ktoś nie żyje, ale jeśli znałam kiedyś kogoś, kto zasłużył na śmierć, to na pewno właśnie tych dwóch młodych Niemców.

Tak więc Sandy wiedział już ze szczegółami, jak skończyli tamci, ale jednego nie mógł wiedzieć, bo tacie zależało, żeby nikt o tym nie słyszał, mianowicie co ten niby Miles próbował mi zrobić. Ja jednak chciałam, żeby znał prawdę, chociaż bez wszystkich wstydliwych szczegółów. Szliśmy plażą, bo przecież był na patrolu, i wtedy opowiedziałam mu, jak obudziłam się w nocy, czując, że ktoś mnie dotyka, i wydawało mi się, że to on, a to był ten Miles. Sandy klął na czym świat stoi, kiedy o tym usłyszał.

– A to drań! – powtarzał. – Cholerny, parszywy sukinsyn!

Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby tak się wyrażał, i wydaje mi się, że gdyby Miles i Winston, czy jak im tam, byli wtedy w pobliżu, to rozszarpałby ich gołymi rękami. Zbierał z plaży kawałki drewna wyrzuconego przez fale i ciskał je do wody, daleko, żeby wyładować swój gniew.

Kiedy już odechciało mu się kląć i rzucać czym popadnie, posadził mnie na piasku i wziął w ramiona.

– Szkoda, że mnie tam nie było i nie mogłem cię bronić – powiedział, obejmując mnie mocno

i przytulając policzek do mojego czoła. – To musiało być przerażające – dodał, a ja się rozplakałam i w końcu powiedziałam mu wszystko, wszystko. Nawet własnej matce nie byłam w stanie się przyznać, co mi tamten Niemiec zrobił, i Sandy’emu też właściwie nie chciałam tego mówić, ale kiedy trzymał mnie w ramionach, zrozumiałam, że mogę. Czułam się przy nim bezpieczna, a on z każdym kolejnym moim słowem tężał coraz bardziej, jakby zaraz miał wybuchnąć. Przez cały czas płakałam. Do tej pory jeszcze ani razu nie płakałam nad tym, co mnie spotkało, i teraz nie mogłam się nadziwić, że było we mnie aż tyle łez. Przyznałam mu się też, że potem czułam się brudna i w kąpieli szorowałam skórę do żywego, żeby zmyć z siebie ślady rąk tamtego chłopaka.

Kiedy opowiedziałam już wszystko, Sandy milczał przez jakiś czas, aż musiałam zapytać, co o tym myśli.

– Teraz wiem już na pewno, że się w tobie zakochałem – wyznał. – Tak mi się wydawało, ale to, co czuję w tej chwili, że tak bardzo chcę cię bronić, że twoja krzywda boli mnie tak samo, jakby to mnie ktoś strasznie skrzywdził... To wszystko chyba znaczy, że cię kocham.

– Ja ciebie też kocham – szepnęłam. Czułam się bardzo szczęśliwa. Aż dziw bierze, że tak okropne wydarzenie mogło się tak pięknie skończyć.

– Swój pierwszy raz musisz przeżyć z kimś, kto cię kocha – powiedział Sandy. – Kto się o ciebie zatroszczy i nigdy cię nie skrzywdzi.

Nigdy nie myślałam o tym, że stracę cnotę kilka dni po piętnastych urodzinach. Wydawało mi się, że tylko jakieś bezwstydnice zaczynają przed ślubem, ale tak bardzo go kocham, że chciałam z nim to zrobić od razu, tam, na miejscu!

– Uważasz, że jestem za młoda? – zapytałam Sandy’ego.

Zaśmiał się z cicha.

– Tak, o wiele za młoda – odparł. – Ale ja cię pragnę. Chcę zatrzeć wszystkie złe wspomnienia związane z tamtym Niemcem. Chcę, abyś poczuła, że kochać się to coś wspaniałego.

Muszę przyznać, że nie wiedziałam, co robić. Szczerze, to nie mam wielkiego pojęcia o stosunkach damsko-męskich. Znam podstawy, oczywiście, ale w zasadzie nic więcej.

– Ale ja nie wiem jak – powiedziałam Sandy’emu, a on zaśmiał się znowu, lecz nie dlatego, że chciał ze mnie zakpić.

– Ja wiem – odparł. – I to wystarczy.

Odwróciłam się, żeby go pocałować, i natychmiast poczułam, jak cały płonie z tego szaleńczego pragnienia, żeby się ze mną kochać. Dotknął mojej piersi, ale to było przez kurtkę, więc mało co czułam; chciałam zerwać ją z siebie, żeby znalazł się bliżej. Ale on nagle cofnął dłoń.

– Nie teraz – powiedział. – To nie jest dobry czas ani miejsce. Muszę dokończyć patrol, a chcę móc skupić się bez reszty na tobie i nie zerkać cały czas jednym okiem na plażę. Poza tym tutaj jest strasznie zimno. Przeziębisz się na śmierć. No i moment też jest nieodpowiedni. Złe wspomnienia są zbyt żywe. Nie chcę, żeby nasze wspólne chwile pomieszały ci się w pamięci z krzywdą, jaką wyrządził ci tamten niemiecki sukinsyn.

Wiedziałam, że Sandy ma rację, i byłam mu wdzięczna, że się opanował, chociaż tak naprawdę pragnęłam tego, teraz, zaraz! Pocałowałam go na pożegnanie, szepnęłam: „A więc niedługo”, i zostawiłam, żeby mógł dokończyć swój patrol.

Wracając do domu po ciemku, nie bałam się niczego. Żli ludzie umarli, a ja jestem zakochana w najcudowniejszym mężczyźnie na świecie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Gina pochylała się i wyciągnęła rękę ponad ramieniem Waltera Liscotta, żeby dolać kawy do filiżanki stojącej obok szachownicy. Wiedziała, że Walter pija kawę pół na pół z mlekiem, lecz mimo to nie mieściło jej się w głowie, jak to możliwe, że ci trzej dziadkowie wchłaniają tyle kofeiny i nie chodzą po ścianach. Z drugiej strony Brianowi i Henry'emu trochę trzęsły się ręce, kiedy przestawiali szachowe figury; Gina myślała, że to ze starości, ale może należało podejrzewać o to raczej mocną kawę parzoną w Shorty's? Tylko że Walter jakoś miał dłonie na tyle spokojne, że mógł bez przeszkód strugać swoje kaczki.

Henry Hazelwood siedział naprzeciwko Waltera. Obeszła stolik i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Będziesz dzisiaj na kolacji, prawda? – zapytała. Henry co środę przyjeżdżał do Claya i Lacey na kolację i partyjkę remika. Poprzednim razem Gina wymówiła się od udziału w spotkaniu, bo nie chciała się narzucać, ale teraz, gdy spędziła już w domu latarnika półtora tygodnia, mogła mieć pewność, że będzie mile widziana w tym towarzystwie.

– Ma się rozumieć – potwierdził starszy pan. Grał – i wygrywał – z Walterem, a Brian obserwował każdy ruch, czujny jak żuraw. – Dzisiaj ty gotujesz?

– Owszem – przytaknęła. – Po indyjsku.

– Po indiańsku? – Brian Cass najwidoczniej się przesłyszał. – Co ty mu chcesz podać, dziecino? Mięso z bizona?

– To jest Gina, nie żadna dziecina. – Walter z irytacją potrząsnął głową, ale ona tylko się zaśmiała.

– Po indyjsku, Brian – powtórzyła. – Czyli tak, jak gotują w Indiach.

– To za ostre dla takiego starego ramola. – Brian wycelował krzywy palec w Henry'ego.

– Przyprawię łagodnie – obiecała.

– Nie trzeba – wtrącił Henry i widać było, że jest zły na kolegę. – Zjem wszystko, co zrobisz, złotko.

– Gina! – zawołał ktoś.

Odwróciła się. Brock Jensen kiwał na nią ręką znad stołu bilardowego.

– Przyniesiesz nam kolejczkę? – Wskazał palcem bandę swoich kumpli stojących dookoła.

– Za chwilę. – Skinęła głową i postanowiła oddać zamówienie koleżance, bo sama kończyła już zmianę. Od tamtego incydentu w niedzielę omijała Brocka szerokim łukiem, ale nie mogła go przecież całkowicie ignorować, bo inaczej musiałaby zwierzyć się innym kelnerkom ze swoich podejrzeń. Brock dzień wcześniej pochwalił się kolejnym nowym tatuażem, morskim żółwiem wymalowanym z wszelkimi szczegółami na plecach: poniżej i trochę w lewo od jego poprzedniczki syreny. Ciekawe, czy właśnie na to wydał moje pieniądze, zastanawiała się Gina.

Odwróciła się do Henry'ego, który czekał na ruch Waltera.

– Clay prosił, żebym po drodze do domu zajrzała do biblioteki i wypożyczyła dla ciebie kilka

książek – powiedziała. – Lubisz sensację, zgadza się?

– Kryminały – uściślił. – Lubię tę... jak jej tam... – Zakręcił palcem młynka w powietrzu, próbując przypomnieć sobie nazwisko.

– Tę od abecadła – podsunął Walter.

– O właśnie. – Henry znów skinął głową.

– Wiem którą – powiedziała Gina, chociaż jej również nazwisko autorki wyleciało z pamięci. –

Do której litery dotarłeś?

Henry parsknął śmiechem.

– Nie wypożyczam po kolei, ale to wszystko jedno. I tak zwykle zapominam, że coś już czytałem.

– W porządku. – Uściśliła mu ramię. – Przywiozę ci kilka książek z tej serii.

– Dziękuję. – Posłał jej szeroki uśmiech.

– Podać wam coś jeszcze, chłopcy? – zapytała. – Bo zaraz wychodzę.

– Koniec zmiany? – Walter uniósł wzrok, zatrzymując palce na szachowej królowej.

– Tak jest. Moje nogi już się cieszą.

– A my wcale – powiedział Brian. – Nikt nie nalewa tutaj kawy tak jak ty.

Roześmiała się. Jeszcze nigdy nie dostała od nich ani centa napiwku. W gruncie rzeczy nie miała nawet pewności, czy w ogóle płacą za swoją kawę i piwo, którym czasami się raczyli, ale z całą pewnością byli jej ulubionymi klientami. Razem z nią żalowali nieudanej rozmowy z Alekiem O’Neillem w poniedziałek i nie mogli się nadziwić, jak on mógł odmówić „takiej bystrej i ładnej dziewczynie”. Przemili starsi panowie. Gina nie wykluczała, oczywiście, że za młodu każdy z osobna to był kawał drania, jak wszyscy mężczyźni, których znała w życiu, może z wyjątkiem Claya. Tak, życzliwość, którą Clay okazywał dziadkowi swojej żony, przywracała jej wiarę w mężczyzn.

Wróciła do głównej sali i właśnie zdejmowała fartuch, kiedy w drzwiach stanął Kenny Gallo. Zauważył ją i pomachał ręką.

– Cześć, Gina. – Oparł się łokciem o bar, dwa kroki za kasą. – Już po pracy?

– Mhm – przytaknęła, składając fartuch na pół, a potem jeszcze raz. Pilnowała przy tym schowanych w kieszeni napiwków.

– To co, napijemy się czegoś? – Wskazał kciukiem wolny stół. – Jak chcesz, może być też kawa, herbata...

– Dzięki, Kenny, ale... – Urwała w pół słowa, zauważywszy logo wyszyte na jego zielonej koszulce polo: „Gallo. Prace podwodne”. – Pracujesz tam? – zapytała.

Opuścił głowę, spoglądając na swoją pierś.

– To moja firma – odparł, nie ukrywając dumy, i znów wskazał gestem stół. – No chodź. Tylko na chwilę. Ja nie gryzę.

Gina zgodziła się i poszła przodem. Miała wyrzuty sumienia, że zmieniała zdanie nie ze względu na człowieka, tylko na napis na jego ubraniu.

– Czym zajmuje się twoja firma? – zaczęła, kiedy usiedli i zamówili u jednej z jej koleżanek piwo dla niego i colę dla niej. Plotki już pewnie zaczęły krążyć. – Bo tak naprawdę nie mam pojęcia, co to są „prace podwodne”. Rozumiem, że budujecie różne rzeczy pod wodą?

– Naprawiamy – sprecyzował. – Ja i jeszcze kilku nurków wykonujemy większość robót głębinowych. Spawanie, cięcie, przeglądy, takie rzeczy.

– A do tego nurkujesz nawet w czasie wolnym, tak? – Uśmiechnęła się do niego, przypominając sobie, że w zeszły weekend wybrał się z Clayem na wrak tankowca Byron D.

Benson.

– Nigdy nie mam dość. – Kenny wyszczerzył zęby. Był miłym facetem, miał w sobie coś z pluszowego misia, pewnie ze względu na gęstą, jasną brodę i roześmiane niebieskie oczy. – I dlatego jestem już prawie głuchy na jedno ucho.

– Nie wiedziałam. – Zmarszczyła brwi. – Od nurkowania?

– Tak, niepożądane skutki uboczne.

Kelnerka przyniosła im napoje. Gina pociągnęła łyk swojej coli, zastanawiając się nad kolejnym pytaniem, ale Kenny przerwał jej tok myślenia.

– Odkąd się zjawiłaś, ta nora naprawdę zyskała trochę klasy – zagał.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się. – Lubię tutaj pracować.

– Ale taka dziewczyna powinna się raczej zgłosić do jakiejś porządnej restauracji – ciągnął dalej Kenny.

Dobry bajer nie jest zły, zakpiła w myślach Gina.

– Dzięki – powiedziała – ale w Shorty's czuję się na swoim miejscu.

– To nie miało znaczyć, że tutaj nie pasujesz – dodał szybko. – Brakowałoby mi ciebie.

Uśmiechnęła się jeszcze raz, szukając pomysłu na powrót do tematu, który interesował ją najbardziej. Łyknęła trochę coli.

– Czy zajmujecie się wydobywaniem obiektów spod wody? – zapytała.

Potrząsnął głową, chociaż był wyraźnie zaskoczony, że rozmowa wraca na poprzedni tor.

– Nie. Od tego jest w okolicy mnóstwo innych firm.

Gina zamieszała słomką w szklance.

– Bardzo bym chciała wydobyć z oceanu soczewkę Fresnela z latarni w Kiss River – oznajmiła.

– Aha, no tak. Clay mówił, że jesteś wielką miłośniczką tej latarni.

Skinęła głową.

– To prawda. Pragnę, żeby ta soczewka znalazła się na suchym lądzie i trafiła na jakąś wystawę.

– Pewnie rozleciała się na tyle kawałków, że nigdy się ich nie znajdzie.

– W takim razie chcę zobaczyć na wystawie wszystkie te kawałki – odpowiedziała już ostrzejszym tonem i od razu się upomniała: spokojnie. Powoli, bez nerwów.

– Nie da rady – uciął Kenny.

– Dlaczego?

– Już dawno temu próbowali to zrobić, ale odezwały się głosy protestu, więc...

– Wiem – przerwała mu. – Ale, jak sam zauważyłeś, to było dawno, dziesięć lat temu. Może coś się zmieniło.

– Wątpię.

– Dobrze, założmy więc, czysto teoretycznie, że teraz jest inaczej. Czy wiesz, co trzeba zrobić, żeby wydostać tę soczewkę? Jakie... czynności należy wykonać?

– Oczywiście, że wiem – odparł Kenny. – Najpierw trzeba ją znaleźć. Całą albo w kawałkach.

– Zastanawiałam się, czy można ją wypatrzeć z samolotu.

– Niewykluczone – potwierdził. – Zależy od trzech warunków. Po pierwsze, czy te fragmenty są na tyle duże, żeby je zobaczyć z powietrza, po drugie, czy nie leżą zbyt głęboko, a po trzecie, czy przejrzystość wody w dniu przelotu będzie dostateczna.

– W porządku – powiedziała Gina. – Powiedzmy, że wszystkie trzy warunki zostaną spełnione i soczewkę uda się zlokalizować z samolotu. W jaki sposób wydobyć ją – albo jej fragmenty –

z wody?

– A wiesz, ile ona ważyła?

– Dwa tysiące siedemset kilogramów.

Kenny pokiwał głową w zamyśleniu.

– Trzeba by odgarnąć piasek wokół niej, potem przełożyć pod spodem pasy i wyciągnąć ją na powierzchnię dźwigiem z barki albo z rybaka.

– Co to jest rybak?

– Kuter rybacki.

– A czy to duża operacja? – zapytała.

– Nie – odparł. – Parę lat temu widziałem, jak trochę na południe stąd podnosili z dna dwustupięćdziesięcotonowy holownik. Parę kawałków szkła to będzie pikus.

– Znasz kogoś, kto by się zgodził polecieć i poszukać tej soczewki?

Kenny uśmiechnął się do niej szeroko.

– Czy ty nigdy nie rozmawiasz o niczym innym? – zapytał.

Gina potrząsnęła głową, mrużąc wesoło oczy.

– Najwidoczniej nie.

– No cóż, przyznam, że Clay mnie ostrzegał. – Pociągnął długi łyk piwa. – Kumpel lata z turystami wzdłuż wybrzeża. Zagadam z nim i spytam, ile weźmie za taką robotę. Ale, tak jak mówiłem, żeby dało się coś zobaczyć, muszą być odpowiednie warunki.

Gina z trudem panowała nad ekscytacją.

– Jestem ci bardzo wdzięczna, Kenny – powiedziała. – I dziękuję za informacje. Nie miałam zielonego pojęcia, jak się załatwia takie rzeczy, a ty mi wszystko wyjaśniłeś od ręki.

– Słuchaj... – wtrącił. – Może wybierzemy się dzisiaj do kina? Albo w weekend? Albo kiedyś tam? – Posłał jej kolejny uśmiech pluszowego misia.

Pokręciła głową. Sumienie ją gryzło.

– Kenny, bardzo mi przykro – wyjaśniła. – Ale w tej chwili nie mam w planach żadnych randek. Oczywiście zrozumieć, jeśli to coś zmienia i nie będziesz chciał porozmawiać z twoim znajomym pilotem.

– Masz faceta? – zapytał. – To znaczy tam gdzieś u siebie, w Waszyngtonie?

– Nie. – Znów potrząsnęła głową. – Po prostu aktualnie nie interesuję się mężczyznami.

– Ahaa... – Kenny otworzył szerzej oczy, a ona dopiero po chwili zrozumiała, co sobie pomyślał.

– Nie, nie o to chodziło! – zaśmiała się. – Kobietami też się nie interesuję. Po prostu potrzebuję... przez jakiś czas z nikim się nie spotykać... i tak dalej. Ty nigdy tak nie miałeś?

– Z własnej nieprzymuszonej woli? Nigdy – zachichotał.

– No cóż, chciałam być z tobą szczerą. I rozumiem, jeśli w takiej sytuacji odmówisz mi pomocy...

– Pogadam z kumplem pilotem – przerwał jej. – Bez zobowiązań.

* * *

Dział z powieściami znajdował się w osobnym, bocznym pomieszczeniu biblioteki. Już na samym progu otoczyły ją kolory. Zupełnie tak samo jak w domu latarnika. W każdym oknie wisiał witraż. Zapomniawszy zupełnie o książkach, Gina obeszła pokoik dookoła i przyglądała im się po kolei. Były podobne do prac Lacey, wyrefinowane i kunsztowne, ale posiadały też

pewne subtelne, trudne do sprecyzowania różnice. Wiele z nich przedstawiało postacie eterycznych kobiet w długich skłębionych sukniach. Olśniewające, po prostu olśniewające. Dopiero przy ostatnim oknie Gina znalazła na ścianie tabliczkę z napisem: „Witrażowe ozdoby przekazane w darze przez p. Annie Chase O’Neill”. A więc ich autorką była matka Claya i Lacey. Wielki talent. Gina potrząsnęła głową. Chociaż nie znała tej kobiety, zrobiło jej się smutno, że umarła. Jak to dobrze, wręcz wspaniale, że Lacey przejęła po niej fach i została witrażystką.

Dopiero po chwili przypomniała sobie, po co tutaj przyszła. Odwróciła się twarzą do regałów, wędrując wzrokiem po grzbietach książek. I znalazła: „S jak stryczek”. Gdy sięgała po książkę, jej dłoń zawisła w powietrzu; musiała ją zatrzymać, widząc, jak światło padające od okna barwi skórę najpierw na niebiesko, a potem na zielono i fioletowo. Stała tak z wyciągniętą ręką, aż minął ją jakiś czytelnik, przyglądając się dziwnym wzrokiem. Uśmiechając się do siebie, Gina zdjęła książkę z półki.

Rozdział dwudziesty czwarty

– No dobrze – zapytał Clay Ginę, kiedy weszli między regały w supermarkecie. – Czego potrzebujemy na indyjską ucztę?

To było jednocześnie dziwne i smutne, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądały zakupy z Terri. A z drugiej strony przyjemnie było pomyśleć, że Gina w pewnym sensie należy teraz do domowników.

– Wiele w tym sklepie raczej nie dostaniemy. – Zatrzymała się tam, gdzie były przyprawy. Jej włosy lśniły w padającym z góry świetle, kiedy obracała głowę, rozglądając się po półkach. – Zrobię, co będę mogła.

– Z nas wszystkich tylko ty jedna wiesz, jak smakuje indyjska kuchnia, więc możesz trochę oszukiwać. Nie zauważymy różnicy.

Gina zdjęła z półki torebkę kurkumy i włożyła ją do koszyka, po czym znów przebiegła wzrokiem półkę z przyprawami.

– Strasznie to wszystko drogie – mruknęła.

– Tym się nie przejmuj.

Zerknęła na niego przez ramię.

– Clay, ja nawet nie dokładam się do rachunków. Zgubiłam wygraną z loterii. Ty i Lacey...

– Gotujesz dla nas. – Musnął palcami jej ramię, mając pełną świadomość, jak często sobie na to pozwala. – Już kilka razy robiłaś kolację. My tego dla ciebie nie robimy, a na pewno znacznie rzadziej. Więc bierz, co trzeba, i nie patrz na cenę, dobrze?

– Skoro tak mówisz... – Gina wzruszyła ramionami i sięgnęła po następną przyprawę. – Dziękuję.

To mu się w niej podobało. I miło było zobaczyć, że potrafi skupić się na czymś, co nie ma żadnego związku z soczewką z Kiss River. Przynajmniej raz udało jej się zgubić tę ponurą minę wołającą rozpaczliwie: „Muszę koniecznie wydobyć soczewkę z oceanu”. Kilka dni temu, kiedy Clay odwoził Henry’ego do domu z Shorty’s, starszy pan powiedział, że Gina myśli tylko o jednym. I miał rację.

– To chyba wystarczy – oznajmiła, wkładając do koszyka drugi słoik, a następnie cofnęła się o krok, żeby lepiej widzieć, co jeszcze znajdzie na tym regale. Miała na sobie koszulkę, której Clay wcześniej nie widział: szafirowa, z dekoltem w szpic, łagodnie opinała się na piersiach, aż trudno mu było oderwać wzrok. – Teraz potrzebny nam ryż basmati i kurczak – zakomenderowała.

– Ryż jest trzy alejki dalej – odparł Clay, ale nie był pewien, czy znajdą tam ten „basmati”, nie wiedział zresztą, czym on się różni od zwykłego. Popchnął wózek i ruszyli wzdłuż regału.

– Wybieracie się w weekend na nurkowanie z Kennym? – zainteresowała się Gina. Niespodziewane pytanie, ale uznał, że to tylko zwykła rozmowa.

– Planujemy – powiedział. – Chcemy zobaczyć U-Boota, który zatonął podczas wojny na

wysokości Nags Head.

– U-85 – wyrecytowała Gina. Clay zrobił wielkie oczy.

– Skąd wiesz? – zapytał.

– Mówiłam ci, że historia to mój konik – uśmiechnęła się. – Aż dziwne, że jeszcze tam nie byłeś.

– Byłem, ale dawno, kilka lat temu.

Gina milczała przez chwilę.

– Ponurkujesz kiedyś w pobliżu latarni? – zaproponowała. – Może znalazłbyś soczewkę.

A jednak Clay się przeliczył, myśląc, że akurat tego popołudnia przestała o tym myśleć. Wzruszył ramionami.

– Niewykluczone – odparł. – Nurkowałeś już kiedyś? Moglibyśmy wybrać się razem.

– Nie wiem, jak to się robi.

– Nauczę cię. Ta soczewka nie może leżeć bardzo głęboko.

Gina zawahała się.

– Raczej wpadłabym w panikę, ale dzięki za propozycję – powiedziała po chwili. Obeszli narożnik, za którym znajdowała się lodówka z nabiałem. – Rozmawiałam dzisiaj z Kennym – dodała.

– Tak? – Clay poczuł ukłucie zazdrości.

– Mówił, że macie znajomego pilota.

– Pewnie chodziło mu o Dave’a Spearsa.

– Ma go spytać, czy podjąłby się poszukać soczewki z powietrza i ile by to kosztowało.

Clay skierował wózek pomiędzy regały z ryżem, makaronem i roślinami strączkowymi. Wiedział, że gdyby osobiście pogadał z Dave’em, to lot prawdopodobnie nie kosztowałby ani centa.

– Możliwe, że niczego nie będzie widać – uprzedził Ginę. – Wszystko zależy od...

– Pogody, przejrzystości wody, wielkości fragmentów i tak dalej. – Sięgnęła po paczkę ryżu basmati, który jednak mieli w asortymencie. – Jedno w każdym razie jest pewne.

– Co? – zapytał Clay.

– Jeśli nie będzie szukał, to jej nie znajdzie.

– A jeśli znajdzie?

– Wtedy przynajmniej będziemy...

– Gina? – Za ich plecami rozległ się kobiecy głos. Odwrócili się oboje.

Kobieta była młoda i bardzo wysoka, miała włosy koloru rudoblond, spięte w kok na czubku głowy, i twarz paskudnie spaloną słońcem. Pchała przed sobą wyładowany wózek z małym dzieckiem na rozkładanym siedzeniu.

– To naprawdę ty! – powiedziała. – Myślę sobie: Boże, ta laska wygląda zupełnie jak Gina, ale nie chciało mi się wierzyć, że spotkam cię w Karolinie Północnej.

Gina uśmiechnęła się, chociaż Clay wyczuł u niej nagłe napięcie.

– Cześć, Emily – powiedziała. – A ty co tutaj robisz?

– Znajoma mojej kuzynki ma dom w Ocean Sands – wyjaśniła blondynka. – Przyjechaliśmy na dwa tygodnie, odwiedzić krewnych. Co u ciebie? Co cię sprowadza na drugi koniec kraju? – Przeniosła wzrok na Claya. – A to kto? – zapytała.

– Clay O’Neill, mój znajomy – wyjaśniła Gina. – Clay, to jest Emily Parks. Uczymy w tej samej szkole.

– Aha – powiedział Clay. – Mały ten świat, co?

– Jaka Merissa już duża! – Gina pogłaskała dziewczynkę po blond loczkach. – Cześć, maleństwo! – powiedziała pieszczotliwym głosem, którego nigdy jeszcze u niej nie słyszał. – Pamiętasz mnie, skarbie?

Dziecko przyglądało jej się bez słowa, trzymając palce w buzi.

– No a jak twoja adopcja? – zagadnęła Emily.

Clay w pierwszej chwili myślał, że się przesłyszał. Gina odpowiedziała znajomej uśmiechem, ale tak spiętym, że jej stężale usta wyglądały jak wygięta ku górze cienka kreska.

– Jakoś idzie – ucięła i spojrzała na zegarek. – Na nas już czas. Robię dzisiaj kolację, więc musimy już iść.

– Czyli chyba nie zobaczymy się jesienią – powiedziała Emily. – Ty przecież będziesz...

– Jeszcze nie wiem – przerwała jej Gina tak szybko, że już prawie niegrzecznie. – Nie mogę myśleć o wszystkim naraz. Miłych wakacji, Emily! – zawołała przez ramię, machając znajomej ręką, i odsunęła Claya, zabierając mu wózek, po czym ruszyła szybkim krokiem przed siebie, a on, zdziwiony i zakłopotany, poszedł za nią.

– Gdzie tu są kurczaki? – zapytała, zaglądając do alejki, za którą stała lodówka z mięsem i wędlinami. Dłonie zaciśnięte na rączce wózka drżały.

– Adopcja? – powtórzył pytającym tonem.

Gina nie odwróciła nawet na niego wzroku.

– Przepraszam cię, Clay, nie chcę być niemą, ale nie mam ochoty o tym rozmawiać.

I znów ciemne oczy napełniły się łzami. Clay ponownie dotknął jej ręki, ale tym razem poczuł napięte mięśnie.

– Pójdiesz po kurczaka? – poprosiła Gina. – Weź całego, pokrojonego. Ja stanę już w kolejce do kasy.

Kolacja była pyszna i pełna egzotycznych smaków, a po jedzeniu Clay, Lacey i Henry wspólnymi siłami zdołali namówić Ginę, żeby zagrała z nimi w remika. Clay widział jednak, że spieszo jej do komputera, bo chce przeczytać mejle. Kiedy wracali ze sklepu, była milcząca, a on nie miał pojęcia, o co ją zapytać, co powiedzieć ani jak zachęcić, aby się odezwała. Po raz kolejny przyszło mu żałować, że jest pozbawiony takiego daru. Gdy grali we czwórkę przy kuchennym stole, obserwował ją i myślał tylko: Jaka adopcja? Czemu ta kobieta jest tak cholernie tajemnicza? Postanowił, że kiedy odwiezie Henry'ego, postara się tego dowiedzieć – o ile Gina nie zaszyje się w swoim pokoju.

Rozdział dwudziesty piąty

Gina przez cały wieczór czuła na sobie wzrok Claya, ucieszyła się więc, gdy Henry powiedział, że jest zmęczony, i gra dobiegła końca. Na rękę było jej też, że została w domu sama, bo Clay odwoził gościa, a Lacey wyszła. Chciała odebrać pocztę i przeczytać najnowsze mejle od członków grupy – jedyne dostępne jej źródło informacji o adopcjach w Hajdarabadzie.

Wiedziała, że Clay w końcu zapyta ponownie, dlaczego Emily wspomniała o adopcji, a ona musi wymyślić, co mu odpowiedzieć. Dojmujące poczucie odosobnienia, na które skazał ją brak szczerości wobec wszystkich dookoła, zrobiło się nie do wytrzymania. Gina z natury nie była osobą skrytą i choć ostatnio opanowała tę sztukę w stopniu wręcz mistrzowskim, czuła się okropnie, bo zamykało ją to na innych ludzi. Wydawało się jednak, że nie ma wyboru.

Przypadkowe spotkanie z Emily Parks w supermarkecie było jak grom z jasnego nieba. Kto by pomyślał, że można natknąć się na koleżankę w małym miasteczku odległym od miejsca pracy o pięć tysięcy kilometrów? W szkole wszyscy nauczyciele wiedzieli oczywiście, że Gina zamierza adoptować dziecko, ale nie mieli pojęcia, z jakimi przeszkodami musi się zmagać, aby sprowadzić Rani do siebie, bo była dyskretna i udało jej się zachować to w tajemnicy. Nawet dwie kobiety, które uważała za swoje najbliższe przyjaciółki, nie wiedziały, jak olbrzymie problemy piętrzą się przed nią.

Tego dnia odezwała się do niej Denise, znajoma adopcyjna matka w identycznej sytuacji, co Gina, bo usiłowała wydostać swoją córeczkę z tego samego sierocińca, w którym przebywała Rani. Denise jak zwykle napisała osobiście do Giny, nie do całej grupy. Obie kobiety połączyła swojego rodzaju więź, bo znalazły się w sierocińcu dokładnie w tym samym czasie, ale Denise została, gdy pojawiły się problemy. Miała dość pieniędzy, aby mieszkać w Hajdarabadzie i opiekować się swoim dzieckiem: dokarmiać je i zapewniać mu w miarę przyzwoitą opiekę, czekając, aż będzie mogła je stamtąd zabrać. W swoich mejlach zawsze pisała: „kiedy już ją zabiorę”, jakby to było tylko kwestią czasu. Gina uważała, że Denise się łudzi, że oszukuje samą siebie, bo przez adopcyjną aferę w Hajdarabadzie sytuacja wciąż się pogarszała, ale z drugiej strony była bardzo zadowolona, że jej znajoma się nie poddaje; to była jedyna osoba, która umożliwiała jej kontakt z Rani, a w dodatku mówiła po angielsku i potrafiła wczuć się w jej sytuację.

W załączniku Denise przysłała nowe zdjęcie Rani. Gina wpatrywała się w monitor. Przez dwa miesiące, które upłynęły od jej wizyty w sierocińcu, dziecko schudło chyba jeszcze bardziej. Nie uśmiechało się, ale patrzyło prosto w obiektyw; widać było każdą długą, ciemną rzęsę. Rani miała na sobie jedną z sukienek, które przywiozła jej Gina. Sukienki były w bardzo małym rozmiarze, ale na nią wciąż jeszcze za duże. Dziecko-laleczka. Mała, cudowna sierotka.

Gina koniecznie musiała wydrukować sobie to zdjęcie, żeby mieć je przy sobie o każdej porze dnia i nocy. Sprawdziła, czy w drukarce jest papier, a potem kliknęła „Drukuj”.

Gdy z maszyny zaczął się wysuwać kolorowy obrazek, na korytarzu rozległy się kroki.

Cholera, zakłęła w myślach. Clay już wrócił. Za wcześniej. Drukarka pracowała zbyt powoli.

Drzwi były otwarte, ale Clay i tak zapukał.

– Szybko się uwinąłeś – odpowiedziała Gina, nie odwracając nawet głowy.

– Henry od razu położył się spać – wyjaśnił. – Więc wróciłem do domu.

Obejrzała się na niego przez ramię. Wpatrywał się w zdjęcie Rani wyświetlone na monitorze komputera. I nie odezwał się ani słowem, gdy drukarka wyrzuciła na biurko zdjęcie.

Odsunął krzesło stojące przy stole kreślarskim i postawił je obok fotela, na którym siedziała.

– Gina, porozmawiaj ze mną – poprosił, siadając. – Co to za dziewczynka?

Musnęła palcami zdjęcie na monitorze. Zawahała się.

– To jest Rani – wyjaśniła. – Moja córka. Adoptowana, procedura jeszcze trwa.

Clay milczał dłuższą chwilę.

– Adoptowałeś jako singielka? – zapytał wreszcie.

Gina przytaknęła.

– Chciałam mieć dziecko. To dziecko – dodała z naciskiem.

– A gdzie ono teraz jest?

Wyprostowała się, dotykając plecami oparcia fotela, ale nie odrywając oczu od monitora. Łatwiej było jej o tym mówić, kiedy nie musiała patrzeć na Claya. Starła się powstrzymać łzy.

– W Indiach, w sierocińcu – odpowiedziała. – Jakiś czas temu trafiłam na spotkanie poświęcone adopcji dzieci z zagranicy. Poszłam tam z przyjaciółką; ona i jej mąż zdecydowali się na taką adopcję, a ponieważ on tamtego dnia był zajęty, wybrałam się razem z nią.

Spotkanie odbyło się w kościele. Gina do dziś miała w pamięci zdjęcia na tablicy informacyjnej i filmy z różnych sierocińców, które pokazano zebranych. Tam, gdzie była Rani, nikt nic nie kręcił. Zobaczyła tylko jedno małe zdjęcie, ale to wystarczyło.

– Było tam kilka innych singielek, które poważnie zastanawiały się nad adopcją, i wtedy pomyślałam sobie, że ja też bym mogła. – Pokiwała głową, przypominając sobie chwilę oświecenia. – I były też zdjęcia dzieci. – Uśmiechnęła się z czułością. – Na jednym z nich było najcudowniejsze maleństwo, jakie w życiu widziałam. Miało dopiero dwa miesiące. Zakochałam się od pierwszego wejrzenia.

Zerknęła na Claya. Obserwował ją uważnie, ale miała wątpliwości, czy jest w stanie naprawdę pojąć głębię jej uczuć do dziewczynki ze zdjęcia.

– Zapytałam o nią – mówiła dalej. – Inne dzieci były przeważnie starsze i zastanowiło mnie, dlaczego nikt się nią nie zainteresował. Powiedzieli mi, że jest chora. Urodziła się z wadą serca. Potrzebuje natychmiastowej operacji i leczenia, inaczej nie przeżyje nawet dwóch lat. Tak więc, oczywiście, nikt jej nie chciał. Oprócz mnie.

– Poczułaś, że coś was łączy? – zapytał Clay.

Gina przytaknęła.

– Wiele. – Odwróciła się do niego i zobaczyła, że słucha jej z uwagą. Wzruszyło ją to. – Ja też miałam wrodzoną wadę serca – podjęła. – Przeszłam operację jako niemowlę i od tamtej pory jestem zdrowa. A poza tym... niedawno zmarła moja mama, dosłownie kilkanaście dni przed tamtym spotkaniem, na którym zobaczyłam zdjęcie Rani. Dwa tygodnie, nie więcej. Miałam tylko ją, żadnej innej rodziny. Ale najważniejszym znakiem było imię tego dziecka: Rani, pisane *R-a-n-i*. Moja mama miała na imię Ronnie, *R-o-n-n-i-e*. Pisze się inaczej, ale czyta dokładnie tak samo. Wydawało mi się, że to właśnie jest moje przeznaczenie.

Clay kiwnął głową.

– Rozumiem – powiedział. – Więc teraz... – Obejrzał się z powrotem na monitor komputera. –

Ile ma ta dziewczynka? Kiedy ją dostaniesz?

Zastanawiała się, ile może mu powiedzieć, i zdziwiła ją myśl, że jak dotąd wszystko, co od niej usłyszał, było szczerą prawdą.

– Adopcja dziecka z Indii to długi proces – wyjaśniła. – Po pierwsze, za granicę oddaje się tylko niektóre dzieci, przeważnie takie, które mają jakieś problemy ze zdrowiem. Rani oczywiście spełniła to kryterium bez trudu, ale i tak musiała przejść oficjalne badanie, a potem przeprowadzono kontrolę u mnie. Bałam się tego strasznie, bo żyję samotnie, mieszkam w wynajętym domu jednorodzinny i nie posiadam na własność żadnej nieruchomości. Ale wizytacja zakończyła się pomyślnie. Następnym etapem była kontrola moich finansów i tutaj też najadłam się strachu. Jeśli chodzi o pieniądze, to po rozwodzie jestem w kiepskiej sytuacji, ale chyba ktoś doszedł do wniosku, że nauczycielka w tych czasach ma pewność stałego zatrudnienia. Przyjęli więc moje podanie o adopcję oraz portfolio i dwa miesiące temu agencja adopcyjna uzyskała dla mnie zgodę na przysposobienie Rani.

– Pojedziesz po nią do Indii? – zapytał Clay.

– Już tam byłam. – Uśmiechnęła się blado. – I tutaj zaczynają się schody. Pojechałam do Indii w kwietniu, żeby zabrać ją do Stanów. Pozostała jeszcze tylko jedna formalność: musiałam dostać nakaz sądowy, aby zarząd sierocińca mi ją wydał. Z tym nie powinnam była mieć żadnego problemu, ale kiedy czekałam na rozprawę, indyjskie władze nagle zaczęły robić kontrole we wszystkich sierocińcach w tamtym rejonie, bo pojawiły się doniesienia o czarnorynkowym handlu dziećmi.

– Tak naprawdę się dzieje?

Gina skinęła głową.

– Tak. Są różne mniej uczciwe agencje, które kupują dzieci biedaków. Rodziny sprzedają też dziewczynki, bo ogólnie uważa się, że dziewczynka to więcej szkody niż pożytku. Słyszałam o takich przypadkach, że rodzice dostali za nowo narodzoną dziewczynkę około dwudziestu dolarów, a ci, którzy ją adoptowali, zapłacili czterdzieści tysięcy. Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, że Rani trafiła do uczciwego sierocińca, gdzie nie robią takich rzeczy. Mówili mi, że mają licencję, ale kto ich tam wie? Zresztą, to bez znaczenia. Zanim adopcje ruszą z powrotem, wszystkie domy dziecka muszą uzyskać nową licencję.

– Ale przecież twoja... Rani wymaga natychmiastowej opieki medycznej. – Clay obstawał przy swoim. Urzekło ją, że mówi to z takim oburzeniem.

– Myślisz zbyt logicznie – przytaknęła ze smutnym uśmiechem. – To tak nie działa. Wstrzymano wszystkie adopcje, które były w toku, bez względu na potrzeby dzieci. Ja naprawdę rozumiem, że należało to zrobić, aby bronić wszystkich dzieci, ale oczywiście masz rację, że Rani to przypadek wyjątkowy. Żeby mogła przejść operację, która jest niezbędna, muszę przywieźć ją do Waszyngtonu i ubezpieczyć. A im jest starsza, tym większe ryzyko, że... – Gina potrząsnęła głową. – Ma teraz szesnaście miesięcy, a waży niespełna sześć kilogramów.

– Szesnaście miesięcy! – zawołał Clay, spoglądając na zdjęcie. – Nie znam się na dzieciach, ale chyba wygląda na znacznie młodszą.

– Jest niedożywiona – wyjaśniła. Łzy paliły ją pod powiekami. – Kiedy tam byłam, przywiozłam ze sobą jedzenie, bo nie wystarcza go dla wszystkich dzieci, ale jej organizm nie przyjmował go właściwie. Chciałam tam z nią zostać i poczekać, aż będziemy mogły wyjechać, ale skończyły mi się pieniądze i musiałam wracać do pracy. Pojechałabym tam z powrotem, choćby zaraz, żeby tylko być przy niej i czuwać nad nią, ale nie stać mnie na to. A oni nie chcą jej puścić. Nie mogę nic zrobić, tylko czekać i modlić się, żeby wytrzymała, dopóki nie będę

mogła jej zabrać.

– Czy twoja agencja stara się o nową licencję? – zapytał Clay.

Gina westchnęła. Sprawa była bardzo złożona i trudna do wytłumaczenia.

– Owszem – odparła. – Ale nie wiem, czy ją dostaną. To zresztą nie jest w tej chwili jedyny problem. – Podniosła z biurka wydrukowane zdjęcie. – Odkąd w Indiach wybuchła tamta afera, odzywają się liczne głosy przeciwko adoptowaniu dzieci przez obcokrajowców – powiedziała. – Na przykład wstrzymuje się adopcję, jeśli tamten czy inny sędzia orzeknie, że para ubiegająca się o dziecko ma zbyt krótki staż. Wyobrażasz więc sobie, jak niechętnie patrzą na samotną kobietę.

– Wynajęłaś adwokata? – zapytał.

– Kilku, ale to nic nie dało. – No i brakowało jej już pieniędzy na usługi prawne.

– Co teraz zrobisz?

– Będę czekać – odparła. – Nie pozostało mi nic innego.

W tym momencie musiała odwrócić wzrok. Nie była w stanie kłamać mu w żywe oczy.

– Czarno to wygląda – podjęła po chwili. – Dzieją się straszne rzeczy.

– Jakież?

– Jestem w internetowej grupie rodziców starających się o adopcję dzieci z Indii. Jedna para dowiedziała się, że ich dziewczynki nie ma. Zniknęła. Nie wiedzą nic więcej: czy umarła, czy ją sprzedano, przeniesiono gdzie indziej, nic. Przepadła jak kamień w wodę, nie ma żadnych dokumentów. Inna para poleciała do Indii, żeby zabrać swoją córeczkę, a na miejscu zastali zupełnie inną dziewczynkę. Poznali już przedtem swoje dziecko, więc wiedzieli, jak wygląda i jak się zachowuje, a to było starsze, bardziej wychudzone i miało jaśniejszą skórę. A sierociniec szedł w zaparte: nie, to jest to samo dziecko.

– Co zrobili?

Gina potrząsnęła głową.

– Szukali w innych domach dziecka, ale na próżno. Wiesz co... – Odchyliła głowę w tył, błędząc pustym wzrokiem po suficie. – Wydaje mi się, że jeśli ktoś sam tego nie przeżył, nie zrozumie, jak bardzo można się przywiązać do praktycznie obcego dziecka. Ale przecież kobieta w ciąży śni o swoim dziecku, szykuje się na jego przybycie, ja mam chyba tak samo.

– A ty widziałaś Rani na własne oczy – zauważył Clay. – Przywiązałaś się do niej.

– To było, jeszcze zanim tam pojechałam. Ale zgadza się, kiedy pierwszy raz wyciągnęłam do niej rękę, ona... Przyszła prosto do mnie. Nie wiem, może garnie się do wszystkich, ale wtuliła się we mnie, jakby wiedziała, że tam jest jej miejsce.

– Bardzo ci współczuję, Gino.

– Kobieta, która zrobiła to zdjęcie, jest w Indiach już od dwóch miesięcy. Czeka, aż puszczą jej córeczkę, a tymczasem może jej doglądać, przynosić dla niej jedzenie, bawić się z nią i pilnować, żeby miała właściwą opiekę. Ale może jeszcze długo poczekać. Kolejne miesiące. Albo lata. Albo w ogóle się nie doczeka. Tego wszyscy boimy się najbardziej. Przed chwilą dostałam od niej mejla.

Położyła dłoń na myszce, aby wyświetlić list od Denise.

– Droga Gino, wiem, że gdy pytasz mnie, jak radzi sobie Rani, chcesz usłyszeć prawdę – przeczytała na głos. – Gdybym była w twoim położeniu, też bym chciała to wiedzieć. Rani wydaje się bardziej wycofana niż przedtem, kiedy tutaj byłaś. Zawsze staram się o niej pamiętać, kiedy bawię się z Sunil i innymi dziećmi, ale ona ma krótki oddech i trudno jej za nimi nadążyć. Prosiłam w twoim imieniu o leczenie, ale sama wiesz, jak jest. Dzieci specjalnej troski, jak Rani,

mają tu bardzo dużo. Nie mogą zapewnić im takiej pomocy, jakiej one potrzebują.

Gina urwała, dławiąc się szlochem. Opuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Po chwili poczuła pomiędzy łopatkami ciepłą dłoń Claya, a na skroni zimny nos Saszy.

– Zrobiłabym wszystko, żeby ją stamtąd wydostać – wyznała, unosząc głowę. – Wszystko! Sprzedałabym duszę diabłu, poszłabym z nim do łóżka, gdyby to mogło coś zmienić. Ja bym... – Umilkła w pół słowa. Clay wyjął chusteczkę z pudełka stojącego na biurku i wcisnął ją w dłoń Giny.

– Wiesz, co mnie zadziwia? – zapytał.

Pokręciła głową, ocierając chusteczką łzy z policzków.

– Że w ogóle jesteś w stanie myśleć o jakiejś soczewce leżącej na dnie oceanu, kiedy w twoim życiu dzieją się takie rzeczy.

Ani na chwilę nie przestaję myśleć o tej soczewce, odpowiedziała mu w duchu.

– Spójrz na siebie – odbiła piłeczkę. – Pracujesz od rana do nocy. Lacey mówiła, że kiedyś było inaczej. W ten sposób radzisz sobie z bólem po śmierci żony.

Clay wyprostował się na swoim krześle z nieprzeniknioną miną. Gina zrozumiała, że jej cios był celny i trafił w niezwykle czułe miejsce. Wzruszyła się, bo widać było jak na dłoni, że Clay cierpi po stracie żony. Musiała ich łączyć bardzo mocna więź.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie, masz rację. – Potrząsnął głową. – Chyba oboje przed czymś uciekamy.

Westchnął i wstał.

– Gdybym mógł ci jakoś pomóc, proszę, powiedz mi o tym.

Spojrzała mu w oczy, dostrzegając własny smutek odbity w nich jak w lustrze.

– Już sama rozmowa z tobą mi pomogła – powiedziała. Absolutnie szczerze.

Rozdział dwudziesty szósty

Wtorek, 14 kwietnia 1942

Jestem zła i strasznie mi wstyd, i w ogóle jestem po prostu tak zbulwersowana, że wręcz nie mogę pisać.

Po pierwsze, najpierw wyjaśnię, co się stało w nocy. Siedzieliśmy z Sandym na plaży, a tu nagle rozległo się wielkie BUM, raz, drugi, trzeci, wiele razy. Teraz już oboje dobrze wiemy, co to oznacza: znowu storpedowali nasz statek. Ale że nie było widać żadnego ognia ani nic, więc uznaliśmy, że to gdzieś daleko. I dopiero rano się dowiedziałam: nasz okręt wojenny Roper zatopił U-Boot! U-85, tak się nazywał ten U-Boot. Tato, gdy to usłyszał, zawołał głośno „Hura!”. Nareszcie dajemy im łupnia. Teraz już się tak nie boję, bo jestem pewna, że szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę.

Po szkole grabiłam liście i połamane gałązki, które zostały po zimie. Nagle pod latarnią zjawił się Dennis Kittering. W jego szkole w High Point są ferie wiosenne, więc przez cały tydzień siedzi w swoim namiocie na plaży. Przykuśtykał do mnie, pogwizdując tę piosenkę, która ma tytuł *Perfidia*.

– O co chodzi w tej piosence? – zapytałam.

– W jakiej piosence? – zdziwił się.

– Tej, którą gwizdziesz. Nazywa się *Perfidia*.

– Nie znam słów – przyznał. – Tylko samą melodię.

– A co to znaczy „perfidia”? – dopytywałam. – Czy to imię jakiejś dziewczyny?

– Aha. – Uśmiechnął się w ten swój specjalny sposób. Wiem, że uważa się wtedy za lepszego ode mnie. – Masz przecież słownik, Bess. Znajdź to słowo.

I od razu mnie zdenerwował. (Ale potem, w domu, wyszukałam „perfidie” w słowniku. Znaczący to: „zamierzone nadużycie wiary lub zaufania”. Tylko że w dalszym ciągu nie wiem, co to ma wspólnego z tą piosenką).

Dennis nagle zmienił temat.

– Piękny dzień dzisiaj mamy – powiedział. – Wejdziemy na latarnię nacieszyć oczy widokiem?

W zeszłym roku, kiedy się poznaliśmy, zabrałam go na galerię. Od tamtej pory nie był tam ani razu. Zrobiło mi się go żal, ale dzisiaj nie miałam ochoty tam iść. Bo, prawdę mówiąc, straciłam ostatnio zaufanie do mężczyzn i nie podobała mi się myśl, że znajdę się z nim sama na wąskich schodach w zamkniętej wieży. Odpowiedziałam, że jeśli chce, to może iść sam, ja mu pozwalam. Ale jemu wcale nie o to chodziło. Przyznał, że tak naprawdę zamierzał ze mną porozmawiać, bo się o mnie martwi. Zalała mnie fala wstydu, jak zawsze, kiedy wydaje mi się, że ktoś wie, co zrobił mi tamten Niemiec w moim własnym pokoju. Ciągłe słyszę od ludzi, że współczują naszej rodzinie, i nie mogę wtedy spojrzeć nikomu w oczy, bo się zastanawiam, ile oni mogą wiedzieć. Próbowałam się wykręcić, że niby to nie mam czasu na rozmowy, ale jakoś mnie namówił,

żebyśmy usiedli na ławce niedaleko latarni. Byłam gotowa przyjąć wyrazy współczucia czy co mu tam leżało na wątrobie, ale że usłyszę coś takiego – tego się nie spodziewałam.

– Wiem, że nocami spotykasz się na plaży z jednym młodym wodołazem – oznajmił Dennis.

Struchlałam ze strachu.

– A skąd niby to wiesz? – zapytałam.

– Widziałem was razem – odparł. – Zapomniałaś chyba, że mam namiot nad oceanem.

Myśli w mojej głowie goniły jedna drugą. Na plaży nie było teraz żadnych świateł. Dennis mógł być wszędzie. Mógł siedzieć dwa kroki od nas i niczego byśmy się nie domyślili. Aż mi skóra ścierpła na samą myśl!

– To jest mój znajomy, nic więcej – powiedziałam.

Dennis pokręcił głową.

– Wydaje mi się, że łączy was znacznie więcej – zauważył. – A ponieważ przychodzisz na plażę w nocy, o której ci się żywnie podoba, jestem pewien, że twoi rodzice nic o tym nie wiedzą.

Zerwałam się z ławki. Byłam już naprawdę zła, a przy tym bałam się, że powie wszystko rodzicom. To było wprost nie do pomyślenia.

– Jesteś zwykłym szpiclem, co wszędzie wścibia nos! – krzyknęłam.

Dennis złapał mnie za rękę. Nie szarpał, ale ścisnął na tyle mocno, żeby zatrzymać mnie w miejscu.

– Zostań – poprosił. – Nic nie powiem twoim rodzicom i nie chcę narobić ci wstydu. Mówię o tym z troski o ciebie. To wszystko. Nie wiesz, co robisz, zadając się ze starszym mężczyzną, który...

– Młodszym od ciebie – przerwałam mu.

– Ile on ma lat? Osiemnaście? Dziewiętnaście?

– Nie twoja sprawa.

– W tym wieku chłopakom tylko jedno w głowie, Bess.

Pomyślałam sobie, że sam musiał mieć w tym wieku jedno w głowie i stąd wie.

– On jest inny – odparłam.

– Posłuchaj, jesteś ładna i bystra, po prostu nie chcę, żeby stało ci się coś złego – powiedział. – Dobrze by było, gdybyś poważnie zastanowiła się nad przeprowadzką do High Point. Mogłabyś mieszkać u nas, ze mną i moją siostrą. Rozmawiałem z nią już o tym. Wie, że jesteś bardzo inteligentna, że tutaj się marnujesz i w ogóle. Jak sądzisz, czy twoi rodzice się zgodzą, jeśli z nimi porozmawiam i wyjaśnię, że to wyjdzie ci na dobre?

Własnym uszom nie wierzyłam.

– Zwariowałeś! – zawołałam.

– Nic zdrożnego nie miałem na myśli – zastrzegł się. – Jak mówiłem, chciałbym przedyskutować to z twoimi rodzicami. Mamy z siostrą dom, nieduży, ale schludny. Należał do moich rodziców. W okolicy jest świetna szkoła, do której mogłabyś chodzić. Twoi rodzice muszą zdawać sobie sprawę, że to wykształcenie, które tutaj zdobywasz, jest niewiele warte.

– Przeczytałam więcej książek od ciebie – odgryzłam się.

Uśmiechnął się, gdy to usłyszał.

– Być może. I o tym właśnie mówię. Powinnaś chodzić do takiej szkoły, w której poznają się na twoim intelekcie. Po takiej szkole zdobędziesz w życiu coś więcej niż tylko pierwszą lepszą pracę dla kobiety w tych stronach. Bo to raczej niewiele, prawda?

Uderzył w czułą strunę, sama myślałam o tym ostatnio. Uwielbiam to miejsce. To jest mój

dom. W moich żyłach płynie słona woda, jak mówi tato. Ale to prawda, że kobiety nie mają tutaj widoków na przyszłość. Marzy mi się, że kiedyś, jak już będę starsza i wojna się skończy, wyjadę z Sandym do Vermontu, skończę tam studia i zostanę nauczycielką.

– Rodzice mnie nie puszcza – powiedziałam.

– Czyżby? – zapytał Dennis. – Wiem, co się stało u was kilka dni temu.

Rzadko się rumienię, ale w tym momencie oblałam się pąsem.

– Tydzień temu twoi rodzice mogli jeszcze myśleć, że jesteś tutaj bezpieczna, ale teraz, gdy dzieją się takie rzeczy, woleliby, abyś była gdzieś daleko, jestem tego pewny.

– Teraz akurat idzie ku lepszemu – sprzeciwiłam się. – Wczoraj w nocy niszczyciel Roper zatopił U-Boota.

– Dwa razy. – Dennis skrzywił się, a ja wiedziałam, że coś go bardzo złościło, bo znałam ten wyraz jego twarzy.

– Jak to? – zdziwiłam się.

– Dostał od naszych i poszedł na dno, a załoga wyskoczyła do wody. Błagali, żeby ich wziąć na pokład, ale zamiast im pomóc, z Ropera zrzucili jeszcze bomby głębinowe. A ten cholerny U-Boot już tonął. Zabili ludzi, którzy błagali o życie, walcząc z oceanem.

Nie wiedziałam o tym, przysięgam, ale jakoś nie mogłam się tym przejąć tak jak on.

– Ci Niemcy zabiliby naszych, gdyby tylko mieli szansę – powiedziałam.

– To było niehonorowe – uciął Dennis. – Nie zabija się tonącego, nawet wroga.

Nie miałam ochoty dłużej o tym rozmawiać. Wstałam.

– A więc wracając do poprzedniego tematu – podjęłam – nie wyjadę z Kiss River. A ty nie waz się pisać moim rodzicom o tym młodym wodołazie, Dennis. Obiecuj.

– Nie zrobiłbym tego – odparł – ale ponieważ znamy się dość dobrze, a ja jestem dorosły, to nie mogę pozwolić, aby spotkało cię coś złego. Dlatego właśnie rozmawiam z tobą, a nie z nimi. Jesteś mądrą dziewczyną, więc nie zachowuj się głupio.

Zostawiłam go na tej ławce i poszłam, kipiąc ze złości. Coś mi jednak mówiło, że lepiej żyć z nim w zgodzie. Nie mogłam ryzykować, że powie mamie i tacie, co widział i co wie. Poczulałam się przy nim tak, jakbym miała dziesięć lat. No więc od dzisiaj nie będę taka głupia. Postaram się, aby Dennis już nigdy nie zobaczył mnie z Sandym.

Rozdział dwudziesty siódmy

– Gina...?

Wydawało jej się, że to sen, bo głos dobiegał z oddali. Potem jednak usłyszała ciche stukanie do drzwi i otworzyła oczy. Za oknem wznosił się mur latarni, a w porannym słońcu białe cegły raziły oczy oślepiającym blaskiem. W tle rytmicznie pluskały fale oceanu.

Stukanie odezwało się znowu.

– Gina. – To był głos Claya, tuż za drzwiami.

Spojrzała na wyświetlacz budzika. Szósta trzydzieści rano. A tego dnia miała wolne.

Usiadła na łóżku i odgarnęła włosy z twarzy.

– Tak?

– Gina, wstań – powiedział Clay. Brzmiało to tak, jakby trzymał usta tuż przy samych drzwiach. – Po naszej wczorajszej rozmowie zadzwoniłem do Dave’a. On jest pilotem, pamiętasz? Zaproponował, że...

– Wejdz! – zawołała, przytomniejąc w jednej chwili. Siedziała w koszulce do spania, przykryta do pasa kołdrą, włosy miała potargane, ale było jej wszystko jedno. Chciała usłyszeć, co powiedział pilot.

Clay otworzył drzwi i stanął w progu, nie puszczać kłamki. Chyba trochę się krępował wejść do pokoju Giny.

– Obłeci z nami okolice Kiss River.

– Z nami? My też możemy lecieć?

Tego się nie spodziewała. Wydawało jej się, że pilot, jeśli w ogóle zgodzi się tego podjąć, będzie wolał szukać na własną rękę. Perspektywa wspólnego lotu była ekscytująca, choć jednocześnie Gina poczuła lekki niepokój. Bała się latać.

– Tak jest – potwierdził Clay. – Dave chciał lecieć jutro, ale kilka minut temu zadzwonił i powiedział, że warunki są idealne i powinniśmy wystartować teraz. Masz ochotę?

– Jasne! – zawołała, machając na niego ręką, żeby wyszedł, bo chciała natychmiast wstać. – Za dwie minuty będę gotowa.

– Weź jakiś sweter – doradził jeszcze Clay przez zamknięte drzwi. – I okulary przeciwsłoneczne.

Gina zrzuciła stary T-shirt, włożyła szorty i koszulkę bez rękawów. Poszła do łazienki, umyła zęby i bez widocznego rezultatu przeczesała rozczochrane włosy. Chwyciwszy do ręki sweter, pomknęła po schodach do kuchni, gdzie zastała Claya, Lacey i Saszę.

Clay na jej widok parsknął śmiechem.

– Aż tak źle wyglądam? – zapytała Gina, przyglądając włosy dłonią.

– Nie, po prostu jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak szybko się zebrał.

– Zjecie coś przed wyjściem? – zaproponowała Lacey, zwilżonym papierowym ręcznikiem zmywając fioletowe plamy z palców. Była rano na jagodach.

– Nie ma czasu – wyjaśnił Clay. – Dave powiedział, że w tej chwili warunki są idealne, a woda przejrzysta.

– Więc chodźmy. – Gina ruszyła do drzwi, ale Lacey chwyciła ją za rękę.

– Clay mówił mi o tej dziewczynce, którą chcesz adoptować. – Jej szeroko otwarte niebieskie oczy przepęniało szczere współczucie. – Bardzo mi przykro z powodu twoich trudności.

– Dziękuję – powiedziała Gina.

– Chodźmy! – zawołał Clay już zza drzwi. Gina skinęła Lacey głową.

– Później o tym porozmawiamy.

Poranek był ciepły i słoneczny, a powietrze, suche jak rzadko, pachniało morską solą i sosnami. Wsiedli razem do jeepa Claya, stojącego na parkingu.

– Nie masz mi za złe, że powiedziałem Lacey? – zapytał niepewnie, zapinając pas bezpieczeństwa.

– Nie, skąd – odparła, dziwiąc się sama, że nie zwierzyła się jego siostrze, tylko właśnie jemu. Nie żałowała tego jednak ani trochę, gdyż po tej wczorajszej rozmowie czuła się w pewien sposób oczyszczona i mniej samotna.

Clay wykręcił na parkingu i jeep ruszył wąską żwirową drogą. Przejazd jak zwykle zamykał łańcuch. Gina, która miała już własny klucz do kłódki, wysiadła, otworzyła ją i odciągnęła łańcuch na bok.

– Nie zamykaj! – zawołał Clay przez otwarte okno. – Lacey zaraz jedzie do pracy.

Przez całe dwa tygodnie, bo tyle już tutaj spędziła, Gina nie widziała jeszcze, aby dzień wstał tak pogodny i słoneczny. Rosnące przy głównej drodze sosny taeda stroszyły igły, a każda z nich rysowała się wyraźnym, ostrym konturem na tle lśniącego błękitem nieba. Pomiędzy drzewami przebijały się ukośne smugi porannego blasku. Jechali na południe.

– Lubisz latać? – zapytał Clay.

– Nie znoszę – zaśmiała się Gina. – I nie przepadam za małymi samolotami. Mam w nich klaustrofobię.

– Ooo. – Clay uśmiechnął się szeroko. – W tym samolocie klaustrofobia ci nie grozi.

– Czemu? Jest taki duży?

– Zobaczysz.

Nagle przypomniało jej się, że to nie jest darmowa wycieczka.

– Zapomniałam zapytać o cenę – odezwała się.

– Dave jest mi winien przysługę – odparł krótko Clay.

Mogłam się spodziewać, że nie pozwoli mi zapłacić, pomyślała Gina.

– Bardzo ci dziękuję. – Obrzuciła go szybkim spojrzeniem i zauważyła, że wygląda dziś jakoś inaczej. Jego bladobłękitne oczy mieniły się słonecznym blaskiem niczym dwa drogocenne klejnoty skryte w cieniu gęstych rzęs i bujnych brwi. Kształtne kości policzkowe i ostry profil szczęki podkreślały gładką, opaloną cerę. Gina miała pełną świadomość, że w rzeczywistości Clay wygląda tak samo jak każdego innego dnia – to ona patrzyła na niego innym wzrokiem. Wysłuchał jej wieczorem z wielką uwagą, okazał wiele współczucia. Pogładził po plecach, kiedy płakała. A potem zadzwonił do kolegi i załatwił dla niej przelot samolotem, bo taki miała kaprys. Jeszcze raz zerknęła na niego z ukosa. Tak, dzisiaj Clay był piękny.

* * *

Pierwszą niepokojącą niespodzianką stanowił fakt, że nigdzie nie było widać lotniska.

– To tylko małe lądowisko – poinformował Clay Ginę, zatrzymując swojego jeepa na małym parkingu w Kill Devil Hills. Niedaleko stał pomnik braci Wright.

Drugą niespodzianką okazał się samolot.

– Cześć, Clay! – zawołał chudy mężczyzna z rozwianymi rudymi włosami. Zauważył ich, kiedy wysiedli z auta, i teraz zbliżał się, przecinając pas startowy. Za jego plecami zauważyła małe jaskrawoczerwone samolotki.

– Hej, Dave. – Clay podał mu rękę. – To jest Gina.

Pilot uśmiechnął się do niej.

– A więc to ty chcesz znaleźć soczewkę z Kiss River, tak?

Był taki chudy, że chyba nawet ona mogłaby przewrócić go jednym palcem, a niebieska koszulka polo i jasne spodnie wisały na nim, jakby były za duże. Jego głos potrafił jednak zaskoczyć, i to mocno, a akcent, który Gina nauczyła się już rozpoznawać, zdradzał rodowitego mieszkańca Outer Banks.

Skinęła pilotowi głowę na powitanie, ale nie mogła oderwać wzroku od samolotu, który wyglądał jak zabawka.

– To nie ma dachu – wyjąkała.

Dave i Clay wybuchnęli zgodnym śmiechem.

– Niektórzy ludzie oddaliby ostatnią koszulę, żeby polecieć dwupłatem Waco – powiedział Dave.

– Czy to jest samolot braci Wright? – próbowała zażartować Gina.

– Mówiłem, że nie dostaniesz w nim klaustrofobii – przypomniał Clay.

Przewróciła oczami.

– Ile on ma lat?

– To jest rekonstrukcja – uspokoił ją. – Ma dopiero... Ile, Dave? Piętnaście lat?

– Coś około – zgodził się pilot.

– A gdzie pas startowy? – zapytała.

– To jest lądowisko. – Dave machnął dłonią, wskazując wąską nawierzchnię utwardzoną tłuczniem. Gina, która nie zrozumiała do końca, co Clay miał na myśli, mówiąc „lądowisko”, dostała gęsiej skórki.

– Nie bój się – pocieszył ją Dave. – Spokojnie wystarczy.

– Nie musisz lecieć – powiedział Clay, zaniepokojony jej reakcją na widok samolotu i lądowiska. – Sam rozejrzę się za soczewką.

– Nie – ucięła, przełamując strach. – Lecę z wami.

Dave sięgnął na przednie siedzenie i wyjął stamtąd dwa skórzane kaski i trochę sprzętu.

– Powiem wam – wręczył jeden kask Ginie, drugi Clayowi – że latałem nad Kiss River nie raz i nie dwa, ale nigdy nie widziałem tej soczewki. Zdarzało się dostrzec inne rzeczy, gruzy z latarni, cegły i takie tam. Soczewki – nie. Ale woda jest dzisiaj bardzo przejrzysta, więc spróbujemy.

– Weźmy ze sobą jakąś boję, na wypadek gdybyśmy naprawdę ją znaleźli – powiedział Clay, zapinając klamrę pod brodą.

– Mam już boję na pokładzie. – Dave spojrzał na Ginę. – Pomóc ci z tym?

– Dam sobie radę. – Drżącymi palcami dopięła pasek. – Ale nie będziesz robił żadnych pętli ani niczego takiego, prawda?

Czerwony samolotek sprawiał wrażenie, jakby był przeznaczony do akrobacji.

– Jeśli nie chcesz, to nie – odparł pilot.

- Nie chcę. Proszę cię.
- Dobrze, ale nad Kiss River wejść w mocny przechyl, żebyście mogli dobrze widzieć wodę.
- Co to znaczy? Że obrócisz samolot na bok?
- Tak. Ale spokojnie. Nic się nie stanie, nie zrobimy beczi.

Clay stanął przed Giną. W rękach trzymał dwie pary gogli. Podał Ginie jedną. Naciągnęła gumę na kask, a pod szybką zmieściły się jej ciemne okulary.

– I jeszcze na koniec... – Dave wręczył Ginie duże słuchawki z mikrofonem. – Porozumiewamy się przez ten interkom. – Pomógł jej założyć słuchawki na uszy i ustawił mikrofon blisko ust. Dopiero teraz pomyślała o tym, że w powietrzu trudno im będzie komunikować się ze sobą. W takim małym, otwartym samolocie musiał panować spory hałas.

Clay otworzył drzwiczki przedniej kabiny.

– Wsiądę pierwszy – powiedział. – Żebyś lepiej widziała brzeg oceanu, kiedy będziemy lecieć na północ.

– To Dave nie leci z przodu? – zapytała zdziwiona, nie ruszając się z miejsca.

Potrząsnął głową.

– Nie. My jesteśmy z przodu. – Wsiadł do środka i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wejść. Gina usadowiła się na wygodnym, musiała przyznać, skórzanym siedzeniu i zapięła pasy. W słuchawkach nagle rozległ się głośny szum, który po chwili urwał się, a gdy zabrzmiał ponownie, usłyszała głos Dave'a.

– Zapięci? Ruszamy?

Clay uniósł kciuk, a Gina zrobiła to samo.

Pilot podkołował na koniec pasa startowego. Śmigło zaczęło się obracać tuż przed nosem Giny, a w jej uszy uderzył ryk silnika. Nad głowami pasażerów krzyżowało się mnóstwo różnych listew i przewodów, które były z pewnością bardzo ważne dla samolotu, ale wyglądały jak okropna prowizorka, gdy cała konstrukcja wibrowała od obrotów silnika. Gina zacisnęła wilgotne dłonie i położyła je na kolanach, wciągając głęboko powietrze, choć oddech wiązał jej w gardle. Maszyna powoli ruszyła z miejsca. Teraz nie było już odwrotu.

Dave dodał mocy i samolot przyspieszył na pasie. Gina poczuła, jak jakaś siła wgniata ją w fotel. Płuca miała tak ściśnięte, że ledwie mogły pracować. Zacisnęła powieki, z wysiłkiem przełykając ślinę. Wiedziała dokładnie, kiedy oderwali się od ziemi, bo w tym momencie żołądek opadł jej do samych pięt.

– Gina, otwórz oczy – usłyszała w słuchawkach głos Claya.

Posłuchała, chociaż przyszło jej to z trudem, a gdy już to zrobiła, otoczył ją błękit, ze wszystkich stron, z góry i z dołu, bo Dave wziął już kurs na północne rejony Outer Banks. Ryk wiatru, pomimo słuchawek, ogłuszał, a przewody nad głową szarpały się z taką siłą, że w każdej chwili mogły się zerwać, była tego pewna. Przrzekła sobie, że choćby nawet przeżyła ten lot, już nigdy więcej nie wsiądzie do małego samolotu.

Clay pogładził ją po zaciśniętej kurczowo dłoni.

– Wszystko w porządku?! – zawołał do mikrofonu.

Skinęła głową. O tak, cudownie nauczyła się kłamać.

Clay wskazał palcem linię brzegową. Spojrzała w dół. W promieniach porannego słońca piasek jaśniał czystym złotem, a plażę obmywały fale o śnieżnobiałych grzywach. Jakie to piękne, pomyślała Gina. Spójrz tylko, jakie piękne.

I to była prawda. Nikt się nie odzywał, a im bardziej pochłaniało ją piękno krajobrazu roztaczającego się w dole, tym wyraźniej czuła, że się odpręży. Rozpoznawała miejsca, nad

którymi przelatywali. Najpierw dostrzegła małe wioski w Kitty Hawk i plaże usiane czarnymi punkcikami: byli to poszukiwacze muszli i rybacy. Potem mignęły płaskie dachy Southern Shores i ukazało się Duck, a dalej – podłużny szmat zieleni, rezerwat przyrody. Wreszcie w oddali błysnęła biała wieża na cyplu w Kiss River. Z tej wysokości widok ściętego, rozerwanego muru zrobił na niej równie wstrząsające wrażenie jak za pierwszym razem. Latarnia wyglądała nędznie, jak mała zepsuta zabawka, natomiast ocean rozciągał się dookoła, rozległy, potężny; Gina dopiero teraz zrozumiała, jak to możliwe, że cegły i zaprawa murarska – nie mówiąc już o znacznie bardziej kruchej soczewce – nie zdołały się oprzeć sile morskiego żywiołu.

– Uwaga, schodzę trochę niżej. – W powodzi szumów i trzasków zabrzmiał głos Dave’a, gdy samolot był już blisko latarni.

Ucieszyła się, bo tego właśnie chciała. Oderwawszy oczy od białej wieży, wpatrzyła się w fale. Ocean był spokojny, a woda wyjątkowo przejrzysta. Kiedy brodziła w tym samym miejscu, szukając soczewki, widoczność pod powierzchnią nie przekraczała długości ręki. Dzisiaj jednak woda miała niebieskozieloną barwę i była tak czysta, że można by policzyć fałdy piasku na dnie w pobliżu brzegu.

– Patrz! – Clay wyciągnął rękę. Szybko zrozumiała, co chciał pokazać. Dno oceanu było przekreślone długą prostą linią gruzu i innych szczątków. Wyglądało to tak, jakby wichry i woda urwały szczyt latarni i cisnęły go w fale, gubiąc po drodze różne odłamki. Samolot szybko minął rozwleczone gruzowisko i Gina musiała wykręcić głowę do tyłu, żeby coś widzieć.

– Zawracam – poinformował Dave. – Podejdę od drugiej strony.

Dwupłatowiec położył się gwałtownie na lewe skrzydło, ale Gina prawie tego nie zauważyła. Żałowała, że pilot nie zszedł jeszcze niżej.

– Spójrz! – nagle zawołał Clay.

Dave jeszcze raz mocno przechylił maszynę, tak że Gina mogła spojrzeć prosto w dół. Pod wodą znajdował się jakiś przedmiot, który odbijał promienie słońca i wyrzucał je w górę, gdzie przebijały powierzchnię tysiącem ostrych refleksów.

– To musi być to – powiedziała, chociaż dokładnego kształtu obiektu nie dało się dostrzec. Nie ulegało jednak wątpliwości, że coś tam jest. Coś błyszczało pod spokojną powierzchnią oceanu.

– Chyba masz rację – zgodził się z nią Dave, a Gina aż podskoczyła na fotelu, kiedy nagle wyrzucił z samolotu czerwoną boję na długim łańcuchu. Boja spadła niedaleko błyszczącego obiektu i szybko zostawili ją za sobą.

– Wracamy? – zapytał pilot przez interkom.

– Dobra! – zawołał Clay, a Gina uniosła kciuk wysoko do góry. Znalazłam moją soczewkę, pomyślała.

Rozdział dwudziesty ósmy

Clay czekał na Kenny'ego na parkingu przed domem latarnika, oparty o swojego jeepa. Było już po południu; umówili się o tej porze, aby zejść pod wodę i obejrzeć soczewkę z Kiss River – a przynajmniej spróbować. Sasza musiał zostać w domu, bo inaczej popłynąłby za nimi. Im dłużej Clay o tym myślał, tym bardziej wydawało mu się, że obiekt, który widzieli z samolotu, nie mógł być tym, czego szukała Gina. Wciąż jeszcze miał przed oczami, widziany z wysokości piętnastu metrów, duży, bezkształtny przedmiot wykonany w całości lub częściowo ze szkła, ewentualnie z innego materiału o właściwościach zakrzywiających bieg promieni świetlnych. Clay obiecał sobie, że dzisiaj znajdzie to, co zostało z tej ogromnej bryły karbowanego szkła, nawet jeśli to było na przykład okno latarny, a nie ta soczewka.

Uniósł wzrok i spojrzał w niebo barwy ołowiu. Gina gorąco mu dziękowała, kiedy obiecał, że zejść z Kennym pod wodę dopiero po południu, żeby zdążyła wrócić z pracy i zobaczyć to na własne oczy. Może to było miłe, ale też niezbyt mądre. Warunki do zejścia były rano, a teraz minęło już wpół do czwartej, chmury zawisły nisko nad Kiss River, a przejrzystość wody zrobiła się, oględnie mówiąc, marna.

Kiedy powiedział Ginie, że na nią poczekają, w pierwszej chwili wyglądała na zakłopotaną.

– Dlaczego tyle dla mnie robisz? – zapytała. – Załatwiłeś mi lot samolotem. Teraz będziesz nurkował i szukał. Dlaczego?

Odpowiedział, że dzięki niej sam się zaciekawiał, w jakim stanie może być soczewka z latarni, ale prawda przedstawiała się inaczej: po prostu dobrze było chociaż na chwilę oderwać się od własnych problemów. A szczerzy, radosny uśmiech Giny stanowił rzadki i wspinały widok. Dla tego uśmiechu Clay zrobiłby wszystko. Ponieważ nie mógł w żaden sposób pomóc w wydostaniu jej dziecka z sierocińca, pragnął, aby dostała od niego chociażby taką namiastkę szczęścia.

Przyjechał Kenny i zajęli się wyładowywaniem sprzętu do nurkowania, a potem przenieśli go na plażę. Na betonowych schodkach prowadzących do latarni czekały już Gina i Lacey.

– Dwie bardzo białe kobiety – mruknął Kenny do Claya.

Powiedział prawdę. Obie panie miały na sobie kostiumy kąpielowe – Clay rozpoznał, że oba należą do jego siostry – ale żadna z nich nie wyglądała na plażowniczkę, nawet niedzielną. Lacey, obdarzona jasną, piegowatą cerą, zawsze musiała chronić się przed słońcem, ale wygląd Giny mówił po prostu: nic mnie nie obchodzi, że moje nogi mają kolor odtłuszczonego mleka. Tak czy inaczej, nogi miała piękne, nie tak mocne jak Lacey, ale długie, szczupłe i bardzo, bardzo przyciągające wzrok. Ubrana była w czerwony kostium, którego Lacey nie nosiła już od lat, a konkretnie – odkąd usłyszała od swojej młodszej siostry, że ze swoimi rudymi włosami wygląda w nim jak wielka butelka keczupu. Dzisiaj wybrała zielony kostium, a włosy związała w długi koński ogon.

– Hej, dziewczyny – przywitał się Kenny, kiedy obaj stanęli u stóp latarni, gdzie kłębiła się

woda.

– Hej, chłopaki – odpowiedziała mu Lacey. – Nad oceanem robi się pochmurno. Będzie coś widać pod wodą?

Clay wszedł na schody, żeby nie stać w wodzie, i położył butlę i torbę ze sprzętem w otwartych drzwiach prowadzących do przedsionka.

– Zobaczy się – mruknął. – W każdym razie spróbujemy.

– Ledwo przyszedłem, a już mi gorąco... – Kenny też wszedł na schody i obrzucił Ginę i Lacey znaczącym spojrzeniem.

– To może stać sobie w cieniu – poradziła mu Gina, udając, że go nie rozumiała. Clay uśmiechnął się pod nosem, a ona odwróciła głowę w jego stronę, przyglądając się, jak otwiera torbę ze sprzętem.

– Wkładacie pianki? – zapytała. Clay i Kenny mieli na sobie kąpielówki i T-shirty.

Clay skinął głową, wyciągając z torby lekki piankowy skafander z krótkim rękawem, a potem, wciąż czując na sobie jej spojrzenie, wyjął swoją kamizelkę KRW, automat oddechowy i inne sprzęty. Uniósł głowę, zerknął na Ginę z ukosa. Czerwony kostium kąpielowy delikatnie opinał jej jasne, prawie białe piersi.

– Posmarowałyście się kremem z filtrem? – zapytał, przenosząc wzrok na swoją siostrę.

– Tak, tato – zameldowała posłusznie Lacey.

– Chętnie bym was obie posmarował – wtrącił Kenny. Obie panie jak na komendę przewróciły oczami. Clay zresztą też. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę chciał podsunąć Ginie takiego łosia.

– Czy to jest uprzęż? – zapytała, wskazując kamizelkę wypornościową leżącą obok otwartej torby Claya na najwyższym stopniu schodów.

– To jest tak zwana KRW, czyli kamizelka ratowniczo-wyrównawcza – wyjaśnił, demonstrując, jak się podpiną do niej butlę i podłącza automat oddechowy. Potem sięgnął do torby i wręczył Ginie swoją zapasową maskę, fajkę i płetwy. – To dla ciebie – powiedział. – Kenny ma drugi komplet dla Lacey.

Lacey roześmiała się, widząc zaskoczenie malujące się na twarzy Giny.

– I co ja mam z tym zrobić? – zapytała Gina, obracając w dłoniach sprzęt, który dał jej Clay.

– Będziemy patrzeć na nich z góry – oświeciła ją Lacey.

– O ile w ogóle coś będzie dzisiaj jeszcze widać. – Kenny podał jej swoje płetwy.

– Nie mam pojęcia, jak się tego używa. – Gina uniosła fajkę w palcach.

– Chodź, nauczę cię. – Lacey zeskoczyła ze schodów i wylądowała w wodzie po kolana. Jej związane w koński ogon włosy śmignęły w powietrzu. Wyglądała jak mała dziewczynka w ciele dorosłej kobiety.

Gina wciąż się wahała. Siedziała w miejscu, przyciskając maskę i płetwy do piersi.

– Idź – zachęcił ją Clay, zapinając piankę na sobie. – Nauczysz się, zobaczysz.

Wstała, zeszła po trzech schodkach i dołączyła do Lacey w płytkiej wodzie.

Clay tymczasem podłączył do KRW wąż z inflatorem, a następnie umocował z przodu kamizelki jasnożółty octopus, awaryjny zapas powietrza. Octopusa używa się w przypadkach, kiedy inny nurek ma kłopoty ze sprzętem i musi skorzystać z butli partnera, lecz Clay miał dzisiaj inny pomysł.

– Jeśli znajdziemy soczewkę – odezwał się do Kenny'ego – Gina powinna ją zobaczyć. Niech zejdzie z nami na dół.

Kenny, który też składał swój sprzęt, uniósł wzrok.

– Ona nigdy nawet nie snurkowała⁶ – zauważył.

– Wiem, ale bardzo chce zobaczyć tę soczewkę. A to może być dla niej jedyna szansa.

Kenny po chwili namysłu wreszcie skinął głową.

– Dobra, ale to ja z nią popłynę.

Clay, choć niechętnie, ale się zgodził. Wiedział, że Kenny’emu nie chodzi o to, żeby zbliżyć się do Giny na odległość węża od butli, lecz o to, że z bardziej doświadczonym nurkiem lepiej sobie poradzi.

Stanął u podnóża latarni i nałożył płetwy. Kiedy się wyprostował, kumpel pomógł mu włożyć kamizelkę z przypiętą butlą. Zapiął ją już sam.

– Gdzie jest boja? – zapytał Kenny, rozglądając się po falach.

– Trochę na północ – wyjaśnił Clay. Sam też się rozglądał, ale z tego miejsca nie było jej widać. Kiedy jednak wchodzili już tyłem do wody, obejrzał się przez ramię i dostrzegł ją. – Tam, daleko. – Wskazał palcem. – Ze sto metrów od brzegu.

– Kurna... – Kenny pokręcił głową. – Nie chce się wierzyć, że huragan zatargał ją aż tam.

– Plaża miała wtedy zupełnie inny kształt – zauważył Clay, unosząc się na gładkiej fali i po chwili stawiając nogi z powrotem na piasku. – A jeśli rozbił soczewkę na kawałki, jak podejrzewam, fale łatwiej mogą ją przesuwać.

Za falochronem położyli się na plecach i podpłynęli tyłem do pań, które stały po pachy w wodzie, z fajkami do nurkowania w zębach.

– Jak ci idzie? – zagadnął Clay Ginę, kiedy znaleźli się obok siebie.

Wypluła ustnik, a jej twarz załśniła dumą.

– Fajna sprawa. – Uśmiechnęła się, chociaż maska kryła oczy.

– Dałabyś sobie radę na głębokiej wodzie? – Opuścił nogi i wyprostował się.

– Umiem pływać. A o jaką głębokość chodzi?

– Widzisz naszą boję? – Wskazał ją jeszcze raz, a Gina obejrzała się w tamtym kierunku. – W takiej odległości od brzegu będzie jakieś sześć metrów.

– Mniej więcej – wtrącił Kenny.

– Oj. – Uśmiech Giny, choć wciąż uroczy, był już nieco spłoszony.

– Lace, przyniesiesz dla niej kamizelkę ratunkową? – poprosił Clay. – Są w moim jeepie, w bagażniku.

– Dobry pomysł. – Lacey poczekała na nadchodzącą falę i skoczyła na nią, dając się ponieść w stronę brzegu.

– W kamizelce nie będziesz mogła się zanurzyć – wyjaśnił Clay Ginie. – Ale poczujesz się znacznie pewniej na wodzie.

– Rzadko pływam w oceanie – przyznała, a potem parsknęła śmiechem. – A właściwie to nigdy. Pierwszy raz wtedy, kiedy szukałam tutaj soczewki. Ale wtedy nie było żadnych fal.

– I to mi właśnie nie daje spokoju, odkąd nam o tym powiedziałaś – odparł, czując się trochę jak ojciec udzielający córce dobrych rad. – Proszę cię, niech to będzie ostatni raz. Chodzi mi o to, żebyś już więcej nie pływała sama. To jest niebezpieczne, rozumiesz?

– W porządku. – Skinęła głową, po czym znów obejrzała się na boję w oddali. – A co z rekinami?

Chętnie by ją zapewnił, że na tej szerokości geograficznej nigdy się ich nie spotyka, ale ostatnio widziano je tutaj kilka razy, a nie dalej jak zeszłego lata rekin zabił człowieka.

– Bardzo mało prawdopodobne – powiedział w końcu.

– Chyba że spotkamy tawrosza – dodał Kenny. – Ale one są niegroźne.

Lacey wróciła z kamizelką i pomogła Ginie ją nałożyć.

– Ruszamy – zakomenderował Clay. – Bawcie się dobrze.

Zanurzyli się i popłynęli w kierunku boi. Widoczność była jeszcze gorsza, niż się spodziewał, najwyżej dwa metry. Starał się przypomnieć sobie, w jakiej odległości od błyszczącego obiektu Dave zrzucił boję. Odtwarzał w pamięci lot, ale zanim zdążył skończyć, wyrosła przed nim prosta ściana wodorostów i glonów. Gdy przesunął po niej dłonią, poczuł pod palcami karbowane szkło.

Po chwili Kenny zrównał się z nim i Clay dostrzegł w przesłoniętych maską oczach kumpla błysk ekscytacji. Włączyli latarki nurkowe i cofnęli się o metr albo dwa, żeby się dobrze przyjrzeć. Była ogromna, wyglądali przy niej jak karzełki. Nie wiedzieć czemu, chociaż dobrze znał jej rozmiar i wagę, Clay nie spodziewał się aż takiego kolosa.

Soczewka leżała zagrzebana w piasku, głęboko, na około półtora metra, i tak się ustawiła, że mosiężne spoiwa przecinały szklane pryzmaty pod kątem. Clay opłynął ją dookoła, badając dotykiem i odgarniając wodorosty; przestawał, dopiero gdy pod palcami czuć było gładkie szkło. Jednego fragmentu brakowało, ale mgliście kojarzył, że chyba od dawna. Otwór był na tyle duży, że zmieścił się w nim i wpłynął do środka, gdzie natychmiast otoczyło go stado czarno-srebrnych szpadelków karaibskich. Na ile mógł ocenić, poza brakującym fragmentem soczewka, o dziwo, była nieuszkodzona. Wyobraził sobie, jak wściekłe fale zrywają ją z latarni i toczą niczym olbrzymią piłkę plażową, aby wreszcie porzucić tutaj, na piaszczystym dnie.

W jego polu widzenia pojawił się Kenny. Miał przy oku aparat do robienia zdjęć pod wodą i pstrykał fotki. Przynajmniej będzie co pokazać Ginie.

Gina. Clay dał kumpłowi znak, że się wynurza, po czym napełnił kamizelkę wypornościową i uniósł się ku powierzchni. Kenny szybko dołączył do niego. W pobliżu boi dostrzegli Lacey i Ginę, unoszące się na wodzie.

– Jest tutaj! – zawołał Clay. Podpłynęły do niego.

– Znalazłeś ją? – zapytała Gina.

– I to, o ile byłem w stanie ocenić, w jednym kawałku. – Przytaknął. – Jest częściowo zagrzebana w piasku.

– Jednego fragmentu brakuje, zgadza się?

– Tylko jednego. Chcesz ją zobaczyć?

– W jaki sposób?

– Kenny zabierze cię na dół. – Clay obejrzał się na siostrę. – A ty, Lace, możesz popłynąć ze mną, jeśli masz ochotę.

Lacey nurkowała już kiedyś, ale nigdy nie pokochała tego tak bardzo jak jej brat, więc potrząsnęła tylko głową.

– Zostanę tutaj z kamizelką Giny – odparła.

– A jak będę oddychać? – zaniepokoiła się Gina.

Kenny odpiął swojego octopusa od kamizelki KRW i pokazał jej regulator.

– To jest podłączone do mojej butli – wyjaśnił.

Gina przygryzła wargę. Clay widział, że walczy ze sobą.

– Chciałabym – powiedziała wreszcie. – Ale się boję, że wpadnę w panikę.

– Nie wpadniesz. – Kenny podpłynął do niej. – Trzymaj mnie pod rękę, a jeśli zaczniesz się chociaż trochę bać, to po prostu ściśniesz i zabiorę cię z powrotem na górę, w porządku? To nie jest wcale aż tak głęboko.

– No dobrze. – Zdjęła kamizelkę ratunkową i oddała ją Lacey. Zęby jej dzwoniły, ale Clayowi wydawało się, że to bardziej z nerwów niż z zimna. Postanowił pilnować, żeby nie przebywała pod wodą zbyt długo, choćby nawet bardzo jej się podobało.

Kenny poinstruował Ginę, jak używać octopusa: wzięła ustnik w zęby i przez minutę albo dwie trenowała, trzymając go kurczowo za przegub. Gdy poczuła się gotowa, skinęła głową i chwilę później cała trójka zanurzyła się pod wodę.

Poszło jej bardzo dobrze. Kiedy dotarli do soczewki, puściła Kenny'ego, aby zbadać szkło obiema rękami, ale on nie zamierzał pozwalać na takie wybryki i po chwili Clay z ulgą zobaczył, że bierze Ginę za rękę i zaciska jej dłoń z powrotem na swoim przegubie. Kilka minut później wrócili na powierzchnię. Co ciekawe, to Kenny, a nie Gina, dał hasło do wynurzenia; Clay miał wrażenie, że gdyby tylko mogła, to zostałyby tam na zawsze.

Gina była zachwycona.

– No i jak było? – zapytała Lacey, która czekała na nich, pływając sobie w pobliżu w kamizelce, którą zostawili.

– Cudownie, Lacey! – zawołała Gina, gdy pozbyła się ustnika od octopusa. – Teraz jeszcze bardziej mi zależy na wydobyciu tej soczewki. Jest cała, nienaruszona! Nie może tam tak leżeć i gnić!

– Nie zgnije – wtrącił się Kenny. – Jest ze szkła.

– Wiesz, o co mi chodzi – odparła Gina. – To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

Jej kruczoczarne lśniąco włosy falowały wraz z wodą przelewającą się ponad ramionami. W promieniach słońca jej czoło i policzki były różowe, a na twarzy jaśniał szeroki uśmiech.

Może i najpiękniejsza, pomyślał Clay, ale ta, która chce ją wydobyć, jest dalece piękniejsza.

6 Snurkować – tak polskojęzyczni miłośnicy sportów nurkowych mówią na nurkowanie z fajką (ang. snorkelling).

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Sobota, 18 kwietnia 1942

Zaniosłam dzisiaj chłopcom ze Straży Wybrzeża trochę smakołyków. Sandy był na posterunku i puścił do mnie oko, gdy rozdawałam krówki, które zrobiłam rano, ale wiedziałam, że nie będzie ze mną rozmawiał przy wszystkich. Pogawędziłam przez chwilę z Teddym Pearsonem i Ralphem Salmonem. Głównie o Bostonie. Im się zdaje, że ja nic nie wiem, bo nigdy nie mieszkałam w dużym mieście. Jimmy Brown jak zwykle się do mnie nie odzywał, ale teraz już mam to w nosie. Poczęstował się jednak moją krówką i podziękował mi.

Kiedy zbierałam się do domu, komendant Hewitt wyszedł za mną na zewnątrz. Zapytał, jak się czuję po tej strasznej nocy, kiedy przyjeśliśmy pod nasz dach niemieckich szpiegów, ale wiedziałam, że chodzi mu po głowie coś zupełnie innego. I w końcu powiedział, prawie szeptem i oglądając się przez ramię, czy na pewno nikt go nie słyszy, że ma do mnie bardzo ważną sprawę. Umówiliśmy się, że za godzinę mam czekać na Pole Road, w miejscu, gdzie zaczyna się już Kiss River, a on przyjedzie swoim jeepem. Gdyby ktoś tam był, to minie mnie bez zatrzymywania, a ja mam czekać, aż wróci, bo wolno mi wsiąść tylko wtedy, kiedy w pobliżu będzie zupełnie pusto. Nikt nie może wiedzieć o tym spotkaniu.

Słuchałam i nie mogłam wykrztusić ani słowa, kiwałam głową i zastanawiałam się, czy on też wie, że spotykam się z Sandym, tak jak Dennis Kittering. Jeśli tak, po uszy wpadłam w kłopoty, ale dla Sandy'ego skończy się to jeszcze gorzej. Wróciłam do domu, ale nie zajrzałam nawet do środka, tylko od razu wyszłam na drogę. Nie chciałam tłumaczyć się rodzicom, dokąd idę.

No cóż, jednak chyba komendant Hewitt nie ma o nas zielonego pojęcia. W każdym razie nie o to mu chodziło. Zabrał mnie do auta na Pole Road, gdzie na szczęście nie było żywego ducha, i pojechaliśmy na północ, w kierunku Corolli. Mam do niego całkowite zaufanie, więc nie bałam się zostać z nim sama. Chciałam tylko, żeby już mi wyjaśnił, co to za sprawa, bo gryzłam się niemożebnie. Ale on prowadził w milczeniu i patrzył przez szybę, jakby bał się, że ktoś zobaczy nas razem. Postanowiłam, że lepiej też nie będę się odzywać. Przypominam, wtedy jeszcze nie wiedziałam, o co mu chodzi, czy jest na mnie zły, że widuję się z Sandym, czy co. Zresztą i tak bym nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Dojechaliśmy aż na sam koniec Pole Road, prawie do Poyner's Hill. Komendant Hewitt skręcił w wąską, wyboistą drogę biegnącą w las. Z drogi trudno byłoby komuś zobaczyć jego jeepa. Serce uderzyło mi wtedy mocniej i zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem jednak nie ma złych zamiarów. Albo przynajmniej nie objedzie mnie na perłowo. Ale on odwrócił się do mnie z uśmiechem.

– Pewnie chciałabyś wiedzieć, po co przywiozłem cię aż tutaj – zaczął.

Przytaknęłam, czekając, aż powie coś o Sandym.

– To jest wyjątkowo poważna sprawa – mówił dalej. – I musisz mi obiecać, że zachowasz

dyskrecję. Absolutną tajemnicę – dodał, jakby się bał, że nie wiem, co to znaczy dyskrecja.

Trochę zbiło mnie to z tropu, ale nabrałam przekonania, że nie chodzi o to, że spotykam się z Sandym, więc byłam już odrobinę spokojniejsza.

– Słówkiem nie pisnę. – Położyłam rękę na sercu i zrobiło mi się głupio. Tylko małe dziewczynki tak robią.

– Niemiec, którego poturbował dzik, nie umarł od razu – powiedział komendant.

– Wiem o tym – przytaknęłam ponownie.

– I myślisz, że aż do samej śmierci był nieprzytomny, prawda?

– A nie był? – Tak wszyscy mówili: uderzył się o kamień i już się nie ocknął.

Komendant Hewitt pokręcił głową.

– Nie, ale ludzie muszą myśleć, że tak było. To ważne. W porządku?

Dlaczego, niech ktoś mi powie, szef Straży Wybrzeża mówił mi rzeczy, o których nikt nie mógł wiedzieć?????

– Czy to znaczy, że przed śmiercią był w stanie mówić? – zapytałam. – Że mogliście go przesłuchać?

Komendant potwierdził.

– Funkcjonariusze go przesłuchali. Wie o tym zaledwie kilka osób. W całym regionie Outer Banks tylko ja znam prawdę. A teraz ty też ją poznałaś.

Oczy wyszły mi na wierzch.

– Dlaczego ja? – zapytałam.

– Za chwilę wszystko zrozumiesz. Ale najpierw muszę ci uprzytomnić, jakie to ważne, żebyś nikomu nic nie powiedziała.

– Panie komendancie – odparłam. – Potrafię dochować tajemnicy.

– W porządku. – Obejrzał się, wyglądając przez tylne okno jeepa, a mnie znów obleciał strach.

– W porządku – powtórzył. – Ten Niemiec zeznał, że załogi U-Bootów otrzymują tajne informacje ze stałego łądu, podobno od kogoś, kto przebywa w tej okolicy.

– Jakie tajne informacje? – Wiedziałam, że wszyscy mają mieć oczy otwarte, bo szpiedzy są wśród nas, ale Dennis mówił, że w zasadzie Niemcy, aby atakować statki handlowe, nie muszą się niczego o nich dowiadywać. Nie muszą wiedzieć, co przewożą ani gdzie ich szukać, nic z tych rzeczy, bo na oceanie jest ich pod dostatkiem, wystawionych na cel, tylko brać i wybierać.

– Tego nie wiemy – przyznał komendant Hewitt. – Zapewne Niemcy wyślą na łąd ludzi, którzy przeprowadzą akcje sabotażu naszych elektrowni, sieci kolejowej i tak dalej. Być może dadzą im fałszywe dokumenty i pieniądze.

– Nikt z tutejszych nigdy by czegoś takiego nie zrobił. – Byłam wstrząśnięta.

– Cóż, obawiam się, że ktoś jednak się skusił. Tamten niemiecki marynarz umarł i nie zdążyli z niego wyciągnąć niczego więcej. Powiedział tylko, że nazajutrz po zejściu na łąd mieli się spotkać z informatorem. Do tego oczywiście nie doszło. Przy płynęli do Kiss River, więc naszym zdaniem można założyć, że ten człowiek – mężczyzna, a może nawet kobieta – przebywa właśnie w tej okolicy.

Zmarszczyłam brwi, wyliczając w myśli wszystkich mieszkańców Kiss River i okolic.

– Nie mieści mi się to w głowie – powiedziałam.

– Wiem. Martwi mnie jedna rzecz: ten człowiek musi być na jakimś stanowisku, aby mógł wydać Niemcom oficjalne pozwolenie na zejście na łąd. To może być... – Komendant zaciął się, jakby coś takiego nie mogło mu przejść przez gardło, trudno zresztą się dziwić. – To może być któryś z moich ludzi.

– Ze Straży Wybrzeża? – powtórzyłam, bo zabrzmiało jak czysty obłęd. Znam przecież tylu wodołazów i wiem, że każdy z nich to patriota z poświęceniem broniący naszego wybrzeża. Ależ zły byłby Sandy, gdyby choć na chwilę dopuścił do siebie myśl, że któryś z jego kolegów zrobił coś takiego. Do tej pory wciąż chodzi mi to po głowie.

– Straszne, prawda? – zapytał komendant Hewitt. – Ale cóż, musimy stawić czoło faktom. Pomożesz mi?

– Jak? – zapytałam, wciąż mając w głowie mętlik.

– Przyjaźnisz się z załogą naszego posterunku. Wszyscy chłopcy cię lubią. A większość buja się w tobie. Kiedy do nas przychodzisz, cieszą się jak dzieci. Żadnemu nawet by przez myśl nie przeszło, że możesz być ze mną w zмовie. Masz dopiero piętnaście lat, jesteś dziewczyną, ale diabelnie bystrą.

Komendant Hewitt umilkł na chwilę, wpatrując się w dal.

– Posłuchaj, Bess, wiem, że to wielkie poświęcenie. Długo nad tym myślałem. Rozmawiałem o tobie z funkcjonariuszem, który przesłuchiwał tamtego Niemca. Powiedział, że oni nigdy by nie poprosili dziecka, aby podjęło się tak niebezpiecznego zadania. Tak więc nie wiedzą, że zwróciłem się z tym do ciebie, i możesz odmówić, Bess. Wystarczy, że powiesz „nie”, a już nigdy o tym nie wspomnę. Ale ten plan jest świetny właśnie dlatego, że masz piętnaście lat i jesteś dziewczyną. Jeśli się zgodzisz, będziesz musiała zachować ostrożność. Nikt, absolutnie nikt nie może wiedzieć, co robisz.

Trudno opisać, jak się wtedy poczułam. Najlepiej chyba pasuje słowo „zaszczycona”. Komendant Hewitt okazał mi zaufanie, o jakim nie śmiałabym nawet marzyć. W całych Outer Banks jedynie my dwoje mieliśmy wiedzieć, co się święci. No i tamten winowajca. Na pewno się nie okaże, że to ktoś ze Straży Wybrzeża. Ale kto? Nie mam pojęcia.

– Pomogę – obiecałam. – Co mam zrobić?

– Po staremu przynosząc chłopcom smakołyki. Może nawet trochę częściej. Od czasu do czasu zajrzyj przy jakiejś sposobności na posterunek, zamień słówko z chłopakami. Spróbuj się dowiedzieć – ale pamiętaj, bądź bardzo ostrożna – czy któryś z nich nie ma rodziny w Niemczech albo czy nagle któryś nie zaczął się chwalić, że jest przy forsie.

– Dlaczego ktoś miałby nagle być przy forsie? – zapytałam.

– Bo Niemcy najprawdopodobniej płacą swojemu agentowi za pomoc.

Oczywiście. Głupio mi się zrobiło.

– Nikomu nie możesz powiedzieć, co robisz – powtórzył komendant, chyba na wypadek, gdyby to do mnie jeszcze nie dotarło. – Nawet rodzicom. Wybacz, że stawiam cię w takim położeniu.

Zapewniłam, że to mi nie przeszkadza. Na naszej plaży widziałam na własne oczy śmierć i zniszczenie. Postanowiłam, że dam z siebie wszystko, aby odkryć, kto pomaga Niemcom.

Chciałam zapytać komendanta, czy mogę powiedzieć Sandy’emu o moim zadaniu. Po pierwsze, on mógłby mi pomóc. Znał dobrze ludzi z posterunku i chybaby wiedział, gdyby któryś z nich przejawiał sympatię dla Niemców. Ponadto bałam się, że jeśli nagle zacznę się nadmiernie interesować innymi chłopcami, Sandy pomyśli, że z nimi flirtuję. Powstrzymałam się jednak w samą porę, bo gdybym zapytała, czy mogę powiedzieć Sandy’emu, komendant Hewitt z całą pewnością domyśliłby się, co nas łączy.

– Nikomu nie może nawet przejść przez głowę, że rozmawiam z tobą o takich sprawach – powiedział. – Musimy wymyślić tajny kanał komunikacji, żeby zachować wszystko w tajemnicy. Inaczej moi ludzie zaczną się przy tobie pilnować i uważać na to, co mówią.

Zastanawiałam się przez chwilę, aż wreszcie przypomniałam sobie, że kiedy kuzynka Toria mieszkała jeszcze w pobliżu Kiss River, miałyśmy swój własny sposób porozumiewania się. Wyciągnęłam z kieszeni klucz do latarni i wręczyłam go komendantowi.

– Zrobimy tak – zaproponowałam. – Raz w tygodniu albo częściej, jeśli pan uważa, zostawię kartkę w laternie, czyli w tym pomieszczeniu na szczycie latarni. Napiszę tam o wszystkim, czego zdołam się dowiedzieć.

Przyjrzał się kluczowi i zmarszczył brwi.

– Kiedy będę wchodził na górę, ktoś mnie zauważy. A twoi rodzice na pewno tam zaglądną. Mogą znaleźć kartkę.

Miałyśmy na to z Torią swój sposób.

– Zgniotę ją i zatknę za mosiężne spoiwo u podstawy soczewki, po tej stronie, gdzie stoi mój dom. Pan zjawi się jeszcze tego samego dnia, po zmroku, wejdzie na górę i zabierze kartkę, a jeśli będzie trzeba mnie o czymś zawiadomić, zostawi pan dla mnie swoją w tym samym miejscu. Umowa stoi?

Komendant Hewitt zmrużył oczy w zamyśleniu.

– Jesteś pewna, że twoi rodzice nie znajdą kartki przypadkiem?

Potrząsnęłam głową.

– Musi pan tylko zabrać kartkę od razu, tego samego dnia, a ja muszę z samego rana pójść na górę i sprawdzić, czy pan nie zostawił czegoś dla mnie.

– A twoi rodzice nie nabiorą podejrzeń, kiedy będziesz tak biegać do latarni z rana, jeszcze przed szkołą?

– Nie sądzę. Postaram się, żeby nie zauważyli, ale nawet jeśli mnie zobaczą, nie ma w tym nic aż tak dziwnego.

– Raz w tygodniu to za mało – zdecydował komendant Hewitt. – Co najmniej dwa razy. Może wtorek i piątek? Dasz radę?

Przytaknęłam.

– Tylko proszę obiecać, że wieczorem przyjdzie pan po tę kartkę. Bo jeśli jej pan nie zabierze i mama albo tato ją znajdą, będę musiała im wszystko powiedzieć.

– Nie! – W jego oczach błysnął gniew. – W żadnym wypadku. Wymyśl coś, żeby zachować naszą sprawę w tajemnicy. Twoi rodzice nie mogą o niczym wiedzieć. – Pokręcił głową. – Zabiliby mnie, gdyby się dowiedzieli, że cię w to wciągnąłem.

– No dobrze, więc proszę odbierać te wiadomości o ustalonej porze. – Nagle poczułam się tak, jakbym to ja wydawała tutaj rozkazy.

No więc teraz pracuję dla FBI, w pewnym sensie, oczywiście! To największa i najważniejsza rzecz, jaką zrobiłam w całym moim życiu, a nie mogę nikomu pisać o tym ani słowa. Trudno będzie zataić to przed Sandym, ale muszę milczeć jak grób, i tak też się stanie.

Rozdział trzydziesty

Alec obudził się dziesięć minut przed północą. Otworzył oczy. Za oknami, ciągnącymi się szeregami wzdłuż całej ściany sypialni, na wodach zatoki lśnił podłużny trójkąt księżycowego blasku, tak jasny, że nie było żadnych wątpliwości, co nie pozwala spać człowiekowi. Noc po pochmurnym dniu była piękna, półokrągły księżyc wisiał na ciemnym niebie, otoczony gwiazdami. Alec uśmiechnął się do siebie; błysnął mu w głowie pewien pomysł.

Obróciwszy się na drugi bok, delikatnie potrząsnął żonę za ramię.

– Olivia...

– Hmm...? – Powoli otworzyła oczy. – Coś się stało?

– Nie, nic – uspokoił ją. – Ale noc jest piękna. Obudzę dzieciaki i pojedziemy do Jockey's Ridge.

– Co? – zaśmiała się, unosząc na łokciu, żeby przyjrzeć mu się lepiej.

– Kiedy Lacey i Clay byli jeszcze mali, często tak robiliśmy – wyjaśnił, czując niespodziewaną nostalgię za przeszłością. – Niech to będzie taka mała przygoda.

Olivia zerknęła na zegarek przy łóżku.

– Już prawie północ.

– Jest sobota – przypomniał. – Pośpij sobie rano. – Znów wyjrzał przez okno. – Zobacz, jakie czyste niebo.

Olivia pomasaowała twarz dłońmi, jakby chciała otrzeć oczy ze snu.

– Jack nie wstanie, nie dasz rady go dobudzić – powiedziała.

Jack miał głęboki sen i potrafił spać nawet podczas burzy z piorunami, kiedy nikt w domu nie był w stanie zmrużyć oka.

– Zakład, że dam radę? – zapytał Alec.

– Poza tym Jockey's Ridge zamykają na noc.

– I co z tego?

Olivia uśmiechnęła się.

– Jesteś złym człowiekiem. Chcesz uczyć nasze dzieci, jak omija się przepisy.

– A ty chcesz być zła na nas czy z nami?

Nie wahała się długo.

– Z wami – oznajmiła, odrzucając kołdrę. – Lepiej, żebym tam była. Ktoś musi zabrać dzieci do domu, kiedy ciebie aresztują.

– Świetnie! – Alec wyskoczył z łóżka i ruszył do szafy. – Ja zajmę się Jackiem, a ty idź po Maggie. – Ubrał się szybko i poszedł budzić syna.

Kiedy Jack wreszcie otworzył oczy, był półprzytomny i marudny. Alec potrząsał go za ramię, ale gdy zobaczył, jaką udrękę sprawia synowi, poczuł wyrzuty sumienia, że go budzi.

– Tato, ja nie chcę wstawać... – marudził chłopiec i leciał przez ręce, kiedy Alec sadzał go na posłaniu. Rano, gdy budziło się go do szkoły, to też była jedyna skuteczna metoda: posadzić i nie

pozwoić się położyć. Gdy się kładł, natychmiast zasypiał z powrotem.

– Zobaczysz, będziesz zadowolony, że wstałeś – obiecywał mu Alec. – Kiedy Lacey i Clay byli w twoim wieku, robiliśmy tak bardzo często. Nie lubili wstawać w nocy, tak samo jak ty, ale zapytaj ich tylko, a na pewno powiedzą, że było warto.

Jack uwiesił się na ojcu jeszcze mocniej.

– No chodź – powiedział Alec. – Wziąć cię na ręce?

Chłopiec pokiwał głową, nie otwierając nawet oczu. Alec parsknął śmiechem. Był już o wiele za duży, żeby go nosić.

Przytrzymując syna jedną dłonią za ramię, drugą sięgnął do lampki na nocnym stoliku i pstryknął przełącznikiem. Jack skrzywił się, bo światło go raziło, ale zabieg podziałał.

– No dobrze – ziewnął, zsuwając się z łóżka. – Wstałem.

– Możesz zostać w piżamie. – Alec wiedział, że Olivia nie będzie zachwycona, ale spieszyło mu się, żeby ruszyć w drogę.

Kiedy weszli do kuchni, Olivia chowała właśnie do rattanowej torby plażowej spray na owady. Mądrze, pomyślał, wiedząc, że sam na pewno by o tym zapomniał. Maggie, ubrana w szorty i bluzeczkę wiążaną na szyi, podbiegła do Aleca i objęła go w pasie.

– Tatusz ma najlepsze pomysły na świecie! – Uniosła główkę i spojrzała na niego z czystym uwielbieniem.

– Cieszę się, że tak myślisz, kochanie – powiedział. Maggie wdała się w niego, była szczuplutka i miała tyle energii, że aż nie wiedziała, co z nią zrobić. Jack bardziej przypominał swojego biologicznego ojca, Paula Macellego: bystry, o żywym intelekcie i poetyckiej duszy.

– Nieubrany – zauważyła Olivia, mierząc krytycznym wzrokiem piżamę syna.

– Ale przynajmniej nie śpi – zripostował Alec.

Ustąpiła.

– Co racja, to racja. – Uśmiechnęła się, a dla niego to był znak, że na tę noc żona przekazuje mu dowodzenie.

Przeszli do garażu i wsiedli do rodzinnego vana – bose dzieci z tyłu, zapinając pasy, Alec za kierownicą, a Olivia obok niego. Wyjechał tyłem na podjazd, a potem w krótką ulicę, z której zaraz skręcił w prawo, na szosę numer dwanaście.

– Jeździłeś tam z Clayem i Lacey? – zapytał Jack.

– Mhm – przytaknął Alec. Oprócz nich na drodze nie było żadnych innych aut. To poczucie odosobnienia dawało mu dużą przyjemność.

– Pojedźmy po nich – zaproponował chłopiec. – Weźmy ich ze sobą.

– Tak! – zawtórowała mu Maggie. Oboje uwielbiali swoje starsze rodzeństwo.

– Kiss River jest w drugą stronę – powiedział Alec, chociaż spodobał mu się ten pomysł. Był pewien, że Lacey da się namówić, co do Claya miał jednak wątpliwości, czy będzie mu się chciało wstawać w środku nocy. Po śmierci Terri stracił radość życia, nic zresztą dziwnego. Trudno mu było funkcjonować nawet za dnia, a co dopiero w nocy.

– W sumie możemy po nich pojechać – odezwała się Olivia. – Jak szaleć, to na całego.

Alec wyszczerzył zęby, ciesząc się, że dostał pozwolenie, i zawrócił na najbliższym parking, aby ruszyć w stronę Kiss River tą samą szosą numer dwanaście. Kilka kilometrów dalej zauważył w lusterku, że Jack oparł głowę o szybę, a oczy mu się kleją.

– Już prawie jesteśmy w Kiss River, Jack – rzucił przez ramię, a malec, ku jego zdziwieniu, natychmiast otworzył oczy i usiadł prosto.

Dojechawszy do nieoznaczonej drogi prowadzącej do latarni, Alec skręcił w wąski czarny

tunel, którego ścianami były pnie, a sufitem – gałęzie drzew. Nawet blask księżyca nie rozpraszał zalegającej tutaj ciemności.

– Kiedy tędy jedziemy, zawsze mi się wydaje, że znajdziemy tutaj jakieś zwłoki – odezwał się Jack. – Strasznie tu.

– Albo spotkamy czarownicę – dodała Maggie.

– Nie ma żadnych czarownic – poinformował chłopiec siostrę lekceważącym tonem.

– Żadnych zwłok też nie ma – odgryzła mu się z całą niewinnością dziecka nadopiekuńczych rodziców.

Prawdę mówiąc, Alec też nie przepadał za tą drogą, bynajmniej nie dlatego, żeby bał się zwłok czy też czarownic; budziła w nim wspomnienia. Kiedy się tutaj pojawiał, dręczył go bolesny niepokój.

Podał Olivii własny klucz do kłódki, a ona wysiadła, żeby otworzyć. W świetle samochodowych reflektorów wyglądała uroczo, bardziej przypominała nastolatkę niż czterdziestodwuletnią panią doktor. Nieuczesane włosy opadały jej prawie do samych ramion. Kłódka z początku nie dawała się otworzyć; Olivia uniosła głowę i zmarszczyła nos, spoglądając w stronę, gdzie siedział jej mąż. Kiedy wreszcie wróciła do auta, Alec ruszył zwirową drogą. Samochód podskakiwał na wybojach i korzeniach, które po ciemku trudno było omijać.

– Ktoś jeszcze nie śpi – zauważyła Olivia, gdy wjechali na parking.

Ponad zaroślami otaczającymi parking widać było, że w jednym z okien na piętrze domu latarnika pali się światło. Na widok witraża wypełniającego górną część okna Alec poczuł, że coś chwyta go za gardło. Właściwie powinien już dawno przywyknąć do witraży Lacey, a mimo to wciąż reagował instynktownie: zdziwieniem zmieszanym ze smutkiem.

– U Lacey pali się światło? – zapytała Maggie.

– Nie, to chyba pokój, który wynajmuje pani Gina – odpowiedział córce Alec. Kompletnie wyleciało mu z głowy, że jego dzieci mają gości.

– A kto to jest Gina? – zainteresował się Jack.

– To jest taka pani, która przez jakiś czas mieszka u Lacey i Claya i płaci im za pokój – wyjaśnił, po czym odpiął pas bezpieczeństwa. – Pójdę po nich. Zaraz wrócę.

Przebiegł parking i wszedł na rozległe, piaszczyste podwórko. Księżyc lśnił tak mocno, że na białym piasku długi i chudy cień jego sylwetki odcinał się ostrym konturem. Alec nie chciał pukać do drzwi wejściowych, bo najprawdopodobniej otworzyłaby mu Gina, chyba jedyna, która jeszcze nie spała. Zamiast więc pukać, znalazł w piasku przed domem kilka muszelek i rzucił nimi delikatnie w moskitierę w oknie Claya.

– Clay! – zawołał szeptem.

Chwilę później za siatką zamajaczyła twarz jego syna.

– Tata? – zdziwił się. – Co się stało?

– Zabieram Jacka i Maggie do Jockey's Ridge – wyjaśnił Alec. – A oni chcą, żebyście pojechali z nami.

– Wariaci! – parsknął śmiechem Clay.

– No, nie daj się prosić. Odeśpisz rano.

Clay zastanawiał się przez chwilę.

– A możemy zabrać Ginę? – zapytał.

– Oczywiście – zgodził się Alec, chociaż bez entuzjazmu, bo chciał, żeby to była rodzinna wycieczka. Rozumiał jednak, że niegrzecznie byłoby zostawić Ginę samą w domu, zwłaszcza że

jeszcze nie śpi. Miał z nią problem, bo wciąż jej nie ufał.

Wrócił do samochodu. Zanim dotarł na parking, we wszystkich oknach na piętrze rozbłysło światło, a stary dom zajaśniał niczym katedra. Po kilku minutach zjawiała się cała trójka jego mieszkańców, a Jack i Maggie wysiedli, aby wpuścić ich na tylne siedzenie. Kiedy zajmowali miejsca, Alec usłyszał, jak Lacey szepcze do Giny: „Mówiłam ci, że mój ojciec to nie jest zwyczajny człowiek”.

Nie dosłyszał odpowiedzi Giny, ale chwilę później z tyłu dobiegło go jej wołanie.

– Dziękuję za zaproszenie, doktorze O’Neill!

– Proszę mi mówić Alec – odparł. – I nie ma za co, bardzo nam miło.

W drodze do Jockey’s Ridge nikt nic nie mówił. Alec czuł głęboką satysfakcję, jak zawsze, kiedy miał przy sobie wszystkie swoje dzieci. Może nie były idealnie szczęśliwe, ale za to zdrowe i piękne. To znaczy dwojgu młodszym nic nie brakowało do szczęścia, ale one na razie zaznały w życiu wyłącznie radości. Nawet Jack, który wiedział, że Alec nie jest jego biologicznym tatą, uważał się chyba za szczęściarza, bo zamiast jednego ojca miał dwóch.

Na parkingu pod wydmami nie było ani żadnych samochodów, ani ludzi. Podeszli, brodząc w piasku, i zaczęli się wspinać pod górę. Pomysłodawca wyprawy nie pomyślał o zabranii latarki, ale księżyc dawał tyle światła, że bez trudu widzieli siebie nawzajem na piaszczystym zboczu. Było też na tyle jasno, że Alec zauważył spojrzenie Claya utkwione w Ginie i spojrzenie Giny utkwione w dzieciach.

– Byłaś już tutaj? – zapytała ją Olivia, gdy stanęli na szczycie pierwszego wzniesienia. Aby dotrzeć do celu, którym była najwyższa ze wszystkich wydm, musieli zejść po drugiej stronie i wspiąć się jeszcze raz.

– Widziałam wydmy z drogi, ale tutaj nie dotarłam – odpowiedziała Gina. Dyszała trochę, lecz pocieszyła się tym, że Alec też się lekko zasapał. – Z dołu wydają się niższe. – Powiodła wzrokiem po czarnym oceanie.

Dotarcie na szczyt największej wydmy zajęło im jeszcze dziesięć minut. Widać stamtąd było połówkę księżycowej tarczy odbitą zarówno w wodach zatoki, jak i na falach oceanu, ale tak naprawdę przyszedli tutaj, aby zobaczyć gwiazdy.

– No dobrze, Jack, Maggie – zakomenderował Alec. – Ubijcie sobie poślanie na piasku.

Przez chwilę obserwował Lacey, która uczyła młodszego rodzeństwo tajników sztuki uklepywania piasku w taki sposób, aby na pochyłym grzbiecie wydmy powstała wygodna leżanka, na której można wyciągnąć się pod gwiazdami, mając ponad sobą tylko nieboskłon. Potem on i Olivia zrobili to samo i ułożyli się na piasku.

Alec objął żonę ramieniem.

– Dzięki, że zgodziłaś się na ten wypad – powiedział.

– To był świetny pomysł – przyznała. – Chociaż w dalszym ciągu prześladuje mnie wizja nagłówka w jutrzejszej gazecie: „Olivia Simon, kierownik pogotowia w Kill Devil Hills, aresztowana w Jockey’s Ridge”.

Alec roześmiał się i przytulił żonę mocniej do siebie. Przed laty Olivia musiała czytać o sobie w prasie znacznie gorsze rzeczy, bardzo krzywdzące, i od tamtej pory miała potrzebę utrzymywania nieskazitelnej reputacji; wiedział, że nigdy jej to nie przejdzie.

– Patrzcie! – zawołała Lacey.

Kątem oka dostrzegł, jak jego córka wyciąga rękę, wskazując wschodni wycinek nieba.

– Och, przegapiliście... – powiedziała. – A była taka...

– Jest następna! – Gina też uniosła rękę.

– Chcę zobaczyć! – poskarżyła się Maggie. – Nic nie widziałam.
– Poczekaj chwilę, Mag, i tylko patrz – wtrącił Clay.
– Nie wiem, gdzie mam patrzeć!
– Spokojnie – powiedział Alec. – Nie skupiaj się na jednej gwiazdzie, staraj się objąć wzrokiem całe niebo.

Zobaczyli jeszcze kilka spadających gwiazd, aż nagle nieboskłon tuż nad ich głowami przecięła olbrzymia kula biało-zielonego światła, ciągnąca za sobą długi ogon. Była to najbardziej niesamowita rzecz, jaką Alec widział w życiu, a głośne, zbiorowe westchnienie podpowiedziało mu, że nikt jej nie przegapił.

– Co to było...? – zapytała zdumionym głosem Lacey.
– UFO! – emocjonował się Jack.
– Bolid – odezwała się Gina i słychać było, że też jest podekscytowana. – Jeszcze nigdy nie widziałam bolidu na własne oczy, ale jestem pewna. Patrzcie. – Uniosła dłoń. – Widać jeszcze jego ogon.

Miała rację. Biała kreska zdążyła już zblednąć, ale wciąż rysowała się wyraźnie na niebie nad ich głowami.

– Co to jest bolid? – zapytali jednocześnie Clay i Jack.
– Meteor, ale z tych bardzo dużych – wyjaśniła Gina. – I bardzo jasnych. Kto je zobaczy, powinien to zgłosić, bo te obiekty należą do rzadkości.
– Zgłosimy go? – ożywiła się Lacey.
– Można to chyba zrobić przez internet – odparła Gina.
– A czy ten ogon to są kawałki, które odpadły od tego meteoru? – dopytywał się Jack, nie odrywając oczu od kreski, która zaczynała już się odkształcać i krzywić.
– Nie, ale twój pomysł jest dobry – odpowiedziała. – To po prostu świecące cząsteczki powietrza rozgrzanego przez bolid.

– Jejku... – westchnęła Maggie z fascynacją. – Ale i tak był straszny. Czy takie gwiazdy spadają na ziemię?

Alec chciał mu odpowiedzieć, ale Gina była szybsza.

– Pewnie, że tak – potwierdziła. – Ale nieczęsto. Dwadzieścia do pięćdziesięciu na dobę. To znaczy przez jeden dzień.

– Pięćdziesiąt przez jeden dzień! – powtórzył Jack. – Mnóstwo. Dlaczego nigdy żadnego nie widać?

– Wydaje się, że to dużo, ale zastanów się, Jack – podchwyciła. – Powiedzmy, że każdego dnia na ziemię spada pięćdziesiąt meteorytów. Jak myślicie, gdzie one spadają? Wyobraźcie sobie Ziemię. Kulę ziemską. Jak ona wygląda?

Ponieważ wszyscy leżeli na wznak, jej głos krążył w powietrzu, bezcielesny. Alec, który zapomniał, że Gina jest nauczycielką, teraz usłyszał wyraźnie, że przełączyła się na tryb wykładowy.

– Jest okrągła. – Maggie odpowiedziała na pytanie.
– A co jest na powierzchni tej okrągłej Ziemi? – Gina zadała kolejne.
– Ląd i woda – powiedział Jack.
– Zgadza się. A dokładniej: woda pokrywa w przybliżeniu dwie trzecie powierzchni Ziemi. Co to więc oznacza dla tych spadających meteorytów?
– Że dużo wpadnie do wody – podchwyciła z zaangażowaniem Maggie.
– Właśnie! – przytaknęła Gina. – A więc powiedzmy, że dwie trzecie meteorytów wpada do

wody. Czyli na Ziemię spadnie około szesnastu. I teraz wyobraźcie sobie znowu kulę ziemską. Czy wszystkie lądy są zaludnione?

– „Zaludnione” to znaczy, że są tam ludzie? – spytała Maggie.

– Tak.

– Na pewno nie. – Jack ubiegł siostrę z odpowiedzią. – Jest mnóstwo miejsc, gdzie nie ma żadnych ludzi.

– I tak samo dużo miejsc, gdzie ludzi jest bardzo mało – dodała Gina. – Mniej więcej jedna czwarta stałego lądu jest niezaludniona albo słabo zaludniona. Co to oznacza dla naszych meteorytów?

– Że zostało ich już tylko dwanaście – wtrącił Clay.

– Nie rozumiem. – Maggie nie mogła się połapać. Odpowiedziała jej Olivia:

– Jeśli meteoryt spadnie tam, gdzie nie ma ludzi, to nikt go nie zauważy.

– Otóż to – zgodziła się Gina. – A około połowy tych meteorytów spadnie nocą i nie będzie ich widać.

– Przecież je widać, bo są bardzo jasne – sprzeciwił się Jack.

– Tak się wydaje, ale kiedy wchodzi w atmosferę Ziemi, coś się z nimi dzieje i przestają świecić – powiedziała. – Więc gdy taki meteoryt spada, wygląda jak zwyczajny kamień.

– Czyli za dnia spada na Ziemię tylko około sześciu meteorytów – podsumowała Lacey.

– Zgadza się – potwierdziła Gina.

– To i tak za dużo, jeśli spadną komuś na głowę – zauważyła Maggie. Alec zachichotał pod nosem.

– O to raczej nie musisz się martwić, Maggie – uśmiechnęła się Gina.

I znów zrobiło się cicho. Trzeba przyznać, że dobra z niej nauczycielka, pomyślał Alec. Dzieciaki łowiły każde jej słowo.

Jack nagle podniósł się i usiadł prosto.

– Hej, Maggie, turlamy się na dół.

Maggie zerwała się w mgnieniu oka.

– Ty z nami. – Pociągnęła Ginę za rękaw.

Gina roześmiała się i wyciągnęła na piasku razem z jego dziećmi, po czym cała trójka sturlała się ze zbocza wydmy. Alec, nie posiadając się ze zdumienia, usiadł i patrzył za nimi. Ich śmiechy i piski Maggie niosły się wyraźnie, chociaż po chwili wszyscy zniknęli w mroku.

Clay też się podniósł, żeby popatrzeć. Alec dostrzegł smutny, choć nieznaczny uśmiech błędzący po wargach syna, zauważył wszystko mówiące drgnięcie jego grdyki. Ostatnimi czasy Clay odciął się od wszystkich, zamknął w sobie do tego stopnia, że nie było wiadomo, jak właściwie można mu pomóc. Alec też był wdowcem, ale patrzeć, jak jego syn cierpi po stracie żony, było jeszcze gorsze niż to, co sam kiedyś musiał przeżyć.

– Clay...? – zagadnął.

Clay odwrócił się, spojrział na niego pytająco.

– Jeśli w ciągu dnia będzie porządnie wiało, może wybierzemy się na windsurfing?

Chwila milczenia, potem kiwnięcie głową.

– Dobry pomysł.

– Hej! – Olivia wyrzała za krawędź wydmy. – Jesteście cali?

Odpowiedziały jej chichoty. Cała trójka wspinała się z powrotem, roześmiana, zdyszana i zagadana. Wreszcie dotarli na górę i ułożyli się z powrotem na swoich miejscach.

Jeszcze przez jakiś czas wszyscy leżeli bez ruchu, patrząc w gwiazdy. Olivia zasnęła, wtulona

w szyję Aleca. Jack i Maggie też spali, tego był pewny. Nie wiedział, co robią Lacey, Clay i Gina, ale byli bardzo cicho. Najchętniej zostałby tutaj z nimi do samego rana. Cała jego rodzina, razem, bezpieczna, pod nocnym niebem, które pomaga odzyskać dystans do wszystkiego. Dosłownie do wszystkiego. Żałował, że nie może powiedzieć tego Clayowi. W porównaniu z tym ogromem życie każdego z nas znaczy tak mało, że jest wręcz nieistotne – powiedziałby, gdyby tylko mógł. To, co nam dano, musimy wykorzystać jak najlepiej.

Oczywiście nie powiedział nic. Tę wiedzę Clay musiał zdobyć sam.

Rozdział trzydziesty pierwszy

O dziesiątej rano Clay spotkał się z ojcem na plaży nad cieśniną. Miejsce należało do mniej popularnych i nie trzeba było się obawiać tłoku, choć zastali tu kilku amatorów windsurfingu. Wystarczyło wypłynąć na wodę i jeśli tylko chcieli, mogli mieć dla siebie całą zatokę.

Ostatni raz pływali razem w zeszłym roku, latem, kiedy życie było znacznie, znacznie prostsze. Nie nadszedł jeszcze jedenasty września, a jeśli chodzi o sprawy bardziej osobiste – Terri żyła. Boże, pomyślał Clay, a mnie się wydawało, że tak właśnie ma być i że zawsze tak będzie. Pamiętał dobrze, jak pływał sobie z ojcem na desce, mając absolutną pewność, że gdy wróci, dom będzie wysprzątnany, ogródek wypielony, psy nakarmione, a obiad na stole. Że Terri zadba o wszystko. On też robił wszystko, co do niego należało, ale jej „wszystko” to po prostu było więcej. Teraz powoli dochodził do wniosku, że kobiety są bardziej niezależne od mężczyzn. Samotne kobiety, które znał, radziły sobie świetnie, gdy tymczasem o niego musiała troszczyć się siostra. Nic dziwnego, że Gina i Lacey nie miały ochoty wychodzić za mąż.

– Jak na lipiec wiatr jest świetny – zauważył ojciec, zdejmując z dachu swojego vana krótką deskę i maszt.

– Będzie ze trzydzieści na godzinę – ocenił Clay, chociaż szczerze mówiąc, wcześniej nie zwrócił uwagi na wiatr. Przyjmując propozycję ojca, nie myślał wcale o windsurfingu. Chciał się z nim spotkać, побыć razem; jeszcze nigdy nie czuł, że jest mu to tak potrzebne.

– Cieszę się, że wybraliście się z nami w nocy na wydmy – powiedział Alec, gdy Clay wyjmował z bagażnika jeepa bom i żagiel.

– Było tak samo fajnie jak w dzieciństwie – uśmiechnął się Clay. W nocy obserwował głównie Ginę, chciał się nią nasycić. Patrzył, jak się bawi z jego młodszym rodzeństwem. Słuchał jej śmiechu, kiedy turlała się z nimi po piasku – rzadko miał okazję go słyszeć, bo Gina na ogół ukrywała radosną stronę swojej natury, ale nie porzucał nadziei, że to się jeszcze powtórzy.

– Jack i Maggie zakochali się w Ginie – zagadnął ojciec, jak gdyby czytał mu w myślach.

Clay chwycił deskę i ruszył z nią nad wodę.

– Świetnie się z nimi dogadywała, to prawda – rzucił przez ramię.

Później w skupieniu złożyli deski. W tym upale zrezygnowali ze skafandrów, chociaż ojciec czasami pływał w skafandrze, jeśli w wodzie było dużo meduz. Dzisiaj go jednak nie nałożył, a Clay musiał przyznać, że sylwetka ojca jest godna podziwu. Pomimo wilczego apetytu Alec O'Neill był wciąż szczupły, nieznacznie tylko zaokrąglił się w talii. Nie opalał się już tak mocno jak za młodych lat Claya, ale wciąż mógł się poszczycić złotobrązową skórą. Clay miał nadzieję, że w jego wieku będzie wyglądał chociaż w połowie tak dobrze.

Kiedy odpłynęli od brzegu, skupił uwagę na desce i żaglu, co przyniosło mu uspokojenie. Obaj pływali świetnie. Na tak wysokim poziomie windsurfing to sport całkiem bezgłośny i może właśnie dlatego Clay go lubił: bo nie trzeba było nic mówić. Tego dnia chciał jednak porozmawiać z ojcem i zamierzał to zrobić po powrocie znad cieśniny.

Ścigali się do boi i z powrotem; Clay wygrał trzy razy, Alec dwa. Byli dla siebie równymi przeciwnikami, ale ojciec szybciej opadł z sił i wrócił na plażę. Clay poskakał sobie jeszcze trochę na falach, wybijając się z nich jak na trampolinie.

Gdy schowali deski i sprzęt do samochodów, Clay zaproponował Alecowi, żeby wyskoczyli razem coś zjeść.

– Jasne. – Ojciec ucieszył się z propozycji. – Może do Shorty’s?

Clay wiedział, że Gina jest dzisiaj w pracy, a wolałby raczej, aby nie było jej w pobliżu ze względu na tematy, które zamierzał poruszyć w rozmowie z ojcem. Problem polegał na tym, że wszystkie restauracje pękały w szwach i tylko w Shorty’s mogli liczyć na miejsce.

– W porządku – powiedział. Z jednej strony wolał unikać Giny, ale z drugiej bardzo chciał ją zobaczyć.

W nocy, kiedy wrócili z wydm, Lacey od razu poszła spać, ale Clay i Gina byli głodni, więc on zrobił jajecznicę z kaszą kukurydzianą i tosty z dżemem, a ona włączyła komputer i znalazła w internecie stronę, gdzie można było zgłosić zaobserwowany bolid. Potem usiedli do jedzenia. Dzień wcześniej Clay zamówił dla niej coś w sieci i kusił go, żeby jej o tym powiedzieć, ale wolał nie psuć niespodzianki. Chciał zobaczyć jej minę, kiedy otworzy prezent, więc trzymał język za zębami, chociaż przyszło mu to z trudem. Siedząc z nią przy jednym stole, czuł się jednocześnie zmęczony i zadowolony. I cieszył się też, ale po cichu; nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł taką radość. Być może nigdy. To było wspaniałe, że udało mu się odnaleźć dla niej tę soczewkę, i cudownie było patrzeć, z jakim zachwytem Gina jej dotyka.

Miała we włosach piasek od turlania się po wydmie i przeprosiła go, że sypie nim na stół. Była rozczochrana, a po całym popołudniu w wodzie spieczona na różowo na rękach i twarzy; w oczach Claya wyglądała przepięknie. Jedli, rozmawiając o Jacku i Maggie oraz o tym, jakim ojcem był kiedyś Alec O’Neill.

– On był ten normalny – śmiał się Clay. – To mama była stuknięta.

A kiedy zaczęła go wypytywać, opowiedział o tym, że nigdy nie nosiła zegarka i nie chciała mieć w domu żadnych zegarów, że nie narzucała swoim dzieciom zasad, że miała charakter i poczucie humoru. Mówił i mówił, starając przypomnieć sobie wszystkie ekscentryzmy i dzikie wyskoki swojej matki; chciał siedzieć z Giną przy tym stole jak najdłużej, przez godzinę wyrzucił z siebie chyba więcej słów niż przez całe osiem miesięcy po śmierci Terri. Z tym że to była płytka rozmowa, niewinna pogawędka, w której główną rolę odgrywały fakty, a nie uczucia. A kiedy się już pożegnali i rozeszli do pokojów, miał wrażenie, jakby wypuścił z rąk coś ogromnie cennego.

Co było do przewidzenia, Gina obsługiwała stolik, przy którym usiedli.

– Nie mogłam dzisiaj wstać do pracy – powiedziała. – I czyja to wina? Pańska, doktorze... Alec – wygłosiła reprimendę z szerokim uśmiechem.

Nalała kawy do stojących przed nimi filiżanek. Rzeczywiście, znać było po niej zmęczenie. Miała podpuchnięte oczy z niewyspania, ale pewnie też od lekkiego oparzenia słonecznego; ta drobna ludzka cecha, ta jedna skaza na tej pięknej twarzy sprawiła, że Clayowi zaczęło na niej zależeć jeszcze bardziej niż do tej pory.

– Ale chyba dobrze się bawiłaś – zauważył jego ojciec.

– Wciąż mam piasek we włosach – odparła, przeczesując dłonią swoje pukle, idealnie czyste. – Jack i Maggie to świetne dzieciaki.

– A ty jesteś znakomitą nauczycielką – odparł Alec. – Maggie dziś rano wciąż jeszcze chciała rozmawiać o meteorytach i bolidach.

– Cudne zjawisko, prawda? – Gina odstawiła dzbanek z kawą na stół i wyjęła bloczek. – Co podać?

Zamówili kanapki, a gdy szła do kuchni, Clay zauważył, że ojciec odprowadza ją wzrokiem.

Wlał śmietankę do kawy, zamieszał. Nie mógł się zdecydować, od czego zacząć rozmowę.

– W nocy, na wydmach – Alec wyręczył syna – zauważyłem, że Gina ci się podoba.

Clay wypił łyżeczek kawy, zachodząc w głowę, czym mógł się zdradzić.

– Po pierwsze – oznajmił – Gina nie interesuje się mężczyznami, ani mną, ani żadnym innym. A po drugie... – Podniósł wzrok na ojca. – Minęło dopiero osiem miesięcy.

– Wiem, Clay – przytaknął Alec, a w tych słowach było tyle zrozumienia i współczucia, że Clayowi łzy zakręciły się w oczach. Szybko zamrugał, żeby nie popłynęły.

– Jak długo po śmierci mamy zaczęłeś spotykać się z Olivią? – zapytał.

Ojciec westchnął przeciągle, opadł na oparcie siedzenia. Uniósł wzrok i przez chwilę patrzył w sufit, przypominając sobie szczegóły.

– Poznaliśmy się bliżej w czerwcu – odpowiedział wreszcie. – Około pół roku po śmierci waszej mamy. Ale przez kilka miesięcy to nie było nic poważnego, głównie dlatego, że miałem wielkie wyrzuty sumienia.

– Tak? – zdziwił się Clay.

– O cholera, jeszcze jakie.

Clay odetchnął.

– Ja czuję to samo. Wydaje mi się, że nie wolno mi nawet spojrzeć na inną kobietę w ten sposób. Mam poczucie, że zdradzam Terri.

Alec uśmiechnął się.

– Doskonale pamiętam to uczucie. Z czasem przechodzi.

– Ale ja właśnie nie wiem, czy chcę, żeby mi przeszło. I czy w ogóle... Jak to powiedzieć... Czy zasługuję na to, żeby przestać się tak czuć. Nie byłem dobrym mężem.

No i już, pomyślał. Powiedziałem to. A potem uprzytomnił sobie, jak to zabrzmiało i jak rozumiał to jego ojciec.

– To znaczy nie zdradzałem jej, nic z tych rzeczy – dodał szybko. – Ja tylko...

– Nie ma mężów idealnych – odparł Alec. – Ani żon, zapewniam cię.

Ten właśnie moment wybrała Gina, żeby wrócić z dolewką kawy.

– Kanapki będą za chwilę – obiecała.

Kiedy odeszła od stolika, Alec pochylił się nad blatem.

– Wiem, jak się czujesz, i rozumiem to – powiedział. – Ale Olivia i ja najpierw zostaliśmy przyjaciółmi. W żaden sposób nie dążyłem do czegoś więcej. Wciąż bardzo kochałem twoją mamę. Moja relacja z Olivią rozwijała się naturalnie, w miarę jak się do siebie zbliżaliśmy. Tak więc i ty nie podsycaj uczuć na siłę. Pozwól sobie na przyjaźń z nią. Zachowasz czyste sumienie.

Clay nie rozumiał, czemu jego ojciec miał wyrzuty sumienia. Nie widział ku temu żadnego powodu, lecz nie chciał już nic mówić, wolał nie prowokować kolejnych pytań. I znów można było odnieść wrażenie, że Alec potrafi czytać w myślach syna.

– Najgorsze wyrzuty sumienia – wyjaśnił – miałem dlatego, że mama kiedyś poprosiła mnie, abym jej obiecał, że gdyby umarła pierwsza, to przez cały rok nie będę się z nikim spotykał.

– Poprosiła cię o coś takiego? – zdziwił się Clay. Ograniczać drugiego człowieka, to było niepodobne do jego matki.

Ojciec skinął głową.

– Była... jak to powiedzieć... bardzo tym przejęta, więc oczywiście obiecałem, żeby się tylko

uspokoiła. A gdy zacząłem czuć coś do Olivii, ta obietnica nie dawała mi spokoju.

Clay przemieszał kawę w filiżance. Okazało się, że nie wie o swoim ojcu wielu rzeczy.

– Dobrze wam się układa z Olivią, prawda? – zapytał.

– Wspaniale.

– Tak dobrze jak z mamą?

– Inaczej, Clay – odpowiedział Alec z nostalgicznym uśmiechem. – Po prostu zupełnie inaczej. Ale nawet gdyby twoja mama żyła do dziś, to nasza relacja byłaby inna niż dziesięć lat temu. Z wiekiem ludzie się zmieniają, dojrzewają.

Uniósł wzrok, bo przy stoliku pojawiła się Gina niosąca ich kanapki.

– Podać wam coś jeszcze? – zapytała, opierając dłonie na biodrach.

– Nie trzeba – odparł Clay. – Dzięki.

Żaden z nich nie powiedział ani słowa, dopóki Gina nie odeszła.

– Ale nie wiem, czy to jest kobieta dla ciebie – podjął Alec.

– Dlaczego tak mówisz?

– Na przykład dlatego, że ona mieszka w stanie Waszyngton, a ja nie chcę, żebyś wyprowadził się aż tak daleko.

– No, teraz to trochę wyskoczyłeś przed orkiestrę, nie sądzisz? – zaśmiał się Clay.

Alec skinął głową, bo musiał się z tym zgodzić. Ugryzł kęs swojej kanapki, przełknął i mówił dalej.

– Mam z nią jakiś kłopot, ale nie umiem dokładnie określić, co mi nie pasuje. Po prostu nie mogę zrozumieć, jak to jest, że ktoś, kto podaje się za badacza historii latarni morskich, nie wie, że od dziesięciu lat latarnia w Kiss River nie istnieje. Nawet hobbysta amator musiałby o tym słyszeć. Poza tym Gina nie miała pojęcia, że w soczewce brakuje jednego fragmentu.

– Wiedziała. Sama mi mówiła.

– To było przed czy po naszej rozmowie, kiedy usłyszała o tym ode mnie?

Clay znał odpowiedź na to pytanie, ale nie chciał utwierdzać ojca w podejrzeniach.

– Moim zdaniem ona miała wtedy na głowie zupełnie coś innego – rzucił wymijająco, chociaż jemu też nie dawało to spokoju. Utkwiło mu w pamięci, jak Gina przekręciła nazwisko Fresnela. Ale to by oznaczało... Obruszył się na tę myśl. Przez chwilę chciał powiedzieć ojcu, że poprzedniego dnia znalazł soczewkę z Kiss River, ale uznał, że w takim momencie lepiej go nie drażnić.

– Gina stara się o adopcję małej dziewczynki z Indii – powiedział. Ojciec, co zrozumiałe, uniósł brwi z zaskoczeniem.

– Chce ją wychowywać sama?

Clay kiwnął głową.

– Pojechała tam, żeby ją odebrać z sierocińca, ale nagle władze zawiesiły wszystkie adopcje i musiała zostawić dziecko, dopóki sprawy się nie wyjaśnią. Dziewczynka ma chore serce i nie przeżyje bez operacji. Tak więc zrobił się z tego spory bałagan.

– Straszne – zaszepczał Alec.

– Zaangażowała się w akcję z soczewką z Kiss River, żeby nie zwariować. Dzięki temu może skupić myśli na czymś innym oprócz bezsilnego czekania.

– Podobnie jak ty.

– Co masz na myśli?

– Ty angażujesz się w pracę – wyjaśnił ojciec. – Ale nie ma w tym nic złego. Każdy radzi sobie, jak potrafi. Ja miałem inną taktykę. Obnosiłem się ze swoją żałobą w dzień i w nocy,

owijałem się nią jak całunem. Pamiętasz? Całymi miesiącami nie chodziłem do pracy. Rozczulałem się nad sobą. Bez końca, wciąż na nowo, fotografowałem latarnię, bo przypominała mi o waszej mamie. Ty natomiast zatracasz się w pracy i nawet kiedy robisz coś dla rozrywki, oddajesz się temu cały, że niemal widać, jak bardzo starasz się wyrzucić z głowy wszelkie myśli. Kiedy byliśmy dzisiaj na wodzie, wciąż chciałeś płynąć jeszcze szybciej, jeszcze dalej, złapać więcej wiatru. Potrafisz ukrywać swój smutek, jeśli o to właśnie ci chodzi. Nikt by się nie domyślił, że jesteś wewnątrznie rozdarty. Nikt, kto cię naprawdę dobrze nie zna. Ale ja cię znam, Clay.

Clay z wysiłkiem przełknął ślinę. Czuł się jak mały chłopczyk i nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Chcę wiedzieć jedno – poprosił ojciec. – Ale bądź szczerzy, w porządku?

Skinął głową.

– Czy ona podoba ci się tylko z wyglądu? Gina?

– Nie, nie tylko – zaprzeczył Clay, chociaż to oczywiście też go w niej pociągało. – Ona jest... bardzo inteligentna, życzliwa, a poza tym po prostu niesamowicie interesująca. – Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, ale taka właśnie była prawda.

– W takim razie skoro naprawdę ci na niej zależy, otwórz się przed nią – poradził ojciec. – Pokaż swoją prawdziwą twarz i zobacz, jak zareaguje. Bo ty zamykasz się w sobie. Wiesz, że dopiero dzisiaj pierwszy raz powiedziałeś mi o tym, co czujesz? Zawsze byłeś... nie lubiłeś się uzewnętrzniać, ale po śmierci Terri już w ogóle nie można było z tobą porozmawiać. A są ludzie, dla których jesteś ważny, Clay. Którzy chcą ci pomóc. Nie zamykaj się na nich.

Clay uśmiechnął się blado.

– W porządku – powiedział. Sam dążył do tej rozmowy, ale teraz poczuł, że już wystarczy. – Koniec wykładu?

Ojciec wyprostował się i oparł wygodniej.

– Koniec.

– No to... – Clay głęboko odetchnął. – Jak się podobało Jackowi i Maggie na półkoloniach?

Rozdział trzydziesty drugi

Środa, 29 kwietnia 1942

Ciekawe, czy komendant Hewitt żałuje, że poprosił mnie o pomoc. Już trzy razy wymieniliśmy kartki, a ja wciąż nie mam dla niego żadnych informacji. (Natomiast mama zwróciła raz uwagę, że idę przed szkołą do latarni, i zapytała po co. Odpowiedziałam, że chcę popatrzeć na ocean, bo jest piękna pogoda. Chyba nie uwierzyła. Mówi, że jestem powsinoga, bo rzadko widuje mnie w domu). Zostawiam kartki dla komendanta tam, gdzie się umówiliśmy: pod lekko obluzowanym spoiwem u podstawy soczewki. Sposób sprawdza się na medal. Szkoda tylko, że nie mam o czym pisać.

Natomiast komendant Hewitt dzisiaj rano w swoim liście prosił mnie, żebym spróbowała porozmawiać z panem Sato. Napisał tak: „Dzień dobry, Bess. Mało kto w okolicy zna Mota Sato tak dobrze jak ty, więc proszę, spróbuj z nim porozmawiać. Musi to oczywiście wyglądać całkiem zwyczajnie. Zdaj się na swoją intuicję, ona ci podpowie, czy ten człowiek sprawia podejrzane wrażenie, czy nie. Krążą słuchy, że tak naprawdę wcale nie jest kaleką. Gdyby wpuścił cię do swojego domu, rozglądaj się za sprzętem radiowym. I sprawdź, czy na zewnątrz nie ma zainstalowanych anten. Może też uda ci się zobaczyć, jak chodzi o własnych siłach. Albo usłyszeć, jak mówi po angielsku albo jeszcze lepiej – po niemiecku”.

Nie mogę wprost uwierzyć, że poprosił mnie o coś takiego! Przecież ja wcale nie znam pana Sato. Widziałam go raptem kilka razy, i to przelotnie, kiedy mijałam jego dom nad zatoką. Ale to było już dobrych kilka miesięcy temu, a jeśli chodzi o pozostałe rzeczy, to jestem pewna, że nie mówi po angielsku i naprawdę nie może chodzić, więc to zadanie wydaje mi się niewykonalne. Może komendant Hewitt stracił już nadzieję, że uda mi się coś wyciągnąć od chłopców ze Straży Wybrzeża.

Na posterunku bywam teraz bardzo często, naprawdę bardzo. Chłopcy dostali od kogoś stół bilardowy i nauczyłam się grać. Chodzę tam zaraz po lekcjach. Rodzice myślą, że zostaję dłużej w szkole i pomagam pani Cady porządkować książki. Rzeczywiście, raz jej pomogłam, ale nie robię tego codziennie. Dopiero by sobie pomyśleli o mnie, gdyby wiedzieli, że grywam w bilard z tyloma chłopakami! Powsinoga, jakich mało!

Z początku nie wiedziałam, jak mam się zachowywać, aby Sandy nie zaczął się dziwić, że spędzam tam aż tyle czasu. Udamę więc chłopczycę, jaką byłam kiedyś, i starannie ukrywam fakt, że teraz jestem już młodą damą. Nie chcę, żeby pomyślał, że flirtuję z chłopcami, ale kiedy zapytał, czemu tak często zaglądam na posterunek, odpowiedziałam, że bardzo lubię grać w bilard. To straszne, że musiałam go oszukać!!!!!! To był pierwszy i jedyny raz. Bardzo mi szkoda, że nie mogę mu powiedzieć, co robię. Pomógłby mi. Zapytałam, czy przeszkadza mu, że tak często do nich przychodzę, ale powiedział, że nie. Ma do mnie zaufanie. A mnie jeszcze bardziej przez to gryzie sumienie.

Rozmawiam z chłopcami o wojnie, a komendant Hewitt w swoim pierwszym liście napisał, że jestem świetną aktorką i nikt nigdy by się nie domyślił, o co tak naprawdę mi chodzi. Chłopcom się pewnie wydaje, że muszę być strasznie ciekawska, chcę wiedzieć, co się dzieje i co oni o tym wszystkim myślą. Ale komendant ma rację. Potrafię rozwiązać im języki. Często zgrywam głupią gęś i pytam o bzdury, na przykład czemu w ogóle walczymy z Niemcami. Zwracam przy tym uwagę, jakie padają odpowiedzi i czy słyszą choćby cień proniemieckich sympatii. Tylko że przy Sandym nie mogę udawać ciemniaczki. On zna mnie lepiej i zaczęłyby się zastanawiać, co kombinuję.

Jeszcze miesiąc temu byłabym w siódmym niebie, że udało mi się zagrać w bilard z Jimmym Brownem, i to cztery razy jak dotąd! Co ja w nim w ogóle widziałam? Wygląda jak mały chłopczyk i zachowuje się też całkiem dziecinnie. Najmilszy z nich wszystkich, oczywiście po Sandym, jest chyba Ralph Salmon. To wrażliwiec. Wciąż nie mogę zapomnieć, jak pojechał do Rygi, kiedy zobaczył tamtego nieboszczyka na plaży. Staram się jednak spędzać więcej czasu z chłopcami, których znam słabo, na przykład z Teddym Pearsonem, i tymi, którzy wolą się trzymać na uboczu, bo jeśli mamy tutaj zdracę, najprawdopodobniej będzie to któryś z nich. Teddy jest chyba nieśmiały... a może tylko coś ukrywa. Zdaje się, że mnie lubi, bo zawsze proponuje mi grę w bilard, ale trudno go wciągnąć do rozmowy.

Wczoraj, kiedy akurat byłam na posterunku, przyszedł meldunek, że U-Booty zatopiły kolejne dwa statki na wysokości Hatteras. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał, a mnie się wydawało, że w tej ciszy kipi złość. W oczach chłopców widziałam i strach, i gniew. Teddy'emu i Ralphowi odechciało się grać w bilard. Wieczorem, w kartce dla komendanta Hewitta napisałam, że moim zdaniem nie mogłby mieć w oddziale ani większych patriotów, ani ludzi bardziej poświęconych swoim obowiązkom. A on właśnie wtedy poprosił mnie, żebym porozmawiała z panem Sato. Muszę więc wymyślić, jak dotrzeć do człowieka, który w ogóle przestał wychodzić z domu. Powodzenia!

Ostatnimi czasy udaje mi się natomiast unikać Dennisa Kitteringa. Wciąż jestem zła na niego, że palnął mi takie kazanie o Sandym, ale boję się też, żeby w jakiś sposób nie dowiedział się, że pracuję dla komendanta Hewitta. Jest do tego zdolny. On ma oczy dookoła głowy.

Środa wieczór, godz. 22.00

No, to porozmawiałam sobie z panem Sato, o ile można to nazwać rozmową. Było tak: poszłam nad cieśninę. Jego dom stoi nad samą wodą, częściowo na palach, i chociaż jest podobny do innych domów nad brzegiem, wyróżnia się japońskimi akcentami. Od frontu, tuż obok drogi, stoi wysoka, smukła rzeźba. Ktoś mi kiedyś powiedział, że takie coś nazywa się pagoda. Ta pagoda jest prawie tak samo wysoka jak ja i założę się, że to jedyna w całych Outer Banks. Albo i nawet w całej Karolinie Północnej. Dookoła domu, na tarasie, stoją donice, a w nich rosną jakieś niespotykane rośliny. Przypominają trochę bambus. No, w każdym razie było mi naprawdę dziwnie, kiedy tam szłam. Miałam tylko nadzieję, że zastanę synową pana Sato, bo ona mogłaby mu przetłumaczyć moje słowa. Zna japoński, uczyła się go na studiach i właśnie w ten sposób poznała swojego przyszłego męża, syna pana Sato, tego, który umarł.

Miałam plan. Najpierw po cichu obeszłam dom od frontu i po bokach, rozglądając się za jakąś anteną. Żadnej nie znalazłam, ale nie mogłam obejrzeć domu od tyłu, bo ta część jest już nad

wodą. Potem zapukałam do drzwi. Nikt mi nie otworzył, ale po chwili zauważyłam pana Sato w jednym z okien od frontu. Chował się za firanką, więc pewnie bał się, że przyjechali po niego, aby go zabrać do obozu dla internowanych. Zrobiło mi się żal, że go przestraszyłam, chociaż rzeczywiście, przyszłam sprawdzić, czy nie jest szpiegiem.

Zaraz później pan Sato otworzył drzwi, uznawszy najwyraźniej, że miejscowej dziewczyny nie musi się bać.

Siedział na wózku. To bardzo miły starszy pan. Uśmiechnął się do mnie i zaczął raz po raz kiwać głową, ale nie odezwał się ani słowem.

Tak się składa, że znam dwa zdania po niemiecku. Babcia kuzynki Torii pochodzi z Niemiec i od niej kiedyś je usłyszałam. Nie wiem tylko, jak się to pisze. Pierwsze zdanie brzmi *Wi gejc?* i znaczy mniej więcej „Dzień dobry, co słyhać?”, a drugie *Mahdi tircu*, czyli „Zamknij drzwi”.

Tak więc gdy pan Sato otworzył drzwi, powiedziałam *Wi gejc?*, żeby go sprawdzić.

Kiwnął głową, jakby zrozumiał, chociaż właściwie pewności nie mam.

– Hellou – odpowiedział, ale to mogło być jedyne słowo, jakie zna po angielsku.

– Czy mogę skorzystać z telefonu? – poprosiłam. To właśnie był mój plan. Wiedziałam, że po tej stronie cieśniny mają telefony, mimo że u nas, raptem kilometr dalej, nie ma ani jednego.

Pan Sato uśmiechnął się, ale ten uśmiech był pusty i jestem prawie pewna, że mnie nie rozumiał. Zerknęłam mu przez ramię, aby się upewnić, czy jego synowej nie ma w domu, ale przez tyle czasu powinna się już pojawić, więc raczej jej nie było. Zresztą nie widziałam jej samochodu na zewnątrz.

Uniosłam dłoń do ucha, zaciskając ją tak, jak gdybym trzymała słuchawkę telefonu, a potem wskazałam palcem przed siebie, do wnętrza domu.

– A! – powiedział pan Sato i znów pokiwał głową. Teraz już byłam pewna, że rozumie, o co mi chodzi. Zaprosił mnie gestem do środka i cofnął wózek, żebyśmy mogła wejść.

Czułam się tam bardzo, bardzo dziwnie. Jakbym znalazła się w innym kraju. Wszędzie stały japońskie parawany, na ścianach wisały japońskie obrazy (podały mi się, naprawdę!), a na podłodze stały donice z tymi bambusowymi roślinami i fotele z poręczami i nogami z prawdziwego bambusa. Pan Sato zaprowadził mnie do kuchni – szybko jeździ na tym swoim wózku! – i tam był telefon. Zakręciłam korbką, a gdy zgłosiła się telefonistka z centrali, poprosiłam o połączenie ze sklepem pana Tragera. Odebrał sam pan Trager. Zapytałam go, czy ma dzisiaj w sprzedaży płatki *Cheeri Oats*⁷, bo czasem są, a czasem nie, a on wie, że to moje ulubione, więc pomyślałam, że nie zabrzmi dziwnie, jeśli o to zapytam. Ale pan Trager i tak na pewno był zaskoczony i nie wiedział, o co chodzi, bo przecież w taki ładny dzień mogłam po prostu przyjść. W każdym razie odpowiedział, że oczywiście, właśnie dowieźli *Cheeri Oats*, mogę wpaść i kupić.

Rozłączyłam się, a pan Sato odprowadził mnie z powrotem do drzwi. Jechał przodem, więc miałam okazję zajrzeć w przelocie do sypialni i drugiego pokoju, chyba salonu. Zauważyłam jedno zwykłe radio, podobne jak u nas w domu, ale nie rzucił mi się w oczy żaden specjalistyczny sprzęt. Prawdę mówiąc, nie zdążyłam się rozejrzeć. Kiedy stanęliśmy pod drzwiami, powiedziałam *Mahdi tircu*, chociaż to znaczy „Zamknij drzwi”. Nie wiem, jak się mówi „otwórz”! Pan Sato tylko się uśmiechnął i jak zawsze pokiwał głową. Chyba mnie nie rozumiał. No, ale przecież nie mówię prawie wcale po niemiecku.

Podziękowałam mu i pożegnałam się. Po wyjściu zerknęłam jeszcze na jego dom, aby zobaczyć, czy z tyłu nie ma anteny. Przypomniało mi się wtedy, jak mnie obserwował zza

firanki, i pomyślałam, że powinnam była zwrócić uwagę, na jakiej wysokości znajdowała się jego głowa. Czy siedział wtedy na wózku – czy może stał? Wydaje mi się, że był raczej nisko, więc pewnie siedział.

Tak czy owak, nasza rozmowa była raczej krótka, ale mimo że nie mam teraz najlepszego zdania o Japończykach, pan Sato wydał mi się miłym staruszkiem. Coś mi mówi, że znów zawiodłam komendanta Hewitta. Po raz kolejny nie udało mi się zdobyć dla niego użytecznych informacji.

[7](#) Cheer Oats – tak pierwotnie nazywały się płatki zbożowe Cheerios. Pojawiły się na rynku w roku 1941, a nazwa została zmieniona w 1945 roku.

Rozdział trzydziesty trzeci

Wtorek był pochmurny i zaskakująco chłodny, co Ginie nie przeszkadzało w najmniejszym stopniu, bo dzięki temu jechało się znacznie przyjemniej. Wciąż nie miała klimatyzacji. Tutejszy klimat nie służy ludziom wychowanym na Wybrzeżu Północno-Zachodnim, pomyślała. Gęste powietrze opornie wchodziło do płuc, lecz szare niebo i oblepiające wszystko mgliste opary przypominały jej rodzinne strony.

Nadchodził już wieczór, a ona musiała pojechać do pracy, chociaż miała wolne. Dzisiaj był dzień wypłaty, a jej potrzebne były pieniądze. Poza tym obiecała Clayowi, że go wyręczy i odwiezie Henry'ego do domu, skoro i tak wybierała się do Shorty's.

W plecaku wiozła kilka wywołanych podwodnych zdjęć soczewki, które dostała od Kenny'ego. Chciała je pokazać Walterowi i Brianowi. A potem musiała postanowić, co dalej. Najbardziej ekstremalnym pomysłem była nauka nurkowania. Pod wodą czuła się wspaniale i w ogóle się nie bała. Sądziła jednak, że umiejętność nurkowania nie rozwiąże jej problemów. Podstawa soczewki leżała zagrzebana głęboko w piaszczystym dnie oceanu. A ona musiała zobaczyć właśnie tę część.

W małej sali zastała pełno stałych bywalców – plus jedną osobę, której nie widziała tam jeszcze nigdy.

– Hej, Gina! – zawołała Lacey na jej widok.

Obejrzała się i zobaczyła Lacey, która z kijem bilardowym w dłoni stała przy stole obitym zielonym sukniem, a obok niej – Brock Jensen. Lacey i Brock razem?

Gina podeszła do nich, nie wiedziała, co powiedzieć. Od tamtego dnia, kiedy przepadła jej wygrana, unikała Brocka, ale on się przyczepił i rozkazywał jej, jakby była jego osobistą służącą. Zmuszała się wręcz, aby obsługiwać go bez słowa. Obawiała się, że jeśli powie choć jedno, nie obejdzie się bez awantury.

– Cześć, Lace – powiedziała, siląc się na swobodny ton. – Kto wygrywa?

– On. – Lacey odpowiedziała szeptem, żeby nie zdekoncentrować Brocka, który posłał dwie bile do narożnej łuzi i wyprostował się.

– Chcesz zagrać z wygranym? – zapytał Ginę, ale ona potrząsnęła głową.

– Dzięki, nie. Przyjechałam tylko po Henry'ego, zabieram go do domu.

O wypłacie nie wspomniała. Nie miała zamiaru mówić o pieniądzach przy tym człowieku.

– Ja mogę go odwieźć – zaoferowała Lacey.

– Nie trzeba, dziękuję – powiedziała Gina. – Baw się dobrze.

Odeszła od stołu, z ulgą odwracając się od Brocka. Miała niemiłe wrażenie, że została zdradzona. Przecież wszystko wskazywało na to, że ten facet ją okradł, więc czemu Lacey spędza z nim czas?

Zastała Briana i Waltera skupionych na szachach. Henry obserwował każdy ruch figur. Kiedy jednak podeszła do ich stolika, Brian podniósł wzrok.

– Dobry wieczór, dziecino – powiedział. – Co tu robisz? Przecież masz dzisiaj wolne.

– Mam, a jakże – przytaknęła. – Ale musiałam przyjechać po wypłatę, więc przy okazji odwiozę Henry’ego do domu.

Ucieszyła się, że Henry akurat nie gra. Obawiała się, że będzie zmuszona czekać, aż starszy pan skończy partię. On i jego koledzy słynęli z tego, że grają w żółtim tempie. Nigdzie im się przecież nie spieszyło.

– Kenny mówił, że ma dla ciebie zdjęcia soczewki z Kiss River – zagadnął Walter.

– Tak, dał mi je – potwierdziła. – Chcecie zobaczyć?

Postawiła plecak na podłodze i wyjęła podwodne fotografie. Podała je Walterowi, który poprawił okulary, potem przekrzywił je na drugą stronę, a w końcu zdjął w ogóle i uniósł odbitki do samych oczu.

– Coś takiego! – zawołał. – Wspaniałe, co? Wygląda na nienaruszoną. Ledwo ją widać spod tych wodorostów.

– Powinnaś pokazać te zdjęcia Alecowi – doradził Brian. – Może się w końcu złamie, jak zobaczy, że soczewka jest cała.

– O nie, dziękuję – odparła. Przyszło jej to do głowy, ale szczerze mówiąc, bała się panicznie, żeby Alec znów jej nie zagiął z wiedzy o latarniach.

Henry uniósł głowę.

– Chcesz już iść? – zapytał.

– Jeśli można, to tak.

Starszy pan skinął głową i wstał z krzesła.

– Jedziemy – zakomenderował.

Po wyjściu z baru włożył swoją słomkową fedorę, ale w samochodzie zdjął ją z powrotem. Był człowiekiem wyjątkowo kulturalnym, ale też wyjątkowo małomównym. Gina widywała go w Shorty’s, bywał też w domu latarnika, ale dziś po raz pierwszy znalazła się z nim sam na sam. Henry był cichy, wręcz onieśmielony. Przeprosiła za zepsutą klimatyzację, a on zauważył, że w samochodzie wciąż coś stuka, i to chyba z każdym dniem coraz bardziej, ale to było w zasadzie wszystko, jeśli chodzi o rozmowę. Milczeli, a jednak nie było to krępujące milczenie. Ani trochę.

Jeszcze nigdy nie była u niego w domu, więc już na Croatan Highway musiał jej wskazywać drogę. Kiedy wyjaśniał, gdzie trzeba skręcić, domyśliła się, że mieszka nad cieśniną.

– Masz dom nad wodą? – zapytała, a Henry prychnął śmiechem.

– Dosłownie – przytaknął. – Poczekaj, sama zobaczysz.

Za ostatnim zakrętem zaczęła się droga gęsto obrosnięta drzewami, a niedługo na wprost nich wyrósł samotny dom. Gdy podjechali bliżej, Gina dostrzegła, że dosłownie zbudowano go „nad” wodą, to znaczy na palach wbitych w dno. Dotykał brzegu tylko jedną ścianą, a wzdłuż pozostałych biegł szeroki taras, pod którym szumiały fale.

Skręciła na krótki podjazd.

– Fascynująca... – zaczęła i nagle umilkła, naciskając hamulec. Na skraju podjazdu, tuż obok drogi, stała ogrodowa pagoda: wysoka, smukła kamienna wieżyczka.

– Masz pagodę – zauważyła Gina.

– Ano mam – potwierdził Henry. – Była już tutaj, kiedy się wprowadziłem.

Gina dodała gazu i podjechała jeszcze kawałek, po czym wyłączyła silnik.

– Odprowadzę cię do drzwi – zaproponowała.

– Nie trzeba. – Henry pociągnął za klamkę.

- Chciałabym zobaczyć widok z twojego tarasu.
 - No, skoro tak... – zgodził się. – Bardzo lubię ten taras.
- Wyprzedził ją i pierwszy wszedł po trzech stopniach.
- Tędy, dookoła. – Wskazał na tyły domu.

Gina poszła za nim. Niebo nad cieśniną kryło się w gęstej mgle, ale widać było wyraźnie, w którym miejscu tarcza słońca nasącza żarem mleczny opar. Pomimo słabej widoczności na wodzie było kilka żaglówek.

- Pewnie możesz tutaj podziwiać piękne zachody – powiedziała.
- Owszem. – Henry skinął głową.
- Długo tutaj mieszkasz?
- Od pięćdziesiątego trzeciego – wyjaśnił. – Spędziliśmy tutaj z żoną czterdzieści dobrych lat.

W tym domu wychował się nasz syn.

Potrząsnął głową z zadumą, jakby zapomniał o jej obecności. Gina domyśliła się, że wspomina dwoje ukochanych ludzi, których utracił.

- Świetne miejsce dla dzieciaka – dodał Henry po chwili. – Uwielbiał wodę, mały urwis.
- A jak ci się wydaje, po co poprzednim właścicielom była pagoda? – zapytała Gina z zainteresowaniem.
- Mieszkał tutaj kiedyś jeden Japończyk. Miał w domu różne orientalne ozdoby. Tej postanowiłem nie ruszać. Z czasem ją polubiłem.

Gina pokiwała głową.

– Tak, jest bardzo interesująca. – Wyobraziała sobie Bess, okrążając ukradkiem ten dom w poszukiwaniu anteny. – A czy zimą nie jest tutaj trochę zbyt odludnie? – Dom stał w takim miejscu, że wzdłuż całego wybrzeża cieśniny nie było widać innych zabudowań.

Henry zaśmiał się.

– Tutaj jest całkiem niezłe. Prawdziwe odludzie jest tam, gdzie ty mieszkasz, złotko. – Zrobił aluzję do latarni w Kiss River. – Ja przynajmniej mam pod ręką sklepy i tym podobne.

Gina odwróciła się i ruszyła w stronę schodków.

– Mogę ci jeszcze w czymś pomóc, zanim pojedę? – zapytała.

– Nie trzeba – odparł. – Zjem kraba na kolację, albo ze dwa, a potem pójde spać.

– W porządku. – Gina zeszła z tarasu na podjazd, gdzie stał jej samochód. – Miło było cię zobaczyć, Henry. – Obejrzała się i pomachała mu na pożegnanie.

Starszy pan skinął jej dłonią, otworzył drzwi, których chyba nie zamykał na klucz, i zniknął w swoim małym domku.

Gina przyjrzała się kamiennej pagodzie. Dreszcz przebiegł jej po plecach. To był dom pana Sato. Niesamowite.

* * *

Po powrocie zobaczyła na parkingu jeepa, co było o tyle dziwne, że Clay zwykle pracował do późna. Jeszcze dziwniejsze było jednak to, jak wielką, odurzającą wręcz radość sprawił jej fakt, że Clay jest w domu.

Sasza przywitał się z nią, kiedy tylko wysiadła z samochodu, i razem ruszyli w stronę domu. Claya zastali w kuchni, wyjmował właśnie piwo z lodówki. Na blacie leżał karton z dużą pizzą, a w powietrzu unosił się aromat pepperoni.

– Co ty robisz w domu o tej porze? – zapytała Gina.

– Urwałem się trochę wcześniej – wyjaśnił. – W sumie mogłem sam pojechać po Henry’ego. Wybacz.

– I tak musiałam tam zajrzeć, więc nie było problemu. – Zsunęła plecak z ramienia i położyła go na krześle przy kuchennym stole. Chciała powiedzieć Clayowi, że widziała Lacey w barze, ale po namyśle uznała, że to kiepski pomysł. Byłoby mu przykro, gdyby usłyszał, że jego siostra zadaje się z kolejnym facetem. Zwłaszcza z takim, który ma dwie trzecie ciała w tatuażach.

– Mam coś dla ciebie. – Clay otworzył swoje piwo i oparł się o szafkę.

– Pizzę?

– Nie. To znaczy owszem, pizza jest dla nas, na kolację, ale chodzi o coś innego. – Wskazał dłonią zapakowane w papier pudełko na porcelanowym blacie kuchennego stołu. – Dla ciebie jest tamto.

Zrobiła wielkie oczy.

– Zobaczyłem to i musiałem ci kupić – powiedział. – No, otwórz.

Gina usiadła przy stole, przysunęła paczkę do siebie. Miała wielkość i kształt pudełka do butów, była owinięta zielonym papierem i przewiązana cienką jak tasiemka wstążką w złote gwiazdki. Papier był zaklejony taśmą; oderwała ją i odwinęła pudełko, które okazało się być prawdziwym pudełkiem na buty. Po otwarciu rozsunęła bibułkę i otworzyła szeroko usta ze zdumienia. To była Barbie, ale hinduska Barbie, w jasnoróżowym, lamowanym złotem sari i z małą czarną bindhi, czyli kropką na czole. Gina obejrzała się na Claya, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

– To dla Rani – wyjaśnił.

W jednej chwili łzy trysnęły jej z oczu. Towarzyszyło im dziwne uczucie, będące mieszanką radości, zaskoczenia, zniechęcenia i nadziei. A także wdzięczności. Chciała podziękować, ale łzy dławili ją w gardle.

Clay usiadł obok i położył jej dłoń na ramieniu.

– Nie chciałem sprawić ci przykrości – powiedział.

Gina zakryła usta, zacisnęła mocno powieki.

– To ze... wzruszenia. Zachowałeś się cudownie. Jesteś taki dobry. – Otarła oczy wierzchem dłoni. – Prześliczna – powiedziała, wyjmując lalkę z pudełka. Sasza podszedł, obwąchał jej czarne włosy, a Gina musnęła palcami długą wielobarwną bluzkę ćoli, złote buciki. – Gdzie ją znalazłeś?

– W internecie.

Potrząsnęła głową, a potem zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się mocno do niego. Jego skóra pachniała wodą po goleniu, a subtelna, piżmowa woń sprawiła, że Gina zapragnęła pozostać w jego objęciach jakiś czas, lecz nagle, całkiem niespodziewanie, odczuła przemożną potrzebę, aby zostać sama. Chciała pomyśleć. Cofnęła ręce, wstała.

– Bardzo ci dziękuję, Clay – powiedziała, odkładając lalkę z powrotem do pudełka i podnosząc je ze stołu. – Pójdę teraz na chwilę na górę.

Widać było, że jest zaskoczony.

– A pizza? – zapytał.

– Może później – odparła. – Jeszcze raz dziękuję.

Poszła do swojego pokoju – do pokoju Bess – i wyjąwszy lalkę z pudełka, posadziła ją na komodzie, a potem wsunęła się pod kołdrę. Prawdę mówiąc, nie przepadała za Barbie, ale ta była inna, wyjątkowa. Gina przyjrzała się jej, po czym odwróciła głowę w drugą stronę, aby zobaczyć ceglany mur latarni, na tle ciemniejszego nieba bardziej szary niż biały. I znów się rozplakała.

Weź się w garść, upomniała się w duchu. To na tym musiała się skupić. Na latarni. I na swojej córeczce. Nie na mężczyźnie, który troszczył się o nią na tyle, żeby pomyśleć o prezencie, i który potrafił zrozumieć, jak bardzo tęskni za swoim małościem, i podzielał jej tęsknotę jak mało kto.

Rozdział trzydziesty czwarty

Następnego dnia, późnym popołudniem, Clay odebrał w pracy telefon. Dzwoniła Gina.

– Jestem w warsztacie samochodowym, niedaleko trzeciego słupka milowego – powiedziała. W tle słychać było jakiś warkot.

– Co się stało? – zapytał.

– Mój samochód nie chciał zapalić, kiedy wyszłam z pracy. Zadzwoiłam do warsztatu i przyholowali mnie tutaj.

Clay i tak się dziwił, że auto Giny dało radę przejechać z jednego końca kraju na drugi. Nie byłby zaskoczony, gdyby ta trasa okazała się jego łabędzim śpiewem.

– Dzwoniłam do Lacey, ale jej nie zastałam – ciągnęła Gina. – Mógłbyś po mnie podjechać w drodze powrotnej? Byłbyś tak miły?

Clay rzucił okiem na kalendarz. Był umówiony z klientem w Southern Shores i zamierzał wyjść za pół godziny.

– Mógłbym, ale po drodze do domu mam jeszcze spotkanie. Jeśli chciałabyś wybrać się ze mną, to mogę...

– W porządku – zgodziła się. – I przepraszam za kłopot.

– Do zobaczenia – powiedział Clay i rozłączył się.

Poprzedniego wieczoru miał nadzieję, że wieczór przebiegnie zupełnie inaczej. Jej zachwyt i radość z prezentu musiała być szczerą, tego był pewien, nie spodziewał się natomiast, że się rozklei, zaszyje w swoim pokoju i już stamtąd nie wyjdzie. Zjadł całą pizzę sam. A gdy rano zszedł na dół, Gina zdążyła wyjść do pracy. Martwił się o nią do tego stopnia, że zadzwonił do Shorty's i zapytał, czy niechcący jej czymś nie uraził, ale zapewniła go, że wszystko jest w porządku.

– Po prostu miałam długi dzień – wyjaśniła. – Musiałam się położyć.

Mimo to nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że popełnił błąd, dając jej Barbie.

Przyjechał do warsztatu i pogadał chwilę z mechanikami o problemach z samochodem Giny. Znał tych chłopaków i wiedział, że są uczciwi, nie naciągają kobiet, ale pomyślał, że mimo wszystko nie zaszkodzi pokazać się i dać znać, że trafiła do nich jego znajoma.

– Przy okazji naprawcie też klimę – poprosił na koniec, kiedy zbierali się już do wyjścia.

– Clay, ja nie mam tyle pieniędzy – szepnęła mu Gina.

– Naprawcie klimę – powtórzył, a potem odwrócił się do niej: – Biorę to na siebie.

Milczała, kiedy szli do jeepa.

– I tak już dużo dla mnie zrobiłeś – odezwała się w końcu.

– Potrzebna ci klimatyzacja. – Otworzył przed nią drzwi. – A mnie na to stać.

Siadając za kierownicą, zauważył, że Gina jest spocona. Chłodną mgiełkę, tak miłą poprzedniego dnia, zastąpił wściekły upał.

– Nie chcę, żebyś czuła się wobec mnie zobowiązana w jakikolwiek sposób – zapewnił.

– Wiem – odpowiedziała miękko.

Dopytał ją jeszcze trochę o stukanie w samochodzie, starając się dopasować to, co mówiła, do jej obecnych problemów z autem. Gina nagle mu przerwała, wskazując szereg sklepów, które mijali.

– Lacey! Tam!

Clay obejrzał się przez ramię.

– Nie zdążyłeś – powiedziała. – Weszła do sklepu z jakimś facetem.

– Ona i ci jej faceci – jęknął. – To był Josh, mam nadzieję? Albo chociaż przynajmniej ktoś znany ci z widzenia?

– Nie. Jakiś nowy – odparła Gina. – Znacznie starszy. Miał kucyk i...

Clay zaśmiał się z ulgą.

– To był Tom. Jej ojciec.

– Jej... Aha! Zapomniałam, że Alec nie jest jej biologicznym ojcem.

– Lacey spędza z Tomem sporo czasu – wyjaśnił, ciesząc się niepomiernie, że to był właśnie on, a nie kolejny bezimienny kochanek.

Gina przez chwilę majstrowała przy wylocie klimatyzacji.

– Nie rozumiem jednej rzeczy – wyznała. – Twoim ojcem jest Alec, ale ty jesteś starszy od Lacey, więc...

– Moja matka miała przelotny romans z Tomem. – Clay zacisnął zęby. Nie mógł wyobrazić sobie, że jego matka zdradza ojca. Sama myśl o tym była nie do zniesienia. – Zaraz po ślubie ojciec musiał często jeździć za pracą. Mama była młoda, wrażliwa i chyba czuła się opuszczona. Ale ich związek był mocny. Poradzili sobie z tym.

– To dobrze – ucieszyła się Gina. – Dla mnie niewierność to poważny problem.

Wydawało mu się, że powinien teraz ją zapytać, co przez to rozumie. Tego typu uwaga mogła być zachętą do rozwinięcia tematu, ale on jakoś nie potrafił się zmusić, aby zadać takie ciężkie, osobiste pytanie, i w rezultacie przez kilka minut panowało niezręczne milczenie.

– Co masz zrobić dla tego klienta? – zapytała wreszcie Gina, kiedy dojeżdżali już do Southern Shores.

– To właściwie jest para, Joe i Fiona Reikerowie, nasi dawni znajomi. Terri i moi – uściślił. Nie widział ich od pogrzebu. – Mają stary domek w Southern Shores i chcą, żebym go trochę unowocześnił.

– Mogę wejść z tobą do środka? Chciałabym zobaczyć cię przy pracy.

– Nie wiem, czy to będzie interesujące – uśmiechnął się. – Ale oczywiście, możesz wejść ze mną. Przecież nie zostaniesz w aucie w takim upale.

Skręcił na długi podjazd prowadzący do domu na wybrzeżu oceanu. Dom zbudowano w wiejskim stylu, który nigdy nie współgrał najlepiej z płaskimi dachami Southern Shores. Clay już od dobrych kilku lat miał różne pomysły na jego renowację i cieszył się, że Reikerowie wreszcie się zdecydowali.

Wszedł do środka i nieoczekiwanie poczuł się skrępowany. Dziwnie było zobaczyć Joego i Fionę, zamiast Terri mając przy sobie Ginę. Fiona była najbliższą przyjaciółką jego żony. Oplakiwała ją prawdopodobnie nie mniej niż on sam. Przedstawił Reikerom Ginę, mając nadzieję, że nie pomyślą, że coś go z nią łączy. Że potrafił tak szybko zacząć nowe życie. Wyjaśnił, dlaczego z nim przyjechała, opisując sprawę znacznie bardziej szczegółowo, niż mogliby sobie życzyć, i chociaż widział, że Gina jest zakłopotana, znalazłszy się nagle w centrum uwagi, to wydawało się, że ciekawość znajomych została zaspokojona. Oprowadzili

ich po domu, a on zrobił zdjęcia, pomiary i omówił z nimi, co chcieliby zmienić. Była to zwyczajna wizyta u klienta. Nie wydarzyło się nic niespodziewanego – aż do momentu, kiedy już stali pod drzwiami i zaraz mieli wyjść.

Fiona uściskała Claya na pożegnanie. Trwało to dobrą chwilę. Gina trzymała się z boku.

– Clay, posłuchaj... – Przyjaciółka Terri wypuściła go z objęć, ale dłonie wciąż trzymała na jego ramionach. W oczach miała łzy. – Nigdy nie rozmawialiśmy o dziecku.

– O dziecku?

Poczuł się jak idiota. O co jej chodziło?

– No, wiesz. Terri powiedziała ci, że jest w ciąży, a kilka dni później umarła. To musiał być dla ciebie podwójny cios. Bardzo ci współczuję.

Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

– Dziękuję. – Skinął głową z obojętną miną, maskującą nagły zamęt, który opanował jego myśli.

Kiedy doszli do jeepa, twarz miał już rozpaloną i bał się, że zaraz zwymiotuje. Oparł się ciężko o drzwi po stronie kierowcy, a tymczasem Gina wsiadła do środka. Terri była w ciąży, myślał. Kiedy zamierzała mi o tym powiedzieć?

Gina przez całą drogę do domu nie odezwała się ani słowem. Clay praktycznie nie zapamiętał, że w ogóle z nim jechała, bo układał sobie w pamięci wszystkie wydarzenia tamtych kilku dni przed śmiercią Terri. Zasadniczo mogłaby mu nawet powiedzieć, że urodzi trojaczki, a jego by to nie obeszło. Miał wtedy inne sprawy na głowie.

Kiedy stanęli przed łańcuchem wiszącym w poprzek drogi prowadzącej do domu latarnika, Clay odpiął pas, aby wysiąść, ale Gina miała już w dłoni swój klucz; wyskoczyła z jeepa, otworzyła kłódkę i wróciła na miejsce. Clay ruszył dalej, starając się omijać wyboje.

– Coś cię gryzie – odezwała się, kiedy samochód zatrzymał się na parkingu.

– To nic. – Zbył ją, czując wyraźnie, że się zamyka, wycofuje; to znajome uczucie przyniosło mu pociechę. Przypomniał sobie jednak, co radził mu ojciec: „Otwórz się przed nią”. A potem w uszach zabrzmiały mu słowa Terri: „Jesteś emocjonalnym inwalidą. Nic na to nie poradzisz. Tacy są mężczyźni”.

Wyłączył silnik. Samochód momentalnie wypełnił się gorącym powietrzem.

– Tak – przyznał, odwracając się do Giny. – Coś mnie gryzie.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Westchnął. Pomasażował palcami skronie. I w końcu przytaknął.

– Chodźmy do latarni – zaproponował.

Gdy stanęli pod wieżą, niebo miało kolor sinofioletowy, ale w środku czerniała już noc. Wspięli się po kręconych schodach, sunąc dłońmi po poręczy. Na jednym podeście Gina musiała zrobić przystanek, żeby złapać oddech. Clay czekał, oparty o chłodny ceglany mur. Na szczycie usiadł obok niej i zastanawiał się, jak zacząć tę rozmowę, ale ona go wyręczyła.

– Coś cię zmartwiło u Reikerów – zauważyła.

Odwrócił głowę i wbił wzrok w wodę. Było już za ciemno, aby dostrzec boję, ale orientował się mniej więcej, gdzie leży soczewka, i patrzył w tamtym kierunku.

– Nie wiedziałem, że Terri jest w ciąży – wręcz wypluł to z siebie.

– Tak mi się wydawało. – Pokiwała głową. – Zobaczyłam to w twoich oczach, kiedy Fiona powiedziała o dziecku. Dowiedzieć się w taki sposób... Musi cię to bardzo boleć.

– Wiesz, jak umarła Terri? – Zerknął na nią z ukosa. Na jej policzkach kładł się purpurowy odbłask wieczornego nieba.

– Lacey powiedziała mi, że zginęła w wypadku. Czy to ty prowadziłeś?

W pierwszej chwili Clay nie zrozumiał pytania.

– Aha. – Skojarzył wreszcie. – Nie. To nie był taki wypadek.

Gina cierpliwie poczekała, żeby zaczął mówić dalej.

– Terri była wspaniałą żoną – powiedział. – Ja jako mąż byłem zdecydowanie gorszy.

– Miałeś romans? – zapytała, przypominając sobie własne słowa sprzed kilku godzin: „Dla mnie niewierność to poważny problem”.

– Miałem. – Uśmiechnął się smutno. – Ale nie taki, jak myślisz. Miałem romans z moimi pasjami: pracą z psami, nurkowaniem, windsurfiem, architekturą. I miałem też romans z moim wielkim, wybujałym ego. Poświęcałem Terri za mało uwagi, potrzebowała ode mnie więcej. A do tego uważałem, że to wszystko mi się należy. – Wpatrywał się w horyzont, po którym wolno sunęły światła płynącego statku. – Nie byłem dla niej odpowiednim mężem. Potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać o... No wiesz, faceta, o jakim marzą kobiety. Żeby umiał mówić o tym, co czuje. Żeby nie patrzył nieobecny wzrokiem, kiedy kobieta opowiada o swoich uczuciach. Żeby nie zasypiał na babskich filmach.

Gina zaśmiała się lekko.

– Od tego są przyjaciółki. – Położyła mu dłoń na plecach. – Wiesz co? Jesteś jednym z najmiłszych facetów, jakich znam. A twój związek z Terri trwał długo. Po jakimś czasie spędzonym razem ludzie zaczynają myśleć, że to wszystko, co dostają od partnera, po prostu im się należy. Ale mieliście wspólną pasję, prawda? Pracę poszukiwawczo-ratowniczą z psami?

Clay potrząsnął głową.

– Tak się wszystkim wydawało, ale ta praca była pasją wyłącznie moją. Zacząłem zaraz po studiach, mniej więcej po ślubie. Sasza, jak się okazało, miał talent, a ja skończyłem różne kursy i naprawdę wciągnęła mnie praca z psami ratowniczymi. Terri zmusił do tego głównie instynkt samozachowawczy. Wiedziała, że inaczej w ogóle nie będziemy się widywać. A ja myślałem tylko o sobie.

– Ale podobało jej się to czy nie? – Gina cofnęła rękę, a jemu zrobiło się żal, że już nie czuje jej dotyku. – To znaczy kiedy w końcu się tym zajęła?

– Mnie zawsze podobało się bardziej.

– Wiesz co, Clay? Chyba jesteś dla siebie zbyt surowy.

Przez chwilę milczał.

– Czuję się odpowiedzialny za jej śmierć – wyrzucił wreszcie z siebie, ku własnemu zaskoczeniu. Jeszcze nigdy nie powiedział tego na głos.

– Co? Dlaczego?

– Bo... – Nie wiedział, jak to wytłumaczyć. – Stałem się słynnym psim treserem i woda sodowa uderzyła mi do głowy – zaczął. – Zgłosili mnie do programu o psach poszukiwawczo-ratowniczych w Discovery Channel. Byłem dumny jak paw i kompletnie mi odbiło, nie myślałem o niczym innym. Ekipa miała przyjechać we wtorek po Święcie Dziękczynienia⁸ i sfilmować mnie podczas pracy z Saszą, ale w poniedziałek dostałem wiadomość, że na Florydzie zawalił się budynek i obaj jesteśmy tam potrzebni. Ludzie z Discovery powiedzieli, że mogą przyjechać na zdjęcia tylko we wtorek. Miałem wrażenie, że jest im to obojętne i równie dobrze mogą nakręcić innego tresera. Poprosiłem więc Terri, żeby poleciała na Florydę ze swoją suką Kawką. Wiedziałem, że nie ma ochoty. Jestem przekonany, że naprawdę lubiła treningi z psami, same treningi, ale przeszukiwanie miejsca, gdzie rozegrała się tragedia, strasznie ją

dołowało. Nie znosiła widoku krwi, zmasakrowanych ciał, a przede wszystkim tego, że znajduje się martwych ludzi, a nie żywych. Nie radziła sobie z ludzkim cierpieniem.

Przypomniał sobie, jak za każdym razem po powrocie z poszukiwań jego żonę przez całe tygodnie dręczyły koszmary, aż wreszcie powiedziała mu, że nie chce już więcej tego robić. „Wydaje ci się”, zbył ją i jej uczucia, bo nie pokrywały się z jego oczekiwaniami; on chciał, żeby czuła inaczej.

– Terri się zgodziła – powiedział. – Wiem, że powinienem to z nią przedyskutować. Zdawałem sobie sprawę, że ona wcale nie chce tam lecieć, ale kiedy już się zgodziła, przestałem jej słuchać. Miałem ciekawsze rzeczy do roboty, musiałem przecież dopieścić swoje ego.

Gina milczała. Dłonie trzymała nieruchomo na nagich kolanach. Clay był ciekawy jej myśli.

– Ekipa przyjechała na zdjęcia – ciągnął – ale kiedy rozstawiali sprzęt, zadzwonił ktoś z Florydy. Zawaliła się część budynku, którą przeszukiwały Terri i Kawka. Obie zginęły pod gruzami.

– O Boże... – westchnęła Gina. – To straszne.

Clay cieszył się, że zapada zmrok i nie widać emocji malujących się na jego twarzy.

– Dwa miesiące później – podjął – robiłem porządki na jej laptopie i znalazłem mejl, którego wysłała w dniu wyjazdu do znajomej z Teksasu. Pisała jej, że nie chce lecieć na Florydę, że zupełnie nie ma ochoty znowu zmuszać siebie i swojego psa do takich rzeczy. Wiedziała, że będzie mieć potem koszmary. A jednak, mimo wszystko, była szczęśliwa, że może mi pomóc, bo... – Wziął głęboki oddech, czując, że za chwilę załamie mu się głos. – Bo była ze mnie bardzo dumna i cieszyła się, że w końcu zdobyłem zasłużone uznanie.

– Nie napisała tamtej znajomej, że zaszła w ciążę? – zapytała Gina.

Clay potrząsnął głową.

– Pewnie dopiero się o tym dowiedziała. I dlatego mi nie powiedziała. Zdawała sobie sprawę, że inaczej sam polecę na Florydę i przypadnie mi program na Discovery Channel.

– Zrobiłbyś tak, prawda? Poleciałbyś zamiast niej?

– Tak! – zawołał. Oddałby wszystko za drugą szansę. Żeby podjąć właściwą decyzję. Nie jestem przecież potworem, pomyślał, zaciskając mocno powieki. Nagle przypomniało mu się wyznanie Fiony. – Nie mogę uwierzyć, że miałem zostać ojcem.

– Chciałeś tego?

Przytaknął.

– Oboje tego chcieliśmy. Staraliśmy się o dziecko, ale jakoś nie wychodziło. – Głos uwiązł mu w gardle.

Gina objęła go ramionami. Coś w nim wtedy pękło i zaczął płakać, a ona kołysała go lekko, bardzo delikatnie, trochę jak siostra, trochę jak matka, ale przede wszystkim – wierna i godna zaufania przyjaciółka. Tak minęło trochę czasu, aż wreszcie Clay uniósł głowę opartą o jej ramię, a ona rozplotła palce. Dopiero wtedy dostrzegł, że w jej oczach też błyszczą łzy.

– Przepraszam. – Uśmiechnął się, muskając opuszkami jej mokre policzki. – Płaczesz przeze mnie.

– Nie szkodzi. – Odpowiedziała uśmiechem.

– Nikt nie wie, że to ja wysłałem Terri na Florydę – wyznał. – Nikt oprócz ciebie. Nie chciałem cię tym obarczać.

– Nic się nie stało – odparła. – Cieszę się, że to zrobiłeś.

– Chodźmy stąd. – Clay wstał ze stopnia i wyciągnął rękę, aby jej pomóc.

Ostrożnie zeszli po kręconych schodach, a później przecięli podwórko. W drzwiach domu

latarnika Gina położyła dłoń na ramieniu Claya.

– W jednej kwestii Terri się myliła – powiedziała.

– W jakiej?

– Potrafisz rozmawiać o uczuciach.

[8](#) W Stanach Zjednoczonych Święto Dziękczynienia obchodzi się w czwarty czwartek listopada.

Rozdział trzydziesty piąty

Gina w szlafroku siedziała po turecku na łożku. Trzymała w dłoni lalkę od Claya. Uchyliła szerzej okna, ale noc była tak gorąca i parna, że oceaniczna bryza niosła tylko odrobinę orzeźwienia. Po raz pierwszy myśli Giny nie krążyły wokół Rani i soczewki na dnie morza. Tam wysoko, na schodach latarni, na jedną krótką chwilę zapomniała o własnym cierpieniu i podzieliła z Clayem jego ból. Stracił żonę, stracił dziecko. Stracił swoją przyszłość. Wciąż słyszała jego przepełniony udręką głos. Jak to możliwe, że żona zarzucała mu chłód, nieczułość?

Po raz pierwszy od lat Gina zapragnęła mieć w ramionach mężczyznę, spleść ciało z jego ciałem. Chciała obudzić się bezpieczna w jego objęciach. Do tej pory tylko sobie wyobrażała, jak to jest, bo jeszcze nigdy nie zaznała naprawdę tego poczucia bezpieczeństwa i straciła już nadzieję. A teraz wydawało jej się, że pod tym dachem, w jednym z sąsiednich pokoiów, może znaleźć ukojenie i odwzajemnić się tym samym.

Wstała z posłania, zaciągnęła mocniej pasek szlafroka i otworzyła drzwi pokoju. W korytarzu było ciemno i cicho, tylko z oddali dobiegał nigdy niecichnący szept fal oceanu. Odwagi, powiedziała sobie i zrobiła pierwszy krok. W najgorszym wypadku powie, żebyś wyszła. Słyszałaś już w życiu gorsze rzeczy.

Cicho stawiając kroki, przeszła korytarzem, zapukała do drzwi Claya, lekko, żeby Lacey nie usłyszała.

– Tak?

– Clay, to ja, Gina – powiedziała. – Mogę wejść?

Nie odpowiedział od razu. Czekala, przygryzając wargę.

– Wejść – odezwał się wreszcie.

Gina otworzyła drzwi. W pokoju było całkiem ciemno, tylko w poprzek łożka kładł się prostokąt księżycowego światła. Zobaczyła Claya: siedział oparty o wysokie wezglowie z kutego żelaza, nagi do pasa, okryty tylko lekką letnią kołdrą, złożoną w nogach łożka. Sasza przydreptał do Giny, wkręcił łeb pod jej opuszczoną dłoń.

– Wszystko w porządku? – zapytał Clay.

Teraz, kiedy już znalazła się w jego pokoju, nagle poczuła się skrępowana. Przywiodła ją tutaj jedna chwila refleksji; przeżyła ją w czterech ścianach własnego pokoju, z daleka od niego. A przecież mogła źle zrozumieć to, co się stało niedawno w latarni. Może Clay tylko miał potrzebę zwierzyć się komuś, a ona wzięła to za autentyczną, intymną bliskość. Tak czy inaczej, przyszła do niego, znalazła się w jego pokoju. Musiała wyrzucić z siebie tych kilka słów i zmierzyć się z konsekwencjami.

– Chciałam zapytać, czy mogę położyć się z tobą – powiedziała, zanurzając palce głęboko w futrze Saszy.

Clay uniósł wzrok. Blask księżycy odbijał się w jego bladych oczach, błędził po wargach, na których Gina dostrzegła lekki, ledwo widoczny uśmiech. Trwało to chwilę.

– Proszę. – Uniósł kódrę i wyciągnął do niej rękę.

Podąła mu dłoń i wsunęła się pod przykrycie, a gdy go objęła i poczuła słony zapach jego skóry, rozplakała się. Jaki był powód tego płaczu – nie umiałaby powiedzieć.

Clay otulił ją ramionami, tak samo jak ona jego na schodach. Poczwała, jak gładzi ją po głowie, całuje w czoło.

– Już dobrze – szepnął, chociaż nie mógł wiedzieć, skąd wzięły się jej łzy. – Już dobrze.

Trwali tak jakiś czas, a potem Clay odsunął się lekko, spojrział Ginie w oczy i pochylił głowę, by odnaleźć ustami jej usta.

Osunęli się niżej na posłanie, a gdy leżeli już obok siebie, pociągnął za pasek jej szlafroka i rozchylił poły. Pod spodem miała całkiem sporo odzieży: T-shirt i spodenki do spania.

Roześmiał się cicho i uniósł na łokciu, żeby zobaczyć to lepiej.

– A co ty masz na sobie? – zapytał, przeciągając dłonią po jej żebrach, okrytych cienką bawełną.

– Wybacz mało elegancki strój – zachichotała. – Nie planowałam robić takich rzeczy.

Clay powoli uniósł dłoń i obiegł palcami jej pierś. Ten jeden przelotny dotyk pozostawił potężny niedosyt.

– Ale widzę, że to na pewno ostatnia warstwa – mruknął, muskając kciukiem jej sutek, tak delikatnie, jakby to było całkiem przypadkowo. Gina wstrzymała oddech. – Dalej jesteś już tylko ty – powiedział. – Cudowna ty.

Pochylił głowę i pocałował ją znowu. Ten pocałunek trwał i trwał, aż w pewnej chwili Gina poczuła, że jej ciało otwiera się przed nim.

Oboje mieli przerwę, on kilkumiesięczną, a ona – kilkuletnią. Nie spodziewała się, że znów tego zapragnie, ale stało się. Zapomniała już, co czuje kobieta, gdy kochanek powoli zsuwa z niej ubranie, dotyka jej delikatnie, zmysłowo, pieści głodnymi wargami jej usta, piersi, szyję, płatki uszu, uświadamiając na nowo, że każdy punkt ciała łączy się z tym jednym miejscem, nisko, w dole brzucha, tam, gdzie chce go poczuć. Jak mogło mi się wydawać, myślała, że już nigdy tego nie zapragnę?

A gdy miała go już w sobie, poruszał się powoli, powtarzając jej imię. Mocno oplotła ramionami jego barki, rozkoszując się tą chwilą. Bliskość była cudowna. I cudowny był on.

Kiedy doszedł, nie mogła mieć najmniejszych wątpliwości, że to już. Jej mąż przeżywał to tak bezgłośnie, że czasami nie była pewna, ale Clay szczytował z jękiem, podrywając ciało w gwałtownym spazmie. Gdy opadł na nią z powrotem, czuła, że bardzo uważa, aby jej nie przygniść, i znów jej oczy napełniły się łzami.

Przez jakiś czas leżeli w milczeniu. Potem Clay obrócił się na bok, ale objął ją jedną ręką, a nogę położył na jej udzie, jakby nie chciał jeszcze odrywać się od niej. Uniósł głowę i spojrział na Ginę, przesuwając palcem po jej wargach.

– Nie zdążyłaś dojść – powiedział. – Przepraszam. Nie mogłem już dłużej się powstrzymać.

Zaśmiała się cicho.

– Cieszę się, że nie próbowałaś, bo to by trwało bardzo, bardzo długo. Dla mnie to nie jest takie proste. I nigdy nie dochodzę w ten sposób.

Wyznanie przyszło jej z trudem, ale to była ich noc szczerości.

– Aha. – Clay zrozumiał. – Czemu nie powiedziałaś?

– I tak było cudownie. Chciałam tylko twojej bliskości.

– Może i tak – mruknął. – Ale dostaniesz coś więcej.

Pocałował ją delikatnie, a potem zsunął się niżej, aż poczuła jego głowę pomiędzy udami.

Pierwsze dotknięcie języka zaparło jej dech w piersi. Przeżyła to dotąd tylko z jednym mężczyzną – ze swoim mężem, ale nie więcej niż kilka razy, bo narzekał, że to trwa „zdecydowanie zbyt długo”, i oczywiście im więcej narzekał, tym dłużej musiał się starać. Tej nocy jednak zajęło jej to znacznie mniej czasu. Clay miał naprawdę złote usta.

Po wszystkim leżeli w milczeniu, mocno przytuleni, ale wreszcie Gina zaczęła się martwić, że Clay nic nie mówi. Zdawała sobie sprawę, że w gorącej chwili można zrobić coś, czego momentalnie się żałuje, kiedy tylko temperatura opadnie.

– Clay, proszę cię, nie miej wyrzutów sumienia. – Położyła dłoń na jego piersi. – Proszę. Nie chcę, żebyś się czuł...

Odchylił lekko głowę i przykrył palcami jej usta.

– Nie jest mi z tym źle – odparł, po czym zaśmiał się cicho: – A prawdę mówiąc, wręcz cudownie. Podobało mi się, że umiałaś mi powiedzieć o swoich potrzebach.

Gina też się uśmiechnęła i wtuliła w niego z powrotem. Skoro to noc szczerości, pomyślała, to mam ci więcej do powiedzenia. Znacznie więcej, chociaż i tak pewne rzeczy muszę przemilczeć.

– Dzisiaj, na wieży, byłeś ze mną szczery – zaczęła. – Chciałabym teraz powiedzieć ci coś o sobie. Coś, co do tej pory ukrywałam przed tobą i przed wszystkimi.

Clay odsunął palcami wilgotny kosmyk włosów z jej czoła.

– Dobrze – szepnął. – Słucham.

Gina przycisnęła mocno usta do jego nagiego ramienia. Od czego tu zacząć? – pomyślała.

– Moja matka była adoptowana.

– Czy to miało na ciebie jakiś wpływ, kiedy zainteresowałaś się adopcją?

– Tak – przyznała. – Ale niewielki. Mama trafiła do rodziny adopcyjnej jako noworodek. Była jedynym dzieckiem pary, która mieszkała tutaj, w Karolinie Północnej.

– W Karolinie Północnej? – powtórzył Clay, zaskoczony.

– Tak. Chyba w Raleigh. Nie pamiętała dobrze swojej adopcyjnej matki, która umarła, gdy moja mama była jeszcze bardzo mała. Natomiast jej przybrany ojciec... Nie, nie znęcał się nad nią, ale po śmierci żony chyba się załamał. Zabrał moją mamę i przeprowadził się do Bellingham. Nie wiem dlaczego. Chyba dostał tam pracę. Nie wiem konkretnie jaką, ale na pewno fizyczną. Miał problem z alkoholem i z hazardem: przegrywał wszystko, co zarobił. I chociaż jego samego mama nie musiała się bać, to niektórzy z jego kumpli do gry nie umieli trzymać rąk przy sobie, a on nie robił nic, żeby ich powstrzymać.

Uniosła głowę. Clay leżał z otwartymi oczami i błędnym wzrokiem po suficie.

– Nie zgubiłeś się? – zapytała.

– Nie, spokojnie.

– Tamten człowiek traktował moją mamę jak powietrze – podjęła, kładąc mu głowę na ramieniu. – Nazywał ją kulą u nogi, więc kiedy miała siedemnaście lat, wyszła za swojego chłopaka z liceum, głównie po to, żeby uciec od ojca. Ale okazało się, że jej mąż też pije. Najwyraźniej wybrała to, co znane, bo nigdy nie miała innego życia. On chciał mieć dzieci, ale gdy kilka razy poroniła, znudziła mu się i wystąpił o rozwód.

Przywarła do Claya jeszcze mocniej, czując, jak znów budzi się w niej stara złość na cały męski ród.

– Przez kilka lat była sama – ciągnęła. – Znalazła pracę jako woźna w podstawówce. I poznała Damona. Zamieszkali razem, zaszła w ciążę i urodziła mnie. Ślubu nigdy nie wzięli. Damon – w ogóle go nie pamiętam – czuł się uwiązany w domu, z kobietą i dzieckiem, tak przynajmniej mówiła mama. Zostawił nas, kiedy miałam rok, a dwa lata później rozbił się na motorze i zginął.

– Współczuję ci – powiedział Clay.

Zbyła to wzruszeniem ramionami.

– Miałam wspaniałą mamę. Umiała zastąpić oboje rodziców. Kiedy dorastałam, ona dalej była woźną, w szkole, do której chodziłam. Dzieciaki ją uwielbiały. Nigdy się nie wstydziłam, że moja matka jest tylko woźną. Tak naprawdę nie wiedziałam, że może być inaczej. Była ciepła, życzliwa i zabawna. Mieszkałyśmy w bloku, który z zewnątrz pewnie byłby dla niektórych obscurny, ale u nas zawsze było czysto i ładnie. Mama kupowała resztki i szyła z nich piękne zastony i różne rzeczy.

Gina zabrała na chwilę rękę z piersi Claya i objęła się ramionami. Brakowało jej matki, Boże, jak bardzo!

– Zimno ci? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała, ale przywarła do niego mocniej. – Mama poświęcała mi prawie cały swój czas i energię. Po rozstaniu z moim ojcem nigdy nie wyszła za mąż i nie związała się już z nikim na stałe. Kiedy poszłam do szkoły, odpuściła sobie mężczyzn całkowicie.

– To zrozumiałe – mruknął Clay.

– Właśnie – przytaknęła. – Tak więc byliśmy same przeciwko całemu światu. Tak przynajmniej nam się wydawało. Poza tym nie miałyśmy ani jednego krewnego, dalszej rodziny, nikogo. Mama goniła mnie do nauki, nie chciała, żebym skończyła tak jak ona. Była niesamowicie dumna, że zostałam nauczycielką.

Clay nie mówił nic, ale wiedziała, że słucha jej uważnie.

– A ja... – zająknęła się. – Skończyłam tak, że wyszłam za chłopaka poznanego na studiach. Miał na imię Bruce i był cudowny. Takie sprawiał wrażenie. Nawet moja mama go lubiła, a przecież była uprzedzona do mężczyzn jak mało kto. Ufałam mu bezgranicznie. Koniecznie chciałam założyć rodzinę. Spełnić moje jedyne życiowe marzenie. Rodzina. Zawsze miałam tylko mamę. To między innymi dlatego teraz tak bardzo zależy mi na Rani. Chciałabym myśleć, że robię to tylko dla niej, żeby jej pomóc, ale jest w tym też moja potrzeba. Chcę ją mieć.

– Wszystko zaplanowaliśmy – mówiła dalej. – Postanowiliśmy poczekać z dzieckiem do trzydziestki, kiedy zdobędziemy już pozycję zawodową i odłożymy trochę pieniędzy. Tylko że nagle moja mama zachorowała. Dwa lata temu. Diagnoza brzmiała: rak piersi z przerzutami do płuc. Wiedziałam, że ona umiera.

Clay objął ją mocniej, a ona przycisnęła wargi do jego szyi. W rogu pokoju Sasza pochrapywał z cicha.

– Postanowiliśmy, że zamieszka z nami i będziemy się nią opiekować. Nie miała przecież żadnej innej rodziny, a ja nie chciałam oddać jej do domu opieki. Miała dopiero pięćdziesiąt siedem lat. Mój mąż się zgodził. Myślałam: jakie to szczęście, że znalazłam takiego faceta. Aż pewnego dnia dowiedziałam się od przyjaciółki, że Bruce ma romans z jedną z jej znajomych, której ja nigdy w życiu nie widziałam.

– O cholera, to dlatego niewierność jest dla ciebie takim problemem? – domyślił się Clay.

– Tak. Tamta kobieta opowiadała mojej przyjaciółce, że jestem złą żoną, bo ściągnęłam do domu swoją matkę. „Który facet chce mieszkać z teściową, kiedy ma dopiero dwadzieścia osiem lat? ”, tak powiedziała. Ale przecież Bruce nigdy nie mówił, że mu to przeszkadza. To między innymi dlatego tak cię podziwiam, Clay – za opiekę nad Henrym.

Clay uniósł rękę do piersi, odszukał jej dłoń i uściśnił mocno.

– Słuchałam tego wszystkiego tak, jakby chodziło o jakiegoś zupełnie innego człowieka. W ogóle nie byłam w stanie wyobrazić sobie, że Bruce ma romans, absolutnie to do niego nie

pasowało. Ale przekonałam się, że to prawda.

Jej przyjaciółka usłyszała także od tamtej kochanki, że Bruce czuł się przy Ginie „niepełnym mężczyzną”, bo nigdy nie miała z nim orgazmu. Ale tego nie umiała wyznać Clayowi, bo wciąż jeszcze za mocno ją to bolało.

– Zapytałam Bruce’a – podjęła. – A on przyznał, że już mnie nie kocha, ale nie wiedział, jak mi o tym powiedzieć. A tamten romans zaczął się tydzień po naszym ślubie.

– Och, Gina... – westchnął Clay ze współczuciem.

– I tak się rozstaliśmy, a ja uznałam, że lepiej mi będzie bez faceta.

– Wcale ci się nie dziwię.

– Tyle że to nie był koniec moich problemów. Okazało się, że Bruce w tajemnicy przede mną wydawał pieniądze. Kupował tamtej kobiecie biżuterię, fundował jej drogie wakacje, a mnie mówił, że wyjeżdża w interesach i tak dalej. A kiedy się rozstaliśmy, połowa jego długów przeszła na mnie. Straciłam wszystkie oszczędności. Kiedy zaczęłam się ubiegać o adopcję Rani, długi były już spłacone. Udało się, ale zostałam bez grosza.

– A twój adwokat nie dał rady cię przed tym obronić?

– Niestety, nie. – I równie dobrze mu poszło, kiedy trzeba było wydostać Rani z Indii, pomyślała z wyrzutem. – A tymczasem moja mama, pomimo chemioterapii, coraz bardziej zapadała na zdrowiu. Wzięłam urlop, żeby się nią opiekować. Hospicjum nam pomagało, ale większość musiałam robić sama i czułam się... – Umilkła na chwilę, próbując przypomnieć sobie gmatwaninę sprzecznych uczuć z tamtego okresu. – Byłam nieszczęśliwa, że ona odchodzi, ale równocześnie cieszyłam się, że mogę jej pomóc. Że to ja mogę się nią opiekować.

– Świetnie do tego podeszłaś – powiedział Clay, a Gina się uśmiechnęła. Czy naprawdę jego żona uważała, że on nie umie słuchać? Jak to możliwe?

– Moja mama zawsze marzyła o jednym – mówiła dalej. – Pragnęła odnaleźć swoich biologicznych rodziców. Postanowiłam, że to dla niej zrobię. Istniała spora szansa, że jeszcze żyli.

– Udało się? – zapytał Clay.

– Niezupełnie – odparła. – Skorzystałam z internetowego serwisu do wyszukiwania osób i dotarłam do oryginalnego aktu urodzenia mojej mamy. Jej rodzice nazywali się Kittering, Elizabeth i Dennis Kittering – zawiesiła głos i uniosła się lekko, aby spojrzeć na niego. – Mówi ci coś to nazwisko?

– Nie. – Zmarszczył brwi. – A powinno?

– Pewnie nie. – Ułożyła głowę z powrotem na jego piersi. – Cóż, w każdym razie udało mi się ustalić ostatni adres zamieszkania tych Kitteringów: Charlotte, Karolina Północna. Wynajęłam na kilka dni opiekunkę dla mamy i poleciałam do Charlotte. Pod tamtym adresem mieszkała ich cioteczna wnuczka. Dowiedziałam się od niej, że Dennis Kittering umarł już bardzo dawno temu, a Elizabeth później, przed dziesięcioma laty.

Pamiętała swoje rozczarowanie. W jednej chwili legło w gruzach jej marzenie, aby jeszcze przed śmiercią jej matka mogła cieszyć się rodziną.

– Wyjaśniłam, kim jest moja mama, i zapytałam, czy może opowiedzieć mi coś o Dennisie i Elizabeth, abym mogła jej to przekazać. Na przykład dlaczego oddali ją do adopcji.

– Czy ta cioteczna wnuczka była poruszona, kiedy się dowiedziała, że wujostwo zrobili coś takiego?

– Nie – zaprzeczyła. – Podobno bardzo dużo ludzi o tym słyszało, chociaż nikt tak naprawdę nie wiedział, dlaczego podjęli taką decyzję. Nie dyskutowało się o tym. Powiedziała mi, że

przechowuje pudełko z rzeczami po Dennisie i Elizabeth, bo od zawsze nosiła się z zamiarem odnalezienia tamtego dziecka, ale jakoś nigdy się nie złożyło. Cieszyła się, że pamiątki trafią do mojej mamy, ale odniosłam wrażenie, że chętnie pozbyła się tego pudełka, i w ogóle nie paliła się do tego, aby nas poznać.

Ginie wcale nie było przykro. Tamta kobieta nie przypadła jej do gustu.

– Co było w pudełku? – zapytał Clay.

– Drobiazgi. Szpilki do włosów, parę książek. Stary pamiętnik w różowej okładce i naszyjnik z rubinem. – Uniosła dłoń, a czerwone oczko jej pierścionka zalśniło w blasku księżycy. – To jest ten rubin.

– A kto pisał pamiętnik?

– Elizabeth. I właśnie ten pamiętnik okazał się prawdziwym skarbem.

– W jakim sensie?

– Zaczęłam go czytać mamie.

Gina odetchnęła głęboko, wspominając, jak do pokoju chorej wstawiono szpitalne łóżko, a ona siedziała przy nim i czytała mamie pamiętnik sprzed lat. Wiedziała, że słucha, choć oczy miała zamknięte. Czasami prosiła, żeby powtórzyć jakiś fragment.

– Dowiedzieliśmy się – podjęła – że Elizabeth była córką Caleba i Mary Poor. Wychowała się tutaj, w tym domu. Jestem krewną latarników z Kiss River. Prawnuczką Mary Poor.

Zapadła cisza. W powietrzu wibrował tylko szum oceanu. Gina nie wiedziała, czy Clay ją zrozumiał, i już miała powtórzyć ostatnie zdanie, ale on nagle wypuścił ją z ramion i usiadł sztywno na posłaniu.

– Gina... – Jego czoło przecinały głębokie bruzdy zmarszczek. – Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś?

Był zły. Nie spodziewała się tego, ale być może to była właściwa reakcja.

– Kiedy tutaj przyjechałam, chciałam tylko obejrzeć latarnię – odparła, gorączkowo szukając słów wyjaśnienia. – Nie spodziewałam się, że na miejscu kogoś zastanę. Że kogoś poznam. Że nawiążę jakikolwiek kontakt. Ale zaczęło mi na tobie zależeć, zaufałam ci. Jesteś dobrym człowiekiem, a kiedy opowiedziałeś mi o Terri, zapragnęłam, byś poznał prawdę. Chciałam, żebyś wiedział.

– Dziwi mnie po prostu, że to przemilczałaś. Że zamieszkałaś pod tym dachem jak gdyby nigdy nic. Że przyjęłaś naszą pomoc w różnych sprawach, nie mówiąc nam... To jest...

Clay wstał i włożył szorty, a potem usiadł na skraju łóżka, z dala od Giny, która już żałowała swojej szczerości, a jeszcze bardziej tego, że nie powiedziała mu prawdy od razu. Czuła, jak z każdą chwilą słabnie delikatna więź, która łączyła ich jeszcze kilka minut wcześniej.

– Nigdy nie miałam zamiaru...

– Teraz rozumiem, dlaczego soczewka jest dla ciebie taka ważna. To część historii twojej rodziny. Czemu od razu nam nie powiedziałaś? Po co wciskałaś nam bajki, że niby badasz historię latarni morskich? Bo nie zajmujesz się tym, prawda?

Potrząsnęła głową.

– Nie.

– Manipulowałaś nami, Lacey i mną. Z moim ojcem też próbowałaś. Ale on cię przejrzał... Szkoda, że go nie słuchałem.

Co Alec mu powiedział? Ciekawe, ale w gruncie rzeczy mało ją to obchodziło. Najważniejsze było zdanie Claya.

– Nie manipulowałam – zapewniła. – A przynajmniej nie chciałam.

Znowu kłamstwo, wiedziała o tym dobrze.

– Dlaczego przyszedłeś do mnie? – zapytał. – Poszłabyś do łóżka z samym diabłem, żeby wydostać Rani z Indii. To twoje własne słowa, nie zapomniałem. Myślałaś, że prześpisz się ze mną, a ja wpłynę na ojca i załatwię ci jego pomoc, tak?

– Nie, Clay. – Chwyciła swój szlafrok i wstała z łóżka, zarzucając go na ramiona. – Nie o to mi chodziło. Nie chcę, żebyś rozmawiał o tym z ojcem, nie chcę, żebyś nawet mu o tym wspominał. Dobrze? Nie dlatego przyszedłam do twojego łóżka.

– Więc dlaczego? – rzucił ostro.

– Bo cię kocham – odpowiedziała, odnajdując wreszcie słowa prawdy. – Kocham cię – powtórzyła jeszcze raz, już ciszej. – Żałuję, że sprawiłam ci ból, robiąc takie tajemnice. Nie chciałam. Wiem, jak się czujesz, bo sama nie raz byłam zraniona. Przepraszam cię, to moja wina.

Clay odwrócił się w stronę okna, plecami do niej.

– Chcę zostać sam – powiedział.

Ale ona nie ruszyła się z miejsca.

– Wiem, że źle zrobiłam, ukrywając to przed tobą, i bardzo mi przykro, ale proszę cię, nie zachowuj się tak, jakby to było coś niewybaczalnego.

– Idź już – uciął Clay. – Może jutro o tym porozmawiamy. W tej chwili jestem za bardzo wkurzony.

– W porządku – zgodziła się. – Ale proszę, pomyśl o tym. Zastanów się, czy nie szukasz na siłę powodów, aby mnie nie pokochać. Może to, że nie chcesz żyć własnym życiem, jest hołdem dla Terri?

Nie obejrzał się, nawet nie drgnął. Gina przestraszyła się, że przesadziła, i zanim zdążył odpowiedzieć, wyszła z pokoju i wróciła do siebie.

Położyła się do łóżka, powstrzymując łzy cisnące się do oczu. Nie spodziewała się takiego gniewu, ale Clay miał do niego prawo. Zawsze sądziła, że to mężczyźni kłamią, a teraz sama wyszła na oszustkę. Nie mogła jednak nic na to poradzić. Swoich prawdziwych zamiarów nie zdradziłaby nawet własnej ukochanej matce.

A tak niedawno Clay dotykał jej ciała i kochał się z nią. Wspomnienie jego pieszczot przejęło ją dreszczem, a słonawy zapach jego skóry wciąż jeszcze otaczał ją niczym słodka aura. Odwróciła się na bok, by poszukać wzrokiem ruin latarni, ledwie widocznych za oknem w słabym świetle gwiazd.

Pamiętnik Elizabeth Poor musiała czytać swojej matce bez przerwy, wciąż od nowa. W ten sposób chora poznawała swoją historię, której nikt jej nigdy nie opowiedział. Kiedy umarła, Gina schowała pamiętnik głęboko, razem z innymi rzeczami po niej, które postanowiła zachować. Ta mała różowa książeczka już zawsze miała jej się kojarzyć z ostatnimi tygodniami życia mamy, nie chciała, żeby coś jej o tym przypominało.

Ale w końcu, przed dwoma miesiącami, pamiętnik znowu ujrzał światło dzienne. Musiała go przeczytać jeszcze raz. I podążyć tropem tajemnic zapisanych na jego kartach.

Rozdział trzydziesty szósty

Czwartek, 7 maja 1942

To była najlepsza noc w całym moim życiu. Niesamowite, że mogę tak powiedzieć po tym wszystkim, co wydarzyło się w ciągu tych ostatnich kilku tygodni, ale taka jest prawda. Wymknęłam się jak zwykle na spotkanie z Sandym, a gdy szłam przez las, on nagle pojawił się przede mną. Powiedział, że dzisiaj na patrolu jest Teddy Pearson, a potem dodał: „Mam plan”. Wziął mnie za rękę i poszliśmy lasem aż za Pole Road, nad cieśninę i w końcu dotarliśmy do starego, skrzypiącego mola na zachód od Kiss River. Stała tam niewielka motorówka, którą Sandy pożyczył od znajomego. Wsiadliśmy i odbił od brzegu. Cóż mogę powiedzieć: znam się na motorówkach lepiej niż on, ale nic nie mówiłam, niech myśli, że dobrze mu idzie. W nocy była pełnia księżycy, a do tego robi się już naprawdę ciepło. Pod powierzchnią wody błyszczały meduzy, bo one czasami błyszczą. Przepiękny widok. Sandy był w szoku. Nigdy czegoś takiego nie widział. Dzięki temu ta noc była jeszcze bardziej zachwycająca.

Po raz pierwszy rozmawialiśmy o przyszłości. Sandy chce zostać inżynierem i budować statki. Spodobało mu się w Outer Banks, nad oceanem. Jestem z niego dumna, że czuje się tu teraz swojsko, choć na początku nie znosił moich stron. Po zakończeniu służby w Straży Wybrzeża wybiera się na studia. Zapytał mnie, co zamierzam robić po szkole, a ja odpowiedziałam, że też będę studiować. Wyznałam mu, że chcę zostać nauczycielką. Wtedy on rzucił pomysł, że możemy wybrać tę samą uczelnię, a potem wziąć ślub i wrócić tutaj, zamieszkać w Outer Banks. Tak powiedział, słowo w słowo! Chyba nic dziwnego, że zakręciło mi się w głowie, i to nie tylko dlatego, że kołysało na łodzi.

Rozmawialiśmy też o dzieciach. Oboje chcemy mieć trójkę. Sandy jest jedynakiem, tak jak ja, więc dobrze wie, jaki człowiek czuje się wtedy samotny. Nie chcemy, żeby nasze dzieci musiały to przeżywać.

A potem powiedział, że musimy porozmawiać poważnie. Zastanawiałam się, co może być poważniejszego niż małżeństwo i dzieci, ale zgodziłam się. Otóż okazało się, że Sandy'emu przeszkadzają moje częste rozmowy z innymi chłopcami i to, że wszyscy mi nadskakują.

– Staralem się pohamować zazdrość – wyznał. – Ale nie rozumiem, dlaczego nagle zaczęłaś poświęcać im tyle uwagi, a zwłaszcza Ralphowi, Jimmy'emu i Tedowi. O nic cię nie oskarżam, po prostu tego nie rozumiem. – Widać było, że jest mu przykro.

Bałam się bardzo, ale wiedziałam, że muszę, muszę wyznać mu prawdę.

– Powiem ci, o co faktycznie chodzi, ale musisz przysiąc, że nikomu nie piśniesz ani słowa.

– Co masz na myśli? – zapytał ze zdziwioną miną.

– Przysięgnij, że to, co powiem, zachowasz dla siebie – powtórzyłam twardo.

– Przysięgam – zaręczył. Z całą powagą.

Więc powiedziałam mu wszystko. Zaczęłam od tego, jak komendant Hewitt zabrał mnie na

rozmowę aż do Poyner's Hill.

– Podobno tamten Niemiec, którego napadł dzik, zeznał szeryfowi, że...

– Tamten Niemiec umarł, zanim zdążył coś zeznać. – Sandy wszedł mi w słowo, zanim zdążyłam dokończyć zdanie.

– Nie, on umarł, ale później. I zdradził temu, kto go przesłuchiwał, że ktoś w naszej okolicy działa w zмовie z Niemcami, przekazuje im informacje, a może też pomaga przekradać się na brzeg, kiedy zamierzają coś wysadzić w powietrze.

Sandy zrobił wielkie oczy.

– Bzdura. Kto by się tego dopuścił?

– Z początku komendant sądził, że to ktoś od was, bo takimi informacjami dysponuje Straż Wybrzeża. Teraz już sama nie wiem, co on myśli.

Takiej złości jeszcze u niego nie widziałam.

– Jak Bud mógł w ogóle pomyśleć, że to któryś z nas? – warknął. – Przecież dobrze zna swoich ludzi. Poza tym chyba żaden z nas nie ma niemieckich korzeni. Oprócz Jimmy'ego Browna.

No, tego się nie spodziewałam!

– Jimmy Brown to Niemiec?

– Tak, ale zachowaj to dla siebie, dobrze? – Sandy wciąż był trochę zły i bałam się, że to na mnie tak się gniewa. – Zmienił nazwisko, kiedy wybuchła wojna. Przedtem podpisywał się z niemiecka: Braun. Ale to tylko dowodzi, jak bardzo chce się odciąć od Niemców. On ich nie znosi.

No proszę, Jimmy Niemcem! Tysiące pytań cisnęły mi się na usta: czy urodził się w USA, czy ma w Niemczech jakichś krewnych... Nareszcie zdobyłam ważną informację dla komendanta Hewitta. Tak myślałam wtedy, ale teraz widzę, że jeśli mu to przekazę, złamię słowo dane Sandy'emu. Będę więc musiała dowiedzieć się o Jimmym czegoś więcej na własną rękę.

– Czy pan komendant wie, że Jimmy zmienił nazwisko? – zapytałam.

– To nie jest jego sprawa – odparł Sandy. – A Jimmy nie zrobiłby niczego na szkodę Ameryce.

Nagle walnął pięścią w burtę motorówki.

– Nie mogę uwierzyć, że Bud zlecił ci tak niebezpieczne zadanie. Musisz natychmiast skończyć z tym szpiegowaniem czy jak tam zwał.

Puściłam to mimo uszu. Zaczynałam żałować, że mu powiedziałam.

– Byłam u pana Sato – dorzuciłam jeszcze ten jeden szczegół. – Komendant Hewitt podejrzewał go o pomaganie Niemcom.

– Jak to byłaś u niego?

– Poszłam do jego domu i poprosiłam, żeby pozwolił mi zadzwonić.

– A gdyby to naprawdę był szpieg? Dostałabyś w głowę i zniknęłabyś bez śladu.

– Jestem pewna, że on nie jest szpiegiem – odparłam. – To stary, schorowany człowiek. Ani w żąb nie rozumie po angielsku. Mówiłam do niego też po niemiecku. I nic.

Sandy uniósł brwi.

– To ty znasz niemiecki?

– Tylko dwa zdania – przyznałam. – Ale nie rozumiał nawet tyle.

Potrząsnął głową.

– Bess, kochana z ciebie dziewczyna. Jesteś dobra i piękna, ale jeszcze bardzo młoda i czasami taka naiwna...

Zmilczałam, chociaż to mnie zezłościło. Nie znoszę tego słowa: naiwna.

– Może nie mówmy już o tym – zaproponowałam, bo chciałam zmienić temat. Jeszcze parę

minut wcześniej było nam ze sobą tak dobrze, a ja wszystko zepsułam tą swoją spowiedzią niedzielного szpiega.

Widać było, że Sandy wciąż jest wzburzony, ale przynajmniej już wiedział, że nie musi być zazdrosny. Martwiło mnie trochę, że powie coś komendantowi Hewittowi, ale starałam się o tym nie myśleć. Gdyby jego przełożony dowiedział się, że jesteśmy ze sobą tak blisko, a ja zwierzam mu się z największych sekretów, oboje znaleźlibyśmy się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Kiedy Sandy wreszcie się uspokoił, wyłączyliśmy silnik i ułożyliśmy na dnie łodzi poduszki zdjęte z siedzeń. Wyciągnąwszy się na nich wygodnie, blisko siebie, patrzyliśmy na cudowne, rozgwieżdżone niebo. Wiedziałam, co się teraz stanie. To był właściwy czas i właściwe miejsce. Nie opiszę tutaj szczegółów, ma się rozumieć, powtórzę tylko – to była najpiękniejsza noc w moim życiu. Owszem, trochę się bałam, że zajdę w ciążę, ale Sandy powiedział, że nic nam nie grozi, jeśli on wycofa się w porę. To chyba było dla niego trudne, ale ja miałam cudowne poczucie, że naprawdę się o mnie troszczy.

Ta noc byłaby piękna do samego końca, gdyby nie to, co zdarzyło się potem. Gdy leżeliśmy w kołysanej wodą łodzi, nagle od strony brzegu dobiegły nas jakieś hałasy. Łódź płynęła powoli w kierunku ujścia cieśniny i byliśmy już na wysokości domu pana Sato. Słyszeliśmy wrzaski, krzyki i tupot stóp na deskach; po tarasie domu biegało kilku chłopaków.

– Co się dzieje? – Sandy obejrzał się na mnie, jakbym mogła wiedzieć.

Wkrótce się okazało. Banda uciekła, a na tarasie pod ścianami pojawił się ogień. Oblali dom benzyną i podpalili! Sandy natychmiast zapuścił silnik i już byliśmy na plaży, pod palami podpierającymi taras.

– Musimy wydostać stamtąd pana Sato i jego synową! – zawołałam, wyskakując z łodzi.

Sandy wyprzedził mnie i pobiegł przodem. Zauważyłam, że na podjeździe nie widać samochodu synowej pana Sato. Chodzą słuchy, że ma jakiegoś mężczyznę, więc pewnie była u niego.

Sandy przeskoczył przez płomienie i rzucił się do drzwi wejściowych, a ja za nim. W środku znaleźliśmy pana Sato. Leżał nieprzytomny na podłodze obok łóżka. W powietrzu unosił się dym, a on chyba zemdlał, usiłując dostać się do swojego wózka. My też już zaczynaliśmy się krztusić. Bałam się, że wszyscy tutaj zostaniemy.

Martwiłam się też, że pan Sato już nie żyje.

– Pomóż mi go wynieść – powiedział Sandy, chwytając go pod pachy. Ja wzięłam go za nogi i razem wytoczyliśmy się do salonu: my rozkałani, charczący, pan Sato cichy jak nieboszczyk. Prawie nic nie ważył, ale ręce drżały mi tak mocno, jakbym dźwigała słonia. Od frontu płomienie były już zbyt wysokie, więc zataszczyliśmy go przez kuchnię do drugich drzwi, prowadzących na taras. Wydostaliśmy się tamtędy, ale taras też już płonął, więc wyrzuciliśmy pana Sato do wody, a potem szybko wyskoczyliśmy za nim i złapaliśmy go, żeby nie utonął. Nawet wtedy się nie ocknął i byłam już całkiem pewna, że nie żyje. Popłynęliśmy do brzegu, ciągnąc go za sobą i starając się podtrzymać jego głowę nad wodą. Potem zanieśliśmy go na podwórko przed domem, z dala od płomieni.

Pan Sato wciąż był nieprzytomny, ale Sandy wyczuł tętno i powiedział, że żyje, zresztą potem pan Sato zaczął jęczeć z cicha. Wiedziałam, że oboje myślimy o tym samym: nie wolno mi tutaj zostać. Ani pan Sato, ani nikt inny nie mógł zobaczyć nas razem.

– Idź do domu – powiedział Sandy, spoglądając na mnie. – Ja zawiadomię szeryfa, że dom pana Sato się pali. Nikt nie może się dowiedzieć, co zrobiliśmy.

Dwa razy nie musiał mi powtarzać! Pobiegłam do domu ile sił w nogach. Weszłam na palcach

i położyłam się do łóżka, mając nadzieję, że kąpiel w wodach cieśniny zmyła ze mnie smród dymu. Długo nie mogłam zasnąć. Wspominałam Sandy'ego, który był taki silny i taki dobry, że przejął się losem starego Japończyka i uratował mu życie, chociaż sam mógł zginąć.

Rano przy śniadaniu mama opowiedziała mi o pożarze u pana Sato. Podobno ogień zniszczył pół domu, ale on jakimś cudem zdołał się wydostać w ostatniej chwili. Udawałam, że to dla mnie wielka nowina. Mama nie ma zielonego pojęcia o mnie i o moim życiu. Nie wie, że uratowałam człowieka, że mam prześliczny naszyjnik z rubinem ani tego, że nie jestem już dziewicą. I lepiej, żeby się nie dowiedziała!

Rozdział trzydziesty siódmy

Schodząc rano z Saszą na dół, Clay usłyszał, że Gina i Lacey rozmawiają w kuchni. Ich głosy były ożywione, a w każdym razie głos jego siostry brzmiał inaczej niż zwykle, więc domyślił się, że Gina powiedziała Lacey o swoim pokrewieństwie z rodziną latarników z Kiss River. Miał tylko nadzieję, że nie wspomniała jej o niczym innym, a szczególnie o tym, że wyrzucił ją ze swojego pokoju i co tam w ogóle robiła.

W dalszym ciągu czuł się oszukany. Jaki był cel tej gry? Clay wciąż nie potrafił zrozumieć, czemu zataiła swój związek z Kiss River. To nie miało najmniejszego sensu.

Popełnił błąd, zapraszając ją do siebie, a drugim błędem był seks, lecz mimo wszystko wcale tego nie żałował, chociaż sumienie wciąż go gryzło, a rano uświadomił sobie, że najprawdopodobniej odbyli stosunek bez żadnego zabezpieczenia. Gina wyznała mu miłość i bardzo chciał jej uwierzyć; rzeczywiście, jej zachowanie wobec niego wskazywało na głębsze uczucie. Ale te wszystkie tajemnice...

– Dzień dobry – rzucił, przechodząc przez kuchnię, żeby wypuścić Saszę tylnymi drzwiami.

– Fajna sprawa, co? – zagadnęła go Lacey, kiedy stał w progu, przytrzymując drzwi z siatki, żeby pies mógł wrócić. – Że Gina jest prawnuczką Mary Poor?

– Bardzo fajna – odparł, nie odwracając się nawet, ale czujniki siostry chyba nie wychwyciły obojętności w jego głosie, więc Lacey wróciła do rozmowy z Giną.

– Mary rzadko wspominała o swojej córce – powiedziała. – Ale pamiętam, że mówiła o niej „powsinoga”, i ostrzegała mnie, żebym nie była taka sama.

– To prawda – przyznała Gina. – Elizabeth lubiła przygody.

Clay czuł na sobie jej wzrok, świdrujący mu dziurę z tyłu głowy.

– Opowiedz mi jeszcze o tym, co łączyło cię z Mary – poprosiła Gina Lacey.

Dziewczyna roześmiała się.

– Dużo razem paliłyśmy – odparła. – Zawsze pytała, czy mam papierosa. Czułam się jak jej dilerka. Chyba nie mogła ich dostać nigdzie indziej. Mówiła mi, że moja mama była świetna i w ogóle. Dawała mi mnóstwo różnych babcinych rad, wiesz: bądź dobrym, uczciwym człowiekiem, nie szalej przed ślubem...

– Pał ile wlezie... – wtrącił się Clay, zamykając drzwi za Saszą, który przybiegł już z powrotem, gotowy na poranny posiłek.

Lacey obejrzała się na niego, lekko zdziwiona.

– A ty co, wstałeś dzisiaj lewą nogą? – zapytała, kiedy sypał karmę do psiej miski.

Clay postawił miskę na podłodze, nie zadając sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Lacey odwróciła się z powrotem do Giny.

– Podobna jesteś do niej. – Przechyliła głowę, aby przyjrzeć się uważnie swojemu gościowi. – To znaczy ona była już stara, a ty, ma się rozumieć, nie jesteś, ale widzę to po kształcie nosa i wykroju oczu, chociaż mają inny kolor.

Clay o mało nie parsknął śmiechem. Widział Mary Poor może ze dwa razy w życiu, ale o żadnym podobieństwie nie mogło być tutaj mowy.

– Naprawdę? – zapytała Gina. – Wdałam się w mamę, więc może geny mam po niej.

Clay wrzucił do tosterka dwie kromki chleba i nalał sobie kubek kawy, który natychmiast upuścił na podłogę. Brązowy płyn i ceramiczne odłamki rozprysnęły się na wszystkie strony.

– Cholera! – zaklął.

– Co z tobą? – zachnęła się Lacey, wstając, aby sięgnąć po papierowe ręczniki.

– Jest na mnie zły, że dopiero teraz wam o wszystkim powiedziałam – wyjaśniła Gina. – Wiem, że trzeba było tak zrobić, i przepraszam. Taki mam charakter, jestem introwertyczką. No i miałam sporo rzeczy na głowie, tę adopcję i tak dalej.

– Jasne – odparła Lacey, pomagając Clayowi sprzątać podłogę. A on zachodził w głowę, jak to możliwe, że siostra odziedziczyła po ich matce sto procent życzliwości i tolerancji.

Wstał, trzymając w dłoni kawałki rozbitego kubka, i spojrzał Ginie w oczy. Był w nich smutek i ból. Przypomniał sobie wtedy, ile czułości okazała mu w nocy. Jak uważnie go wysłuchała na schodach latarni. Czemu właściwie miałyby zwierzyć mu się wcześniej? Przecież on się jej nie zwierzał, co to to nie. Tak myślał, nie spuszczać z niej wzroku, a jego złość i zawziętość topniały z każdą chwilą.

Wyrzucił skorupy do kosza pod zlewem i nagle przypomniał sobie, że samochód Giny jest w warsztacie.

– Podwieźć cię do pracy? – zaproponował.

– Wezmę dzisiaj wolne – odparła. – Postanowiłam, że zadzwonię do waszego ojca. Powiem mu, co naprawdę łączy mnie z Kiss River. Może teraz, kiedy wiemy już, gdzie leży soczewka i że jest cała... – umilkła. – Muszę spróbować jeszcze raz – dokończyła, oglądając się na Lacey.

– Czy on ma tak, że w końcu mięknie, czy tylko jeszcze bardziej upiera się przy swoim?

– Ja z nim porozmawiam – zaoferowała Lacey.

– Nie. – Clay nalał sobie kawy w drugi kubek i usiadł przy stole naprzeciwko Giny. – Ja do niego zadzwonię.

Spojrzał na nią jeszcze raz, a w jej oczach zobaczył wdzięczność. Najchętniej wzięłby ją teraz za rękę, zaprowadził do swojego pokoju i znów się z nią kochał. Tym razem on też wyznałby jej miłość.

* * *

O wpół do dwunastej wyszedł z pracy i pojechał do przychodni dla zwierząt Beacon w Nags Head. W poczekalni siedziało dwóch mężczyzn i trzy kobiety, a z nimi kot w pojemniku transportowym, apatyczny owczarek niemiecki – albinos – i szczeniak golden retriever z dość paskudną szramą na nosie.

Recepcjonistka była nowa, nie widział jej tutaj jeszcze.

– Jestem Clay O'Neill – przedstawił się. – Może pani zapytać mojego ojca, czy miałby czas wyskoczyć ze mną na obiad?

– Nawet gdyby pan się nie przedstawił, i tak bym pana poznała – uśmiechnęła się recepcjonistka. – Oczy ma pan po nim, prawda?

I nie czekając na odpowiedź, wstała zza biurka, znikając za drzwiami prowadzącymi do przychodni. Po chwili wróciła.

– Doktor prosi, żeby pan poczekał piętnaście minut.

– Dziękuję. – Clay usiadł obok właścicielki małego goldena, a szczeniak natychmiast wskoczył mu na kolana.

– Co mu się stało w nos? – zapytał, głaszcząc porośnięty jedwabistą sierścią łeppek.

– Jesteśmy tutaj na urlopie – wyjaśniła kobieta. – Moja córka zabrała swojego kota i Rudy najwidoczniej zapomniał, żeby trzymać się od niego z daleka.

– Aha – mruknął Clay, biorąc mordkę psiaka w dłonie i zaglądając głęboko w jego brązowe ślepek. – No to koniec zabaw z kotami, kolego.

Szczeniak był ładny i widać było, że wyrośnie z niego dobry pies. Już teraz był postrzelony, jak to goldeny, ale miał w oku ten czujny błysk, który Clay rozpoznał od razu. Jeszcze przed rokiem zaproponowały jego właścicielce, aby zainteresowała się tresurą tego pięknego stworzenia do pracy poszukiwawczo-ratowniczej. Na pewno nie oparłby się pokusie, mógłby nawet na miejscu zrobić z nim kilka ćwiczeń sprawdzających czułość wzroku i słuchu. Wiedział z doświadczenia, że goldeny sprawdzają się w takiej pracy. Może nie mają rewelacyjnego węchu, ale nadrabiają to z nawiązką posłuszeństwem i zapałem, zrobią wszystko, żeby zadowolić tresera. Tyle że Clay nie był już treserem; kiedy pomocnik zaprosił właścicielkę szczeniaka do sali zabiegowej, nie spojrzął nawet za nim, żeby sprawdzić, jaki ma chód.

Dwadzieścia minut później w poczekalni zjawił się jego ojciec.

– Może zjemy u Sama i Omie? – zaproponował.

Ich bar był równie wiekowy i prawie tak samo swojski jak Shorty's, a do tego znacznie bliżej przychodni. Clay wiedział jednak, co tak naprawdę ciągnie tam ojca.

– Krab w miękkiej skorupie? Na to masz smak? – zapytał.

– Skąd wiesz? – uśmiechnął się Alec.

Wyszli na parking i wsiedli do samochodu starszego z panów O'Neill. Droga prowadziła na południe, wzdłuż plaży.

– W sobotę są urodziny Henry'ego, prawda? – zapytał Alec.

– Aha – przytaknął Clay. Wyleciało mu to z głowy i był wdzięczny ojcu za przypomnienie. Już od kilku miesięcy szykował dla Henry'ego przyjęcie niespodziankę w Shorty's, oczywiście w małej sali. Na razie, o ile wiedział, jeszcze nikt się nie wygadał.

– Jak zorganizujesz przywiezienie Henry'ego do Shorty's? – zainteresował się ojciec.

– Powiem, że zapraszamy go z Lacey na urodzinowy obiad – wyjaśnił. – Kiedy zobaczy, dokąd jedziemy, zacznie coś podejrzewać, bo raczej się spodziewa, że wybierzemy bardziej eleganckie miejsce, ale to mu chyba nie zepsuje niespodzianki. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Przez pozostałą część drogi rozmawiali o pracy Claya i jednym z jego projektów. Clay domyślał się, że ojciec chciałby wiedzieć, co stoi za tym nagłym zaproszeniem na obiad, ale ta kwestia została poruszona, dopiero gdy usiedli przy stoliku w zatłoczonej restauracji i zamówili zupę.

– Mam wrażenie, że jesteś... – zaczął Alec. – Sam nie wiem... Jakby trochę nieobecny. Wszystko w porządku?

Clay nie zdawał sobie sprawy, że to jest aż tak widoczne.

– No cóż – odparł. – Mam ciekawe wiadomości.

– Jakież?

– Okazuje się, że Gina jest spokrewniona z Mary i Calebem Poorami.

W oczach Aleca natychmiast błysnęła nieufność.

– W jaki sposób? – zapytał.

Clay streścił mu nocną rozmowę z Giną. Powiedział o jej adoptowanej matce i jej ostatnim

życzeniu przed śmiercią, którym było dowiedzieć się czegoś o swoich korzeniach, a także o tym, że Gina dostała od ciotecznej wnuczki Elizabeth Poor pudełko z osobistymi drobiazgami oraz pamiętnik.

– Widziałeś ten pamiętnik? – zapytał Alec.

– Nie. Chyba nie ma go przy sobie. W każdym razie nic o tym nie wspominała.

Ojciec skrzyżował ramiona na piersi, zacisnął usta w wąską kreskę.

– Clay, wiem, że Gina wpadła ci w oko, więc powiem to tylko ten jeden raz. Obiecuję. Ale muszę to powiedzieć.

Syn czekał, wiedząc, że nie ma innego wyjścia.

– Czy to możliwe – zapytał Alec – że ona zmyśliła swoje pokrewieństwo z Poorami, bo chciała podbić stawkę? Rozumiesz, żebyśmy jej współczuli, że nigdy nie poznała swojej rodziny, i pomogli wydobyć soczewkę?

Clay westchnął.

– Tato, ja jej wierzę. Nie jest badaczką latarni morskich. Przyznała się do tego. Od samego początku jej prawdziwą motywacją było pokrewieństwo z Poorami.

– Więc czemu, do diabła, zataiła to przed nami? – warknął Alec, a na jego czole pojawiła się głęboka bruzda, która Clayowi nie przypadła do gustu tak samo jak żelazna logika tych słów.

– Chyba po prostu nie spodziewała się, że kogoś tutaj pozna – powiedział. – Myślała, że przyjedzie, zwiedzi latarnię, obejrzy dom, gdzie mieszkali jej dziadkowie, i wróci do siebie. Nie chciało jej się wyjaśniać tych wszystkich zawłości ludziom, którzy nic dla niej nie znaczyli. Nie przewidziała, że zaprzyjaźni się ze mną i z Lacey. Ani że zacznie jej zależeć na nas... Albo na mnie.

Boże, pomyślał, nie chcę się łudzić. Mam nadzieję, że to mi się nie przywidziało.

– Zakochałeś się w niej, prawda? – zapytał ojciec.

Clay przytaknął.

– To twoja wina – dodał z bladym uśmiechem. – Ty mi poradziłeś: otwórz się przed nią.

Alec też się uśmiechnął.

– I co, otworzyłeś się?

Clay znów skinął głową.

– Była świetna – powiedział, wspominając poprzednią noc. – Cudowna.

– Czy to uczucie jest odwzajemnione?

– Tak mi się wydaje.

Ojciec westchnął i wyprostował się nagle, bo kelnerka postawiła przed nimi miski z zupą. Kiedy odeszła, pochylił się nad stolikiem i spojrzał synowi prosto w oczy.

– Zastanowię się nad tą soczewką, Clay – obiecał. – Bardzo, ale to bardzo poważnie.

Rozdział trzydziesty ósmy

Sobota, 9 maja 1942

Nagle, ni stąd, ni zowąd, wszystko zaczęło się psuć.

Rano zasnęłam i nie mogłam iść po kartkę, którą komendant Hewitt zostawił dla mnie w piątek wieczorem, bo musiałam pomagać mamie przy pieczeniu i gdybym ot tak poszła sobie do laterny, wyglądałoby to podejrzanie. Kiedy skończyłyśmy, na jednej nodze skoczyłam na posterunek Straży Wybrzeża, bo tak mi się spieszyło, żeby wrócić i zabrać tę kartkę, zanim wpadnie komuś w ręce. Weszłam na górę i osłupiałam z przerażenia: w laternie był tato! Bałam się, że znalazł list od komendanta i zaraz zasypie mnie gradem pytań, ale nie, kartka była na swoim miejscu, zatknięta za mosiężną obejmę. Co za ulga! Tato przyszedł tylko umyć okna.

Na mój widok odłożył gąbkę.

– Bessie, zgadnij, co się stało! – zawołał. – Złapali szpiega!

Najpierw, rzecz jasna, pomyślałam o Jimmym Brownie, bo w liściku, który wieczorem zostawiłam dla komendanta Hewitta, napisałam, że Jimmy zmienił nazwisko. Ale tato mówił o czymś zupełnie innym.

– Kto był szpiegiem? – zapytałam z udawaną obojętnością, żeby przypadkiem się czegoś nie domyślił.

– Moto Sato! – wykrzyknął. – Przed chwilą był u nas Bud Hewitt, to od niego wiemy o wszystkim.

Oniemiałam z wrażenia, ale on chyba nic nie zauważył.

– Każdy podejrzewał, że on coś kombinuje – mówił dalej. – Ale nikt nie chciał w to wierzyć, bo to był przecież taki miły starszy człowiek, który całymi dniami tylko łowił ryby nad cieśniną.

Wyjąkałam coś bez ładu i składu, a chciałam zapytać o sto rzeczy naraz. Miałam w głowie kompletny mętlik!

– Wiesz, że jego dom się palił, ale on nie zginął w pożarze? – zapytał mnie tato, jakbym mogła o tym nie wiedzieć.

– Aha, wiem – odparłam.

– No więc kiedy szeryf przyjechał na miejsce, Sato siedział przy drodze, przemoczony do suchej nitki. Co ty na to?

Nie byłam pewna, do czego dąży. Może wiedział, co zrobiliśmy z Sandym, i chciał mnie pociągnąć za język. A może pan Sato wcale nie był nieprzytomny i powiedział szeryfowi, że go uratowaliśmy. Nabrałam wody w usta, bojąc się, że zaraz coś palnę i ściągnę na siebie kłopoty.

– Czyli żaden z niego kaleka! Jego wózek był w środku, w sypialni. Sato wyskoczył do wody i dopłynął do plaży, a potem przeszedł przez całe podwórko i usiadł przy drodze. Inwalida nie dałby rady tego zrobić, a on, znaczy Sato, nie potrafił wyjaśnić, jak się tam znalazł.

– Może ktoś go uratował, wyniósł z domu i zostawił na podwórku? – podesunęłam.

– Więc czemu sam tego nie powiedział?

Tego już nie umiałam wytłumaczyć.

– Ale dlaczego myśla, że on jest szpiegiem? – zapytałam.

– Bo tylko udawał kalekę. W nocy pewnie chodził po ciemku na plażę i wysyłał komunikaty dla łodzi podwodnych. W jego domu znaleźli spalone radio.

Chciałam zawołać: to zwykły stary odbiornik!

– I co więcej, on dalej wodzi nas za nos – ciągnął tato. – Tak twierdzi Bud. Kiedy chcieli go wsadzić do auta szeryfa, udawał, że nie może chodzić.

Bo nie może, pomyślałam, przecież nie ma władzy w nogach. Łzy napłynęły mi do oczu, więc aby je ukryć, wzięłam irchową szmatkę i obeszłam soczewkę, udając, że pomagam czyścić okna, ale gdy już byłam z drugiej strony, najpierw wyjęłam zza mosiężnej obejmy kartkę od komendanta Hewitta i schowałam ją do kieszeni ogrodniczek.

– I co z nim będzie? – zapytałam, mając nadzieję, że nie słychać rozpaczy w moim głosie.

– Bud mówił, że go przesłuchają. Jeśli znajdą jakieś dowody, zostanie aresztowany, a jeśli nie, trafi do obozu dla internowanych. Gdy go zabierali, jego synowa narobiła rabanu, płakała i krzyczała, ale ją też czeka przesłuchanie. W końcu miała męża Japońca.

Zrozumiałam, że muszę natychmiast porozmawiać z Sandym. Nie było innego wyjścia, jak tylko przyznać się do wszystkiego, nawet gdyby to miało oznaczać... No właśnie, co? Nie byłam pewna. Sandy mógł dostać upomnienie, ale mnie pewnie zamknęliby w moim pokoju do końca życia. Trudno. Nie mogliśmy pozwolić, żeby niewinny człowiek trafił do obozu.

Pomogłam tacie trochę przy oknach, żeby nie pomyślał, że coś kombinuję, a potem zeszłam na dół i pobiegłam na posterunek Straży Wybrzeża, zatrzymując się po drodze tylko na chwilę, żeby przeczytać kartkę od komendanta Hewitta.

Napisał tak:

Bess, dziękuję za informację o Jimmym. Nie sądzę, żeby to był on. Nie potępiam go za zmianę nazwiska, a Ty? Natomiast pan Sato, jak się okazało, wydostał się z płonącego domu o własnych siłach, bez wózka, więc nasze podejrzenia mimo wszystko mogą się sprawdzić. Ponieważ jednak nie można mieć pewności, proszę, staraj się dalej, bo świetnie Ci idzie, i niech nasza wymiana wiadomości trwa, dopóki nie przekażę Ci, abyś już więcej do mnie nie pisała.

Ale się porobiło!, wykrzyknęłam w myślach, przeczytawszy kartkę. Teraz komendant Straży Wybrzeża nie będzie nawet chciał porozmawiać z Jimmym, bo myśli, że ma już w garści swojego szpiega.

Na posterunku uprzytomniłam sobie, że nie mam pojęcia, co dalej. Nie mogłam pójść do komendanta Hewitta, bo jego ludzie zaczęliby coś podejrzewać. Okazało się jednak, że szef wybrał się nad cieśninę Oregon Inlet, gdzie zatonął statek. Pojechało z nim kilku chłopców, ale na szczęście Sandy został, razem z Jimmym, Teddym i kilkoma innymi wodołazami. Spojrzał na mnie i od razu poznałam, że denerwuje się tak samo jak ja. Zastanawiałam się, jak z nim porozmawiać na osobności, ale on już miał pomysł.

– Bess! – zawołał. – Fajnie, że przyszaś! Chciałem zrobić krówki, takie jak ty i twoja mama, ale nie wiem, jak się do tego zabrać.

– A masz składniki? – zapytałam. Było tak, jakbyśmy wymieniali się hasłem i odzewem.

– Jasne – odparł. – W kuchni.

Skinął głową i poszłam za nim. Bałam się, że któryś z chłopców będzie chciał się przyłączyć, ale nie ruszyli się z miejsca.

Kiedy znaleźliśmy się sami w kuchni, Sandy złapał mnie za ramię.

– Słyszałaś? – zapytał.

– Tak. Musimy powiedzieć komendantowi, że to my go uratowaliśmy.

– Nie możemy – zaprzeczył Sandy.

– Musimy – powtórzyłam. – Wiem, że to oznacza tarapaty, i to spore, ale nie możemy pozwolić, żeby pan Sato trafił do obozu albo jeszcze gorzej.

– Lepiej mu będzie w obozie niż tutaj, gdzie chcą spalić mu dom.

– Ale uznają go za szpiega. Może będą torturować. Albo nawet zabiją.

Tak naprawdę nie wiem, co się robi ze szpiegami, ale na pewno nic dobrego.

– Bess, posłuchaj – szepnął Sandy. – Nikt nie może wiedzieć, że byliśmy tam razem.

– W takim razie powiem, że byłam sama – odparłam. – Nie będę cię do tego mieszać.

Znów zbierało mi się na płacz.

– A jak wytłumaczysz, że w ogóle tam byłaś? – dopytywał się Sandy. – I skąd niby taka mizerota miałaby tyle siły, żeby wynieść dorosłego faceta z domu, wrzucić go do wody przez barierkę i dopłynąć z nim na brzeg? A, i jeszcze przetaszczyć przez całe podwórze?

Wiedziałam, że ma rację, ale nie spodobało mi się, że nazwał mnie mizerotą! Jestem tylko trochę niższa od niego.

– Więc powiedz, że ty to zrobiłaś. Sam – odparłam.

– Jasne – prychnął. – Powiem, że wybrałem się na spacer, bo tej nocy nie miałem służby, i nie wiadomo czemu zawędrowałem na drugą stronę wyspy, gdzie zobaczyłem pożar w domu pana Sato i dzięki temu go uratowałem.

Spuściłam głowę.

– Sandy, wiem, że nie wolno nam się spotykać i ściągniemy sobie na głowę kłopoty, jeśli się przyznamy, ale przecież życie człowieka jest tego warte!

Nie wiem dlaczego, ale zaczęłam się zastanawiać, co o tym wszystkim powiedziałyby Dennis Kittering, zaciekły przeciwnik obozów dla internowanych. Pewnie byłby dumny, że bronię pana Sato.

– Posłuchaj. Na razie nic nie róbmy, dobrze? Poczekajmy kilka dni, zobaczymy, co będzie – zaproponował Sandy.

Wiedziałam już, że go nie przekonam, ale zaświtał mi w głowie pewien pomysł, żeby pójść w nocy na plażę i poobserwować Jimmy’ego Browna na patrolu. Może zrobi coś podejrzanego. Trzeba znaleźć prawdziwego szpiega, aby pan Sato odzyskał wolność.

– W porządku – zgodziłam się. – Ale dzisiaj się nie spotkamy. Przykro mi.

– Gniewasz się za ostatnią noc? – zapytał. – O to, co zrobiliśmy? – Zniżył głos do szeptu, aby nikt nie mógł go usłyszeć. – Bess, przecież wiesz, że cię kocham.

Cudownie było to usłyszeć! Zapewniłam go, że się nie gniewam, ale dodałam zaraz, że owszem, jestem zła, bo tak się narobiło z panem Sato, i że za dzień lub dwa wrócimy do tego tematu.

– No więc czemu dziś nie przyjdiesz? – chciał wiedzieć Sandy.

– Po prostu jestem zmęczona – wyjaśniłam. – Muszę się porządnie wyspać.

Chyba mi uwierzył, chociaż nigdy nie potrzebowałam spać przez całą noc. Dobrze jednak, że

przestał już dopytywać.

Opuściłam posterunek Straży Wybrzeża szczęśliwa, że usłyszałam od Sandy'ego „kocham cię”, ale też zmartwiona, bo nie chciał powiedzieć komendantowi Hewittowi, że to my wynieśliśmy pana Sato z płonącego domu. Myślę jednak, że za dzień lub dwa zmieni zdanie. A zresztą, może ma rację, że lepiej poczekać. Jeśli dzisiaj nakryję na czymś Jimmy'ego, nie będziemy musieli nic mówić.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

W piątkowe południe w Shorty's panował spory ruch, a Gina miała nadzieję, że Clay wpadnie na obiad i będzie mogła zamienić z nim kilka słów. Albo przynajmniej na niego popatrzeć. Rano obudziła się w jego łóżku i zanim wstała, przez kilka minut po prostu przyglądała się, jak śpi. Na jego twarzy malował się spokój, po bolesnych rozterkach poprzedniej nocy nie pozostał nawet ślad. Poczła się spełniona; było to dla niej uczucie pokrzepiające, chociaż całkiem nieznanne.

Wieczorem Clay zawiózł ją do warsztatu, skąd odebrała swój samochód, a po drodze przekazał jej, że jego ojciec obiecał się zastanowić, czy zgodzi się pomóc w wydobyciu soczewki. A przynajmniej nie przeszkadzać. To była wspaniała wiadomość, przeszła jej najśmielsze oczekiwania. Co takiego Clay powiedział ojcu? Przyznał się, co do niej czuje? Gina była pewna jego uczuć, choć bez wątpienia były podszyte wyrzutami sumienia, które tylko czas mógł uleczyć. Na razie jedno było jasne: Alec dowiedział się o jej pokrewieństwie z Mary i Calebem Poorami.

– Powiedziałem mu o pamiętniku i o tym, że jesteś prawnuczką Mary Poor – wyjaśnił Clay. – Aha, i zdradziłem mu, że nie jesteś badaczką latarni morskich.

– I co on na to? – zapytała.

– Skomentował krótko: „Co ty nie powiesz?”.

Gina skrzywiła się, ale on tylko się zaśmiał.

– Nic się nie stało – zapewnił ją. – Teraz już chyba rozumie, dlaczego skłamałaś.

Spędzili całą noc razem i znów się kochali, a ich czułości raz zakłóciła Lacey, która zapukała do drzwi, żeby zapytać, czy Clay dobrze się czuje. Oboje wybuchnęli wtedy głośnym śmiechem, a ona aż zapiszczała z zachwyty.

– Przepraszam! – zawołała. – Nie zwracajcie na mnie uwagi. Bawcie się dobrze.

– Sprawiliśmy jej wielką radość – skomentował Clay. – Marzyła o tym, odkąd się tutaj zjawiłaś.

Gina przypomniała sobie wieczór sprzed trzech tygodni, kiedy przyjechała do Kiss River, aby obejrzeć soczewkę. Nie zwróciła wtedy uwagi na Claya. W ogóle nie planowała związku z mężczyzną.

Clay umilkł, szybko cichły echa śmiechu, który przed chwilą wypełniał jego pokój. Gina uniosła głowę, aby mu się przyjrzeć. Zobaczyła usta zaciśnięte w wąską kreskę i wzrok skierowany na komodę; wiedziała, że stoi tam zdjęcie Terri z Kawką. Było za ciemno, żeby mógł dostrzec twarz żony, lecz mimo to patrzył w tamtą stronę.

– O czym myślisz? – zapytała, kładąc głowę z powrotem na jego piersi.

Westchnął, odwracając oczy od komody.

– O niczym.

– Czy to właśnie słyszała od ciebie Terri, kiedy pytała, czemu jesteś smutny? – Gina miała świadomość, że wykorzystuje teraz jego szczere zwierzenia, i mogła tylko mieć nadzieję, że

Clay nie uzna tego za cios poniżej pasa.

Zgromił ją wzrokiem – nie dało się tego nazwać inaczej – ale potem zaczął mówić.

– Przeżyłem ostatnio kilka szczęśliwych chwil. Dzisiejszy wieczór z tobą. Wspólny śmiech. Seks. A potem nagle przypomniała mi się Terri i... mam straszne wyrzuty sumienia, że znowu mogę się śmiać. Coś mi powtarza: nie zasługujesz na szczęście.

– Zasługujesz, Clay – zapewniła Gina.

– Jestem na siebie wściekły, że wysłałem ją na Florydę, zamiast jechać samemu. – Zgrzytnął zębami. – I tak samo wkurza mnie, że tamten budynek się zawalił. I mam pretensję do losu, że zabrał ją i nasze dziecko.

Gina przygryzła wargę. Sama go prosiła, żeby wszystko jej powiedział, więc teraz musiała słuchać.

– Tęsknisz za nią – domyśliła się.

Clay zaśmiał się gorzko.

– Widzisz, o to chodzi, że już za nią nie tęsknię, i z tym mi właśnie najgorzej. Co ze mnie za sukinsyn? Straszne jest to, że teraz zacząłem rozumieć. Widzę, jak się od niej odciąłem. Dotarło to do mnie wczoraj wieczorem, po tym jak ci się zwierzyłem. Taki właśnie powinienem dla niej być od samego początku. Mówić jej o wszystkim, co zaprzęta moje myśli. Byłoby nam ze sobą lepiej.

Gina nie czuła się zagrożona, gdy słuchała, jak Clay analizuje, co mógł poprawić w swoim związku z Terri. Delektowała się jego słowami, bo wiedziała, że są szczerze – a jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie obdarzył jej szczerością.

– Pamiętam, że kiedy Bruce odszedł ode mnie – wtrąciła – marzyłam o tym, żeby móc przewinąć swoje życie jak film, opuścić rok albo dwa i ominąć cały ten ból.

– Otóż to.

– Tylko że tak się nie da – powiedziała.

– Wiem. – Clay odwrócił głowę, spojrzał na nią. – Jesteś niesamowita. Czuję, że mogę ci mówić o wszystkim.

– Bo tak jest – zapewniła, żałując, że sama nie może powiedzieć mu wszystkiego. Teraz to ją zaczęło dręczyć sumienie. Chociaż wybaczył jej, że ukrywała przed nim prawdę, ona dobrze wiedziała, że na to nie zasłużyła.

* * *

Clay nie pokazał się w Shorty's w porze obiadowej. Przyjechała za to Olivia Simon. Gina nie poznała jej w pierwszej chwili; twarz kobiety stojącej w drzwiach wejściowych była jej znajoma, ale po chwili zastanowienia uznała, że to jakaś klientka, jedna z wielu. Widziała dotąd Olivię tylko dwa razy, z czego raz nocą, na wydmach.

Olivia zatrzymała się obok kasy. Grzecznie odmówiła, gdy jedna z kelnerek zaprosiła ją do wolnego stolika, i zamiast usiąść, odszukała wzrokiem Ginę i poprosiła ją gestem, żeby podeszła.

– Dzień dobry – powiedziała, a dostrzegłszy zakłopotanie na jej twarzy, przedstawiła się: – Olivia Simon, macocha Claya i Lacey.

– Ach, Olivia! Oczywiście! – zawołała Gina. – Przepraszam. Nie poznałam cię w innym otoczeniu.

– Ja mam tak samo, i to bardzo często. – Uśmiechnęła się Olivia. – Ludzie przychodzą na

pogotowie, a potem spotykamy się na ulicy i nie mam pojęcia, skąd ich znam.

Piękna kobieta, pomyślała Gina. Cudowne zielone oczy i nieskazitelna cera.

– Czym mogę służyć? – zapytała, odsuwając się od kasy, żeby przepuścić klienta, który chciał zapłacić.

Olivia rozejrzała się po zatłoczonej sali.

– Widzę, że masz dużo pracy – powiedziała. – Wpadłam tylko na chwilę, żeby dać ci to. – Wręczyła jej papierową torbę na zakupy. Gina zajrzała do środka. Było tam kilka kaset magnetofonowych.

– Co to? – zapytała.

– Alec wspomniał, że jesteś spokrewniona z Mary Poor, zgadza się?

– Jestem jej prawnuczką, tak.

– No więc mój były mąż, Paul, dawno temu nagrał z nią kilka wywiadów. Planowano wtedy wydanie broszury informacyjnej o latarni w Kiss River, w celu zbiórki funduszy na jej ratowanie. Zanim ta broszura zdążyła powstać, latarnię zniszczył sztorm, więc, oczywiście, straciła rację bytu. Przechowałam taśmy, chociaż właściwie nie wiem dlaczego. Okazuje się, że zrobiłam to dla ciebie – dodała z uśmiechem. – Pomyślałam, że chciałabyś je mieć. Usłyszec głos swojej prababki.

Gina była wzruszona.

– To bardzo miłe z twojej strony – powiedziała. Nie dysponowała, co prawda, żadnym magnetofonem, ale Lacey albo Clay prawdopodobnie mieli taki sprzęt. – Przesłucham je i zwrócę ci.

– Nie trzeba, zatrzymaj je. Ja ich nie potrzebuję. – Spojrzała w stronę drzwi do małej sali. – Zajrzę tam i przywitam się z Henrym, a potem muszę wracać do pracy.

* * *

Gina wróciła do domu po południu. Parking był pusty. Poszła do kuchni, nalała sobie szklankę coli i zabrała ją do gabinetu. Włączyła komputer, żeby sprawdzić pocztę elektroniczną. Kiedy modem połączył się z internetem, jej palce same wystukały adres grupy wsparcia dla rodziców adoptowanych dzieci.

Natychmiast zauważyła, że wpisów jest trzy razy więcej niż zazwyczaj, a po chwili rzucił jej się w oczy jeden powtarzający się tytuł, napisany wielkimi literami i opatrzony trzema wykrzyknikami, które były jak sygnał alarmowy: PRZENOSZĄ DZIECI Z HAJDARABADU DO PAŃSTWOWEGO DOMU DZIECKA!!!

O Boże, tylko nie to.

– Rani – jęknęła głośno Gina. – Rani...

Okazało się, że podczas kontroli prywatnych placówek wiele sierot przeniesiono do państwowego domu dziecka, instytucji jeszcze bardziej bezdusznej niż ta, gdzie dotychczas przebywała Rani. Krążyły wieści, że mieszkają tam setki dzieci, dla których nie wystarcza jedzenia, brakuje też personelu, aby zapewnić im właściwą opiekę. Takie cichutkie, niedomagające biedactwo jak Rani nie miało najmniejszych szans. Gina przerzucała kolejne wpisy rodziców, którzy odchodzili od zmysłów ze strachu, i szukała wiadomości o sierocińcu, w którym była jej córeczka, aby się dowiedzieć, czy tamtejsze dzieci też przenoszą do państwowej placówki. Nikt jednak nie wspomniał o tym ani słowem, a sama nie miała odwagi zadać pytania publicznie. Dociekaliby, dlaczego zniknęła. Lepiej siedzieć cicho.

Wylogowała się z sieci i sięgnęła po stojący na biurku telefon, a drugą ręką wyjęła z plecaka notes. Rozdygotanymi dłońmi przeczuciła kartki, szukając numeru. Miała tylko nadzieję, że rachunek nie przyjdzie szybko, bo Clay i Lacey na pewno się zdziwią. Telefon do Indii sporo kosztuje.

W słuchawce odezwała się automatyczna sekretarka pani King. Gina rozmawiała z nią przez telefon już kilka razy, ale nigdy nie poznała jej osobiście. „Pani King” to musiało być przybrane nazwisko, trudno było też mieć pewność, że kobieta rzeczywiście pochodzi z Indii. Miała lekko angielski akcent. Pochodzenie było zresztą nieistotne. Liczyła się tylko jej moc sprawcza.

– Proszę nagrać wiadomość po sygnale – usłyszała Gina.

– Dzień dobry, pani King – zaczęła i wyraźnie słyszała, jak drży jej głos. – Dzwonię, aby zapewnić, że już niedługo będę miała pieniądze dla pani. Naprawdę bardzo niedługo.

Zamknęła oczy. Czy to prawda? Poczuła, że znów ogarnia ją panika.

– Proszę, bardzo proszę dopilnować, żeby Rani została w swoim sierocińcu. Dowiedziałam się, że władze przenoszą dzieci do państwowego domu dziecka, a jak pani z pewnością wie, dla Rani byłaby to katastrofa ze względu na jej... specjalne potrzeby. Proszę zrobić, co tylko w pani mocy, aby została tam, gdzie jest.

Wiedziała, że sierociniec, w którym przebywa jej córeczka, może też zostać zamknięty.

– A jeśli nie będzie innego wyjścia, proszę załatwić, żeby znalazła się w jakimś bezpiecznym miejscu – dodała. – Wkrótce będę miała dla pani pieniądze. Obiecuję.

Ręka trzęsła jej się tak mocno, że ledwie dała radę odłożyć słuchawkę. Jeszcze raz połączyła się z internetem i weszła na stronę swojej grupy, by przejrzeć od nowa wiadomości, przeczytane i nieprzeczytane. Nie ona jedna po cichu wycofała się z forum. Takich rodziców było więcej. Ciekawe, czy oni też dyskretnie śledzili to, co się tam dzieje, a teraz rwali włosy z głowy, gdy czytali te wpisy, i desperacko szukali pieniędzy. Sto tysięcy dolarów. Tyle pani King życzyła sobie za wywiezienie Rani z Indii. Czy inni rodzice też usłyszeli taką cenę?

Rodzice, którzy wciąż aktywnie udzielali się w internetowej grupie wsparcia, wiedzieli o pani King: zarówno ci, którzy w tej chwili panikowali tak jak Gina, jak i ci, którzy śledzili wydarzenia ze spokojem, wiedząc, że ich obiecane dziecko jest bezpieczne w zupełnie innym regionie kraju. Wszyscy wiedzieli o pani King, ale przeważnie byli to ludzie, którzy nawet w ostatecznej desperacji nie zdecydowaliby się skorzystać z nielegalnej pomocy. I ostrzegali się wzajemnie przed usługami „handlarzy dziećmi”, bo tak właśnie nazywali panią King.

Głupcy, myślała Gina. Zrobią wszystko zgodnie z przepisami i co dostaną? Martwe dziecko.

W końcu wylogowała się, ale została przy komputerze, siedziała za biurkiem w milczeniu i bezruchu. Nie mogła wstać, tkwiła w miejscu, nie umiejąc podjąć decyzji: co dalej? Co właściwie mogła zrobić? Ile czasu Alec będzie się „zastanawiał”? A gdyby nawet zechciał jej pomóc, to jak długo potrwa, zanim wydobędą soczewkę? A nawet jeśli uda się ją podnieść z dna i Gina będzie mogła sprawdzić to, o co jej chodziło – to co wtedy?

Zerwała z fotela, aby uspokoić galopujące myśli. Powoli, nie wszystko naraz. Najlepiej włączyć telewizor albo poczytać książkę, żeby odciąć się na chwilę od tych złych wiadomości z grupy wsparcia. Przypomniała sobie o kasetach, które dostała od Olivii Simon.

Zajrzała do jednej szuflady biurka, potem do następnej i tak dalej, aż wreszcie znalazła to, czego szukała: mały magnetofon.

Zabrała go do siebie na górę, położyła na łóżku i wsunęła do środka kasetę oznaczoną dużą jedynką. Najpierw w głośniku zabrzmiał jakiś męski głos. To pewnie eksmąż Olivii.

– Zgodzi się pani, bym nagrywał naszą rozmowę?

Po chwili ciszy odezwała się kobieta. Sądząc po drżącym głosie, była w podeszłym wieku.

– Latarnię morską w Kiss River uruchomiono po raz pierwszy tej samej nocy, kiedy urodził się ojciec mojego męża Caleba – powiedziała.

Gina przytknęła do ust dłoń zaciśniętą w pięść. To mówiła jej prababka. Matka Bess. Dziwnie było usłyszeć ją i jej słowa sprzed lat. Stara kobieta opisywała swoje życie w tym samym domu, w domu przy latarni morskiej. Wspomniała o dwóch niemieckich szpiegach, którzy udawali rozbitków z angielskiego statku, aby bezpiecznie dostać się na ląd. Pomyliła się w kilku szczegółach, co rozbawiło Ginę. Zaczęła się zastanawiać, czy takich pomyłek jest więcej. Jeśli nawet były, nie miały znaczenia. Przyjemnie było po prostu jej słuchać, słuchać ze świadomością, że w pewnym sensie jest to spotkanie z odnalezioną po latach rodziną.

Wreszcie Mary Poor wspomniała swoją córkę Elizabeth.

– To była postrzelona dziewczyna – powiedziała. – Z tych, co zawsze się proszą o kłopoty. No i doprosiła się. Nie raz i nie dwa.

Rozdział czterdziesty

Niedziela, 10 maja 1942, godzina 4.00 rano

Moje serce pękło na milion kawałków i nie wiem, co począć, mogę tylko płakać. Co właśnie teraz robię i pewnie nie przestanę do końca życia. A jedyny człowiek, do którego przez półtora miesiąca zwracałam się z wszelkimi problemami, nie wysłucha mnie już nigdy.

W nocy, zgodnie z planem, wybrałam się podglądać Jimmy'ego Browna na patrolu. Pojechałam rowerem w jego rewir, czyli na plażę położoną mniej więcej trzy kilometry na północ od Kiss River. Bałam się bardzo, bo nie znałam drogi, a noc była ciemna choć oko wykol. Wzięłam ze sobą latarkę, ale przez to było jeszcze straszniej, bo jej światło wyławiało z mroku czarne drzewa w głębi lasu. Z tych nerwów ledwie mogłam oddychać. Normalnie nie boję się lasu po ciemku, w końcu co noc wymykałam się sama z domu na spotkania z Sandym. Teraz jednak było inaczej, bo po prostu nie wiedziałam, czy ścieżka zaraz nie zakręci, gdzie są wyboje i czy z lasu coś (albo ktoś) na mnie nie wyskoczy.

Gdy szum fal zmienił brzmienie, zorientowałam się, że plaża jest już o krok. Zostawiłam rower w lesie i wyłączyłam latarkę, a potem ruszyłam przed siebie, starając się iść jak najciszej. Z początku nikogo nie było widać, ale przycupnęłam w zaroślach, postanawiając, że trochę poczekam, bo on na pewno chodzi tam i z powrotem i niedługo się pokaże. Miałam rację. Jechał na koniu, powoli, noga za nogą. Kiedy zniknął mi z oczu, wyszłam na plażę, żeby obserwować go dalej zza wydmy. Księżyc świecił na tyle jasno, że widać było akurat jego i konia. Nie wiem, czego się spodziewałam. Gdyby opuścił swój rewir, pewnie byłoby to podejrzane. Gdyby ktoś podpłynął do brzegu, a on pozwoliłby mu zejść, miałabym niezbity dowód. Tego chyba właśnie oczekiwałam. Tylko że po ponad trzech godzinach nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego i byłam już mocno zmęczona, nie mówiąc o tym, że wynudziłam się jak mops.

Wróciłam więc lasem do Kiss River, a po drodze przyszło mi do głowy, że mogłabym jednak zobaczyć się z Sandym i zrobić mu niespodziankę, bo przecież się mnie nie spodziewa. Oparłam rower o ścianę latarni i poszłam na plażę. Droga znów prowadziła przez las, ale już się tak nie bałam, bo ten las znam lepiej, a właściwie tak dobrze, że nie muszę nawet włączać latarki, ale zawsze mam ją przy sobie, tak na wszelki wypadek. Gdy dotarłam na skraj plaży, jeszcze pomiędzy drzewami, zauważyłam światło na wprost, troszeczkę w prawo. Nie miałam pojęcia, co to mogło być. Nikomu nie wolno chodzić nocą po plaży, a już na pewno nie wolno palić tam żadnych świateł. Przez minutę stałam na ścieżce jak słup soli, starając się zaobserwować, czy to światło przypadkiem nie mruga, nie nadaje czegoś morsem, ale ono nie gasło ani na chwilę, chociaż było niezbyt jasne. Sandy ma bardzo mocną latarkę, lecz odkąd na brzegu obowiązuje zaciemnienie, nie włącza jej prawie nigdy. Wtedy przypomniał mi się morderca z plaży, o którym już od tyłu tygodni w ogóle nie myślałam. Wyobrażenia podsuwała mi różne dzikie pomysły. A jeśli ten morderca zabił Sandy'ego i właśnie go okrada przy tym świetle?

Ruszyłam przed siebie na paluszkach, chociaż w sumie nie musiałam iść cicho, bo ocean był w nocy bardzo wzburzony i robił dużo hałasu. Wspięłam się na moje drzewo pierwszy raz, odkąd poznałam Sandy'ego. Pomyślałam, że zanim wyjdę na plażę, lepiej przycząć się na górze i zobaczyć, co się dzieje.

I zobaczyłam. Do tej pory mam to przed oczami. Na plaży stał Sandy, w rękę trzymał włączoną latarkę i świecił w stronę morza. Nie mrugał, tylko świecił prosto przed siebie. Myślałam, że może wypatrzył coś w wodzie, ale chyba przeczułam, że nie o to chodzi, bo nie zeskoczyłam z drzewa i nie pobiegłam do niego, tylko dalej siedziałam na gałęzi i patrzyłam. Przypomniało mi się, jak tamci Niemcy zjawili się w Kiss River: tato popłynął po nich, a ja świeciłam z brzegu, żeby trafił z powrotem z nimi na holu.

Kilka minut później dostrzegłam coś na falach i w tym momencie Sandy wyłączył latarkę. No i proszę, była to jolka, podobna do tej, którą przypłynęli tamci dwaj, tylko że ta miała mały silnik. Pomyślałam, że może to rozbitkowie ze storpedowanego statku handlowego, ale na horyzoncie nie było żadnego ognia, a wiatr nie niósł smrodu spalenizny, który zawsze czuć na brzegu, kiedy trafią jakiś statek.

Sandy podbiegł do łódki, żeby pomóc ludziom, którzy w niej siedzieli. Było na tyle jasno, abym mogła zobaczyć, że jest ich dwóch. I wtedy stało się coś, co w jednej chwili odmieniło dosłownie wszystko. Sandy zawołał *Wi gejc!* Byłam pewna, że się przesłyszałam. Przecież fale tak mocno waliły o brzeg. Tamci jednak odpowiedzieli mu po niemiecku, bardzo szybko, więc byłam pewna, że on nie da rady ich zrozumieć. Myliłam się. Sandy z nimi rozmawiał – po niemiecku! Wyrzucał z siebie obce słowa prawie tak samo szybko jak oni. Kiedy wysiedli na brzeg, zobaczyłam niemieckie mundury. Przykucnęli we trzech na plaży i naradzali się cicho, a potem Sandy wręczył im dużą kopertę i jakąś torbę.

Własnym oczom nie wierzyłam! Byłam zła, czułam się skrzywdzona i po prostu mi odbiło. Zeszłam z drzewa i zaświeciłam latarką prosto na nich. Odwrócili głowy, chociaż na pewno mnie nie widzieli, bo raziło ich moje światło.

– Uciekać, szybko! – krzyknął Sandy do tamtych, a oni wgramolili się z powrotem do łodzi i odpłynęli. – Kto idzie?! – zawołał w moją stronę.

Odwróciłam latarkę w dłoni, oświetlając własną twarz, a on się roześmiał, ale tak nerwowo, że nikt by się nie dał nabrać.

– Bess! – powiedział. – Jak dobrze, że to tylko ty. Trochę mnie przestraszyłaś.

Wyglądał jak mały chłopczyk przyłapany przez mamę na jakimś wybryku.

Myślałam o tym, jak powiedziałam mu, że znam dwa zdania po niemiecku. Nie przyznał mi się wtedy, że też zna kilka słów w tym języku. A nawet więcej. Znacznie więcej niż kilka. Potem przypomniało mi się, że zawsze się zżymał, kiedy słyszał, jak ktoś mówi na Niemców „szwaby”. Nic dziwnego, że tak się zdenerwował, kiedy mu powiedziałam, że pomagam komendantowi Hewittowi szukać zdrajcy. No więc teraz go znalazłam. Podeszłam bliżej, a w oczach już miałam łzy, bo wszystkie moje nadzieje i marzenia właśnie legły w gruzach.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał Sandy. – Myślałem, że dzisiaj zostałeś w domu.

– Nieważne, co ja tutaj robię – odparłam – tylko co ty tu robiłeś z tymi Niemcami.

– Z tamtymi chłopakami? – Obejrzał się w stronę morza, ale łódka zniknęła już w ciemności. – To nie są Niemcy.

– Nie kłam, Sandy. Widziałam ich mundury. Słyszałam, jak rozmawiasz z nimi po niemiecku. Widziałam też, jak im coś dajesz.

Sandy potarł dłońmi oczy. Chciałam usłyszeć, że źle to wszystko zrozumiałam.

– Nie trzeba było mnie szpiegować – warknął.

Mówił cicho, ale był bardzo, bardzo zły. Uspokoił się już, a ja nagle zaczęłam się go bać. Wydał mi się obcy. I mógł mnie zabić na miejscu w tych ciemnościach. Cofnęłam się o krok, ale złapał mnie za rękę.

– Podejrzewałaś mnie? – spytał. – Dlatego przyszłaś tutaj węszyć? A najpierw mnie oszukałaś, że niby idziesz spać?

Tyle zadał tych pytań, że nie wiedziałam, na które odpowiedzieć. Poza tym nie byłam mu winna żadnych wyjaśnień.

– Cieszę się, że tutaj jestem – oznajmiłam. – Bo teraz znam prawdę o moim chłopaku. Mój chłopak to przeklęty szpieg.

Nie mogłam wyrwać ręki, bo trzymał mnie mocno. Chciałam prosić, żeby nie robił mi krzywdy, ale postanowiłam nie okazywać przed nim słabości ani strachu.

– Nie waż się pisać o tym Budowi – ostrzegł mnie, pochylając się nisko, tak że poczułam jego oddech na policzku. – Ani słowa. Nikomu.

– Dlaczego to robisz? – zapytałam. Chyba przez łzy. Bolała mnie ręka, którą ścisnął, ale serce bolało jeszcze bardziej.

– Dla forsy, a jak myślałaś? – prychnął. – Dostanę od Niemców grube miliony. Będę bardzo, ale to bardzo bogaty.

Ileż w tym było chciwości! Nagle przypomniało mi się, jak opowiadał, że jego rodzina żyła w biedzie, że nigdy nie dostał żadnej zabawki na Gwiazdkę, a w domu często nie było co jeść. Takiemu człowiekowi pieniądze, dużo pieniędzy, mogą pomieszać w głowie.

Sandy jeszcze mocniej ścisnął moją rękę.

– Przysięgnij, że nikomu nie powiesz – syknął.

Wiem, że trzeba było ustąpić i posłusznie dać mu słowo, ale nie umiałam.

– Nie będę przyglądać się bezczynnie, kiedy giną amerykańscy marynarze – oznajmiłam.

Jak to się stało – tego nie wiem, ale w następnej chwili leżałam na ziemi, a Sandy wykręcał mi rękę tak mocno, że jeszcze trochę i wyłamałby ją ze stawu.

– Pamiętasz trupa, którego tutaj znalazłaś? – wycedził.

Skinęłam głową.

– To był ostatni człowiek, który ośmielił się mnie szpiegować.

Zaparło mi dech w piersi.

– Ty go zabiłeś? – jęknęłam.

– Jeśli piśniesz choćby słowo, komukolwiek, o tym, co tutaj widziałaś, zapłacisz mi za to. Ty i twoi rodzice, słyszysz? Może nabiłaś sobie głowę bzdurami o służbie dla ojczyzny i nie dbasz o własne życie, ale czy chcesz narazić tych, których kochasz?

Ciebie też kochałam, cisnęło mi się na usta. Łzy płynęły już strumieniami po moich policzkach.

– No jak, chcesz czy nie? – powtórzył Sandy, przyciskając mnie mocno kolanem. Pokręciłam głową na znak, że nie.

Wtedy puścił moją rękę, ale jeszcze nie pozwolił mi wstać.

– Słuchaj, Bess – powiedział, już normalniejszym głosem, bardziej jak dawny Sandy, którego znałam. – Grozi ci poważne niebezpieczeństwo. Musisz zniknąć. Wyjechać z Outer Banks. Jak najdalej. I trzymać język za zębami.

– Wciąż ci na mnie zależy – szepnęłam. Nie mogłam się powstrzymać, bo tak się ucieszyłam, że on mimo wszystko troszczy się o mnie, nawet jeśli był, jak się okazało, podłym zdrajcą.

– Źle mnie zrozumiałaś – skrzywił się. – Ja powiedziałem tylko tyle, że jeśli chcesz zapewnić bezpieczeństwo sobie i swojej rodzinie, lepiej, żebyś zniknęła.

– Myślałam, że mnie kochasz.

Zaśmiał mi się prosto w oczy.

– Dzieciak z ciebie.

– Ale mówiłeś...

– O mężczyznach powinnaś wiedzieć jedno – przerwał mi. – Gadają, co im ślina na język przyniesie, żeby dostać to, czego chcą.

Nagle, bez słowa uprzedzenia, puścił mnie, a ja natychmiast skoczyłam na równe nogi i puściłam się pędem w stronę lasu. Wpadłam w zarośla, które drapały mnie do krwi, ale nie dbałam o to.

– Nikomu ani słowa! – zawołał za mną.

Tak więc jestem już w domu, siedzę w swoim pokoju i wciąż jeszcze się trzęsę po tym, co spotkało mnie na plaży. Od płaczu boli mnie gardło. W głowie roją mi się różne wariackie myśli: a może człowiek, który mi groził i nazwał dzieciakiem, to wcale nie był Sandy? Na pewno mówił inaczej niż on. Sandy nie był taki podły, zły, niegodziwy. Nie podejrzewałam, że tak potrafi. Ale teraz już wiem, że to był on. I muszę wymyślić, co robić. Wciąż mam przed oczami moich rodziców, którzy śpią sobie spokojnie za ścianą i nie mają najmniejszego pojęcia, jakie niebezpieczeństwo zawisło nad ich głowami z mojej winy. Jeśli stanie im się coś złego, nigdy sobie tego nie wybaczę. Bez przerwy powraca do mnie piosenka, którą tyle razy puszczała w radio – *Perfidia*. Teraz w końcu wiem, co to oznacza. Jej ostatnie słowa brzmią: „Mam dość perfidii twej”. Nie znoszę tej piosenki od zawsze, nawet zanim zrozumiałam, o czym opowiada. Teraz jeszcze bardziej jej nie cierpię.

* * *

O mój Boże! Zasnęłam po napisaniu tej ostatniej linijki. Nie wiem, jak to się stało, ale się stało. I przyśnił mi się okropny, potworny sen. Sandy zjawił się u nas w domu. Wszedł i zobaczyłam go w salonie. Przeprosił mnie i powiedział, że mnie kocha, że nie chciał zrobić mi żadnej krzywdy. Poprosił o herbatę, co w ogóle mnie nie zdziwiło. Kiedy wróciłam do salonu z filiżanką, z piętra dobiegły głośne wrzaski. Pobiegłam na górę, a tam Sandy okładał moich rodziców wielkim, grubym kijem. Wszędzie było pełno krwi, a oni oboje już nie żyli. Obudziłam się z krzykiem. Wiem teraz, co robić. Dzisiaj będę myślała tylko o tym, o niczym innym. O tym, co muszę zrobić.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Po wyjściu z pracy Gina wsiadła do samochodu i pojechała prosto do domu, ciesząc się działającą klimatyzacją i ciszą w podwoziu. Chciała po drodze zajrzeć do Henry'ego, wiedząc, że zastanie tam Claya, który na ten dzień zaplanował jakieś naprawy – w końcu ten stary dom przeżył i pożar, i wiele podtopień – ale spieszo jej było do komputera, żeby sprawdzić, czy ktoś z jej grupy wsparcia wrzucił nowe informacje o dzieciach przenoszonych do państwowego sierocińca.

Zdziwiła się, gdy zobaczyła przed domem samochód Lacey, bo była sobota, a w sobotnie popołudnia Lacey miała zajęcia z dziećmi. Na parkingu stała też ciemnoczerwona furgonetka. W pierwszej chwili uznała, że odwiedził ich Kenny, który jeździł taką furgonetką, ale zauważyła powgniataną i zachlapaną błotem karoserię, a Kenny bardzo dbał o swój wóz. Kolejny facet Lacey, pomyślała Gina, wysiadając.

Weszła do domu. Lacey i jej gościa nigdzie nie było widać. Sasza wybiegł przywitać się z nią, merdając wesoło ogonem, a kiedy skierowała się do gabinetu, podreptał za nią. Włączyła komputer, ale zanim zdążyła się zalogować, na piętrze ktoś krzyknął, krótko, przeraźliwie. Gina zamarała z palcami na klawiszach, a Sasza uniósł łeb i spojrzał w stronę salonu, czekając, tak jak ona, czy odgłos się powtórzy. Może Lacey i jej amant tylko się tak zabawiali? Nie. Zaraz potem wybuchła głośna kłótnia. Sasza zerwał się z podłogi, warcząc nisko, gardłowo.

Gina też wstała zza biurka, pogładziła psa po głowie i wyszła z gabinetu, zatrzymując się u stóp schodów.

– Lacey?! – zawołała, unosząc głowę.

W tym momencie rozległ się głuchy łomot, jakby coś upadło na podłogę tuż nad jej głową. Coś albo ktoś. Skrzypnęły otwierane drzwi i natychmiast zatrzasnęły się z hukiem. Gina stała w miejscu jak słup soli, nie wiedziała, czy iść na górę, do Lacey, czy dzwonić na policję. Sasza wspiął się przednimi łapami na pierwszy stopień schodów, odruchowo chwyciła go za obrozę.

Nagle na górze pojawił się Brock Jensen. Zbiegł z tupotem po schodach. Sasza zaczął szczekać, a on minął pędem Ginę, nie oglądając się ani na nią, ani na ujadającego goldena, który szarpał się przy jej nodze. Przemknął przez salon jak strzała i zniknął za drzwiami.

Czerwona furgonetka należała oczywiście do niego. Widziałam ją przecież na parkingu pod Shorty's, przypomniała sobie Gina. Puściła obrozę Saszy i pobiegła do pokoju Lacey, drżąc ze strachu na myśl, co może tam zastać. Zapukała do drzwi i otworzyła od razu, nie czekając na odpowiedź.

– Nic mi nie jest – zapewniła szybko Lacey na jej widok. Siedziała na podłodze, oparta o komodę. Oczy miała otwarte, ale zmrużone, bo krzywiła się z bólu. Masowała palcami dolną szczękę, a na jej policzku zdążył się już pojawić ciemny siniak. Miała na sobie tylko dżinsowe szorty, a fale długich rudych włosów spływały na jej nagie piersi. Sasza przywarł do jej kolan, a ona przytuliła go mocno.

Gina podeszła szybko i uklękła przy niej.

– Co się stało? – zapytała, odgarniając włosy z twarzy Lacey, aby przyjrzeć się siniakowi. – Na pewno nic ci nie jest?

– A to świnia... – Lacey zazgrzytała zębami. Chwyciła się ramienia Giny i oparła na grzbiecie Saszy, ale nie dała rady wstać i opadła z powrotem na podłogę. – Podasz mi stanik? – poprosiła.

Jej stanik wisiał na desce w nogach łóżka. Gina przyniosła go i pomogła jej włożyć, a potem sama zapięła haftki na plecach.

Lacey znowu spróbowała wstać i tym razem zdołała dojść do łóżka i usiąść na skraju pościeli.

– Bardzo źle to wygląda? – zapytała, spoglądając na Ginę. Prawa strona jej twarzy zaczęła już puchnąć.

– Trzeba przyłożyć trochę lodu. Ale najpierw musimy zadzwonić na policję.

Lacey potrząsnęła głową.

– Nie ma po co. Sama go tu zaprosiłam. Nie kiwną nawet palcem.

– Ale co się stało? – powtórzyła Gina, siadając obok niej na łóżku.

Lacey wzruszyła ramionami.

– Myślał, że znowu będzie seks, ale ja nie chciałam. Zapytałam go o te pieniądze, które wygrałaś.

– Och, Lacey, nie... – jęknęła Gina. Chociaż bezpodstawnie, to poczuła się odpowiedzialna za tę sytuację. – Dlatego się z nim spotykałaś?

Znów odpowiedzią było wzruszenie ramionami.

– Nieważne – mruknęła Lacey. – Wściekł się, kiedy zapytałam o twoje pieniądze. A już wcześniej był wkurzony, bo nie chciałam iść do łóżka. Wtedy powiedziałam, żeby wyszedł, a on mi przyłożył. – Ostrożnie obmacała szczękę. – Już jest bardzo ciemne?

– Zaraz będzie – przytaknęła Gina. Gładka, jasna skóra Lacey szybko robiła się fioletowa. Siniak rozlewał się po całym policzku, aż bolało od samego patrzenia.

Lacey obróciła głowę w prawo, potem w lewo, jakby rozciągała sztywny kark.

– Muszę wymyślić, skąd to mam, bo inaczej Clay nie da mi spokoju – mruknęła. – To jest jedyny minus mieszkania z nim pod jednym dachem. Wciąż widzi we mnie swoją młodszą siostrzyczkę.

– On cię kocha – powiedziała Gina. – I tylko chce cię chronić.

– Wiem.

– Lacey... – zaczęła i urwała, nie mając pewności, czy to dobry moment, by wygłaszać własne opinie. Czasami zapomniała, że jest tylko gościem w tym domu. Leżało jej na sercu dobro Lacey, ale za nic w świecie nie potrafiła zrozumieć tej dziewczyny. – Obawiam się, że zadawanie się z niektórymi z twoich chłopaków przypomina igranie z ogniem – zaczęła ostrożnie. – Brocka ledwie znasz, a wszyscy zgodnie twierdzą, że to jakiś typ spod ciemnej gwiazdy. Kto wie, co by ci zrobił. Mógł cię przecież zabić.

– Znam go – broniła się Lacey, sięgając po swoją koszulkę, leżącą na poduszce. – Ze spotkań grupy Al-Anon. On też tam przychodzi. Chciałam go trochę lepiej poznać, wiesz, żeby się zorientować, czy to na pewno on ukradł ci wygraną.

– Pieniądze nie są najważniejsze – zauważyła Gina, wiedziała jednak, że to nie jest dobry moment na dyskusję o mężczyznach w życiu Lacey. – Przyniosę ci lodu. – Wstała z podłogi i ruszyła do drzwi.

Gdy była już na schodach, zauważyła, że trzęsą jej się nogi. Nadprodukcja adrenaliny. W uszach wciąż brzmiał jej tamten pierwszy krzyk, który jak nóż przeciął powietrze zalegające

nieruchomo w domu. W kuchni znalazła plastikową torebkę i napełniła ją lodem. Kiedy ją zawiązywała, otworzyły się drzwi i wszedł Clay.

Objął ją, a ona odłożyła torebkę na blat i przytuliła się do niego.

– Trzęsiesz się? – zapytał.

– Nic mi nie jest – odparła. – Ale Lacey się przewróciła i uderzyła w policzek. Zaniosem jej trochę lodu. – Odwróciła się od Claya. Czuła się podle, że znów powiedziała mu nieprawdę.

– Przewróciła się? – powtórzył. – Jak? Gdzie ona jest?

– U siebie w pokoju. Potknęła się o dywanik i walnęła policzkiem w komodę.

– Au. – Skrzywił się. I chyba uwierzył, bo otworzył szufladę ze ścierkami do naczyń. – Zawiał tę torebkę.

Poszli razem na górę. Na schodach Clay objął Ginę ramieniem.

– Coś nowego na temat Rani? – zapytał.

– Jeszcze nie sprawdziłam poczty – powiedziała i zrobiło jej się ciepło na sercu, że pamiętał.

Lacey wciąż siedziała na skraju łóżka. Włożyła już koszulkę, a siniak był kilka tonów ciemniejszy niż przedtem, zanim Gina wyszła z pokoju.

– To musi boleć – mruknął Clay, siadając obok siostry. Gina podała jej torebkę z lodem, zawiniętą w czystą ścierkę.

– Czasami straszna ze mnie niedojda – westchnęła Lacey. – Wlazłam prosto na kant otwartych drzwi.

Gina skuliła się w sobie.

– Na kant drzwi? – Clay obejrzał się na nią, a potem na siostrę. – A kiedy potknęłaś się o dywanik i uderzyłaś o komodę?

– Co? – nie rozumiała Lacey.

– Powiedziałaś mu, że się potknęłaś – wyjaśniła Gina.

– O. – Lacey zapadła się w materac, jakby nagle uszło z niej powietrze. – Wydało się.

Clay skrzyżował ramiona na piersi.

– No dobra, dziewczyny. – Nagle zrobił się rzeczowy, wręcz oficjalny. – Słucham, jak to było naprawdę? Dostałaś w twarz od kogoś z twoich gnojzków?

– Nie musisz się martwić – uspokajała go Lacey. – Już nigdy więcej się z nim nie zobaczę.

– Z nim nie, ale będzie następny, taki sam milutki. – Clay uniósł głos. – I może załatwi już sprawę do końca.

– Możecie stąd wyjść, oboje, i zostawić mnie w spokoju? – poprosiła.

Clay pochylił się i lekko nacisnął poczerwiałą skórę na jej policzku, a potem przebiegł palcami w dół, aż do brody.

– Na pewno nic ci nie złamał? – spytał. – Kiepsko to wygląda.

– Wszystko w porządku – ucięła. – Do widzenia państwu.

Clay wstał, wyciągnął rękę do Giny.

– Chodź. Nic tu po nas.

Kiedy zamknęli za sobą drzwi, Gina stanęła przed nim.

– Przepraszam, że cię oszukałam – powiedziała. – Lacey prosiła, żeby ci nie mówić, a ja nie wiedziałam, co...

– W porządku. – Poglądził ją po ramieniu. – To była dla ciebie sytuacja bez wyjścia. Ale Lacey naprawdę porządnie oberwała. To nie był mały klaps.

– Nie był.

– Wiesz, kto to zrobił.

- Brock. Znasz go, to ten...
 - Brock Jensen? – W oczach Claya zapłonął ogień. Oprawca jego siostry przestał być anonimowy.
 - Tak. Lacey chciała się dowiedzieć, czy to on ukradł moje...
 - Na razie – rzucił przez ramię i zbiegł po schodach równie szybko jak przed chwilą Brock.
 - Clay! – zawołała za nim. – Nie zrób niczego głupiego!
- Ale on był już za drzwiami. Gina usiadła na szczycie schodów, zastanawiając się, co powinna zrobić. Jechać za nim do Shorty's, bo z całą pewnością tam właśnie się wybierał? Zadzwoić na policję i wysłać ich do baru, na wszelki wypadek? A może po prostu niepotrzebnie się martwić, pomyślała. Brocka pewnie i tak nie ma w Shorty's, a Clay po drodze zdąży ochłonać, wyżyje się na pedale gazu.
- Została więc w domu i nie zadzwoniła na policję. Zamiast tego poszła do gabinetu, żeby sprawdzić, czy wiadomo już coś o losie jej córeczki.

Rozdział czterdziesty drugi

Na parkingu przed Shorty's Clay wypatrzył poobijaną czerwoną furgonetkę Jensena. Zatrzymał jeepa obok niej, wysiadł i ruszył do drzwi baru. Był podminowany, a pięści już miał zaciśnięte. Jeszcze nigdy tak się nie czuł. A przecież na procesie zabójcy swojej matki siedział na sali rozpraw i patrzył na tamtego człowieka, siedzącego z kamienną twarzą obok swojego adwokata. Pracował z ekipami poszukującymi zwłok brutalnie zamordowanych dzieci. I dopiero dziś, naprawdę po raz pierwszy w życiu, wpadł w szal, w dziką furję.

– Jak się masz, Clay?! – Przy barze siedział Kenny, ale Clay minął go bez słowa i skierował się prosto do małej sali.

– Cześć, Clay! – zawołał Walter Liscott znad szachownicy, ale to powitanie też puścił mimo uszu. Odszukał wzrokiem stół bilardowy. Brock Jensen stał tyłem do niego, pochylony do strzału. Tatuaze na jego plecach przebijały przez cienką białą koszulkę. Clay podszedł i stuknął go w ramię.

– Nie widzisz, że strzelam? – burknął Jensen, nie obejrzawszy się nawet.

– Odwróć się, skurwielu – wycedził Clay.

Jensen wyprostował się powoli, a potem odwrócił.

Clay wziął zamach i puścił pięść do przodu. Trafiła prosto w środek twarzy. Rozległ się trzask. Pięknie to zabrzmiało.

Jensen chwycił się za krwawiący nos.

– Facet, co ty, kurna? – wybełkotał.

– Przyjemnie ci? – warknął Clay i znów mu przyłożył. Jeszcze nigdy w życiu nikogo nie uderzył, ale spodobało mu się to. Nawet za bardzo. Walnął jeszcze raz. – Teraz już wiesz, jak się czuła moja siostra.

– Twoja siostra to dziwka – odgryzł się Jensen jak ostatni idiota.

– A ty jesteś gnida. – Clay popchnął go na stół bilardowy, przewrócił się na niego i zaczął okładać z całej siły, raz za razem, w twarz, w tułów, gdzie popadnie. Jak przez mgłę słyszał ludzi dookoła: jedni krzyczeli, inni dopingowali go głośno. Ktoś wołał „Uspokój się!”, a Kenny bez powodzenia usiłował odciągnąć go od zielonego stołu. Nawet stary Brian Cass wmieszał się w bójkę i próbował oderwać Claya od Jensena, ale Clay nie dał sobie przeszkodzić. Krew się lała, czerwone krople tryskały w powietrze. Miał ją na dłoniach, ale nawet nie wiedział, czy to Jensena, czy jego własna, zresztą było mu wszystko jedno. Wiedział natomiast coś innego, uświadomił sobie pewną rzecz, która weszła mu do głowy i sprawiła, że walczył tym zajadlej: jego ciosy nie były wymierzone tylko w Brocka Jensena. Ich celem był również budynek, który się zawalił i pogrzebał pod gruzami jego żonę i nienarodzone dziecko, partacze, którzy postawili go byle jak, a także – swoje własne przerośnięte ego, które kazało mu wysłać Terri tam, gdzie sam miał pojechać. Clay bił się z Bogiem.

Rozdział czterdziesty trzeci

O szóstej po południu zadzwonił telefon. Alec akurat kąpał się z Jackiem i Maggie w morzu, zaraz za domem, gdy w pewnej chwili usłyszał sygnał swojej komórki, którą zostawił na tarasie. Szybko wyszedł z wody, ale nie zdążył dobiec. Olivia nagrała się na pocztę głosową.

– Jeśli uda ci się znaleźć kogoś, żeby posiedział z dziećmi – powiedziała – to proszę, przyjedź na pogotowie. Tylko nie panikuj, nic bardzo poważnego się nie stało.

Nic bardzo poważnego? Oddzwonił natychmiast, ale odebrała recepcjonistka i dowiedział się jedynie tyle, że doktor Simon ma pacjenta. Zawołał dzieci, kazał im wyjść z wody i szybko się ubrać, a potem zadzwonił do mamy jednego z kolegów syna i zapytał, czy zajęłaby się Jackiem i Maggie przez jakiś czas. Zgodziła się, więc kilkanaście minut później zostawił ich u niej, a sam ruszył w drogę.

Niezależnie od powodu nie lubił wezwań na pogotowie. Chociaż minęło już dziesięć lat, wizyta w tym miejscu za każdym razem budziła wspomnienia strasznego wieczoru, kiedy Annie umarła na stole zabiegowym. A teraz w dodatku nie wiedział nawet właściwie, czy ma się przejmować, czy może być spokojny. Olivia nie powiedziała przecież „Nie martw się”, tylko „Nie panikuj”.

Poczekalnia wyglądała jak mała sala w Shorty’s. Był tam Kenny Gallo, Walter Liscott na wózku, Brian Cass i jeszcze kilku bywalców baru, a do tego dwóch policjantów, których Alec dobrze znał. Jeden z nich, Pete Myron, chyba na niego czekał, bo kiedy O’Neill stanął w drzwiach, natychmiast do niego podszedł.

– Co się stało? – zapytał Alec.

Pete wyprowadził go z poczekalni w boczny korytarz. Tuż obok znajdowały się sale zabiegowe.

– Znasz faceta nazwiskiem Brock Jensen? – zapytał.

Musiał pomyśleć przez chwilę, zanim skojarzył, o kogo chodzi.

– Gość z tatuażami?

– Tak, ten. Podobno pobił twoją córkę.

Alec pomyślał o Maggie, którą zostawił u sąsiadów, gdzie nic nie mogło jej grozić, i dopiero potem uświadomił sobie, że Pete mówi o Lacey.

– Gdzie ona jest? – Przekrzywił głowę, starając się zajrzeć do sali zabiegowej za jego plecami.

– Co z nią?

– W domu – uspokoił go policjant. – Wysłaliśmy kogoś, żeby sprawdził. Wszystko w porządku, ma tylko parę siniaków. Gorzej z tym Jensenem. Właśnie go szyją. A Clay ma złamany palec.

– Clay? – nie zrozumiał Alec. – Jak to?

– Clay przyjechał do Shorty’s, znalazł go tam i spuścił mu łomot.

– Clay?! – Nie chciało mu się w to wierzyć. Clay nie był mięczakiem, ale wyznawał

jednoznacznie pacyfistyczne poglądy. Nie znosił przemocy, a co istotniejsze, gardził zemstą, samym pojęciem zemsty. Nawet na procesie Zachary'ego Pointera, wysłuchując zeznań świadków, którzy opisywali, jak zabójca strzelił do jego matki, Clay wciąż powtarzał: „Nie będę domagał się kary śmierci dla niego. Nie i już”.

– Lacey nie wniosła skargi – poinformował go Pete. – A Jensen ma dość rozumu, by siedzieć cicho, więc w zasadzie nie mamy zbyt wiele do roboty.

– Gdzie jest Clay? – zapytał Alec. Wiele innych pytań cisnęło mu się na usta, ale uznał, że przyszedł czas, aby to jego syn udzielił mu odpowiedzi.

– Tam. – Policjant wskazał salę zabiegową. – Twoja żona się nim zajmuje.

Alec znalazł ich za trzecią z zasłon oddzielających łóżka dla pacjentów. Olivia bandażowała właśnie palec Claya, który oprócz tego miał jeszcze paskudne rozcięcie wysoko na kości policzkowej i spuchniętą wargę, ale ogólnie był cały i zdrowy. Uniósł głowę, kiedy ojciec odchylił zasłonę.

– Cześć, tato – powiedział po prostu, jakby takie awantury zdarzały mu się codziennie.

– Co się stało, do jasnej cholery? – zapytał Alec.

– Nic takiego. Bójka w barze. Normalna – odpowiedziała mu Olivia, nie odrywając się od pracy.

Clay nie był zbyt rozmowny. Westchnął ze znużeniem.

– Brock Jensen był u nas. Przyjechał do Lacey.

– Jak to przyjechał? – Alec nie potrafił sobie wyobrazić swojej córki i wytatuowanego cudaka z Shorty's. – Nie mów mi, że ją zgwałcił.

Clay odwrócił wzrok, ewidentnie chcąc uniknąć pytania.

– Uderzył ją – powiedział tylko. – Kiedy się o tym dowiedziałem, pojechałem do Shorty's i...

– Spojrzał na ojca z lekkim śmiechem na ustach. – To trochę nie w moim stylu, co?

Nawet bardziej niż trochę, pomyślał Alec.

– Dlaczego ją uderzył? – dopytywał. – Wszedł do domu siłą czy...

– Jestem pewien, że sama go zaprosiła, tato. Ona nie jest zbyt... wybredna.

Alec wolałby tego nie usłyszeć. W swoim czasie zauważył, że Lacey ma skłonności do seksualnej swobody, ale przymknął na to oko. I najchętniej by go teraz nie otwierał.

– Zapytałem, czy ją zgwałcił – powtórzył. – Nie odpowiedziałeś.

Clay zachnął się, lecz wydawało się, że to nie ojciec go denerwuje, tylko właśnie siostra.

– Z tego, co wiem, żadne z nich nie robiło niczego wbrew sobie.

Olivia skończyła bandażować jego palec i przyjrzała się ranie na twarzy.

– Trzeba szyć? – zainteresował się Clay.

Potrząsnęła głową.

– Wystarczy plaster. – Wzięła nieduży opatrunek z metalowej tacki leżącej obok, na łóżku.

– A Jensen? Mocno oberwał? – zagadnął Alec żonę.

– Złamany nos, szereg stłuczeń – odpowiedziała powściągliwym, lekarskim tonem. – Policzkiem chyba powinien zająć się chirurg plastyczny.

Przestań się uśmiechać, rozkazał sobie, ale nie mógł się powstrzymać. Był łagodnym człowiekiem i miał równie łagodnego syna, a mimo to odczuwał jakąś prymitywną męską dumę, że ten syn stanął w obronie swojej siostry i zwyciężył.

Clay nagle wyprostował się, spoglądając na coś za plecami ojca. Alec odwrócił się: zza kotary wyszła Gina.

– Nic ci nie jest? – zapytała z troską w głosie, kiedy podeszła do Claya, a gdy dotknęła jego

opuchniętej wargi, Alec momentalnie zrozumiał, że ich znajomość przerodziła się już w coś poważniejszego.

Clay wziął ją za rękę.

– Wszystko gra – powiedział. – Lacey przyjechała z tobą?

– Została w domu – wyjaśniła Gina. – Chyba woli się nikomu nie pokazywać z taką twarzą. Chociaż wcale nie wygląda źle – dodała szybko, pewnie po to, żeby rozproszyć obawy Aleca. – Kiedy wychodziłam, była z nią policjantka.

– Pojadę do niej. – Alec wyciągnął z kieszeni kluczyki do samochodu.

– Nie rób tego, tato – poprosił Clay.

– Dlaczego?

– Po prostu... Daj jej odetchnąć. Najlepiej będzie pogadać przez telefon.

– Ja też chcę z tobą pogadać – odezwała się Olivia, patrząc na męża. Wygładziła plaster na policzku Clay'a i wstała.

Alec objął ją ramieniem i położył dłoń na jej plecach.

– Kiedy tylko wrócisz do domu – obiecał.

* * *

Zaczekali z rozmową do wieczora, kiedy Jack i Maggie spali już w swoich łóżkach. Na osłoniętej siatkami przeciw owadom werandzie stała huśtawka; usiedli na niej, przysłuchując się, jak fale pluszczą o wąski skrawek plaży za ich domem. Alec położył dłoń na udzie Olivii. Rozmawiali już z Lacey, każde z osobna, i usłyszeli, że czuje się dobrze, wszyscy robią z igły widły, a w ogóle to jest nonsens, że Clay i Brock trafili na pogotowie z powodu „jednego klapsa”. Alec wolałby przekonać się o tym na własne oczy, ale kategorycznie zabroniła mu przyjeżdżać, po czym dodała, że i tak w poniedziałek zjawi się w pracy, w przychodni dla zwierząt.

– O czym chcesz porozmawiać? – zapytał teraz Olivię. – O Lacey?

– Też, ale najpierw chciałam zapytać o Ginę.

– Słucham.

– Podjąłeś już decyzję w sprawie soczewki z latarni?

– Jeszcze nie.

– Obiecałeś Clayowi, że się zastanowisz.

Zapowiadało się suszenie głowy. I kazanie w stylu „wszystko robisz źle”. Olivia rzadko uderzała w taki ton. Bardzo rzadko. Z tego właśnie powodu Alec nauczył się, że należy słuchać jej wtedy uważnie, niezależnie od tego, jak bardzo drażniła go ta rozmowa. Zresztą, Olivia najczęściej miała rację.

– I dotrzymam słowa – odparł.

– Jeśli Gina naprawdę jest krewną Poorów, powinieneś jej pomóc w wydobyciu soczewki. To oczywiste, że ma dla niej wartość sentymentalną. Dzięki latarni udało jej się odzyskać swoich bliskich. Clay mówił, że ona nie ma żadnej rodziny. Stąd te wszystkie wysiłki, żeby adoptować dziewczynkę z Indii. Gina pragnie stworzyć rodzinę dla niej i dla siebie.

Alec zesztywniał.

– Więc czemu zataiła przed nami, że ta soczewka ma dla niej taką wartość? Dlaczego kręciła, że niby prowadzi badania historyczne?

Olivia milczała. Domyślił się, że nie zna odpowiedzi na te pytania. Łagodny plusk fal na

piasku wypełniał ciszę.

– Kochany... – Usiadła na huśtawce bokiem, aby zwrócić się twarzą do niego. – Muszę ci coś powiedzieć, ale się boję.

– Boisz się? – Nie był w stanie zgadnąć, do czego prowadzi taki początek rozmowy.

– Po prostu... Przez chwilę pozwól mi mówić. Nie przerywaj. Tylko słuchaj.

Skinął głową.

Olivia ujęła jego dłonie w swoje, położyła sobie na kolanach. Alec poczuł, że najchętniej wzięłby ją teraz w ramiona. Nie mógł znieść, że bała się powiedzieć mu o czymś. Nigdy nie przyszłoby mu to do głowy.

– Dawno temu – zaczęła – byłeś gotowy na wszystko, żeby uratować latarnię w Kiss River. Dlaczego? Bo kojarzyła ci się z Annie. Tam się poznaliście. Spędziliście tam razem piękne chwile. Oboje ją uwielbialiście. Ta latarnia była dla ciebie bardzo ważna. I ja to rozumiem.

Alec znów skinął głową.

– Ale teraz jesteś tak samo gotowy na wszystko, żeby dopilnować, by soczewka z tej latarni została tam, gdzie jest, na dnie oceanu. A powód jest dokładnie ten sam.

– Co masz na myśli?

– Nic nie mów. – Położyła mu palec na ustach. – Pozwól mi skończyć. Latarnia w Kiss River nadal kojarzy ci się z Annie, ale to nie są już dobre skojarzenia. Odkąd poznałeś prawdę o swojej żonie, chcesz pogrzebać wszystko, co ci o niej przypomina.

Alec zrozumiał, że Olivia ma rację. Latarnia, o której kiedyś myślał tak ciepło, teraz była dla niego znienawidzoną zmorą.

– Tak czy inaczej – mówiła dalej – twoje decyzje, wtedy dotyczące latarni, a teraz soczewki, zawsze były podyktowane uczuciami do Annie. A to jest tylko szkło, Alec. – Ścisnęła go mocno za rękę. – Pozwalasz, żeby kawał szkła miał nad tobą władzę.

Alec otworzył usta, choć nie wiedział jeszcze, co chce powiedzieć.

– Nie skończyłam. – Olivia splótła palce z jego palcami, a w jej oczach błyszczały łzy. – Bardzo cię kocham. Tych ostatnich dziesięć lat to były jak dotąd najlepsze lata mojego życia. Ale... proszę cię, nie gniewaj się, że to powiem... Jestem przekonana, że Clay i Lacey muszą poznać prawdę o Annie. Tak czuję.

Tym razem nie mógł już milczeć.

– Dlaczego muszą? – zapytał. – Nie ma takiej potrzeby. Czemu mam zniszczyć ich pamięć o matce? Lacey wie, że jej ojcem jest Tom. To wystarczy.

– Wciąż stoisz na straży pamięci o Annie – powiedziała Olivia. – A ta pamięć na to nie zasługuje. Wręcz szkodzi twoim dzieciom.

Alec poczuł, że narasta w nim złość.

– Czy nie jest trochę wyrachowane z twojej strony tak mówić?

Rozpłakała się.

– Martwię się o Lacey. – Cofnęła jedną dłoń, aby otrzeć łzy z oczu. – To jest straszne, nie sądzisz? Że sprowadziła sobie kogoś takiego jak tamten facet? I to dokąd? Do domu latarnika.

Alec wiedział, o co jej chodzi, ponieważ i jemu przyszło to do głowy. Tak właśnie postępowała Annie. Przyprawiała mężczyznę do domu latarnika. To było jeszcze za czasów, kiedy mieszkała tam Mary Poor, całkiem sama. Annie szła do łóżka z kim popadło. Z Alekiem, swoim przysłym mężem, uprawiała seks po zaledwie kilkunastu minutach znajomości. Zawsze bardziej pragnęła dawać przyjemność, niż brać. I zawsze troszczyła się o innych. Ale Lacey o tym nie wiedziała.

– Więc rozwiązłość może być dziedziczna – powiedział, spoglądając na Olivię.

– I to właśnie jest w tym wszystkim najstraszniejsze – odparła. – Ale musimy skupić się na faktach, Alec. Lacey zawsze miała wielu chłopaków. I nikogo na stałe. Ona... To cała Annie. Podobna do niej jak dwie krople wody. I też nie poszła na studia.

– Przecież Annie studiowała.

– Nie zdobyła jednak dyplomu – ciągnęła Olivia. – Lacey poświęciła się witrażownictwu, tak jak jej matka, chociaż dawniej myślała o weterynarii, planowała pójść w twoje ślady. Oboje wiemy, że zwierzęta autentycznie ją interesowały, i gdyby tylko chciała, na pewno nie zabrakłoby jej zdolności. Ale rzuciła to w ką i oddała się robieniu witraży.

Alec wiedział, że Olivia znacznie lepiej niż on rozumie, czym jest obsesyjna potrzeba naśladowania Annie O’Neill. Dawno temu, zagubiona i dręczona przez zazdrość, także pogrążyła się w tej obsesji.

– I tak samo jak Annie, Lacey udziela się społecznie. – Olivia znów chwyciła męża za rękę. – Alec, ona musi poznać prawdę. A ty musisz zerwać tę więź z latarnią, jakakolwiek by była. Bo Annie wciąż steruje twoim życiem.

Przez długi czas Alec siedział w milczeniu. Wiedział, że choćby się zaparł, Olivia od początku do końca ma rację.

– Po prostu w tej chwili nie jestem w stanie odebrać Clayowi i Lacey pamięci o ich matce – wyznał w końcu. – Przykro mi, Olivio, ale nie mogę. Masz jednak rację co do soczewki. Zadzwonię do Claya i powiem, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc ją wydobyć.

Rozdział czterdziesty czwarty

Poniedziałek, 11 maja 1942

Co ja zrobiłam???? Czy tak właśnie należało postąpić? Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek będę umiała sobie odpowiedzieć na to pytanie. Wiem tylko, że czuję się potwornie i wszystko się we mnie przewraca. Całą noc wymiotowałam, a teraz leżę w nie swoim pokoju, w tym obcym domu, w obcym mieście, a zza ściany dobiegają mnie głosy Dennisa i jego siostry SueAnn. Słyszę, jak rozmawiają, i chociaż nie rozumiem słów, wiem, że mówią o mnie. Kiedy się tutaj zjawiłam, SueAnn przeżyła spory wstrząs, widać to było jak na dłoni, ale przyjęła mnie życzliwie. To ona przyniosła mi ten rosół z ryżem, który teraz stygnie na stoliku nocnym. Na razie nie mogę niczego przełknąć. Apetyt już chyba nigdy mi nie wróci, nawet sobie tego nie wyobrażam.

Jednego nie wiedziałam o Dennisie: że jest tak gorliwym katolikiem. Owszem, pokazywał mi swój szkaplerz i zawsze chodził do katolickiego kościoła w Corolli, ale nie miałam pojęcia, że religia zajmuje ważne miejsce w jego życiu. SueAnn jest taka sama. Pracuje jako pielęgniarka w katolickim szpitalu. W całym domu stoją małe figurki Pana Jezusa i Maryi Panny, a na ścianach wiszą obrazy, na których Jezus pokazuje swoje serce. Czuję się tu jak w innym kraju.

Wiele się zmieniło, chociaż od czasu, gdy ostatni raz pisałam w pamiętniku, upłynęła zaledwie doba. Wczoraj rano, obudziwszy się po tym strasznym śnie, w którym Sandy zakatował moich rodziców kijem, poszłam nad morze, gdzie Dennis rozbił namiot, i powiedziałam mu, że przyjmuję jego propozycję: wyjadę z nim do High Point. Był, oględnie mówiąc, zaskoczony. Zapytał, dlaczego zmieniłam zdanie i kiedy będzie mógł porozmawiać o tym z moimi rodzicami. Odparłam, że zgodzę się wyjechać pod jednym warunkiem: że nigdy, przenigdy ich o to nie zapyta i że już nigdy nie przyjedziemy do Outer Banks. Odmówił. Powiedział, że nie może tak po prostu mnie zabrać bez zgody moich rodziców. Rozplakałam się. Nie wiem, może już przedtem łzy mi leciały, ale po tych słowach porzuciłam się na całego. Dennis wpadł w panikę. Dopytywał się raz po raz: „Co się stało? Czy masz jakieś kłopoty?”.

Myślał pewnie, że zaszłam w ciążę. Na to mogło wskazywać moje zachowanie. (W tej chwili uświadomiłam sobie właśnie, że w tym domu muszę chować mój pamiętnik jeszcze lepiej niż u siebie).

– Dowiedziałam się czegoś, co ma związek z wojną, i jeśli stąd nie wyjadę, ja i moja rodzina znajdziemy się w wielkim niebezpieczeństwie – wyznałam mu.

Dennis zmarszczył brwi.

– Czego się dowiedziałas? W jaki sposób to mogłoby...

– Nieważne – weszłam mu w słowo. – I tak nie mogę ci tego powiedzieć. Proszę, nigdy więcej o to nie pytaj. Zabierz mnie tylko ze sobą.

Przypatrywał mi się przez długi czas, aż wreszcie skinął głową.

– Dobrze.

– I obiecujesz, że już nigdy tutaj nie wrócimy? Że znajdziesz inne miejsce na weekendowe biwaki?

Przytaknął ponownie.

– Coś mi mówi, że gdybym tutaj wrócił, skończyłbym w areszcie.

Wydawało mi się, że mówi do siebie, a nie do mnie.

– Kiedy będziesz gotowa do wyjazdu? – zapytał.

– Dzisiaj wieczorem – odparłam. – Wymknę się z domu, a ty czekaj na mnie na Pole Road. Dobrze?

– Dobrze.

Miałam jeszcze jedną rzecz do zrobienia, zanim stąd zniknę. Musiałam powiadomić komendanta Hewitta, że zdrajcą jest Sandy. Strasznie się gryzłam. Donieść na niego? Jak tak można? Przypominały mi się wszystkie te czułe, pełne miłości słowa, które usłyszałam od niego przez kilka ostatnich tygodni. I nie mogłam zapomnieć o tamtej cudownej nocy na łodzi. Czy to możliwe, że on po prostu mnie wykorzystał? Nie chciało mi się w to wierzyć. A jednak jego obrzydliwe zachowanie poprzedniej nocy uświadomiło mi, że jest kimś innym, niż myślałam. Oprócz tego był jeszcze pan Sato; nie mogłam pozwolić, żeby wszyscy uważali go za szpiega, skoro w rzeczywistości szpiegiem był Sandy. Ale co miałam zrobić? Pójść na posterunek i powiedzieć wszystko komendantowi – wykluczone. Po pierwsze, Sandy na pewno by mnie zobaczył i domyślił się, co zamierzam. Po drugie, komendant Hewitt gniewałby się na mnie, że kontaktuję się z nim tak na oczach wszystkich, przy chłopcach.

Nie mogłam też zostawić dla niego kartki w latarnie, bo była niedziela, więc miał się tam zjawić dopiero we wtorek, i to późnym wieczorem. Przez trzy dni byłoby mnóstwo okazji, aby przypadkiem wpadła w ręce rodziców. Wymyśliłam więc coś, co mogło się udać, chociaż wcale nie musiało. Poszłam na górę z naszyjnikiem, który dostałam w prezencie od Sandy’ego. Rubin to jeden z niewielu minerałów zdolnych przeciąć szkło. Przez chwilę opadły mnie wątpliwości, czy aby na pewno mój rubin jest prawdziwy. No cóż, właśnie miałam się przekonać. W tym miejscu, gdzie zawsze chowałam kartkę dla komendanta Hewitta, wryłam na szkło nazwisko Sandy’ego. Oczywiście było to jego prawdziwe nazwisko, które pojawiło się wcześniej w moim pamiętniku, a które wycięłam żyłką, żeby nikt go nie poznał i nie doniósł na zdrajcę, bo wtedy Niemcy nie dadzą nam żyć, ani mnie, ani moim rodzicom. Strasznie się boję. Mam nadzieję, że jeszcze myślę logicznie!

Prawda jest taka, że nie wiem, czy komendant zauważy to nazwisko na soczewce. Z jednej strony wolałabym, aby go nie znalazł, bo w głębi serca nie wierzę, że Sandy jest złym człowiekiem. Postarałam się przekazać tę wiadomość, ale nie wysiliłam się zbyt mocno. Uda się czy nie – los o tym zadecyduje.

Zostawiłam też list dla rodziców, w którym napisałam, że wyjeżdżam, bo chcę zdobyć lepsze wykształcenie i kiedyś pójść na studia, a potem zostać nauczycielką. Szurnięta powsinoga, tak o mnie pomyślą. Trudno, skoro inaczej się nie da, niech tak myślą, i nie dopisałam nawet na koniec, że ich kocham i będę za nimi tęsknić, a przecież to prawda, najszczęsza prawda. Zapewniłam ich, że jadę w bezpieczne miejsce. Musiałam to zrobić, bo nie mogłam znieść myśli, że będą się zamartwiać.

Przez całą drogę do High Point nie odezwałam się ani słowem. Jechaliśmy długo, bez końca, a z każdym kilometrem żołądek skręcał mi się coraz bardziej. W domu Dennisa i SueAnn wymiotowałam całą noc, ze strachu przed tym, co zrobiłam. Ucieczka z domu, donos na

Sandy'ego, wszystko, wszystko. Zabrałam ze sobą tylko mój pamiętnik, trochę ubrań i naszyjnik z rubinem, który, jak się przekonałam, jest jednak prawdziwy. Jak to możliwe, że mężczyzna, który podarował mi naszyjnik z prawdziwym rubinem, był zdolny mnie tak skrzywdzić? Nie potrafię tego zrozumieć.

Dennis i SueAnn widzą, jak się z tym szarpie i choruję, więc nie zmuszają mnie do żadnych zwierzeń. Jestem im za to bardzo wdzięczna. SueAnn ma serce zacne, jakich mało. Powiedziała, że się mną zaopiekują, a ja muszę tylko pozwolić im na to. Tak postąpię. Zresztą nie mam wyboru, a nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Rozdział czterdziesty piąty

Gina jeszcze nigdy nie widziała, żeby na parkingu pod Shorty's było tak pusto. Zdawało się, że wszyscy goście zaproszeni na osiemdziesiąte urodziny Henry'ego posłusznie zostawili samochody gdzieś dalej, aby dostojny jubilat niczego nie podejrzewał. Ona jednak zaparkowała blisko drzwi. Dwadzieścia napompowanych, niechętnych do współpracy balonów, które przywiozła, stanowiło wystarczająco trudne wyzwanie. Wolała nie ryzykować, że któryś jej teraz ucieknie.

Trudno jej było skupić się na urodzinach Henry'ego, bo myślami wciąż powracała do Rani. Jak dotąd pani King się nie odezwała, chociaż Gina zostawiła jej drugą wiadomość na automatycznej sekretarce. Przyszedł natomiast mejl od Denise, która w dalszym ciągu była na miejscu, w Hajdarabadzie.

„Na razie dzieci jeszcze są tutaj”, napisała, „ale słyszałam, że w każdej chwili mogą je zabrać do państwowego sierocińca. Rani nie zapomniała o Tobie. Wciąż pyta, gdzie jest »mami«. Jest tutaj jedna nowa aja, która mówi po angielsku i tłumaczy dla mnie różne rzeczy. Poprosiłam ją, aby wyjaśniła Rani, że czekasz na nią i myślisz o niej każdego dnia”.

– W każdej chwili... – załkała Gina, kiedy przeczytała te słowa, a potem się rozplakała, po pierwsze, z ulgi, że Rani jeszcze nie zabrano, a Denise wciąż ma ją na oku, a po drugie – ze wzruszenia, że dziewczynka pamięta ją i nazywa mamą. Jakie to wszystko niesprawiedliwe, pomyślała. Okrutne i dla dziecka, i dla matki.

Zajęła się wyjmowaniem balonów z samochodu i chwilę później ruszyła do baru, mocno zaciskając w dłoni końce długich wstążek. Weszła bocznymi drzwiami, a w małej sali wypuściła wszystkie balony. Kilku wczesnych gości pomogło jej rozmieścić je pod sufitem w równych odległościach od siebie.

Dochodziło wpół do siódmej. Mała sala powoli się wypełniała. Zarezerwowano ją na ten wieczór, co jednak nie miało znaczenia, bo większość stałych bywalców dostała zaproszenie – do wyjątków należało kilku takich, którzy przychodzili tutaj grać w bilard i kumplowali się z Brockiem Jensenem. Teraz stół też był już zajęty, a kilku facetów rzucało lotkami. Gina miała tylko nadzieję, że nie trafią w żaden balon. Walter i Brian grali w szachy, ale obiecali, że przerwą partię, kiedy zjawi się Henry. Stół z szachownicą przesunięto pod ścianę w głębi, a w sali rozstawiono kwadratowe stoliki przykryte obrusami z zielonego płótna i udekorowane prostymi kwietnymi stroikami, co w tym lokalu stanowiło szczyt elegancji. Kucharz szykował dla gości faszerywaną flądre i *pasta primavera*, czyli makaron z warzywami.

– Gina!

Obejrzała się. Od strony bocznego wejścia biegła ku niej Maggie O'Neill. Widząc, że dziewczynka wyciąga ręce, Gina pochyliła się nisko.

– Hej, Maggie! – zawołała, zachwycona tym radosnym powitaniem. Widziały się tylko raz, na nocnym wypadzie na wydmy, i przeżyła miłe zaskoczenie, że mała ją rozpoznała, nie mówiąc

już o rzucaniu się na szyję. Za Maggie podeszła reszta rodziny. Gina podała rękę Alecowi.

– Bardzo ci dziękuję – powiedziała. Widzieli się pierwszy raz, odkąd zmienił zdanie i zaczął jej pomagać w sprawie soczewki. To było wręcz zadziwiające, jak błyskawicznie sprawy ruszyły z miejsca, kiedy Alec O’Neill zadzwonił do kilku osób. To był naprawdę wpływowy człowiek. Żałowała, że nie użyzył jej swoich wpływów przed miesiącem, kiedy pierwszy raz go poprosiła, ale przynajmniej teraz wszystko było na dobrej drodze. Funduszy nie brakowało, wręcz przeciwnie: do akcji, oprócz Towarzystwa Przyjaciół Latarni Morskich, włączyło się miejscowe biuro podróży, kilka banków, a także biuro nieruchomości Dillard Realty.

– Bardzo proszę – odparł Alec. – Kiedy to się odbędzie?

– W poniedziałek, jeśli pogoda dopisze.

– A potem soczewka trafi do muzeum Graveyard of the Atlantic?

– Zwróciłam się do Towarzystwa Przyjaciół Latarni Morskich, żeby spróbowali, w miarę możliwości, znaleźć miejsce gdzieś na północnym wybrzeżu. Jeśli się nie uda, to owszem, tam ją przekazemy.

– O której zjawi się Henry? – zapytała Olivia.

– Za dziesięć minut. – Gina zerknęła na zegarek. – Clay i Lacey już chyba po niego podjechali i wiozą go tutaj, niby na urodzinową kolację tylko we trójkę.

Stała twarzą do sali wypełnionej gośćmi.

– Proszę o uwagę! – powiedziała głośno. Wszyscy obejrzel się na nią i gwar powoli ucichł. – Jubilat zjawi się około siódmej. Lacey wejdzie pierwsza, żebyśmy wiedzieli, że już są, i wtedy zawołamy razem: „Niespodzianka! ”. Dobrze?

Goście pokiwali głowami i powrócili do gier i rozmów.

– Co u Lacey? – zainteresowała się Olivia.

– W porządku – odparła Gina. – Siniak jeszcze się trzyma, ale nic ją już nie boli.

Wiedziała, że Lacey bała się przyjechać do Shorty’s, bo wolała uniknąć spotkania z Brockiem Jensenem, gdyby akurat się pojawił. Wszystko wskazywało jednak na to, że Brock wyjechał z miasta. Może w poszukiwaniu dobrego chirurga plastycznego, który zająłby się jego pokiereszowaną twarzą. Poprzedniego wieczoru Gina zrobiła Lacey obiecany urodzinowy masaż. Był jej potrzebny, czuła to pod palcami, gdy rozcierała mięśnie ramion twarde jak grube supły. Zajście z Brockiem Jensenem coś jej odebrało, ale Gina miała wrażenie, że ta zmiana wyjdzie jej na dobre. Mały wstrząs był dla Lacey stanowczo wskazany.

Clay również trochę się denerwował tym wieczorem. Dzisiaj on i Gina pierwszy raz mieli się pokazać Henry’emu razem, jako para; martwił się, co starszy pan pomyśli, gdy zobaczy, że mąż jego tragicznie zmarłej wnuczki zaczyna już nowe życie.

– Może z nim porozmawiaj? – podsunęła Gina, kiedy się jej zwierzył. Wiedziała jednak, że przysłoby mu to z wielkim trudem, a zresztą, nawet gdyby naprawdę doszło do takiej rozmowy, Henry najprawdopodobniej odpowiedziałby zdawkowym mruknięciem. Ci dwaj byli idealnie zgrani, jeśli chodzi o sposób komunikacji. Ale mimo wszystko Clay potrafił rozmawiać z Giną, i to w zasadzie było najważniejsze. Bardzo się do siebie zbliżyli i spali już razem każdej nocy, u niego, bo miał w swoim pokoju szerokie łóżko, a u niej stało zwyczajne, dwuosobowe. Zaczęli, oczywiście, używać prezerwatywy; ani jej, ani jemu nie mieściło się teraz w głowie, że tamtej pierwszej nocy żadne z nich nie pomyślało o zabezpieczeniu. Ale Gina dostała okres w terminie, tak jak się spodziewała. Nigdy nie była pierwsza do zachodzenia w ciążę.

Nie rozmawiali o przyszłości, co bardzo ją cieszyło. Wolała nie myśleć o tym, że za miesiąc musi wrócić do pracy w szkole. W tej chwili ważniejsze były inne sprawy.

– Lacey przyszła – powiedział nagle Alec, gdy w drzwiach do małej sali stanęła jego starsza córka. Sińce jeszcze nie zeszły jej z twarzy, ale w słabym świetle były ledwo widoczne. Gina zauważyła, że Lacey już od progu spojrzała na stół bilardowy i wyraźnie się odprężyła, widząc, że nie ma Brocka.

Jack i Maggie doskoczyli do niej, a ona uściskała ich szybko i podeszła do Giny, która rozmawiała z Alekiem i Olivią.

– Jesteśmy trochę wcześniej, przepraszam – powiedziała. – Pobiełam przodem, że niby muszę do łazienki, a oni zaraz tu będą.

– Uwaga! – Gina klasnęła w dłonie. Ten gest przypomniał jej, i prawdopodobnie uświadomił wszystkim obecnym, że jest nauczycielką. – Proszę o spokój. Clay już tu idzie z Henrym.

W sali zapadła cisza, można powiedzieć, że w samą porę. Oba panów było już słychać za drzwiami do głównej sali.

– Zamknięte? Dlaczego? – zdziwił się Henry, a goście zachichotali pod nosem. Solenizant otworzył drzwi. Za nim stał Clay.

– Niespodzianka! – huknęła cała sala.

– Niespodzianka, niespodzianka, niespodzianka! – Cienki głosik Maggie przebił się przez zgiełk.

Henry chwycił się za serce, jakby miał paść na zawał, ale uśmiechał się szeroko.

– Co to ma być, proszę ja was? – zapytał, a ludzie zaczęli śpiewać. Wyglądało na to, że sprawili starszemu panu ogromną przyjemność. Dopóki trwał śpiew, on stał wyprężony jak struna. Wąski krawat, starannie wygładzony, przecinał gors białej, świeżo odprasowanej koszuli, a słomkowa fedora wisiała na wysokości piersi.

Przyjęcie udało się nadzwyczajnie. Gina pomagała koleżance kelnerce obsługiwać gości. Dobrze jej było z tym, że może zająć się czymś konkretnym. Kiedy nie biegała po sali z tacami, przychodziła do Claya, który wciąż jeszcze nosił na palcu szynę, a na twarzy siniaki i otarcia, ślady po walce w obronie honoru swojej siostry. Clay brał ją za rękę i chociaż obok siedział Henry, był dla niej serdeczny i czuły. Nie uszło to zresztą uwagi starszego pana, który zauważył, jak Clay ukradkiem całuje Ginę.

– Widzę, że dalek masz świetny gust do kobiet – mruknął do niego.

Daj mu Boże zdrowie, pomyślała, wychodząc z małej sali po kolejną tacę dla gości. Kilkoma krótkimi słowami Henry rozwiął obawy Claya; nie mógł zrobić nic lepszego.

Po kolacji solenizant zabrał się do czytania kartek z życzeniami i otwierania prezentów. Już prawie skończył, gdy nagle w głębi sali coś głucho łupnęło. Wszystkie głowy odwróciły się w tamtym kierunku.

– Walter! – Brian zerwał się z krzesła, przy którym siedział z przyjacielem. Dopiero wtedy Gina dostrzegła, że Walter zsunął się ze swojego wózka i upadł na podłogę. Pobiegła do staruszka, ale uprzedzili ją Olivia i Alec. Goście cofnęli się o pół kroku i zapadła strwożona cisza. O’Neillowie ułożyli Waltera na wznak na podłodze. Olivia sprawdziła tętno i spojrzała na męża, kręcąc przecząco głową.

– Ja będę uciskał – powiedział Alec, szybko rozpinając mu koszulę.

– Niech ktoś wezwie pogotowie! – zawołała Gina.

– Czy ten pan umarł? – zapytała Maggie, która stała obok niej. Gina objęła dziewczynkę ramieniem, zastanawiając się, co jej odpowiedzieć, ale zanim zdążyła coś wymyślić, podeszła do nich Lacey.

– Jack, Maggie, chodźcie ze mną. – Rzuciła Ginie znaczące spojrzenie. – Wyjdziemy na chwilę

na dwór.

– Co mama mu robi? – dopytywała Maggie, idąc za siostrą w stronę bocznego wyjścia. Lacey otworzyła drzwi z siatki, by wypuścić ją i Jacka na zewnątrz. Gina nie dosłyszała jej odpowiedzi.

Odgłosy były makabryczne. Olivia wdmuchiwała Walterowi powietrze do płuc, a Alec stękał ciężko, uciskając mu klatkę piersiową, lecz Walter wciąż nie wydawał żadnego dźwięku.

Henry podszedł do Briana i usiadł razem z nim przy stoliku. Obaj panowie milczeli i zamiast przyglądać się temu, co działo się na podłodze, błędzili wzrokiem po sali. Gina zastanawiała się, o czym teraz myślą. Siadywali tutaj zawsze we trzech: Walter, Brian i Henry. Trudno sobie wyobrazić małą salę bez któregoś z nich.

Trzymaj się, Walter, pomyślała.

Clay podszedł do rodziców klęczących nad nieprzytomnym.

– Mam zastąpić któreś z was? – zapytał.

– Dajemy radę – zapewnił Alec, nie przestając naciskać wątej klatki piersiowej staruszka. Clay stanął z boku i czekał w pogotowiu.

Mijały minuty. Wreszcie w oddali zawyła syrena karetki, a kiedy do małej sali wbiegła ekipa ratunkowa, Walter nagle zacharczał, kaszlnął i samodzielnie nabrał powietrza. Po sali przebiegło zbiorowe westchnienie ulgi – zbiorowe, chociaż na razie ostrożne. Olivia wyprostowała się i usiadła na piętach. Twarz miała bladą i lśniącą od potu. Alec położył jej dłoń na karku, wsuwając palce pod włosy, i przygarnął żonę do siebie, aby pocałować ją w głowę. Ten prosty gest wstrząsnął Giną do głębi; poczuła, że wzruszenie chwyta ją za gardło.

Ratownicy ułożyli Waltera na noszach i zabrali bocznym wyjściem do karetki. Olivia postanowiła jechać za nimi swoim samochodem. Alec powiedział, że zabierze dzieci do domu.

– Odwiozę Henry’ego. – Clay spojrzął na Ginę, kiedy jego ojciec i macocha wyszli z baru. – I pewnie na razie z nim zostaną.

Skinęła głową.

– Nie widać tego po nim, ale na pewno się przejął.

– Jak my wszyscy. – Clay położył jej dłonie na ramionach. – Kiedy już tutaj skończysz, przyjedź do niego, jeśli chcesz.

– Przyjadę – obiecała.

Goście powoli wychodzili, starając się zachowywać bezgłośnie. Gina i inne kelnerki sprzątały salę. Kiedy opustoszała, zapanowała dojmująca cisza. Wszystkie balony pod sufitem wisiały w czterech punktach – prawdopodobnie zbiegły się do otworów wentylacyjnych. Starannie ustawione stoliki odepchnięto na boki, żeby zrobić miejsce dla ratowników i noszy. Wózek Waltera wciąż stał tam, gdzie siedzieli razem z Brianem, a obok, na podłodze, leżała do połowy wyrzeźbiona drewniana kaczka. Ten widok zdziwił i zasmucił Ginę: pierwszy raz zobaczyła ten wózek pusty, bez starszego pana.

– Idź już – powiedziała do niej druga kelnerka, zabierając się do sprzątania.

– O nie, nie – sprzeciwiła się. – Nie mogę zostawić ci takiego...

– Idź. – Koleżanka wzięła ją pod ramię i lekko, ale stanowczo popchnęła w stronę bocznego wyjścia. – Twoje miejsce jest teraz przy tych, których kochasz.

Gina podziękowała jej i poszła do swojego samochodu. „Przy tych, których kocham”, powtórzyła w myślach i uśmiechnęła się, po czym obróciła kluczyk w stacyjce i ruszyła do domu na palach, gdzie mieszkał Henry.

Rozdział czterdziesty szósty

Poniedziałek, 8 czerwca 1942

Mieszkam w High Point już od miesiąca i wciąż czuję się tutaj obco, a w dodatku nie mogę pozbyć się wrażenia, że to miasto jest dla mnie za duże. Dennis i SueAnn śmieją się, kiedy to mówię, bo zdaje się, że High Point wcale nie jest takie duże w porównaniu z innymi miastami. No cóż, wszystko jest większe od Kiss River.

Ich dom ma już swoje lata, ale Dennis potrafi o niego zadbać, chociaż nie zarabia wiele. Ja też staram się pomagać. Wczoraj, na przykład, odmalowałam łazienkę.

Dennis zapisał mnie do tutejszej szkoły. Musiał to zrobić po znajomości, bo nie jest moim prawnym opiekunem. Zresztą rok szkolny już się kończy. Koledzy i koleżanki są całkiem mili, ale na razie nikogo nie zdążyłam lepiej poznać. Odstaję od reszty. Niektórzy podśmiewają się z mojego akcentu, ale wiem, że tylko żartują. A przynajmniej taką mam nadzieję. Naprawdę, dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że mówię inaczej niż wszyscy. Przyszłam niby do pierwszej klasy, ale i tak mam spore zaległości. Teraz rozumiem, dlaczego Dennis mówił, że w Kiss River nie zdobędę lepszego wykształcenia. Tam starsi i młodsi siedzieli w jednej klasie, a tu jestem tylko z rówieśnikami. Wieczorami Dennis daje mi korepetycje, bo muszę wyrównać braki. Zaproponował, że mogę albo nadrabiać dodatkową pracą, albo powtarzać klasę, a może nawet dwie. Co to to nie. W czasie wakacji pójdę na zajęcia wyrównawcze, a w przyszłym roku szkolnym nauka pójdzie mi łatwiej i nadgonię materiał.

Co niedzielę muszę chodzić z Dennisem i SueAnn do kościoła. Takie są zasady, a właściwie to jest jedyna wielka zasada, oprócz tego, że trzeba się uczyć. W sumie podoba mi się w tym kościele, chociaż na razie wciąż mi się myli, kiedy trzeba wstać, a kiedy uklęknąć i tak dalej. Niesamowite, że oni nie mają z tym problemu, bo ja się w tym gubię, a poza tym ni w ząb nie rozumiem księdza, bo mówi po łacinie. No, ale w szkole uczę się łaciny, więc z czasem chyba coś załapię.

Tutejsza biblioteka jest wspaniała! Oczywiście się zapisałam. Jak czasem idę tam po lekcjach, to Dennis musi mnie siłą wyciągać. Za pierwszym razem, kiedy przyszedł po mnie i zobaczył, ile książek nabrałam, to się roześmiał.

– Nie musisz wynosić całej biblioteki – powiedział. – Jutro te książki też tutaj będą.

Szkoda mi dzieci, z którymi chodziłam do szkoły w rodzinnych stronach. One nic o tym nie wiedzą. Nie mają pojęcia, co tracą. Z drugiej strony są blisko swojej rodziny, a ja pewnie już nigdy nie zobaczę mamy i taty.

Dennis to znacznie lepszy człowiek, niż mi się wydawało. Opowiedziałam mu nawet o tym, jak Sandy mnie potraktował, chociaż słowem nie pisnęłam, że jest szpiegiem, wspomniałam tylko, że dla mnie jest zdrajcą. Zamiast powiedzieć „A nie mówiłem? ”, do czego miał wszelkie prawo, Dennis wziął mnie w ramiona, a SueAnn ze łzami w oczach głaskała mnie po głowie, kiedy

wyplakiwałam swoje żale. Zapytali jednak, czy to dlatego postanowiłam uciec z Kiss River. Odparłam, że nie, ale prawdziwego powodu nie mogę zdradzić nikomu, a oni nie poruszali już tego tematu. Ciekawe, czego się domyślają, ale mam wrażenie, że nie przywiązują do tego większej wagi. Oboje bardzo się starają budować lepszy świat, a ja chyba jestem dla nich cegiełką w tej budowlu. Nie przeszkadza mi to. Mam wielkie szczęście, że trafiłam pod ich dach. Inaczej nie miałabym się gdzie podziąć.

Tęsknię za domem. Tęsknię za rodzicami i oddałabym wszystko, żeby pójść z tatą na galerię i oglądać gwiazdy. W tej chwili chętnie wysłuchałabym nawet połajanek mamy. Kiedy skończy się wojna, postaram się ich odwiedzić. Teraz na pewno się o mnie martwią i to jest straszne, ale i tak cieszę się, że tak właśnie postąpiłam. Wiem, że nic im nie grozi, chociaż pewnie bardzo przeżyli moje nagłe zniknięcie. Poza tym, oczywiście, cały czas myślę o tym, czy komendant Hewitt znalazł i zrozumiał napis, który zostawiłam na soczewce.

Odkąd zamieszkałam u Kitteringów, regularnie czytam prasę. Gazeta, którą wydają w High Point, jest niesamowita! W Kiss River łatwo się zapomina, że gdzie indziej też toczy się życie. A w tej gazecie piszą nie tylko o Ameryce, ale o całym świecie. Poza tym Dennisowi bardzo się podoba, że ją czytam, i dyskutuje ze mną o różnych artykułach. Tylko że on nie wie, czego naprawdę tam szukam: wiadomości o wykryciu zdrajcy w szeregach Straży Wybrzeża. Każdy numer przeglądam od deski do deski, ale jak na razie nic nie napisali.

Z wielu powodów obawiam się dnia, kiedy znajdę tę wzmiankę. Jeśli Sandy wpadnie, to czy pomyśli, że to ja go wydałam, i wyśle kogoś, żeby policzył się z moimi rodzicami? Wciąż jeszcze, kiedy tylko zamknę oczy, powraca do mnie tamten potworny sen. A jeśli komendant Hewitt nie znalazł kartki ode mnie, to może już nie chciało mu się przyjrzeć bliżej soczewce i nie zauważył wyrytego na niej nazwiska? A może dowiedział się, że uciekłam z domu, i w ogóle nie zajrzał do laterny? Z każdym kolejnym dniem tamten pomysł na przekazanie mu wiadomości wydaje się coraz bardziej niemądry i trudno mi już w ogóle uwierzyć, że mogła do niego dotrzeć. Wstyd przyznać, ale czuję ulgę za każdym razem, kiedy szukam w gazecie nazwiska Sandy'ego i nie udaje mi się go znaleźć. Miłość to szaleństwo. Jak mogę nadal kochać kogoś, kto wyrządził mi tyle złego? Jak mogę mu życzyć, aby był bezpieczny, skoro robi tak straszne rzeczy i sprowadza śmierć na moich rodaków? A pan Sato? Trafił do więzienia albo do obozu dla internowanych i Sandy na to pozwolił, chociaż to on sam był szpiegiem.

Tutaj, w High Point, mogę nosić mój naszyjnik z rubinem i zakładam go codziennie. Z początku chciałam go wyrzucić albo przynajmniej oddać, bo człowiek, od którego go dostałam, okazał się podłym, okrutnym kłamcą. Ostatecznie postanowiłam jednak zatrzymać naszyjnik. Wydaje mi się, że w każdym z nas mieszka dobro, więc będę go nosić, aby nie zapomnieć o tym, co było najlepsze w chłopcu, który dla mnie nazywa się Sandy.

Rozdział czterdziesty siódmy

Poniedziałkowy poranek wstał upalny, parny i mglisty. Gina wybrała się z Clayem i Saszą na plażę. Mały kawałek na wschód od latarni weszli do wody, która w tym miejscu sięgała im prawie po uda. Dzisiaj, jeśli szczęście dopisze, myślała Gina, poznam nazwisko mojego dziadka, który w czasie wojny szpiegował dla Niemców i jeśli tylko nie wpadł, teraz może być milionerem. Sto tysięcy dolarów to grosze dla kogoś takiego. Wiedziała jednak, że musi starannie ukrywać, o co naprawdę jej chodzi. Soczewka, tylko soczewka, powtarzała sobie raz po raz. Chodzi tylko o to, żeby wydobyć soczewkę.

– Nie podobają mi się te fale – mruknął Clay, który wziął się pod boki i mierzył ocean uważnym wzrokiem. Warunki pogodowe były ważnym czynnikiem przy takiej operacji jak podnoszenie z dna kilkutonowej soczewki z latarni morskiej. Rano nie padało, więc Gina była dobrej myśli, ale on miał rację: fale rzeczywiście robiły się coraz większe. A boja znajdowała się jeszcze spory kawałek za falochronem.

– Tam, gdzie leży soczewka, jest znośnie – zauważyła.

Clay wzruszył ramionami.

– Decyzję podejmie kapitan barki. – Spojrzał na zegarek. – Mają tu być o dziesiątej, tak?

– Tak.

– Może do tej pory się trochę uspokoi.

– A jeśli dzisiaj nie będzie można, jutro spróbują jeszcze raz?

– Tak sądzę – przytaknął Clay. – Ale to chyba zależy od tego, czy nie mają na jutro innych zobowiązań.

– Ale jutro jedziemy odwiedzić Waltera.

Clay objął Ginę ramieniem.

– Dopiero wieczorem. – Uśmiechnął się nieco protekcyjnie. – Nie denerwuj się tak, dobrze?

Jak się okazało, Walter na urodzinach Henry'ego miał zawał, ale szybko dochodził do siebie. Trafił do szpitala w Elizabeth City. Patrząc jednak na grobowe miny jego przyjaciół, nikt by się nie domyślił, że Walter wraca do zdrowia. Henry i Brian całymi dniami przesiadywali w Shorty's, ponuro zgarbieni nad szachownicą, i nie odzywali się ani słowem. Od lat panowie byli nierozłączni i zestarzelili się też razem, we trójkę, więc oprócz tęsknoty za kumplem musieli mieć też bolesną świadomość, że nie są wieczni.

– Hej, proszę państwa! – rozległo się czyjeś wołanie.

Gina i Clay obejrżeli się. Nadchodził Kenny. Sasza rzucił się ku niemu, przeskakując fale jak delfin.

– Rozmawiałem ze Smittym, właścicielem barki – powiedział Kenny, gdy był już blisko. – Przysłał mnie tu, żebym sprawdził warunki. – Uważnie zlustrował fale. – Noo... Nie za bardzo rokuje, żeby coś podnosić z dna.

– Ale pod wodą, tam, gdzie leży soczewka, jest chyba spokojnie? – zapytała Gina, starając się

zachować optymizm.

– Może tak, a może nie – odparł Kenny. Był jednym z nurków zatrudnionych do podwodnej części pracy. – Jeśli barka będzie się kołysać, to soczewka tak samo zacznie chodzić, gdy dźwig oderwie ją od dna. A to utrudni sprawę.

Gina milczała. Marzył jej się cud. Żeby fale ucichły, a powierzchnia oceanu stała się gładka jak stół.

– Obawiam się, że dzisiaj nic z tego – powiedział Kenny. – Nie ma sensu, żeby barka tutaj przyplłynęła i wróciła pusta. To wszystko sporo kosztuje.

Clay położył dłoń na jej karku, tak samo jak Alec pocieszał Olivię w Shorty's. Gina wtuliła się w niego, dając za wygraną. Musiała poczekać jeszcze jeden dzień.

* * *

W domu czekały na nią jeszcze gorsze wiadomości. Po zalogowaniu do internetu odebrała długi mejl od Denise. Stało się to, czego tak bardzo się obawiała: w czwartek wieczorem Rani i Sunil, córeczkę Denise, zabrano do państwowego domu dziecka, ponieważ sierociniec, w którym przebywały, nagle i w wielkim pośpiechu zawiesił działalność.

Denise napisała tak:

Gino, żałuję, że nie mogę Cię zapewnić, że wszystko w porządku. Jeśli tego właśnie potrzebujesz, napisz mi o tym, ale przez tych kilka krótkich dni zdążyliśmy się całkiem dobrze poznać i jestem pewna, że wolisz znać prawdę.

Główny problem w tym państwowym domu dziecka, gdzie trafiły nasze dziewczynki, to bezduszna instytucjonalizacja. Opiekunki są przepracowane i po prostu brak im tej życzliwości, do której przywykłyśmy w tamtym sierocińcu. Poza tym – brud jeszcze gorszy niż tam, jeśli w ogóle jesteś w stanie to sobie wyobrazić. Nasze dziewczynki od razu złapały wszy.

Kolejny problem polega na tym, że nie widuję już Rani tak często jak dotychczas. Mieszka w innym skrzydle niż Sunil i byłam u niej dopiero dwa razy. Trochę popłakiwała, ale może chciało jej się spać. Rozmawiałam z kierownikiem domu dziecka, aby się upewnić, czy wiedzą o jej stanie zdrowia. Może to coś da.

Dalej biegam po sądach, ale wciąż mnie zwodzą, a do tego coraz mniej przychylnie patrzy się tutaj na adopcje zagraniczne. Tak źle jeszcze nie było. Chyba tracę nadzieję. Potrafię sobie wyobrazić, jak Ty musisz się czuć, tak daleko od swojej cudownej córeczki. Jutro postaram się jeszcze raz ją odwiedzić. Może pozwolą mi zabrać Sunil do tamtego skrzydła, żeby dziewczynki mogły się zobaczyć.

Było coraz gorzej. Gina wydrukowała wiadomość od Denise i zaniósła ją Clayowi, który naprawiał dach starej wygódki.

Clay przerwał pracę i przeczytał list. Nagi do pasa, pięknie prezentował się na tle sędziwej drewnianej budki. Promienie słońca, przesączające się przez korony drzew, kładły się jasnymi cętkami na jego twarzy, tej twarzy, którą tak pokochała. Boże, jakie to było wspaniałe, że miała kogoś, z kim mogła podzielić się tymi ponurymi nowinami!

Clay pokręcił z niedowierzaniem głową, a wolną ręką przyciągnął Ginę do siebie.

– To chyba przestępstwo – mruknął, zanurzając usta w jej włosach. – Czy tam nie ma żadnych instytucji, które mogą z tym coś zrobić?

Gina już nieraz słyszała takie pytania. Kiedyś sama je zadawała.

– Za tym właśnie stoją instytucje – powiedziała, odrywając się od niego. – Clay, ja strasznie się boję, że ona umrze. Będę się czuła strasznie winna.

– Dlaczego? – zapytał. – Sama powiedziałaś, że nie ma na to rady.

– Myśl, że byłam w stanie zrobić coś więcej, już nigdy nie da mi spokoju.

Gina pobiegła wzrokiem w morze, szukając miejsca, gdzie nad zatopioną soczewką z latarni w Kiss River kłębiły się fale. Każdy sposób, by zrobić coś więcej, był dobry.

Rozdział czterdziesty ósmy

Wtorek, 7 lipca 1942

Mam piętnaście lat i jestem w ciąży. Proszę. Napisałam o tym. Do tej pory chyba jeszcze w to nie wierzyłam, ale po przeczytaniu tego zdania muszę przyznać, że to prawda.

Tyle się działo, że kompletnie zapomniałam o okresie, i dotarło to do mnie dopiero dwa dni temu, gdy w środku nocy obudziłam się z nagłą myślą, że nie zabrałam z domu żadnych podpasek i muszę je gdzieś kupić. Wtedy uświadomiłam sobie, że już od dwóch miesięcy nie były mi potrzebne – i wpadłam w panikę. Powiedziałam o tym SueAnn, bo z nią mogę rozmawiać na takie tematy, a ona natychmiast zabrała mnie do swojego lekarza, który zrobił mi badanie ciążowe. Na wynik trzeba jeszcze poczekać, ale zbadał mnie też w środku i powiedział, że na pewno jestem w ciąży. Myślałam, że kiedy usłyszę coś takiego, to się rozpłaczę, ale zamiast płakać, tylko znieruchomiałam i wbiłam wzrok w sufit, udając, że zaszła pomyłka i to nie może być prawda. Po powrocie do domu SueAnn powiedziała o wszystkim Dennisowi. Spaliłam się ze wstydu, ale on tylko długo milczał z poważną miną, a potem obiecał, że coś na to poradzimy. Dopiero wtedy się rozpłakałam. Mógł na mnie nakrzyczeć, wypominać, że mnie ostrzegał, nawzywać od ladacznicy i tak dalej, ale on nic takiego nie zrobił. Ani on, ani SueAnn. Przy takiej dwójce przykładowych katolików czułam się jak wstrętne grzesznica. Rozmawiali potem do późna i kilka razy słyszałam swoje imię, ale nic więcej nie zrozumiałam, bo mówili bardzo cicho. A dzisiaj rano Dennis przekazał mi, co postanowili. W sumie nie musiał tego robić, bo i tak nie mam żadnego wyboru. Przecież wiem.

Po pierwsze, powiedział, musi ze mną porozmawiać ksiądz. Dennis umówi mnie na spowiedź, a ja wyznam swój grzech i przyrzeknę, że już nigdy go nie popełnię. Dodał, że chociaż Sandy mnie „wykorzystał i porzucił”, to jednak nie jestem całkiem bez winy. To prawda. Nie jestem, z całą pewnością nie jestem. Czuję się jak głupia gęś, która zmarnowała sobie życie. Co prawda na myśl o tym, że mam rozmawiać z księdzem o czymś takim, aż mnie skręca, ale trudno, zrobię to.

– Weźmiemy ślub – oznajmił Dennis.

Musiałam chyba wyglądać, jakby we mnie piorun strzelił, bo uniósł dłoń na znak, że mam nic nie mówić, ale i tak nie wykrztusiłabym ani słowa.

– Nie możesz pokazywać się w ciąży, nie mając męża – powiedział. – A po drugie, to nie wiem, czy zauważyłaś, ale ja cię kocham.

Wciąż nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Kiedyś rzeczywiście myślałam, że Dennis mnie kocha, ale to było w Kiss River, a odkąd mieszkam tutaj, odnosił się do mnie jak do młodszej, smarkatej siostry albo nawet córki, a nie jak do swojej wybranki. A teraz już wiem, że po prostu nie chciał mnie wystraszyć i dlatego udawał, że nie widzi we mnie dziewczyny. Zabawna rzecz: kiedy wyznał mi miłość, poczułam łzy w oczach i uświadomiłam sobie, że ja też go kocham. Nie

tak jak Sandy'ego, czyli miłością do swojego przyszłego męża. Kocham go inaczej – za to wszystko, co dla mnie zrobił. Nigdy bym nie przypuszczała, że wyjdę za kogoś takiego, ale racja: nie mogę chodzić w ciąży bez ślubu, bo całe High Point będzie mnie wytykać palcami.

– Nie mogę cię prosić o tak wiele – powiedziałam.

– Cóż, ma to swoją cenę – odparł. – Bo ja nie mogę wychowywać dziecka innego mężczyzny, zwłaszcza takiego jak ten Sandy. Po urodzeniu będziesz musiała je oddać do adopcji.

Słyszając to, odruchowo położyłam dłonie na brzuchu, jakbym chciała osłonić to maleństwo w środku albo zatrzymać je przy sobie. To wstrętne, jak Sandy mnie potraktował i ile złego wyrządził swojej ojczyźnie, ale w głębi serca wciąż go kocham. Czy mam źle w głowie? To zdrajca, tchórzliwy i pazerny. Dziecko, które noszę pod sercem, jest jego, ale czy spłodził je tamten łagodny człowiek, który obdarzył mnie piękną miłością, czy nikczemny przestępca, odpowiedzialny za śmierć wielu porządnych ludzi, wydanych wrogowi dla pieniędzy? Wiedziałam jedno: sama sobie nie poradzę. Mogłam wrócić do domu, do Kiss River, ale wtedy moja rodzina, łącznie ze mną, znalazłaby się w niebezpieczeństwie, a poza tym musiałabym wyznać rodzicom, co zrobiłam, a to było dla mnie gorsze od śmierci. Gdyby się okazało, że Sandy wciąż jest na wolności, mogłabym mu powiedzieć, że zostanie ojcem, ale nie sądzę, że byłabym w stanie jeszcze raz znieść taką podłość z jego strony, zwłaszcza teraz. Muszę zostać tutaj i potrzebuję pomocy Dennisa. Wyjdę za niego i gdy przyjdzie czas, oddam dziecko do adopcji. Czuję nawet coś w rodzaju ulgi. Wiem, że wyglądam nad wiek dojrzałe. Można się pomylić i dać mi więcej lat, niż mam, o wiele więcej. Ale w rzeczywistości jestem tylko młodą dziewczyną, która boi się ciąży i której nie mieści się w głowie, że zostanie matką. Cholera. Naprawdę zmarnowałam sobie życie.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Zanosilo się, że to będzie jeden z tych tygodni, kiedy turyści myślą: lepiej było zostać w domu. Jechali do Elizabeth City w strugach deszczu. Prowadził Alec. Czuł się jak wychowawca na szkolnej wycieczce, więc odetchnął z ulgą, gdy dotarli już na miejsce, czyli do szpitala.

Brian Cass jechał obok niego, z przodu, ale cały czas siedział bokiem i rozmawiał z Henrym Hazelwoodem, który wybrał miejsce za fotelem kierowcy. Ostatnią kanapę zajęli Gina i Clay. Trzymali się za ręce jak para nastolatków. Gina gryzła się czymś, prawdopodobnie opóźnieniem w wydobyciu soczewki z powodu złej pogody. Alec widział jak na dłoni, że Clay jest teraz dla niej podporą i przyjacielem, jak również kochankiem. Martwił się jednak, czy jego serce to wytrzyma. Ostatecznie dzieliło ich pięć tysięcy kilometrów, a poza tym Aleca wciąż dręczyło podejrzenie, że Gina traktuje Claya wyłącznie jako środek do osiągnięcia celu, czyli wydobywania soczewki. Syn nie chciał o tym z nim rozmawiać.

– Czas pokaże – powiedział. – Nie wszystko naraz.

Owszem, mądre podejście, Alec przyznał synowi rację. Być może Gina pomoże Clayowi zerwać z wdowieństwem i stać się na nowo mężczyzną z krwi i kości. Wtedy nawet po ewentualnym rozstaniu z łatwością zacznie nowe życie. To była prawda, lecz Alec i tak się martwił.

Mimo wszystko powoli przekonywał się do Giny i zaczynał ją lubić. W dalszym ciągu nie mógł zrozumieć, dlaczego ukrywała, że jest krewną latarników z Kiss River, ale starał się przyrykać na to oko. Widzował ją w Shorty's, przy pracy, i podobało mu się, że traktuje klientów z szacunkiem i zawsze jest dla nich miła, ale bez przesłodzonego nadskakiwania. Nie zachowywała się prowokująco wobec facetów, jak niektóre jej koleżanki, choć urodą zwracała na siebie uwagę, i to bardzo. Gdy przechodziła, mężczyźni oglądali się za nią, zastygali z widelcami uniesionymi do ust. Gina wydawała się do tego przyzwyczajona, ale traktowała mężczyzn ze swobodą i okazywała im, że cieszy się z uznania, lecz z idealnie wymierzoną dozą umiarkowanej protekcjonalności. A oni okazywali jej szacunek. Ogromne wrażenie wywarła na Alecu jej troska o Henry'ego i Briana po tym, jak Walter dostał zawału. A jego dzieci, te młodsze, wciąż mówiły o Ginie jak o dobrej znajomej, chociaż spotkały ją raptem dwa razy. Był więc gotów wybaczyć jej dzisiejszą posępność.

– To tutaj? – zapytał Henry. Alec zerknął w lusterko: starszy pan mrużył oczy, wpatrując się w jakiś spory budynek za zasłoną deszczu.

– Nie, dziadu, to nie tutaj – prychnął kpiąco Brian.

– Jeszcze kawalek, Henry – uśmiechnął się Alec. Ciekawe, czy ja w tym wieku też będę tak rozmawiał ze znajomymi, pomyślał, dodając: – Kilka przecznic.

– Tamten budynek rzeczywiście wyglądał jak szpital – wtrąciła Gina z tylnego siedzenia. Stała w obronie Henry'ego, domyślił się Alec.

Rozmawiał już z dwoma synami Waltera, którzy przylecieli z Kolorado na wieść o zawale

ojca. Dzisiaj wyruszyli w drogę powrotną, więc Walter miał znów zostać sam. Tymi odwiedzinami trafili więc w dziesiątkę.

Wreszcie dotarli. Alec stanął na chwilę pod głównym wejściem, a gdy wszyscy wysiedli, odjechał na parking. Znalazł ich potem w dużej poczekalni na parterze; siedzieli naprzeciwko siebie na krzesłach obitych miękką tapicerką.

– Walter leży na pierwszym piętrze – oznajmił. Ruszyli gęsiego do windy.

– Nie lubię tego miejsca – wzdrygnął się Brian, gdy drzwi zamknęły się za nimi, a Alec przypomniał sobie, że w tym szpitalu zaledwie dwa lata temu zmarła jego żona.

Kiedy znaleźli Waltera, siedział w uniesionym łóżku, a spod długiej, biało-niebieskiej szpitalnej koszuli wybiegały przewody podłączone do monitora serca.

– No proszę! – uśmiechnął się szeroko. – Chyba umieram, skoro wszyscy się do mnie fatygują.

Gina podeszła i pocałowała go w policzek, ale pozostali stanęli wokół chorego. Miny mieli niepewne.

– Świetnie wyglądasz, naprawdę – powiedział Alec. I rzeczywiście: ostatnim razem widział Waltera na noszach, bladego jak płótno. Teraz było już zdecydowanie lepiej.

– Podobno to ty i twoja szanowna małżonka uratowaliście mi życie? – Walter wyciągnął do niego rękę. Alec podał mu dłoń, a starszy pan trzymał ją przez chwilę, zamiast krótko ucisnąć.

– Cieszę się, że byliśmy na miejscu – powiedział Alec. To było dla niego mocne przeżycie, ręka w rękę z Olivią pomagać człowiekowi w krytycznej sytuacji. Widział, jak bardzo jest biegła w tych sprawach, ale jednocześnie miał świadomość jej pełnego zaufania do jego umiejętności.

– Dziękuję – rzekł Walter. – I podziękuj ode mnie żonie, dobrze?

– Oczywiście – zapewnił go Alec.

Walter odwrócił głowę do Henry’ego.

– Wybacz, że popsulem ci urodziny.

– Zawsze lubiłeś być w centrum uwagi – mruknął Henry, a wszyscy zachichotali pod nosem.

– Światło zgasło ci na dłuższą chwilę – wtrącił się Brian, z wrodzonym sobie taktem. – Oby tylko mózg nie zaczął szwankować, bo inaczej w szachy będziesz do niczego.

– Mój mózg ma się dobrze, ty stary przyku – fuknął Walter. – Łudziś się, że kiedy stąd wyjdę, to będziesz miał ze mną łatwiej? Niedoczekanie twoje!

Powiedział im, że po wypisaniu z kardiologii ma trafić na rehabilitację ambulatoryjną i zamierza grzecznie stosować się do wszystkich zaleceń, żeby móc szybko wrócić do domu. Goście porozmawiali z nim jeszcze trochę, a potem pożegnali się i wyszli kolejno z pokoju. W windzie i na parterze przez cały czas powtarzali, że Walter świetnie wyglądał. Alec widział w oczach Briana i Henry’ego milczącą ulgę i radość.

Deszcz ustał, ale w powietrzu wciąż wisiła gęsta wilgoć. Droga powrotna do Outer Banks nie była już tak wyczerpująca. Brian i Henry wysiedli pod Shorty’s, a następnie Alec zawiózł Ginę i Claya do domu latarnika.

– Czyje to auto? – zapytał, kiedy zajechali na parking. Oprócz samochodów Lacey, Giny i Claya stał tam czwarty wóz, zaraz obok jeepa: stary, wyjątkowo dobrze zachowany Woody kombi z drewnianymi drzwiami.

– Ale bryka! – zawołał Clay, wyskakując na zewnątrz, kiedy ojciec wyhamował. Po chwili Alec i Gina dołączyli do niego, podziwiając zabytkowego mercury’ego w kolorze akwamaryny. Drewniane elementy były w nienagannym stanie; Alec dotknął dłonią drzwi. Nigdy w życiu nie wybrałby się takim autem nad morze, aby wystawić je na działanie wilgoci i soli.

– Wiem, czyj to wóz – odezwała się Gina. – Do Shorty’s ostatnio zagląda taki jeden facet. Ale

nazwiska nie kojarzę.

– Po co tutaj przyjechał? – zapytał Alec.

Ani Gina, ani Clay nie rwali się do odpowiedzi. Clay obejrzał się w stronę domu.

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że w odwiedziny do twojej córki – mruknął.

Alec przypomniał sobie żółknący siniak na policzku Lacey, który rzucił mu się w oczy, kiedy przysła rano do pracy. Wciąż jeszcze było go widać, choć minęło już przecież półtora tygodnia, odkąd dostała w twarz od Brocka Jensena. Czy właściciel zabytkowego auta był kolejnym potencjalnym oprawcą?

– Ten przynajmniej zna się na samochodach – zauważył Clay.

– No wiesz... – zachnął się Alec. – A czy ona... Dba o siebie?

Clay zerknął na Ginę, a potem znów prześlizgnął się wzrokiem po ścianach domu latarnika.

– Tato, ja nie wiem, co z nią jest – wyznał szczerze. – Bardzo się stara być jak mama, ale... Przepraszam cię, ona po prostu się puszcza. Nie rozumiem tego.

Alec oderwał dłoń od gładkich drewnianych drzwi samochodu. Olivia miała rację, pomyślał. Czas powiedzieć im prawdę. To, czy ja tego chcę, nie ma znaczenia.

– Clay, muszę z wami porozmawiać – oznajmił. – Z tobą i Lacey.

Clay zmarszczył brwi, słysząc niespodziewanie poważny ton w jego głosie.

– O czym? – zapytał.

– Dowiedcie się, kiedy będziemy razem, we trójkę. I chciałbym, żebyśmy zrobili to teraz, od razu. – Odwrócił się do Giny i położył jej dłoń na ramieniu. – Gino, muszę cię poprosić, żebyś na chwilę zostawiła nas samych. Pozwolisz?

– Oczywiście – odparła. – I tak miałam jechać po zakupy. Wezmę tylko z domu plecak.

– W porządku, dziękuję – powiedział Alec. – A przy okazji mogłabyś przekazać Lacey, żeby do nas zeszła?

– Ona chyba jest zajęta, tato – wtrącił Clay.

– Nic mnie to nie obchodzi – uciął ze złością, ale zdawał sobie sprawę, że nie złości się na Lacey, tylko na siebie. – Muszę z nią porozmawiać, natychmiast.

– Dobrze, pójdę po nią – zgodził się Clay, żeby wybawić Ginę z niezręcznej sytuacji.

Alec ruszył za nimi w stronę domu. Szedł powoli, zastanawiając się, jak ma im to przekazać. Słowa same się znajdują, pocieszał się w myślach, dam sobie radę. Przystanął w salonie, aby poczekać na swoje dzieci.

Gina wyszła na zakupy, a chwilę później w salonie zjawiała się Lacey.

– Wszystko w porządku, tato? – zapytała, wyraźnie zmartwiona. Alec uświadomił sobie, że mogli źle go zrozumieć. Chyba oboje pomyśleli, że jest chory. Lacey podeszła, wzięła go za rękę i przytuliła do swojego policzka. – Co się stało?

Ku własnemu zdziwieniu poczuł, że zbiera mu się na płacz. Wzruszyła go do głębi troska córki i ten dziecinny gest. Lacey była bardzo podobna do Annie. A on już za chwilę miał na zawsze zmienić jej świat. Jej i Claya.

– Ze mną wszystko w porządku – zapewnił. – Ale chcę wam o czymś powiedzieć, chociaż w zasadzie powinienem to zrobić już dawno.

Wodził wzrokiem od syna do córki i z powrotem, jak gdyby prosił o pozwolenie, a oni skinęli głowami, jednocześnie, choć z ociąganiem i niepokojem.

– W takim razie usiądźmy – zaproponował, siadając w rogu kanapy. Lacey usadowiła się w drugim, a Clay przycupnął na pufie i oparł łokcie na udach.

– Oboje wiecie, że wasza mama była wspaniałą kobietą – zaczął Alec. – I cudowną matką.

Miała jednak problemy. Problemy ze sobą.

– Jakie? – zapytała Lacey.

– Prowadziła... rozwiąży tryb życia.

– Chcesz powiedzieć, że przed ślubem, tak? – dopytywała Lacey.

– Chcę powiedzieć, że przez całe swoje dorosłe życie.

– Mama? – wyjąkał Clay z niedowierzaniem.

Lacey zmarszczyła brwi.

– To znaczy... że Tom nie był jedyny?

Alec pokręcił głową.

– Nie był, kochanie. Bardzo mi przykro, że muszę wam mówić o niej takie rzeczy. Chciałem zatrzymać to dla siebie, ale...

– Zdradzała cię? – przerwała mu Lacey.

Przytaknął. Mężczyzna, który był na górze, poszedł do łazienki. Słysząc go było wyraźnie.

– Wiedziałaś o tym?

– Wtedy nie. Dowiedziałem się dopiero po jej śmierci. Od Mary Poor. To tutaj wasza mama sprowadzała sobie mężczyzn. Do domu latarnika.

– Jezu... – wydyszał Clay.

– Moim zdaniem Mary miała kłopoty z pamięcią – oznajmiła Lacey.

Alec mógłby udowodnić, że to prawda, opowiedzieć o romansie Annie z Paulem, pierwszym mężem Olivii, powstrzymał się jednak. O'Neillowie widywali się z Paulem od czasu do czasu, kiedy przyjeżdżał w odwiedziny do Jacka.

– Uwierzyłem jej – powiedział po prostu. – Przeoczyłem wiele wskazówek, które dawała mi Annie. Najwidoczniej miała potrzebę, której nie dało się zaspokoić w ramach pożycia małżeńskiego. Potrzebę, której ja nie mogłem zaspokoić.

Lacey rozplakała się. Alec usiadł bliżej, chciał ją objąć, ale ona odepchnęła jego rękę, tak jak dawniej, gdy była nastolatką.

– Dlaczego teraz nam o tym mówisz? – zapytał Clay.

Alec wbił wzrok w starą, wytartą drewnianą podłogę, wspominając tamten straszliwy dzień, kiedy poznał prawdę o swojej żonie. To było właśnie tutaj, w tym domu.

– Bo widzę, jak Lacey idzie w ślady Annie, i bardzo się martwię. – Spojrzał córce prosto w oczy. Pobladła, jedynym kolorem na jej twarzy był żółtawy, schodzący siniak. – Boję się o ciebie, Lace.

Uniosła wzrok.

– Zmyśliłeś to wszystko, bo uważasz, że ja też prowadzę rozwiązłe życie, i uznałeś, że gdy usłyszę tę historyjkę, to przestanę?

Alec potrząsnął głową.

– Nie wymyśliłem tego, Lacey. Chciałbym, żeby tak było, możesz mi wierzyć. Wiem, że to się wydaje niewiarygodne, ale tak naprawdę niewiarygodne jest co innego: że na moich oczach zamieniasz się w Annie O'Neill. We wszystkim, i w tym, co dobre, i w tym, co złe. A ty nie jesteś nią. Jesteś sobą. Lacey O'Neill.

Lacey wstała. W dwóch krokach minęła Claya i pobiegła na górę. Jej bose stopy lekko plaskały na drewnianych stopniach schodów. Alec westchnął. Wiedział, że nie poszła wyrzucić swojego kochanka z domu. W tej chwili szukała pocieszenia.

– Tato... – Clay wbił palce w swoją ciemną czuprynę. – Ja... Wolałbym o tym nie wiedzieć. I żebyś ty też nie wiedział.

– Musiałem wam powiedzieć – odparł Alec.

Clay przytaknął.

– Współczuję ci – westchnął. – Jak pomyślę, co przeżyłeś... kiedy się dowiedziałeś... – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – No, naprawdę...

Alec wstał z kanapy.

– Miej na nią oko, dobrze? – poprosił, spoglądając w stronę schodów na piętro. – Ona całe swoje życie zbudowała na uwielbieniu do matki, wielkiej „świętej Anny”.

Clay odprowadził go do drzwi. Pożegnali się i Alec poszedł do swojego samochodu. W dalszym ciągu nie wiedział, czy postąpił właściwie. Olivia by go w tym utwierdzała, ale on cały czas widział ściągniętą bólem twarz Lacey. Kilka słów, a tak bardzo ją skrzywdziły. Alec miał tylko nadzieję, że dzięki nim jego córka przestanie wreszcie krzywdzić samą siebie.

Rozdział pięćdziesiąty

Sobota, 15 sierpnia 1942

Dzisiaj wyszłam za mąż. I nic się nie zmieniło oprócz tego, że jestem teraz panią Kitteringową. Nazywam się Elizabeth Kittering. Nigdy nie przypuszczałam, że będę nosić to nazwisko. Gdyby jeszcze przed rokiem ktoś mi powiedział, że nauczyciel, który przyjeżdża co weekend nad ocean i śpi w namiocie na plaży, zostanie moim mężem, to roześmiałabym mu się prosto w nos! Ale teraz wcale nie jest mi do śmiechu.

Pobraliśmy się na plebanii w parafii Najświętszej Marii Panny. Ksiądz, który udzielał nam ślubu, powiedział mi, że mój grzech mogę odkupić tylko w taki sposób, że przejdę na katolicyzm, więc przeszłam, chociaż nie całym sercem. Zrobiłam to, żeby ksiądz się mnie nie czepiał, a także dlatego, aby ułatwić sprawę Dennisowi, który nie wyobraża sobie małżeństwa z niekatoliczką. Na naszym ślubie była SueAnn i kobieta z plebanii. Nikt więcej. Cicha, prosta przysięga małżeńska.

Nie tak wyobrażałam sobie ten dzień, na pewno nie tak, ale ponieważ to ja wszystko popsułam, więc w taki właśnie sposób muszę zapłacić. Albo odpokutować, jak by powiedział ksiądz. „Za pokutę zmówisz pięć razy Zdrowaś Mario i weźmiesz dziwny, cichy ślub”. W podróż poślubną oczywiście nie jedziemy. Nie mieszkamy nawet w jednym pokoju. Dennis powiedział, że mnie kocha, ale wie, że ja nie odwzajemniam jego uczuć, więc nie musimy spać w jednym łóżku, dopóki nie będę gotowa. Kocham go, ale moja miłość nie jest podobna do jego miłości, więc mu o tym nie mówię, bo nie chcę dawać mu złudnej nadziei. Wiem jednak, że kiedyś wiele małżeństw było aranżowanych i wszystko jakoś się układało, nawet jeśli mąż i żona na początku się nie kochali, więc może nam też się uda. Musi się udać, bo Dennis jest przeciwko rozwodom. Właściwie to się cieszę, że wyszłam za mąż, bo zaraz będzie już widać, że jestem w ciąży. Dobrze, że mam obrączkę na palcu.

Nie zapominajmy, dlaczego Dennis tak mnie zaklinał, żebym przeprowadziła się do High Point: miałam zdobyć lepsze wykształcenie. I co? Jesienią nie będę mogła pójść do szkoły. Postanowił więc uczyć mnie sam. Będzie mi przynosił książki do domu i doradzał, co mam wypożyczyć z biblioteki, a w ciągu dnia mam uczyć się samodzielnie. Podoba mi się ten pomysł, chociaż wiem, że to oznacza jeszcze większą samotność, bo nie poznam nikogo w szkole i nie zyskam żadnych znajomych. Ale to już nie jest wina Dennisa. Sama się wpakowałam w takie tarapaty.

Czy jeszcze kiedyś zobaczę mamę i tatę? Czuję, jak wiele dzieli mnie i tamtą dziewczynę z Kiss River, a przecież minęło dopiero kilka miesięcy. Gdybym pojechała ich odwiedzić, na pewno zasypaliby mnie pytaniami; boję się tego i tak samo się boję, że ściągnęłabym kłopoty na Dennisa. Lepiej już nigdy tam nie wracać, chociaż boli mnie serce, kiedy o tym pomyślę.

Gdybym została w Kiss River, a oni dowiedzieliby się, że jestem w ciąży, to wiem, co by teraz

było. Najpierw tato sprawiłby mi niezłe lanie (tylko tak mówię, bo on nigdy by nie podniósł na mnie ręki, ale na pewno powiedziałby mi do słuchu, że w pięty by mi poszło), a potem musiałabym rzucić szkołę i mieszkać z rodzicami. Urodziłabym w domu i jak wiele innych dziewczyn z Outer Banks przez całe życie byłabym tylko matką. Tutaj, w High Point, mam lepiej. Wciąż to sobie powtarzam. Tylko że w Kiss River przynajmniej mogłabym od czasu do czasu widywać Sandy'ego. O ile FBI by go nie namierzyło. Wiem, że źle robię, ale tęsknię za nim i pragnę go zobaczyć, a w każdym razie Sandy'ego sprzed tamtej feralnej nocy, która wszystko zmieniła.

Są takie rany, które długo nie przestają boleć. Twarz Sandy'ego zatarła mi się już w pamięci. Usiłuję ją sobie przypomnieć, ale widzę tylko niewyraźny kontur. Rysy, linie – to wszystko zniknęło. Pamiętam jednak, jak trzymał mnie w ramionach i jak wspólnie patrolowaliśmy plażę. Często usypiam, płacząc i myśląc o nim, a w uszach mam tamte wstrętne rzeczy, które powiedział, kiedy widziałam go po raz ostatni. Straciłam już nadzieję, że jeszcze go kiedyś zobaczę, że zdarzy się cud i wszystko będzie tak jak dawniej.

Pogrążona w smutku i cierpieniu

pani Kitteringowa

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Clay cieszył się, że Gina nie wróciła jeszcze ze sklepu. Po wyjściu ojca usiadł w salonie. Sasza położył mu łeb na kolanach, a on patrzył pustym wzrokiem przed siebie. Musiał trochę pomyśleć, przetrwać to, co usłyszeli, i poradzić sobie z gniewem, który zaczął mu przesłaniać miłość do matki i ból po jej stracie. Najbardziej by się ucieszył, gdyby Lacey spławiła teraz swojego faceta, żeby mogli obgadać wstrząsające nowiny. Tylko ona była w stanie zrozumieć, jak bardzo Clay w tej chwili się boi, jak bardzo czuje się zraniony. Coś mu jednak mówiło, że Lacey przeżywa to jeszcze mocniej niż on.

Z letargu wyrwał go dzwonek telefonu. Wstał i poszedł do kuchni, żeby odebrać.

– Czy mogę rozmawiać z Giną Higgins? – Głos w słuchawce należał do kobiety. Mówiła z obcym akcentem, niejasnym, być może angielskim. Clay uświadomił sobie, że odkąd Gina z nimi zamieszkała, nikt jeszcze do niej nie dzwonił.

– Wyszła – odpowiedział. – Coś przekazać?

Kobieta chwilę się wahała.

– Tak. Proszę powiedzieć, że dzwoniła pani King i że sytuacja tutaj, na miejscu, mocno się teraz skomplikowała, więc cena wzrosła do dwustu tysięcy dolarów. Bardzo mi przykro, ale w tej chwili wszystko znacznie trudniej załatwić.

O czym ona mówi? – zastanawiał się Clay.

– „Tutaj, na miejscu”, czyli gdzie? – zapytał, chociaż obawiał się, że zna już odpowiedź i wie, na co Ginie potrzebne te pieniądze.

– Dzwonię z Hajdarabadu – odparła kobieta. – Proszę przekazać Ginie wiadomość.

I rozłączyła się bez uprzedzenia, a w słuchawce zabuczał sygnał centrali.

Kiedy Gina wróciła z zakupami, Clay czekał na nią w kuchni.

– Jak rozmowa z ojcem, wszystko w porządku? – Postawiła na blacie trzy wypchane torby i pochyliła się, żeby pogłaskać Saszę.

– Ktoś do ciebie dzwonił – odparł krótko, nie podnosząc się zza stołu, gdzie siedział tak samo apatycznie jak przedtem w salonie. Nie ruszył nawet ręką, żeby pomóc jej wypakować zakupy.

– Do mnie? – Zamarła z dłońmi na psim karku.

– Tak. Niejaka pani King.

Gina wyprostowała się i sięgnęła do torby, po czym wyjęła z niej karton płatków śniadaniowych.

– I co powiedziała?

– Że cena poszła w górę i teraz wynosi dwieście tysięcy dolarów. Podobno „tam, na miejscu” wszystko się skomplikowało.

Odłożyła płatki i oparła się sztywno o blat. Cały czas stała plecami do Claya, przycisnęła pięść do ust.

– Wyjaśnisz mi, o co tutaj chodzi? – zapytał. – Kim jest pani King? Czy pieniądze to jest

łapówka? Skąd je weźmiesz? – Pytania sypały się jedno za drugim. Zbывало mu w tej chwili na cierpliwości. To był dzień ujawniania tajemnic i Clay miał już powyżej uszu kłamstw.

Gina odwróciła się i usiadła przy stole. Zakryła oczy dłonią i cicho płakała. Widząc, jak trzęsą się jej ramiona, musiał zdusić w sobie odruch, który nakazywał mu ją pocieszyć.

– Gino, chcę usłyszeć prawdę – powiedział krótko.

Skinęła głową, opuściła rękę, odsłaniając twarz.

– Tak, wiem – szepnęła. – I przepraszam, Clay. Bardzo cię przepraszam. Po prostu nie mogłam ci tego powiedzieć.

– A podobno to ja nie umiem porozumiewać się z ludźmi?

Puściła jego komentarz mimo uszu; nie był pewien, czy w ogóle go usłyszała.

– Pani King wydostaje dzieci z sierocińców w Hajdarabadzie – zaczęła. – Słono sobie liczy, ale naprawdę jest w stanie to zrobić. Jak jej się udaje uniknąć aresztowania – tego nie wiem. Nie wiem też, na co idą te pieniądze. Na pewno na łapówki. Pewnie musi przekupywać sędziów, adwokatów, pracowników sierocińców i nie wiadomo kogo jeszcze. Ale mnie to nie interesuje. – Przycisnęła drżące palce do skroni. – Chcę tylko moją córeczkę. Ona umiera. Wkrótce będzie za późno, żeby jej pomóc.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– A ty byś się przyznał, że płacisz komuś za nielegalną usługę, żeby uratować swoje dziecko?

Tobie tak, przemknęło mu przez głowę, ale pewności nie miał.

– Clay, ja nie jestem złym człowiekiem – powiedziała Gina. – Nigdy nie łamię prawa. Nawet przez ulicę przechodzę zawsze po pasach. Ale nie widzę już innego sposobu, żeby wydostać Rani z Hajdarabadu.

– Skąd weźmiesz dwieście tysięcy dolarów? – zapytał.

– Skąd...? – westchnęła, a następnie uniosła na niego swoje ciemne oczy, te same oczy, w których się zakochał. – Przeczytam ci kilka fragmentów z pamiętnika Elizabeth Poor, dobrze?

– I wtedy zrozumiem, jak zamierzasz zdobyć te pieniądze? – zapytał zdumiony.

Gina przytaknęła.

– Co to ma znaczyć? – drążył. – Zakopała brylanty za wygódkę czy jak?

– W sumie można tak powiedzieć. – Wstała od stołu. – Zaraz wrócę.

Poszła na górę, a Clay schował zakupy. Starał się wykrzesać z siebie trochę zdrowej złości na Ginę, powtarzał sobie, że znów coś przed nim ukrywała, ale na próżno. Nie byli małżeństwem, nie przyrzekali sobie wspólnej przyszłości. Gina nie była mu nic winna.

Wróciła do kuchni z niedużym pamiętnikiem w różowej okładce.

– Pójdziemy na górę do latarni? – poprosiła, oglądając się przez ramię. – Żeby Lacey nie usłyszała, kiedy zejdziesz na dół.

W milczeniu wyszli z domu i wspięli się po wysokich krętych schodach. Ostatni stopień był mokry po deszczu, przetarli go więc gołymi dłońmi i usiedli. Clay poczuł, że jego szorty szybko nasiąkają wilgocią.

Gina otworzyła pamiętnik i zaczęła czytać. Dziwnie się słuchało o życiu, które przed laty toczyło się w jego rodzinnych stronach i w domu, gdzie sam teraz mieszkał. Był w szoku, dowiedziawszy się, jak Bess odkryła, że Sandy, chłopak ze Straży Wybrzeża, jest szpiegiem. Ale gdy usłyszał z kolei o tym, że wypisała jego prawdziwe nazwisko na soczewce, poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

– To dlatego chcesz ją wydobyć? – zapytał. – A nam tyle naopowiadałaś, że... Gina! Do jasnej cholery! Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego jeszcze nie wiem, że na soczewce jest

nazwisko twojego dziadka?

– Przepraszam – wyszeptała przez łyzy, ocierając policzki palcami. – Bardzo cię przepraszam, Clay, po prostu nie mogłam.

– Nie rozumiem. Co nazwisko na soczewce ma wspólnego z pieniędzmi?

– Płacili mu za szpiegowanie, pamiętasz? – Gina uniosła otwarty pamiętnik. – Mój dziadek jest bogaty. Moja mama, jego córka, nie miała grosza przy duszy, a on pewnie spał na forsie.

Clay zwrócił uwagę na gniewny ton, tak rzadki w jej głosie. Aż ciarki go przeszły, gdy zdał sobie sprawę, jak bezsensownie to brzmi.

– Pewnie go aresztowali – przypomniał.

– Nie sądzę – odparła. – Bess wciąż go kochała, więc nie postarała się zbyt, by wpadli na jego ślad. Nazwisko wyryte na soczewce? Zdawała sobie sprawę, że Bud Hewitt najprawdopodobniej w ogóle tego nie zauważy. Regularnie czytała gazety i nie znalazła najmniejszej wzmianki o aresztowaniu.

– Może wyciszyli sprawę – zauważył Clay. – A poza tym ten człowiek wygląda na psychopatycznego zdrajcę, odznaczającego się wyjątkowym okrucieństwem. Ktoś taki nie odpali ci dwustu tysięcy z własnej woli.

– To ja mu wtedy... – Popatrzyła na niego z desperacją. – Zaszantażuję go. Powiem, że ujawnię pamiętnik Bess.

– Gina, to nie trzyma się kupy. Nawet jeśli go nie złapali, pewnie już dawno umarł.

– Wiem. – Otarła łzę z policzka. – Ale pamiętnik to mój dowód, że mam prawo do części spadku po nim.

Clayowi zrobiło się jej strasznie żal. Miłość do dziecka zamąciła jej w głowie, kazała chwycić się desperackich, irracjonalnych rozwiązań. W dodatku, myślał, pewnie nie ją pierwszą to spotkało. Przygarnął Ginę do siebie, a ona obejrzała się na niego ze zdziwieniem.

– Nie jesteś na mnie zły? – zapytała.

– Jestem na ciebie obłędnie wkurzony – przyznał. – Ale wydaje mi się oczywiste, że nie myślisz logicznie. Miłość do Rani wpędziła cię w lekki obłęd. Nie potrafisz odróżnić, co jest słuszne, a co nie, a całą swoją nadzieję pokładasz w jakiejś mrzonce.

– Nie mów tak, Clay, błagam – jęknęła załamującym się głosem. – To moja ostatnia deska ratunku. Nie zdobędę takich pieniędzy w żaden inny sposób. Staralam się o pożyczkę, ale przez te długi po byłym mężu straciłam zdolność kredytową. – Odchyliła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Twarz miała zniekształconą przez łyzy. – Dlatego wolałam ci o tym nie mówić – przyznała się. – Nie chciałam usłyszeć od ciebie, że jestem stuknięta albo że to nie może się udać.

– Sposób, który sobie wymyśliłaś, nie ma szans na powodzenie – przyznał. – A poza tym dawać pieniądze... handlarce dziećmi czy jak ją nazwać...

– Nie wiedziałam, co robić – powtórzyła.

Clay przygarnął ją do siebie i zamyślił się.

– Wiesz co? – powiedział wreszcie. – Henry, Brian albo Walter mogą wiedzieć, kim był Sandy.

– Skąd? – chlipnęła, kryjąc twarz pod jego ramieniem.

– Bo wszyscy trzej służyli w tutejszej jednostce Straży Wybrzeża.

– Tak?

– Tak się poznali i zaprzyjaźnili – wyjaśnił. – O żadnym Sandym na pewno nie słyszeli, ale może pamiętają, kto patrolował plażę.

Gina uniosła głowę i spojrzała w niebo. Clay pogładził ją dłonią po mokrym policzku.

– Dobrze – zgodziła się. – Ale najpierw poszukamy nazwiska na soczewce. Przy odrobinie szczęścia jutro się uda. Nie chcę angażować w to więcej ludzi, niż potrzeba.

– W porządku.

Oparła głowę o jego ramię.

– Wiem, że jesteś na mnie zły, Clay – powiedziała – ale chcę ci podziękować, że nie gniewasz się jeszcze bardziej. Nie miałabym do ciebie pretensji.

– Moim zdaniem twój plan to obłąd – odparł. – Wiem jednak, że człowiek, który traci ukochaną osobę, łatwo może zwariować.

– Dziękuję ci – uśmiechnęła się. – A co z twoim tatą? Wszystko w porządku?

Tym razem to Clay musiał westchnąć.

– Miał dla nas kilka informacji, które okazały się trudne.

– Powiesz mi? – zapytała.

Nagle poczuł się rozdarty; nie miał ochoty mówić tego na głos, ale chciał, żeby Gina wiedziała.

– Podobno Lacey wdała się w naszą matkę, która była... Powiem tak: zdradzała ojca przez cały czas, kiedy byli razem.

– O nie... – jęknęła Gina.

– Lacey, co prawda, nikogo nie zdradza – ciągnął Clay. – Jak się dowiedzieliśmy, mama miała kochanków. Ojciec był tylko jednym z wielu. I przywoziła ich tutaj, do domu latarnika. Zdaje się, że Mary Poor, twoja prababka, wiedziała o wszystkim.

– Wiedziała? Przecież dla swojej córki była bardzo surowa.

– A dla mojej matki nie, jak widać.

– Przykro mi, Clay. Wiem, że cierpisz.

Potrząsnął głową. Wciąż jeszcze temu nie dowierzał.

– Mam wrażenie, że znalazłem się w innym świecie i muszę się z nim na nowo oswoić – wyznał. – Jakbym właśnie odkrył, że przez całe życie mnie oszukiwali i gwiazdy to nie są trójwymiarowe ciała niebieskie, tylko białe kropki wymalowane na okrągłym suficie.

– Czy wasz ojciec domyślał się czegoś? – zapytała.

– Dowiedział się po jej śmierci. Uważał ją za świętą, jak my wszyscy. Wyobrażasz sobie, jak się poczuł? – Serce mu się krajało, kiedy o tym myślał. – Dlaczego ludzie muszą zdradzać się nawzajem?

– Nie muszą – odparła Gina i odwróciwszy się, wzięła go za rękę. – Clay, nie mam pojęcia, jak nam się razem ułoży. Czy mamy przed sobą wspólną przyszłość, czy nie. Ani ja nie mogę tego wiedzieć, ani ty. – Te słowa mówiła już z mocą, po łzach nie pozostał ślad. – Ale od tej pory nigdy już cię nie oszukam i nic przed tobą nie ukryję. Przysięgam.

Clay uściśnął jej dłoń. To pytanie chodziło mu po głowie, odkąd po raz pierwszy powiedziała mu, że jest gotowa na wszystko, żeby zdobyć swoje dziecko. Teraz je zadał.

– Co byś powiedziała, gdyby inni ludzie adoptowali Rani? Na przykład jakaś para z Indii, która mogłaby uniknąć twoich problemów?

Poczuł, jak Gina zeszywniała w jego objęciach.

– Gdyby od razu załatwili jej operację, której potrzebuje... – odpowiedziała powoli – ... i gdyby to byli ludzie, którzy...

Potrząsnęła głową i znów zaczęła płakać.

– Clay, to przecież moje dziecko – wyszlochała. – Moja córeczka.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

– O, już widzę, że bombka poleci do góry jak piórko.

Gina siedziała na burcie barki i przysłuchiwała się, jak kapitan omawia z Kennym wydobycie soczewki. Już trzeci raz nazwał ją „bombką”, więc uznała, że w porównaniu z ładunkiem, który zwykle podnoszą z dna oceanu, soczewka z latarni morskiej jest stosunkowo lekka.

Rano obudziły ją głosy za oknem pokoju Claya. Wyjrzała na zewnątrz: pod wschodnią ścianą latarni stał Kenny, po kolana w wodzie. Miał na sobie skafander z krótkim rękawem i wykrzykiwał coś do człowieka na pokładzie niedużej barki kołyszącej się na wodzie w pobliżu boi. Żółta poręcz nadburcia z daleka rzucała się w oczy. Całą scenę powlekał złoty blask porannego słońca, a ocean był gładki niczym szkło. Dźwig wznoszący się w środkowej części pokładu barki wyglądał jak olbrzymi owad o cielsku koloru bursztynowego, stojący prosto, na tylnych odnóżach.

Gina obudziła Claya, a potem szybko wskoczyła w czerwony kostium kąpielowy Lacey i pobiegła na plażę.

Po chwili Clay dołączył do niej. Musieli dopłynąć wpław na barcę, a potem wspiąć się po drabince na rufie. Statek okazał się znacznie większy, niż wydawał się Ginie, gdy patrzyła przez okno; stojąc pod dźwigiem, czuła się bardzo mała. Tuż obok na pokładzie znajdowała się kwadratowa konstrukcja z drewnianych belek, wysokości może kilkudziesięciu centymetrów.

– Na tym dźwig położy soczewkę – wyjaśnił Kenny, wskazując drewniany czworokąt. Pocił się w swoim skafandrze, bo poranek był gorący. – A potem popłyniemy z nią do Hatteras na czyszczenie.

Kenny objaśnił im ze szczegółami plan wyprawy. Najpierw, powiedział, nurkowie za pomocą strumienia wody pod wysokim ciśnieniem wydobędą spodnią część soczewki z piasku. Następnie podłożą pod nią pasy, zamocują je do liny podanej przez dźwig – i już.

– Pestka – podsumował.

Gina i Clay patrzyli, jak Kenny i drugi nurek schodzą po drabince do wody. Zabrali ze sobą długie węże i inny sprzęt potrzebny do wstępnych prac przed wydobyciem soczewki. Woda była tego dnia dość przejrzysta, ale nie mieli szans zobaczyć, co się dzieje w głębi, bo barka stała w pewnym oddaleniu, żeby soczewka nie uderzyła o burtę, kiedy znajdzie się już w powietrzu. Gina wciąż oglądała się na drewniany czworokąt, na którym miała spocząć, myśląc z niepokojem, że jeśli jej spód osiadzie zbyt głęboko, to belki zasłonią to, co chciała zobaczyć.

– Emocje? – zagadnął ją Clay.

– A jak ci się wydaje? – mruknęła, przygryzając dolną wargę. – Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć tę bombkę.

Wiedziała, że Clay też jest ciekawy. Wpadł na pomysł, żeby poszukać Sandy’ego w internecie, kiedy już poznają jego prawdziwe nazwisko. Może nawet ustalą, czy został złapany. A jeśli wciąż żyje, poszukają jego adresu.

Przez ostatnie dwa dni, odkąd Clay dowiedział się o jej planie, Gina przez cały czas chodziła zawstydzona. Rozumiała, dlaczego on uważa, że jej plan to czyste szaleństwo. Tylko że nie potrafiła znaleźć innego rozwiązania. Nawet teraz nic nie przychodziło jej do głowy.

Denise milczała już trzeci dzień, co jeszcze bardziej wzmagало niepokój Giny. W Hajdarabadzie wysyłało się mejle z hotelu, a komputer często się psuł. Gina miała nadzieję, że taki jest właśnie powód tego milczenia, że nie stało się nic gorszego.

Lacey też chciała być z nimi na barce, ale rozchorował się jeden z pomocników w przychodni dla zwierząt i musiała go zastąpić. Gina przyjęła to z ulgą, bo wiedziała, że dokładne obejrzenie soczewki w obecności Kenny'ego, drugiego nurka i kapitana barki będzie bardzo trudne bez wzbudzania podejrzeń. Z Lacey nad głową byłoby wręcz niemożliwe.

Od wtorku, kiedy Alec powiedział swoim dzieciom prawdę o ich matce, Lacey zrobiła się bardzo milcząca. Gina i Clay uznali, że najlepiej dać jej spokój i nie ciągnąć za język.

– Porozmawiamy, kiedy będzie gotowa – uznał Clay.

Trudno jednak było patrzeć, jak pogodna i promienna Lacey gaśnie w mrocznym, złowieszczym zamyśleniu.

Minęło pół godziny. Gina czuła, że słońce przypieka jej skórę. Nie pomyślała o kremie z filtrem, ale było jej wszystko jedno. Clay pogładził ją po plecach. Zamknęła oczy, starając się oddychać równo, cierpliwie, aby uspokoić nerwy.

Wreszcie Kenny się wynurzył i pokazał operatorowi dźwigu uniesiony kciuk. Niknąca w wodzie lina drgnęła i przy akompaniamencie głośnych zgrzytów i warkotów zaczęła się wynurzać, ciągnąc za sobą girlandy wodorostów. W niespełną minutę gigantyczna, oblepiona glonami masa karbowanego szkła wychynęła spod wody i zawisała w powietrzu, a ze wszystkich szczelin trysnęły miniaturowe wodospady.

Gina i Clay obserwowali, jak ramię dźwigu wyciąga soczewkę wysoko, a potem obraca się i opuszcza na drewniany czworobok.

– Wisi pod kątem – zauważył Clay.

Gina też zdążyła to zauważyć. Dobrze, że tak się stało. Opleciona pasami soczewka nie stała prosto, lecz niemalże leżała na boku. Gdyby w takiej pozycji spoczęła na pokładzie, bez problemu obejrzą jej spodnią część.

Dwóch pomocników z załogi barki pilnowało, by soczewka trafiła na właściwe miejsce. Ułożyła się dokładnie tak samo, jak wisiała w pasach, czyli na boku.

Gina i Clay podeszli, nie zwracając uwagi na operatora dźwigu, który prosił ich, żeby trzymali się z daleka.

– Tutaj jest spód. – Gina macała grube szklane pierścienie. Oby tylko się nie okazało, że nazwisko było na tamtym segmencie, który zniszczył sztorm, myślała, zdrapując paznokciami gruby kozuch glonów. Clay z drugiej strony wycierał szkło jakąś szmatą, znaną na pokładzie.

– Gina! – zawołał nagle. – Jest! Widzę kilka liter!

Pobiegła do niego. Ścisnął w dłoni brudną szmatę, a w szeroko otwartych oczach malował się szok i niedowierzanie.

Podążyła za jego wzrokiem. Szkło było prawie czyste, a litery odcinały się na jasnym, połyskującym tle żywą zielenią glonów wrośniętych w głębokie rysy: Walter Liscott.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Gina siedziała obok Claya w poczekalni centrum rehabilitacji i bawiła się kłamrą swojego plecaka. Od chwili, gdy odczytali nazwisko na soczewce z Kiss River, upłynęło zaledwie kilka godzin. Clay namawiał ją, żeby pojechać do Elizabeth City dopiero następnego dnia, ale ona nie była w stanie czekać już ani minuty dłużej. Musiała stanąć oko w oko z człowiekiem, który zdradził Bess Poor i własną ojczyznę.

– Ile trwają te ćwiczenia, jak myślisz? – zapytała, spoglądając na zegarek. Siedzieli w tej poczekalni już czterdzieści minut.

– Zaraz się skończą – odparł. I westchnął: – Gina, wiesz przecież, że Walter to naprawdę miły facet.

– Mój mąż też był miły – rzuciła krótko. – A Sandy-Walter był przemiły dla Bess, dopóki nie odkryła, kim naprawdę jest.

– Minęło sześćdziesiąt lat. – Clay wziął ją za rękę. – Ludzie się zmieniają. Wiem, że miałaś nadzieję dotrzeć do jakiegoś multimilionera, ale Walter nie ma żadnych pieniędzy w skarpecie. Jestem tego pewien. Nawet jeśli coś wtedy dostał, wszystko dawno już wydał. Mieszka w skromnym domku.

Gina obawiała się, że to może być prawda. Szczerze mówiąc, sama już nie wiedziała, czego się spodziewa po rozmowie z Walterem. Zastanawiała się, jakim cudem miły starszy pan, który stał się jej na swój sposób bliski, to zdrajca, który służył w Straży Wybrzeża i skrzywdził młodziutką Bess Poor. Miała jednak w pamięci niespodziewaną przemianę swojego byłego męża. Zadała sobie pytanie, czy Claya także czeka podobne przeobrażenie.

Wzięła go za rękę i uścisnęła lekko.

– Będę delikatna, obiecuję.

Wiedziała, czego boi się Clay: że ta rozmowa skończy się dla rekonwalescenta kolejnym zawałem.

Upłynęło jeszcze kilka minut i do poczekalni wjechał Walter na wózku.

– No proszę, miło was widzieć – przywitał ich z szerokim uśmiechem. – Chciałbym już wrócić do domu. I do Shorty's też. Tutaj nikt nie gra w szachy.

– Walter, możemy porozmawiać na osobności? – zaproponowała Gina. W poczekalni było kilka osób, a ich rozmowy nie powinien usłyszeć nikt postronny.

Starszy pan spoważniał.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Nikomu nic się nie stało?

Pomyślał pewnie, że coś złego spotkało Briana albo Henry'ego.

– Nie – uspokoił go Clay. – Chcemy tylko chwilę porozmawiać.

– Chodźmy do mojego pokoju. – Walter wskazał korytarz za ich plecami. – Mieszkam jeszcze z jednym pacjentem, ale on ma teraz ćwiczenia, więc nikt nie będzie nam przeszkadzał, przynajmniej na razie.

Ruszył przodem, a oni poszli za nim długim korytarzem. W pokoju było tylko jedno krzesło. Gina przycupnęła na nim, plecak położyła sobie na kolanach i ciasno objęła go ramionami, a Clay usiadł na skraju niepościelonego łóżka.

Walter ustawił wózek naprzeciwko nich i wpatrywał się w nich wyczekująco.

– Co was gryzie? – zapytał w końcu.

Gina zerknęła na Claya. Kiedy znalazła się już twarzą w twarz z Walterem, nagle okazało się, że nie wie, od czego zacząć.

– Chcieliśmy cię zapytać o parę rzeczy z czasów twojej służby w Straży Wybrzeża – wyjaśnił Clay.

Walter zrobił zaskoczoną minę.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Służyłem dość krótko. Henry i Brian mogliby powiedzieć wam znacznie więcej.

– Walter – odezwała się Gina. – Jesteś moim dziadkiem.

– Kim? – zaśmiał się.

Sięgnęła do swojego plecaka i wyjęła pamiętnik.

– Tutaj są wspomnienia Bess Poor z roku, w którym skończyła piętnaście lat.

Walter wbił wzrok w różową okładkę, a twarz mu pobladła. Wreszcie potrząsnął głową.

– Bess... – szepnął, jakby mówił do siebie, a potem wskazał palcem pamiętnik. – O czym tam pisała?

– O tym, jak zakochała się w tobie. W chłopaku imieniem Sandy.

– Sandy – zachichotał. – Później już nikt mnie tak nie nazywał.

– Ona cię ubóstwiała – powiedziała Gina.

– I ja ją też. – Walter nagle posmutniał. – Chyba kiepsko ułożyło jej się w życiu. Martwi mnie to.

Gina szarpnęła się ze złością.

– A czyja to była wina? – syknęła. – To przez ciebie musiała uciekać z domu. A co było z tobą? Złapali cię? Dostałeś od Niemców miliony za zdradę? – Pospiesznie wyrzucane słowa padały beładnie, jedno przez drugie.

Walter patrzył na nią osłupiały.

– Może lepiej zajrzę do tego pamiętnika – powiedział wreszcie.

Gina zobaczyła oczami wyobraźni, jak wyrywa kartki i drze je na kawałeczki. Bała się, że nie zdąży mu w tym przeszkodzić. Trzeba było zrobić ksero, pomyślała.

– Bess napisała, że szpiegowałeś dla Niemców, Walterze – odezwał się Clay. Był znacznie spokojniejszy od Giny. – Nie bój się, nikomu o tym nie powiemy. Było, minęło. Chcemy tylko wiedzieć, czy to prawda.

Niespodziewanie Walter parsknął śmiechem.

– To tym oboje tak się gryziecie? – zapytał.

Nie doczekał się odpowiedzi, a zauważywszy ich poważne miny, szybko ochłonął.

– Widzę, że muszę wam sporo wyjaśnić – mruknął. – Ale dlaczego powiedziałaś, że jesteś niby moją wnuczką? – Spojrzał na Ginę.

– Kiedy Bess uciekła z Kiss River, była w ciąży – odpowiedziała i już chciała dodać, że stosunek przerywany to beznadziejna metoda antykoncepcji, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– O nie... – Walter odwrócił głowę, wbił smutny wzrok w okno. – Przez lata nie miałem pojęcia, gdzie ona się podziewa. Jej rodzice też nie wiedzieli. Nikt nie wiedział.

– Obchodziło cię to w ogóle?

– Tak, bardzo. – Obejrzał się z powrotem na Ginę, a jego głos nabrał stanowczych tonów. – To rozstanie nie było dla mnie łatwe.

– Rozstanie? – powtórzyła. – Ty ją wypędziłeś z domu.

Miała być delikatna, ale słabo jej to szło. Clay wyciągnął rękę, chwycił ją łagodnie za nadgarstek.

– Nie unoś się – upomniał.

Walter spuścił głowę, wpatrując się w swoje złożone, nieruchome dłonie.

– Posłuchajcie – odezwał się. – Tak naprawdę... nigdy nie służyłem w Straży Wybrzeża.

– Jak to? – zdziwił się Clay.

– Pracowałem dla FBI. Byłem podwójnym agentem.

Gina zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem.

– Dotarli do nas informacje, że Niemcy planują desant sabotażystów w tym rejonie – wyjaśnił Walter. – FBI przysłało jednego faceta na zwiady, ale niestety wpadł i dał się zabić. Pewnie dlatego, że mówił po niemiecku z okropnym akcentem i zaczęli go podejrzewać. Wtedy wysłali mnie. Niemiecki to mój język ojczysty, moi rodzice urodzili się w Niemczech.

– Nie powiedziałaś o tym Bess – zauważyła Gina.

– Oczywiście, że nie – odparł. – O wielu innych sprawach też jej nie mówiłem. Miałem przekonać Niemców, że jestem po ich stronie, a tak naprawdę pracowałem dla naszego wywiadu. Nawet mój przełożony, chorąży Bud Hewitt, o niczym nie wiedział. Gdyby się dowiedział, misja byłaby zagrożona. W końcu jednak się udało. Żadna łódź podwodna nie wysadziła sabotażystów w tym rejonie.

– Powiedziałeś Bess, że płacą ci grube miliony – przypomniała mu.

– Miliony? – zaśmiał się Walter. – Nie dostałem nic ponad swoje pobory. Powiedziałem jej tak, bo nic innego nie przyszło mi wtedy do głowy. Kiedy Bess nakryła mnie na konszachtach z Niemcami, wpadłem w panikę. Nie śmiałem się przyznać, jak jest naprawdę, a jej groziło niebezpieczeństwo. Niemcy mogli ją zabić albo... No cóż, nie byłby to pierwszy raz, kiedy Amerykanin zginął w akcji. To ja ją naraziłem, kiedy się w niej zakochałem – dodał, a w jego oczach zalśniły łzy. – Tak, postraszyłem ją i wypędziłem z domu, ale zrobiłem to z miłości. Powiedziałem jej, że to ja zabiłem tamtego człowieka, którego znalazła na plaży. Na pewno bardzo ją zraniłem i uznała mnie za podłą gniędę. Ale nie miałem pojęcia, że była w ciąży!

Gina zaniemówiła, głos uwiązał jej w gardle, ale on najwidoczniej doszedł do wniosku, że mu nie wierzy, bo podjechał do nocnego stolika i wyciągnął z szuflady pęk kluczy.

– W moim gabinecie jest szafka z dokumentami, a w niej teczka z napisem „Osobiste” – powiedział, wręczając jej klucze. – W teczce znajdziecie krótki liścik podpisany J. Edgar Hoover. To oficjalne podziękowanie za zasługi w służbie rządu Stanów Zjednoczonych w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku.

Clay pokręcił głową.

– Walter, cholera jasna... – szepnął oszołomiony.

– A teraz – starszy pan spojrzał na Ginę – powiedz mi, proszę, jak to się stało, że jesteś moją wnuczką.

W wykroju jego oczu i ust całkiem niespodziewanie Gina dostrzegła rysy swojej matki. Łzy zapiekły ją pod powiekami i opuściła wzrok na ściskany w rękach pamiętnik. Tak wiele było do opowiedzenia. Nie wiedziała, od czego zacząć.

– Bess oddała dziecko... wasze dziecko... Do adopcji.

Pochyliła się, żeby wsunąć mu w dłoń jego klucze. A potem usiadła wygodniej na krześle i zabrała się do opowiadania całej historii od początku do końca, na tę jedną chwilę zapominając o pieniądzach, o Rani, o Indiach. Po raz pierwszy, odkąd przyszła na świat, mogła powiedzieć: mam dziadka.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Poniedziałek, 8 lutego 1943

Cztery dni temu, czwartego lutego, w szpitalu, gdzie pracuje SueAnn, urodziłam dziewczynkę. Dzisiaj wróciłam do domu i cieszę się, bo nie muszę już patrzeć na szczęście innych ludzi i słuchać płaczu niemowląt, sama leżąc z pustymi rękami. Bo nawet jej nie zobaczyłam. A przecież chciałam. Wiedziałam, że będzie mi trudno, że będę musiała oddać ją pielęgniarce i stracić już na zawsze, lecz mimo to pragnęłam na nią spojrzeć. Chciałam zobaczyć w niej Sandy'ego, bo jego twarz zatarła mi się już w pamięci, a to by mi ją trochę przypomniało. Lecz gdybym odnalazła jego rysy w tym maleństwie, za nic w świecie bym go nie oddała. I może pielęgniarki o tym wiedziały. Może to właśnie dlatego nie pozwoliły mi na nią spojrzeć.

Poród był bardzo trudny. Szczerze mówiąc, mało pamiętam. Przez większość czasu byłam albo pod narkozą, albo nieprzytomna, a kiedy się budziłam, cały czas wzywałam mamę. Powiedzieli mi, że już nie będę mogła mieć dzieci. Coś jest nie tak z moją macicą. Wszystko mi jedno. Mam piętnaście lat. Nie chcę żadnych dzieci. Oprócz tego, które właśnie oddałam.

Zabrał ją ksiądz. Podobno ma trafić do jakiegoś „dobrego katolickiego małżeństwa”, tak mówił. Będzie miała dobre życie. Zapytałam, czy ci ludzie chodzą do naszego kościoła, czy będę mogła ją widywać od czasu do czasu, ale on odparł tylko: „Wykluczone”, jakby nigdy w życiu nie słyszał głupszego pytania.

Dennis jest dla mnie miły, nawet bardziej niż zwykle. SueAnn powiedziała mi, że niektóre kobiety po porodzie przeżywają wielki smutek („popadają w melancholię”, tak to określiła), nawet te, które nie musiały oddać swoich dzieci. Chyba tak dzieje się teraz ze mną. Chcę po prostu zasnąć, a gdy się obudzę, żeby w moim życiu i w moim sercu nie było już śladu po tym, co przyniósł mi ten okropny rok.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

W domu latarnika zapanowała pęsepną cisza. Clay mieszkał teraz pod jednym dachem z dwoma zamyślonymi, popłakującymi kobietami. Jedna przeżywała stratę dziecka, druga – stratę matki. Nigdy przedtem nie widział, aby jego siostra była tak cicha i wycofana. „Sama już nie wiem, kim właściwie jestem”, powiedziała mu, a on zrozumiał. Przedtem Lacey naśladowała matkę, aby w ten sposób utrzymać ją przy życiu. Nie zdawała sobie jednak sprawy, jak bardzo się do niej upodobniła, pod każdym względem, dobrym i złym.

Natomiast Gina była po prostu w żałobie. Inaczej nie sposób tego określić. Skontaktowała się z grupą lekarzy poświęcających swój czas i umiejętności dzieciom z innych krajów i próbowała wyblagać, aby zajęli się Rani. Clay wiedział, że już nie pierwszy raz tam dzwoni, ale jeszcze nie słyszał, żeby płakała do słuchawki, jak przy rozmowie z koordynatorką organizacji, która powiedziała tylko, że bardzo jej przykro, ale „takich dzieci po prostu jest zbyt wiele”.

– Chcielibyśmy pomóc wszystkim – wyjaśniła. – Nie jesteśmy jednak w stanie. A zwłaszcza jeśli chodzi o dziecko, które przebywa w sierocińcu, gdzie po zabiegu nie zapewnią mu takiej opieki, aby rekonwalescencja przebiegła pomyślnie.

W nocy, kiedy leżeli razem w łóżku, Clay trzymał Ginę w ramionach i dał jej się wypłakać. Spała potem niespokojnie, przekręcała się z boku na bok, a on przez długi czas nie mógł zmrużyć oka. W pewnym momencie zaproponowała, że pójdzie spać do swojego pokoju, ale on chciał, aby była przy nim, i wiedział, że ona też tego pragnie, wręcz potrzebuje tego.

A gdy nie mógł spać, myślał i przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Zastanawiał się nad nim przez dzień czy dwa, po czym obgadał wszystko z ojcem, a ten, choć niechętnie, obiecał mu pomóc. Clay postanowił tymczasem przemilczeć, dlaczego Gina naprawdę chciała wydobyć zatopioną soczewkę z Kiss River. Uznał, że kiedyś przyjdzie na to czas, ale teraz potrzebował mieć ojca po swojej stronie, a taka informacja mogła zaszkodzić, bo Alec i tak już miał wobec Giny mieszane uczucia.

W sobotę wieczorem wspięli się razem na latarnię, a gdy patrzyli na gwiazdy i opędzali się od komarów, Clay powiedział Ginie, co chciałby zrobić.

– Nie mam dwustu tysięcy dolarów, żebyś mogła opłacić panią King – zaczął. – I chyba wiesz, że nawet gdybym miał, nie dałbym ich dla niej. Wystarczy mi jednak pieniędzy, żebyśmy mogli polecieć do Indii, zapewnić Rani opiekę i zabrać się do walki z systemem. Do wspólnej walki.

Gina szeroko otworzyła oczy.

– Chcesz to zrobić dla dziecka, którego nawet nie znasz, a tym bardziej – nie kochasz? Dlaczego?

Clay wziął jej twarz w dłonie i pocałował usta kobiety, która przywróciła go do życia.

– Bo kocham ciebie – odparł. – Dlatego.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Poniedziałek, 17 maja 1943

Od dzisiaj rozumiem już, co oznacza słowo „ambiwalencja”. Słyszałam je nie raz, oczywiście, spotykałam w książkach i miałam pewne pojęcie, co może znaczyć, ale dotąd jeszcze nigdy nie przyszło mi do głowy, że tak idealnie oddaje mój obecny stan ducha.

Po raz ostatni zapisuję coś w pamiętniku. Przynajmniej w tym. Mam już teraz inne życie i muszę pozostawić cały zeszły rok za sobą. Kiedy piszę coś na tych kartkach, często czytam sobie wcześniejsze, już zapisane, a w ten sposób ożywają wspomnienia. Pamiętam wszystko, każdą chwilę. A muszę zapomnieć. Chcę spojrzeć w przyszłość, a nie wciąż oglądać się na to, co było, bo przeszłość budzi we mnie tylko smutek i żal.

Zeszłej nocy po raz pierwszy kochałam się z Dennisem. Płakałam potem przez całą godzinę, nie wiedziałam nawet, dlaczego płaczę, a on trzymał mnie w ramionach i mówił, że wszystko będzie dobrze i że już zawsze będzie się mną opiekował. Chyba wiem, skąd się wzięły te łzy: zrozumiałam, że czas zerwać z przeszłością. Do tej pory w głębi serca wciąż miałam nadzieję, że wrócę do Kiss River zobaczyć rodziców i odzyskać Sandy’ego, tego z przyszłości, człowieka, o którym mówiłam – mojego Sandy’ego. Myślę o różnych rzeczach, na przykład jakie to dziwne, że ten sam rubin, który dostałam od niego, posłużył mi, aby wydać go władzom. Chodzi mi też po głowie coś jeszcze: powiedział, że to on zamordował tamtego człowieka, którego znalazłam na plaży, że zrobił to, bo tamten go śledził. Może już kompletnie straciłam rozum, ale wydaje mi się, że Sandy zjawiał się w Kiss River dopiero później. No właśnie, mogę to wałkować na okrągło. Trudno mi przestać.

Ale zeszłej nocy w końcu przestałam myśleć o Sandym, rodzicach i w ogóle o przeszłości. Teraz jestem z Dennisem. Może jest na świecie jakiś mężczyzna lepszy od niego, ale ja go nie znam, więc zrobię wszystko, żebyśmy byli razem szczęśliwi.

Moje uczucia są ambiwalentne. Takie właśnie były, kiedy pisałam wiadomość dla komendanta Hewitta na fresnelowskiej soczewce w latarni: z jednej strony pragnęłam spełnić obowiązek wobec ojczyzny i wydać szpiega, a z drugiej nie chciałam, żeby Sandy’emu stała się krzywda. Podobne uczucia targały mną, gdy oddawałam moje dziecko do adopcji. I takie też są na co dzień, kiedy chodzę do szkoły i nie dbam o wyniki w nauce, a jeśli dobrze się uczę, to tylko po to, żeby Dennis był zadowolony. Czas to zmienić. Czas ruszyć do przodu i być pewną każdego kroku. Właśnie dlatego, kochany pamiętniku, zamykam cię i odkładam na zawsze. Dziękuję, że byłeś, kiedy potrzebowałam bezwarunkowej akceptacji, bez oglądania się na moje przywary. Dziękuję dziękuję dziękuję. I żegnaj.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

W drugim tygodniu sierpnia do Norfolk wyruszyła minikarawana samochodów. Alec wiół swoim vanem Ginę i Claya, a także Olivię z Jackiem i Maggie. Za nimi jechała Lacey, która zabrała Waltera, Henry'ego i Briana, a do bagażnika – wózek Waltera. Wszyscy chcieli pożegnać się i życzyć powodzenia Ginie i Clayowi, którzy właśnie wyruszali w długą podróż do Hajdarabadu.

Gina martwiła się, że mają ze sobą zbyt wiele rzeczy. Kelnerki z Shorty's i kilku stałych bywalców urządzili dla niej wyprawkowe i teraz leciało z nimi mnóstwo zabawek i ubranek dla Rani, a także dziecięca torba i wózek, który mieli nadzieję zabrać na pokład. Wszystkie te prezenty były swoistym wyrazem optymizmu, a Gina pragnęła, aby ten optymizm nie poszedł na marne. Rani wciąż przebywała w państwowym domu dziecka i z każdym dniem coraz bardziej zamykała się w sobie, jak pisała Denise w najnowszym mejlu. Pani King, nie wiedząc czemu, z powrotem opuściła swoją cenę do stu tysięcy dolarów, ale teraz Gina już nie zamierzała jej płacić, nawet gdyby miała takie pieniądze. Wspólnie z Clayem postanowili podjąć walkę z legalnymi procedurami, mając świadomość, że czeka ich trudna i pełna frustracji droga. Ale teraz Gina nie była już sama. Zdała sobie sprawę, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy rzeczywiście popadła w lekki obłęd, a powrót do zdrowych zmysłów zawdzięcza mężczyźnie, który siedział w tej chwili obok niej. Clay natomiast uważał, że było dokładnie na odwrót, i regularnie dziękował jej, że przywróciła mu wiarę w sens życia.

Dotarli na lotnisko na długo przed wylotem, nie tylko po to, aby mieć zapas czasu na odprawę; chcieli też zjeść coś razem, w dziesiątkę, bo tyle ich było. Usiedli sobie przy zestawionych stolikach w lotniskowej restauracji. Wszyscy mówili jedno przez drugie, ale Gina wciąż patrzyła na Maggie. Dziewczynka poprosiła ją o zdjęcie Rani i teraz miała wydrukowaną kopię ze sobą: oparła ją o szklankę z wodą, żeby dobrze widzieć. Gina była szczerze wzruszona. Rozejrzała się dookoła, patrzyła na ludzi siedzących wokół stołu. Byli jej bliscy, z pełną wzajemnością. Zależało im na sobie nawzajem. Taki właśnie dom chciała podarować małej Rani.

Co miała przynieść przyszłość – nie sposób zgadnąć. Bellingham wydawało jej się teraz niezmiernie odległe; poprosiła już dyrekcję swojej szkoły o urlop. Była zresztą gotowa złożyć nawet wypowiedzenie, gdyby nie kwestia ubezpieczenia, bez którego Rani po przyjeździe nie mogłaby przejść operacji. Gina nie miała pojęcia, gdzie potem znajdzie pracę, ale postanowiła, że zastanowi się nad tym w swoim czasie. Teraz myślała tylko i wyłącznie o tym, żeby wydestać swoją córkę z domu dziecka.

Wiedzieli, że kiedy wrócą z Hajdarabadu – we trójkę, bo przysięgli sobie, że bez Rani nie ruszą się stamtąd na krok – soczewka z Kiss River trafi do muzeum. Olbrzymia szklana muszla, zachowana niemalże w całości, z pewnością wzbudzi ogromny podziw. Kilku co bardziej spostrzegawczych zwiedzających być może zauważy ledwie widoczne nazwisko wyryte na jednym z kolistych przyrządów. Będą się zastanawiać, skąd się tam wzięło, i pomyślą pewnie, że

to sprawka Waltera Liscotta, który w ten sposób chciał się uwiecznić. Nikt nigdy nie dopatry się w tym wyrazu ambiwalentnych uczuć piętnastolatki ze złamanym sercem.

Poszukiwanie soczewki z Kiss River samo w sobie mogło być chybnym pomysłem, a z całą pewnością nie przyniosło rozwiązania, którego oczekiwała. Wodząc wzrokiem po twarzach bliskich jej ludzi, Gina zrozumiała jednak, że znalazła to, czego szukała: rodzinę.

Podziękowania

Na potrzeby powieści *Latarnia z Kiss River* zebrałam informacje z wielu różnych dziedzin. Dowiedziałam się, jak kiedyś wyglądało życie w Outer Banks i jak wygląda teraz, poznałam procedury adopcji zagranicznej, tajniki nurkowania z akwalungiem, losy Amerykanów japońskiego pochodzenia podczas drugiej wojny światowej i przebieg działań wojennych na wybrzeżu Atlantyku. Wiele czasu poświęciłam także jednemu z moich koników, czyli latarniom morskim w Karolinie Północnej. Za pomoc przy pisaniu *Latarnii z Kiss River* pragnę podziękować wielu osobom. Kathy Birnbaum, Dixie Browning, Jim Bunch, Lloyd Childers, Janet Ha, Linda Lewis, Rob Lopresti, Tony Moyer, Frank Newman, Dallas Patterson oraz Sharon Van Epps – ci ludzie wspaniałomyślnie podzielili się ze mną swoją fachową wiedzą. Moje koleżanki po piórze, Emilie Richards i Patricia McLinn, służyły mi słowami krytyki i podporą podczas burzy mózgów, a każde nasze spotkanie łączyło się ze wspaniałą ucztą. Dziękuję także za wsparcie Ginger Barber, mojej dawnej agentce z William Morris Agency, oraz redaktorkom prowadzącym: Amy Moore-Benson i Mirandzie Stecyk z MIRA Books.

Zapraszam na moją stronę internetową: www.dianechamberlain.com.

Pytania do dyskusji

1. Gina po nieudanym małżeństwie postanawia wieść samotne życie. Co według ciebie było powodem jej decyzji?
2. Clay nie może pogodzić się ze śmiercią żony, ma poczucie winy. Czy słusznie?
3. Lacey stara się naśladować zmarłą matkę. Czy twoim zdaniem jest to wynikiem tęsknoty za matką?
4. Lacey ma skłonności do rozwiązłego życia. Jak sądzisz, czy takie cechy mogą być dziedziczne?
5. Alec za namową Olivii decyduje się powiedzieć Lacey i Clayowi prawdę o ich matce. Co byś zrobił/zrobiła na miejscu Aleca?
6. Elizabeth zdecydowała się oddać do adopcji nieślubne dziecko. Jak sądzisz, czy dobrze zrobiła? Jaka byłaby twoja decyzja?
7. Czy według ciebie Elizabeth była złym dzieckiem, czy jej rodzice popełnili błędy wychowawcze, które doprowadziły do tych dramatycznych wydarzeń?
8. Mimo wielu nieszczęść i problemów rodzina O'Neillów trzyma się razem. Co według ciebie jest ich największą siłą?
9. Gina przyjeżdża do Kiss River w konkretnym celu. Miejscowi przyjęli ją serdecznie, znalazła tu miłość, rodzinę i przyjaciół. Jak myślisz, dlaczego tak długo zwlekała z powiedzeniem prawdy?
10. Decyzja o adopcji jest bardzo trudna. Czy miałbyś/miałabyś odwagę zrobić to samo, co Gina?
11. Czy twoim zdaniem związek Giny i Claya ma szansę przetrwać?
12. Clay po stracie żony boi się otworzyć na nowy związek, uważa, że jest za wcześnie. Czy twoim zdaniem ma rację?
13. Gina obiecała swojej matce, że odnajdzie jej rodzinę. Czy byłbyś/byłabyś gotów/gotowa na złożenie takiej obietnicy i dotrzymanie słowa?
14. Czy według ciebie można ułożyć sobie życie na nowo po stracie ukochanej osoby?

Table of Contents

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)

[Rozdział trzydziesty](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)

[Rozdział trzydziesty drugi](#)

[Rozdział trzydziesty trzeci](#)

[Rozdział trzydziesty czwarty](#)

[Rozdział trzydziesty piąty](#)

[Rozdział trzydziesty szósty](#)

[Rozdział trzydziesty siódmy](#)

[Rozdział trzydziesty ósmy](#)
[Rozdział trzydziesty dziewięty](#)
[Rozdział czterdziesty](#)
[Rozdział czterdziesty pierwszy](#)
[Rozdział czterdziesty drugi](#)
[Rozdział czterdziesty trzeci](#)
[Rozdział czterdziesty czwarty](#)
[Rozdział czterdziesty piąty](#)
[Rozdział czterdziesty szósty](#)
[Rozdział czterdziesty siódmy](#)
[Rozdział czterdziesty ósmy](#)
[Rozdział czterdziesty dziewięty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty pierwszy](#)
[Rozdział pięćdziesiąty drugi](#)
[Rozdział pięćdziesiąty trzeci](#)
[Rozdział pięćdziesiąty czwarty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty piąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty szósty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty siódmy](#)
[Podziękowania](#)
[Pytania do dyskusji](#)